

Julie Parsons

Mary, Mary

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Oto osoby, do których kieruję najserdeczniejsze podziękowania:

Moja matka Elizabeth Dobbs, która nauczyła mnie opowiadać historie.

Moja siostra Gay Johnson oraz moi bracia Simon Parsons i Rory Parsons wraz z rodzinami, za pomoc i pociechę w dobrych i złych czasach.

Mój ojczym Peter Dobbs za dobroć.

Lorelei Harris, która kazała mi to zrobić.

Mary O'Sullivan, na której to wypróbowałam.

Renatę Ahrens-Kramer, Phil McCarthy, Sheila Barrett, Cecilia McGovern oraz Joan O'Neill, które słuchały i cierpliwie mówiły mi, co jest nie w porządku.

Alison Dye, która mówiła mi, co jest w porządku.

Carole i Alexandria Craig za różne punkty widzenia.

Paula O'Riordan za lojalność i przyjaźń.

Dr Ursula Barry, dr Kevin Strong i Karen O'Connor za pomoc przy medycznych i prawnych aspektach tej historii.

Moi przyjaciele z An Garda Síochána, nieoszczędzający mi czasu ani doświadczenia.

Dr Art O'Connor ze szpitala psychiatrycznego w Dundrum za interesującą rozmowę w pewien nijaki zimowy dzień.

Treasa Coady za nagły przyptyw wiary oraz Charles Pick i Martin Pick za fachową pomoc.

Suzanne Baboneau, za wskazanie rozbabranych wątków i podpowiedzenie sposobu ich uporządkowania.

A wreszcie, last but not least, Cadenom, Morrisseyom i Flahertym za wszystkie imprezy.

Część pierwsza

Rozdział 1

Można chyba powiedzieć, że wszystko zaczęło się od telefonu. Na ogół tak właśnie zaczyna się większość spraw. Później, patrząc wstecz, człowiek się zastanawia, czy akurat w tym wezwaniu było coś, co od razu postawiło na baczność, zwróciło na siebie uwagę, od razu ostrzegło, że to poważna sprawa.

Wtedy jednak była to po prostu zatroskana matka. Zaniepokojona, zażenowana. Niepewna, czy w ogóle powinna dzwonić. Nieprzekonana, czy właściwie postąpiła. Jej lęk graniczył z gniewem.

– Gdyby choć powiedziała, że nie wróci na noc! Gdyby raczyła zadzwonić, uprzedzić!

Słyszał to już wiele razy. Bazgrał na marginesie gazety. Lody w staroświeckich pucharkach, wysoko spiętrzone, wypęczniałe na boki. Zanotował godzinę w książce zgłoszeń: dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem. Dwanaście minut do końca dyżuru. Niedziela, 6 sierpnia 1995. Nazajutrz wszystkie banki miały być nieczynne. Wciąż gorąco, mimo późnej pory. Za gorąco. Wilgotne plamy pod pachami i swędzenie w kroczu. W szpitalach pełno ofiar udarów słonecznych, a w bliskiej perspektywie, po zamknięciu pubów, Bóg wie ile bójk. Emocje podgrzewane muśnięciami nagiej skóry, ściśnięte między udami, rozpalone nadzieje, pożądanie szukające ujścia jak bąbelki w kuflu z piwem. A potem białe migające światło. Panie i panowie, zamykamy. Niedopałki papierosów na ospowatej podłodze. Ślad szminki. Swędząca od słońca skóra, łuszcząca się już miejscami. Jego ręka na jej kolanie. Ty cipo. A ty co sobie myślisz? I wybuch czystej nieokiełznanej wściekłości, który eksploduje razem z kuflem roztrzaskanym na blacie stolika.

– Słucha mnie pan? Zapisał pan wszystko? Westchnął, wyprostował bolące plecy. Ból utkwiał gdzieś w połowie drogi między karkiem i pasem. Przypuszczał, że nabawił się go kilka miesięcy temu, grając w golfa. Już nie był w takiej formie jak kiedyś. Za dużo pracy przy biurku. Nie to co w dawnych czasach: posterunek w Belmullet, wiosłowanie przez Achill Sound, błądy błękit wysp Indskeen, rozwleczone cienie na horyzoncie, makrele wskazujące do łodzi. Długie weekendy wyglądały tam zupełnie inaczej. Oznaczały samobójstwa. Ktoś usłyszał huk wystrzału. Strzępy mózgu na ścianie i szafce, skamlący pies w kącie.

– Dzwoniła pani do przyjaciółek? Pytała pani, czy może widział ją któryś z kolegów?

– Pan chyba w ogóle mnie nie słucha! – Musiał aż odsunąć słuchawkę od ucha. – Przyjechałyśmy tylko w gości, moja córka nie ma tu wielu znajomych! Przecież już to panu mówiłam. Wczoraj wieczorem poszła do miasta, żeby spotkać się z koleżankami z kółka baletowego. Nie ma jej od ponad dwudziestu czterech godzin. Na pewno nie dzwoniłabym do pana bez powodu! – Jej głos przybrał wysokie, histeryczne brzmienie. – Czuję, że coś jej się stało!

– Ile lat ma pani córka?

– Powtarzam po raz trzeci: dwadzieścia!

Musiał jej to powiedzieć, chociaż oni – to znaczy rodzice – nigdy nie chcieli tego słuchać.

– Proszę pani, osoba w tym wieku może opuścić dom, kiedy zechce, a my nic nie możemy na to poradzić. Pani córka nie jest nieletnia. Przykro mi, lecz ludzie często znikają w ten sposób.

Cisza. Świst wciąganego powietrza. Skrzywił się, czekając na reakcję. Rozejrzał się po pokoju. Stetryczały Pat Byrne siedział rozparty w kącie, czytał „Sunday World” i obgryzał paznokcie. Nawet nie chciało mu się zdjąć czapki. Obgryzał je powoli i systematycznie, kolejno u wszystkich palców. Przez otwarte drzwi do kuchenki zobaczył Nualę Kenny szykującą herbatę. Pomachał do niej i dał na migi do zrozumienia, że też by się chętnie napił.

– Rozumiem, co mi pan chce powiedzieć, ale ja i tak się niepokoję. Chcę, żeby zanotował pan jej rysopis i zrobił wszystko, co można, by ją znaleźć. Czy wyrażam się jasno?

Niech to szlag trafi. Kolejna papierkowa robota. Nie wstając z fotela, sięgnął do półki nad biurkiem, gdzie leżały formularze zgłoszenia zaginięcia. Miał za ciasne spodnie. Kiedy zdejmował je wieczorem, tuż nad pępkiem widniał czerwony ślad po klamrze służbowego pasa. Kiedy zdążył tak przytyć? Gdzie się podział ten kościsty chłopak, który przed trzydziestu laty skończył naukę w szkole policyjnej w Templemore?

Położył formularz przed sobą na biurku.

– No dobrze, w takim razie zacznijmy od początku – powiedział, przytrzymując słuchawkę ramieniem. – Imię i nazwisko?

Zaraz po skończeniu rozmowy sięgnął po herbatę. Była już letnia, cukier zastygł na dnie kubka grubą warstwą, niczym łacha rzeczno-piasku. Ponownie spojrzął na formularz. Próbował ją sobie wyobrazić, usiłował z tych starannie napisanych słów stworzyć obraz dziewczyny. Dość wysoka, prawie metr siedemdziesiąt wzrostu. Szczupła, około pięćdziesięciu kilogramów. Ciemnowłosa, smągła cera, błękitne oczy. W formularzu nie było rubryki na ocenę urody. Nikt nie pytał o takie rzeczy, ale w tym przypadku bez trudu mógł się domyślić. Wiedział, jak by się czuł, gdyby chodziło o jego dziecko. Tegoroczne statystyki były zatrważające: osiem zamordowanych kobiet, prawie dwieście zgłoszonych gwałtów, pięćset przypadków napastowania seksualnego. Zbyt wiele. I zbyt wiele spraw nierozwiązanych. Nagle ucieszył się, że pracuje przy biurku, że ma do czynienia wyłącznie z czarnymi znaczkami na papierze, a nie z ciałem i krwią.

Uzpełnił raport, następnie posprzątał na biurku. Pocieszał ją, powtarzał wiele razy, żeby się nie martwiła. Poradziłby poczekała jeszcze dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli przez ten czas córka się nie zjawi, wtedy przyda się fotografia, żeby podać wiadomość do publicznej wiadomości. Wyszedłszy w ciepłą noc, ruszył na ukos przez parking. Wiatr niósł zapach czipsów z furgonetki, która zawsze stała przed wejściem do dużego pubu na rogu. Nie był głodny.

Podniósł wzrok na księżyc dwa dni przed pełnią, wciąż równie piękny jak za jego dziecięcych lat, kiedy pomagał mu odnaleźć drogę do domu w nocie tak ciemne, że aż czuł ich dotyk na twarzy.

Ona gdzieś tam była, pod tą szarobłękitną lampą. Mary Mitchell, lat dwadzieścia. Czarne włosy, błękitne oczy, szczupła budowa ciała. Kiedy widziano ją po raz ostatni, miała na sobie czarną koszulkę, krótką czerwoną spódniczkę z zamszu i czarną dżinsową kurtkę. Mówi z wyraźnym nowozelandzkim akcentem.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i powoli wyjechał na ulicę. Przestań o tym myśleć. W żaden sposób nie możesz jej pomóc. Westchnął, głęboko i z żalem.

Rozdział 2

Można chyba powiedzieć, że wszystko zaczęło się od telefonu, ale od którego? Ten, który przed chwilą wykonała na komisariat, czy ten sprzed czterech miesięcy, który wyrwał ją ze snu w chwili, kiedy czerwone cyferki na budziku pokazywały 1:02? Lata ciągłego trwania w pogotowiu sprawiły, że nerwy, ścięgna i mięśnie jej ręki i ramienia zadziałały automatycznie. Chwyliła słuchawkę, przycisnęła do ucha zimny twardy plastik. Podała numer. Głos miała przytomny i opanowany, bez śladu senności. Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, potem rozległ się szum podobny trochę do szumu morza zamkniętego w muszli, a następnie głos, kłótlivy i łatwy do rozpoznania.

Ten sam głos wzywał ją teraz:

– Margaret. Chodź tu. Potrzebuję cię.

Odłożyła słuchawkę. Spojrzała na swoje odbicie w zakurzonej lustrze w złocistej ramie, od zawsze wiszącym w holu nad stolikiem. Wyjęła z włosów drewnianą spinkę, potrząsnęła głową, zgarnęła je do tyłu obiema rękami i umieściła spinkę na poprzednim miejscu. Następnie starła nieistniejącą smugę pomiędzy brwi. Spróbowała się uśmiechnąć, lecz usta jej drżały, nadmiernie błyszczące oczy świadczyły o tym, że lada chwila mogą z nich popłynąć łzy.

– Margaret!

Znowu ten głos, bardziej donośny.

Odwróciła się od lustra i weszła do dużego pokoju po prawej stronie holu. Obok łóżka w fotelu na biegunach siedziała kobieta. Była bardzo drobna, jej skurczone ciało okrywał czerwony jedwabny szlafrok związany w tali. Twarz w kształcie serca okalały zmierzwione siwe włosy. Podparta jedną stopą, kołysała się niespokojnie, drewniane bieguny stukwały głośno w podłogę.

Margaret podeszła do sięgającego od podłogi do sufitu okna i spojrzała na morze. Na wschodzie, wysoko na niebie wisiał księżyc. Znacznie niżej, tuż nad horyzontem, migotała Wenus. Oparła czoło o szybę. Za jej plecami głos nie milkł ani na chwilę. Same narzekania. Bolał mnie plecy. Dlaczego te leki nie działają? Kiedy znowu przyjdzie ten miły lekarz? Nie podoba mi się pielęgniarzka z hospicjum. Ja przecież nie umieram. Po co ona tu przychodzi? Zrób coś z tym. Dlatego właśnie prosiłam, żebyś wróciła do domu. Żebyś mi pomogła. Myślałam, że mi pomożesz.

Odwróciła się od nocy i, oparta o futrynę okna, rozejrzała po pokoju. Kiedy była dzieckiem, pełnił funkcję salonu – jasny i wesóły, ze ścianami oklejonymi jasnożółtą tapetą, z kwiecistymi zasłonami. Teraz dostał się w niepodzielne władanie matki. Na podłodze piętrzyły się chwiejne stosy czasopism, resztę wolnej przestrzeni zajmowały pudełka kartonowe rozmaitych rozmiarów. Kilkakrotnie usiłowała zrobić tu porządek, matka jednak stanowczo protestowała, w końcu więc

zostawiła wszystko tak, jak było.

W kącie stało łóżko, które niegdyś dzielili rodzice, przykryte wciąż tą samą różową puchową kołdrą, tyle że zblakłą i wyświechtaną. Puch oklapł i pozbijał się pod sfatygowanym jedwabiem. Doskonale pamiętała zapach tego łóżka: perfumy matki („Ma Giraffe”, zgadza się?) i olejek do włosów ojca, i jeszcze jedna woń, którą potrafiła nazwać dopiero wiele lat później. Wślizgiwała się do tego łóżka nocami, kiedy wschodni wiatr łomotał w okna, a morskie potwory zbliżały się groźnie do brzegu. Zwijiała się w kłębek i przytulała do ciepłego ciała ojca. Zawsze do niego, nigdy do matki. Matka siadała w łóżku, włączała lampę, mówiła jej, żeby nie była głupia i żeby wracała do swojego pokoju, a nie budziła ich o takiej nieprzytomnej porze. A ojciec ją obejmował, czuła jego oddech na twarzy.

– Gdzie jest John? Dlaczego go tu nie ma? Czemu nie chcesz go wpuścić?

Już dawno nie żyje. Mój ukochany ojciec.

– Przecież ty w ogóle mnie nie słuchasz!

– Co?

– Mówię przecież. Boli mnie. Bardzo mnie boli.

Po pomarszczonej twarzy popłynęły łzy, z ust wydobył się odgłos przypominający zawodzenie małego kotka. Wciąż się bujała, w przód i w tył, w przód i w tył, z drobnymi rękami zaciśniętymi na poręczach fotela. Margaret poczuła, że w jej gardle wzbiera ten sam odgłos. Odwróciła się gwałtownie, jeszcze raz spojrzała na księżyc, po czym odgradziła się żaluzjami od nocy.

Rozdział 3

– Masz piękne włosy – powiedział, owijając je wokół pięści. Wystający kosmyk przyłożył sobie pod nosem, jakby to były wąsy. – Będzie ci ich brakowało.

Kuchenne nożyczki z pomarańczowymi plastikowymi uchwytami musnęły jej policzek. Nie odrywała wzroku od podłogi. Czarne kędziory opadały jak pióra. Łabędzi puch, przemknęło jej przez głowę. Odylia z *Jeziora łabędziego*.

– Spójrz – polecił, kiedy skończył.

Jedną ręką mocno przytrzymał jej głowę, drugą pchnął brodę w górę, tak że musiała spojrzeć w pęknięte kieszonkowe lusterko.

– Dlaczego?

Pytanie z trudem przecisnęło się przez usta pełne jego smaku i smaku krwi.

– A dlaczego nie? – odparł i z powrotem pchnął ją na podłogę.

– Wypuść mnie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że...

Głos jej się załamał, słowa wyschły, struny głosowe znieruchomiały.

– Dlatego, że jesteś moja! – dokończył krzykliwym falsetem.

– Proszę.

– Aha! – Usiadł na krześle, założył nogę na nogę i skrzyżował ramiona. – Będziemy błagać?

– Nie.

Dźwignęła się na rękach, spojrzała mu w oczy. Kopnął ją w żołądek. Upadła bez słowa, przez długą chwilę nie mogła złapać powietrza, a kiedy wreszcie jej się to udało, zaczęła cicho pojękiwać, zwinięta w kłębek jak dziecko w łonie matki.

Rzucił nożyczki w kąt. Upadły z donośnym brzęknięciem na terakotę. Przez uchylone żaluzje wślizgnął się promień słońca i zamrugnął zachęcająco.

Wstał, podszedł do dużego emaliowanego zlewozmywaka, puścił wodę obfitym strumieniem. Napełnił kubek. Wrócił do niej, podłożył jej przedramię pod plecy, podniósł na tyle, żeby mogła się napić. Rozpłakała się. Od słonych łez piekła ją rozcięta i opuchnięta warga.

– Czego chcesz? Moja matka da ci wszystko. Zrobi wszystko, co zechcesz.

Wyjął z kieszeni jednorazową chusteczkę, zamoczył w wodzie, delikatnie starł krew zaschniętą wokół nosa i ust. Wyraźnie czuła na twarzy jego oddech.

– Wszystko? Naprawdę? A ty? Czy ty też zrobisz wszystko, o co poproszę?

Głębokie westchnienie zakończone szlochem.

– A mam wybór?

– Wszyscy mamy możliwość wyboru. Tym właśnie różnimy się od zwierząt. Dzięki temu

jesteśmy ludźmi.

– Ludźmi.

Spróbowała wstać, chciała pomóc sobie zmasakrowanymi rękami, ale nogi ugięły się pod nią i osunęła się bezwładnie na twardą podłogę, uderzając w nią boleśnie gołymi kolanami. Oczy natychmiast napełniły się gorącymi łzami.

Szturchnął ją bosą stopą. Na delikatnym policzku pozostał wyraźny ślad po paznokciu.

– Jak się trochę zastanović, to już nie za bardzo przypominasz człowieka, więc może jednak nie masz już wyboru.

Próbowała się odsunąć, on jednak złapał ją za włosy i przywłókł do krzesła.

– A teraz o twojej matce. To piękna kobieta. Bardzo piękna. I ma chyba mnóstwo forsy, prawda?

Skinęła głową z zamkniętymi oczami.

– Sama ją zarobiła, czy jest z nią tak jak w tej piosence?

– W jakiej piosence?

– No wiesz.

Wypuścił z ręki jej włosy i znowu osunęła się na podłogę. Wstał, nabrał powietrza w płuca, prawą rękę zbliżył do ust, jakby trzymał w niej mikrofon. Zamknął oczy, przez chwilę rytmicznie kołysał ciałem, a następnie zaśpiewał pełnym, czystym głosem:

*Ostatni będą pierwszymi,
Pierwsi zaś ostatnimi,
Tak Pismo Święte uczy nas.
Choć ojciec i matka wszystko dadzą ci,
Pracować ciężko musisz aż po kres swych dni.*

Skłonił się nisko.

– Może tak choć trochę entuzjazmu? Choć odrobinę aplauzu?

Podniosła ręce do oklasków, ale kajdanki wpiły się boleśnie w nadgarstki, uniemożliwiając jakikolwiek ruch.

– Jimmy, zdejmij mi je, proszę. Bez nich będzie znacznie lepiej.

– Lepiej? Dla kogo lepiej? A raczej komu?

Złapał ją za łączący kajdanki łańcuch, powłókł za sobą do sąsiedniego niewielkiego pokoju, rzucił na łóżko, unieruchomił ręce za głowę, przekładając łańcuch za mosiężne pręty.

– Wiesz co, mała Mary? Postanowiłem zrobić prezent twojej matce. Mówisz, że ona jest psychiatrą, że pomaga ludziom, którzy mają problemy. Ludziom takim jak ja, z psychozami i neurozami. Dam jej małą zagadkę do rozwiązania. Właściwie sprowadza się do jednego słowa:

dlaczego. Dlaczego robię to, co robię, i dlaczego robię to właśnie tobie?

W pokoju rozległ się nowy dźwięk. Był to odgłos, jaki wydaje osaczone zwierzę, na przykład królik, na widok łasicy przeciskającej się do środka przez wejście do nory. Sparaliżowany strachem, z błędnym spojrzeniem. Łasica obnaża ostre zęby i na królika spływa ciemność. Powoli.

Rozdział 4

Dzwonek telefonu rozbrzmiewał natarczywie w pustym domu. Margaret wsłuchiwała się w jego dźwięk, ale nie ruszyła się z miejsca. Wcześniej telefon dzwonił już dwukrotnie, za każdym razem jednak, kiedy podnosiła słuchawkę, nikt się nie odzywał. Teraz została więc na podłodze w pokoju Mary, z kilkoma parami kolorowych body na kolanach. Mary zostawiła je porozrzucane na podłodze, kiedy tamtego wieczoru wybiegała z domu. „Nie chcę się spóźnić, posprzątam później!” – zawołała przez ramię, złapała torbę i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Margaret zgarnęła czerwone, fioletowe, błękitne i zielone szmatki. Zupełnie jak kwiaty, które Persefona zbierała tego dnia, kiedy Hades porwał ją do Królestwa Podziemi. Sześć miesięcy minęło, zanim Demeter ponownie ją ujrzała. Sześć miesięcy każdego roku, kiedy świat oplakuje zniknięcie jej córki.

Cztery dni od zaginięcia Mary. Margaret ukryła twarz w bieliźnie, wciągnęła głęboko w płuca znajomy zapach córki. Ile czasu minie, zanim zapach się rozwieje, zanim znikną ostatnie ślady? Osunęła się na wyświechtany dywan, zwinięta w kłębek. Telefon umilkł, w domu znowu zapadła cisza.

Jej życie toczyło się teraz zupełnie innym rytmem. Czas płynął w całkowicie odmienny sposób, wyznaczany cyklem zmian na posterunku policji. Dzwoniła tam raz na osiem godzin. Między szóstą rano a drugą po południu. Między drugą po południu a dziesiątą wieczorem. Między dziesiątą wieczorem a szóstą rano. Oszukiwała samą siebie, wynajdowała różne preteksty, żeby opóźnić sięgnięcie po słuchawkę. Najpierw zrobię sobie herbatę. Najpierw przeczytam gazetę. Najpierw sprawdzę, czy mama wzięła lekarstwa. Jadała niewiele i o przypadkowych porach. Na jej dietę składały się niemal wyłącznie kawa, chleb i ser. Sypiała rzadko i krótko, długość snu można było liczyć nie w godzinach, lecz minutach, nigdy w łóżku, czasem przy kuchennym stole albo na ławce w ogrodzie. Raz zasnęła nawet w bujanym fotelu w pokoju matki. Na zewnątrz świeciło słońce, doskonale okrągła ognista kula na niebie równie błękitnym jak chabrowe morze w dole. Na niewielkiej plaży w Seapoint było bardzo tłoczno. Od strony stacji przed oknami jej domu paradowały matki i dzieci, przyjaciele i kochankowie, niekończąca się, różnobarwna karawana szczęśliwości. Stała przy furtce i patrzyła na nich, sunących na wyciągnięcie ręki od niej, a jednocześnie odległych o milion lat świetlnych od wszechświata, w którym teraz żyła.

Wokół niej toczyło się domowe życie, napiętnowane chorobą matki. Miała raka. Wykryto go przed ośmiu laty i natychmiast zastosowano intensywne leczenie. Po sześciu miesiącach chemioterapii przeprowadzono mastektomię. Teraz rak powrócił, tym razem atakując kręgosłup. Przy pierwszym ataku choroby wystarczył list, przy drugim sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Leżała w łóżku, dwadzieścia tysięcy kilometrów stąd, słuchała szlochów Catherine i myślała

o tym, że pora wracać. Choćby po to, żeby pożegnać się jak należy, by odegnąć złe duchy.

Ponownie przycisnęła policzek do podłogi. Zamknęła oczy. Wyraźnie wyczuwała drgania dobiegające z pomieszczeń na parterze: odkurzacz wędrujący niestrudzenie po spłowiałych dywanach wprawiał w drżenie nawet tubki i słoiczki z kosmetykami na toalecie Mary. Nellie przysła już do pracy. Biedna stara Nellie, jak mawiała Catherine, nie zdając sobie sprawy, że Nellie, która sprzątała u nich od wielu lat, jest od niej młodsza i zdrowsza. Rozległ się zdecydowany dzwonek do drzwi. Uniosła lekko głowę, po czym znowu ją położyła. Znajomy szmer głosu ulubionego lekarza Catherine, najmłodszego nabytku miejscowej służby zdrowia. Przychodził codziennie, czasem z kwiatami lub czekoladkami. Flirtował, reagował na kokieteryjne spojrzenia rzucane zza przerzedzonych rzęs, udawał, że nie widzi rozmazanej szminki i grubej warstwy pudru. Kto jeszcze mógł się zjawić w taki piękny poranek? Może ojciec Lonergan ze swoim miłosiernym uśmiechem, rękami o długich zadbanych palcach. Albo któryś z sąsiadów pamiętających jeszcze czasy, kiedy Catherine, w ręcznie robionych pantoflach i szytych na miarę kostiumach, była najlepiej ubraną kobietą w całej parafii.

Przewróciła się na wznak i mocno przycisnęła do piersi zmiętą kolorową bieliznę. Promienie słońca przesuwają się z wolna po pokoju. Zupełnie jak wtedy, kiedy była dzieckiem. Z tyłu domu, tuż przy oknie sypialni, rośnie jabłoń. Wiele razy wychodziła przez okno, złaźła po artretycznie powykręcanych gałęziach i zeskakiwała na trawnik. Mary też to zrobiła wkrótce po ich przyjeździe – rzekomo po to, by sprawdzić, czy opowieści matki były prawdziwe. Człowieku małej wiary, żartowała z niej Margaret, stojąc na trawniku i patrząc w górę. Uważaj. Nie rób sobie krzywdy. Ale Mary była lekka i zwinna, zupełnie jak ona w dzieciństwie, wylądowała na palcach na poprzerastanej mchem trawie, ominęła jej wyciągnięte ramiona i kilkoma doskonale odmierzonymi baletowymi krokami dotarła na taras, na którym siedziała Catherine z dużą szklanką ginu z tonikiem.

Powoli podniosła się do pozycji siedzącej. Tuż obok stał drewniany regał z książkami. Przechyliła głowę i zaczęła odczytywać tytuły. Jej stare podręczniki akademickie. Vander, Sherman, *Fizjologia człowieka* Luciano, *Medycyna* Davidsona, *Anatomia* Graya. Jak zgłębić tajemnice ludzkiego serca? – zastanawiała się, wyjmując je kolejno i przerzucając poźółkłe strony. Marginesy udekorowane jej notatkami sporządzonymi zaskakująco dziecinnym charakterem pisma. Podkreślone akapity. Zakładka z fragmentu sztywnej paczki papierosów, a na nim dużymi drukowanymi literami: KOCHAM CIĘ. Czarny atrament zdążył już nieco wyblaknąć.

A potem popłynęły łzy, najpierw głębokimi bruzdami po obu stronach nosa, przez jakiś czas gromadziły się w kącikach ust, wreszcie zaczęły kapać na ręce. Bezgłośnie. Ale towarzyszył im donośny, natarczywy dźwięk. Dzwonek telefonu. Nie była w stanie go zignorować. Podniosła się z podłogi, starannie złożyła kartonik na pół, schowała do kieszeni. Ocierając twarz wierzchem

ręki, zeszła do holu. Podniosła słuchawkę. Przyłożyła ją do ucha. Tuż obok duży stojący zegar oznajmił nadejście południa.

– Halo? Cisza.

– Halo?

Znowu cisza. A potem ledwo słyszalny szmer oddechu.

– Proszę coś powiedzieć!

Zupełnie inny odgłos, wyraźny, czysty. Gwizdana melodia. Przez chwilę nie potrafiła jej zidentyfikować, nie wiedziała, co się dzieje. Co to znaczy? Co to jest? A potem, z najgłębszych pokładów pamięci, dobiegł głos wzywającego ją ojca.

Posłuchaj tego, Maggie. Moja matka, a twoja babka, uwielbiała tę płytę. Posłuchaj. Ręce ostrożnie wysuwają twarde czarny dysk z papierowej koperty. Ostrożnie, Maggie. Jeśli ją upuścisz, rozleci się na kawałki. Ostrożnie. Delikatnie opuść igłę.

A teraz w słuchawce ta sama melodia.

*Niesiemy naręcza wonne kwiatów przecudnych,
Z lasów, pól, ogrodów i łąk kwieciem ludnych,
Śpiewem z głębi serc naszych wychwalamy ciebie,
Królowo Maja nasza, śliczna jak ptak na niebie.
Bukiety te pachnące w darze ci składamy,
Królowo Maja piękna, aniele zaranny.*

Melodia ucichła. Ponownie zapadła cisza. Lodowaty chłód rozlał się błyskawicznie po jej ciele. Nogi się ugięły, pot wystąpił na dłoniach i podeszwach stóp, włoski zjeżyły się na karku. Chwilę później w sercu wybuchnął świdrujący ból, osunęła się na podłogę i zaczęła walić w nią głową, raz po raz, raz po raz, aż wreszcie już tylko to pamiętała.

Rozdział 5

Poprosiła go, żeby zadzwonił do jej matki, więc to zrobił. Tak po prostu. Pojechał do miasta. Znalazł wolną budkę telefoniczną. Wrzucił monetę. Wystukał numer. I już. Początkowo nie odzywał się ani słowem, tylko stał i słuchał. Spodobał mu się jej głos. Zabawna mieszanka akcentów. Coś jakby południowy Dublin, tyle że samogłoski trochę inne. Takie jak u córki. Szerokie, trochę rozlane – jeśli można opisać je w ten sposób.

Nigdy czegoś takiego nie robił. No, może nie nigdy, ale na pewno od dzieciństwa. Wtedy wybierał nazwiska na chybił trafił z książki telefonicznej, więc nie potrafił sobie dokładnie wyobrazić, jak wyglądają, kiedy podnoszą słuchawkę i zaczynają się bać. Tym razem zabrał ze sobą albumik fotograficzny Mary i otworzył go na tym zdjęciu jej matki, które najbardziej przypadło mu do gustu. Margaret. Siedziała na plaży, w bikini, pochylona do przodu, nalewała herbatę z butelki. Jedna mała pierś nieomal wysunęła się z miseczki biustonosza. Przesunął palcem po fotografii. Kiedyś dotknie nie pokrytej emulsją powierzchni zdjęcia, ale prawdziwego ciała.

Kusiło go, żeby zabrać ze sobą Mary. Może nawet oddałby jej na chwilę słuchawkę. Może namówiłaby Margaret, żeby do nich przyjechała. Rozsądek jednak zwyciężył. Zbyt trudne, zbyt niebezpieczne. Lepiej załatwić to w ten sposób. Zostawił Mary przykutą do żelaznego kółka w murze. Przysięgała, że nie będzie krzyczeć ani wzywać pomocy, ale nie uwierzył. Zalepił jej usta szeroką taśmą klejącą. Rozpłakała się, kiedy skończył. Głupia dziewczucha. Powinna była już się zorientować, że łyzy nie robią na nim wrażenia. Najmniejszego.

Najlepiej było za trzecim razem. Wiedział, że będzie dobrze, lecz nie spodziewał się, że aż tak. Stał w budce przy O'Connell Bridge, na południowym brzegu rzeki, tam gdzie Westmoreland Street skręca i łączy się z Aston Quay. Było tak gorąco, że guma do zucia rozpuszczała się na chodniku. Dokoła przewalały się tłumy ludzi. Turyści w idiotycznych strojach, obszernych bermudach i luźnych koszulach w palmy i błękitne fale. Gromadka hiszpańskich studentów pokrzykujących jak papugi, stłoczona wokół straganów z tanimi płytami kompaktowymi i pamiątkami. Dwoje policjantów przy przejściu dla pieszych: on wysoki i postawny, kołysał się na piętach, ręce w kieszeniach, rękawy podwinięte do połowy opalonych ramion. Ona drobniutka, z jasnymi włosami wepchniętymi pod czapkę. Zadzieriała do niego głowę, uśmiechała się, rozmawiała wesoło, prawie flirtowała. W pewnej chwili zagadnął ją jakiś turysta, odwróciła się więc, by spojrzeć na mapę, którą podsunął jej prawie pod nos.

Jakiś stary człowiek oparł się o ścianę budki. Miał długie siwe włosy z żółtymi nikotynowymi pasmami. Bardzo brudne. Ubrany był w ciemny płaszcz, stanowczo zbyt ciepły jak na taką pogodę. W lustrze, w które zamieniła się szklana ściana budki telefonicznej, Jimmy zobaczył swoje uśmiechnięte odbicie z bardzo białymi zębami. Wyglądał zupełnie jak na zdjęciu,

które matka oprawiła w ramki i powiesiła w holu. Z bierzmowania. Czerwona kokardka, szary garnitur i uśmiech, którego mogliby zazdrościć mu aniołowie. Tak mówiła. Ponownie skierował wzrok na automat, zaczekał jeszcze trochę, a potem zaczął gwizdać. Ogarnęło go niesłychane podniecenie. Jeszcze nigdy w życiu nie zaznał podobnej rozkoszy. Cały aż płonął. Wydawało mu się niemożliwe, żeby nikt tego nie zauważył.

To była ulubiona melodia jej matki. Cieszyła się jak dziecko, kiedy pierwszego maja nadawano ją w *The Gay Byrne Show*. Potem przez wiele dni podśpiewywała ją półgłosem, okropnie fałszując i przekręcając słowa. Nie znosił tej piosenki. Do dzisiaj.

Kiedy wreszcie skończył i odłożył słuchawkę, wyruszył na przechadzkę aż do Grafton Street, rozglądając się za ładnymi dziewczętami. W pewnej chwili zobaczył ją. Mary. Ściana ustawiona z telewizorów w witrynie sklepu Sony. Zatrzymał się, wpatrzony w twarz na ekranach. Jakaś kobieta jedząca jabłko zasłoniła mu widok. Słyszał chrzęst dochodzący z jej ust, widział kropelki soku ściekające po brodzie. Czekał, aż się przesunie, ale ona nawet nie drgnęła, wszedł więc do sklepu. Nadawano wiadomości. Informacja o zaginięciu. Ostatni raz widziano ją cztery dni temu. Krótka rozmowa z matką, w ogrodzie, na tle różanych krzewów. Kobieta ubrana w zwykłą białą bawełnianą bluzkę i dzinsy. Patrzyła prosto w kamerę. Patrzyła prosto na niego. Proszę, mówiła, proszę, jeśli ktokolwiek wie, gdzie jest moja córka. Niech zawiadomi policję, niech zawiadomi mnie. Odgarnęła włosy z czoła – ciemnobrązowe, proste, lśniące. Zbliżył twarz do ekranu. Znikła, rozplynęła się w jasnych i ciemnych liniach. Cofnął się o krok i znowu się pojawiła. Wspaniała, piękna, jego.

Rozdział 6

Czarny byk zahamował gwałtownie i zawrócił. Grzbiet miał śliski od lśniącej czerwieni, krew kapłała również z szeroko rozwartych nozdrzy. Matador czekał na niego bez ruchu, z ciałem wygiętym w łuk i czerwoną kapą trzymaną sztywno u boku. Byk zaatakował z pochylonym łbem. Matador odskoczył, opuścił kapę. Byk był coraz bliżej. Matador padł twarzą na arenę. Tłum ryczał. Dwaj mężczyźni wybiegli przed byka, by odwrócić jego uwagę od małej postaci w obcisłym żółto-niebieskim stroju, leżącej byle jak, nieelegancko, na ziemi. Ciężko poranione zwierzę potruchało dalej, sterczące z jego grzbietu banderille spowalniały i utrudniały mu ruchy. Byk chwiał się i potykał, opuszczał łeb coraz niżej.

Margaret patrzyła, choć wcale nie miała na to ochoty. Pragnęła, żeby byk zaatakował, rozprawił się ze swym ciemńyzycielem, nadział go na zakrzywione rogi, rzucił wysoko w powietrze, utoczył z niego krew. Ale przy młodym mężczyźnie klęczał już lekarz i wyjaśniał po francusku – zbyt szybko, żeby mogła zrozumieć – jakich doznał obrażeń. Wstała z wysiłkiem z twardego krzesła, na którym się skuliła, sięgnęła na najwyższą półkę szafki, postawiła na stoliku butelkę whisky i szklankę. W pokoju panowała ciemność rozjaśniana jedynie nieznacznie migotaniem ekranu niewielkiego telewizora. Do świtu siódmego dnia zostało jeszcze sporo czasu.

Znowu zadzwonił. Wczoraj wieczorem, akurat kiedy były dzwony na Anioł Pański. Nie odezwał się ani słowem, ale ona i tak się domyśliła, że to on. Zawiadomiła posterunek policji w Dun Laoghaire. Wysłali funkcjonariusza, żeby z nią o tym porozmawiał. Młody człowiek, ciemnowłosa, uprzejmy. Stał obok niej na progu ze wzrokiem utkwionym w latarni morskiej Kish na horyzoncie. Zapisał wszystko w służbowym notesie starannym, czytelnym charakterem pisma. Poprosił o zgodę na założenie podsłuchu.

– Czemu nie? – odparła. – Chociaż wątpię, czy zadzwoni z miejsca, którego zlokalizowanie mogłoby nam w czymś pomóc.

– Tak pani sądzi?

– A pan nie?

Wzruszył ramionami i spojrzał na zegarek.

– Na razie nie wiemy nawet, czy osoba, która do pani dzwoni, ma cokolwiek wspólnego ze zniknięciem pani córki. Są ludzie gotowi zrobić coś takiego dla kawału. To mogły być dzieciaki albo ktokolwiek.

– Skąd dzieciaki miałyby mój numer telefonu?

– Obiecuję, że weźmiemy dom pod obserwację. Patrol będzie tędy przejeżdżał co godzinę, a w razie potrzeby zjawimy się w ciągu paru minut.

Otworzyła butelkę i wlała żółty płyn do szklanki. Wypiła, nalała ponownie. Następnie

schyliła się i ze stosu na podłodze wzięła ciężką książkę w czarnych tłoczonych okładkach, które miały udawać krokodylą skórę. FOTOGRAFIE głośił napis ułożony ze złocistych liter. Kurz z okładki natychmiast oblepił palce. Znalazła te albumy pod biurkiem ojca, wciśnięte w kącie przy oknie w pokoju, gdzie kiedyś znajdował się jego gabinet, naprzeciwko pokoju zajmowanego teraz przez matkę.

Pamiętała jego kościste uda i kolana. Albumy rozłożone na błyszczącym blacie biurka.

– To jest moja matka, czyli twoja babcia, to mój ojciec, czyli twój dziadek, a to są wujek Peter i ciotka Bridie.

Zadbany palec z przebarwionym na żółto paznokciem wędrował po twarzach rodziny. Kto był kim, co było czym. Duże domy obrośnięte winoroślą. Konie o lśniącej sierści trzymane za uzdy przez małych chłopców w płaskich czapkach i butach z wysokimi cholewami.

– A tutaj ty jesteś, tatusiu. Z mamusią.

– Zgadza się, moja mała Maggie. A co robimy?

– Bierzecie ślub.

– Tak jest. Byliśmy wtedy bardzo, bardzo szczęśliwi. Stoją razem przed kościołem. Matka w długiej białej sukni z dekoltem obrębionym koronkowymi różyczkami i obfitym koronkowym trenem, ojciec w szarym fraku z cylindrem w ręce. Uśmiechnięty szeroko obok swojej młodej żony. A potem jej ulubione zdjęcie.

– Gdzie to jest, tatusiu?

– Przecież wiesz.

– To był wasz miesiąc miodowy, prawda?

– Zgadza się, maleńka.

– A to ta wieża, co się tak dziwnie nazywa, prawda? Szkoda, że mnie tam nie było. Dlaczego mnie tam nie zabraliście?

Jego śmiech rozchodzi się cudownym drżeniem po jej ciele, rozgrzewa ją.

– Nie mogliśmy cię zabrać, cukiereczku, wtedy jeszcze nawet o tobie nie myśleliśmy.

– Nie myśleliście? Dlaczego?

Teraz patrzyła na tę samą fotografię. Ojciec stał pośrodku łuku pod gigantycznymi stalowymi nogami wieży, w kremowej lnianej marynarce i w kapeluszu zsuniętym na tył głowy. Ręce wepchnął w kieszenie i śmiał się szeroko.

Powoli przewracała sztywne czarne karty, z zastanowieniem przyglądała się twarzom, patrzyła w odbicie własnej. Od czasu do czasu spoglądała na nią również twarz Mary. Nie w całości, nie wyraźnie, drobny ślad tutaj, nieznaczną sugestią podobieństwa gdzie indziej. Grymas ust, zarys szczęki, sylwetka, utrwalony na fotografii gest.

Dolała sobie whisky, sięgnęła po pilota i zaczęła przeskakiwać z kanału na kanał. Stacje transmitowane przez satelitę wciąż nadawały. Zdesperowane dzieci w punkcie rozdawania

pomocy żywnościowej gdzieś w Afryce. Patrzyła przez kilka minut, alkohol uspokajał, koił, wyciszał płacz i krzyki. Potem wzięła do rąk kolejny album. Zdjęcia dziecka, wciąż tego samego. Trzymanego sztywno przez matkę. Siedzącego w krzeselku i wymachującego srebrną łyżeczką. Prezentującego w uśmiechu szeroką szczelinę między przednimi zębami. Jeżdżące na pierwszym rowerku i na kucyku. W kostiumie kąpielowym, z długimi chudymi nogami, kościstymi kolanami i włosami związanymi w kitki. Aniołek podczas pierwszej komunii i bierzmowania. Coraz więcej triumfów i sukcesów. Puchary, nagrody, świadectwa z wyróżnieniem. A potem nic.

Pospiesznie odwracała karty. Wszystkie puste, poznaczone kwadratami i prostokątami w miejscach, gdzie kiedyś były zdjęcia, następnie oderwane od czarnego matowego papieru. Wstała powoli, ze szklanką w ręce przeszła przez kuchnię, po ciemku wspięła się po drewnianych schodach, otworzyła drzwi, włączyła światło. Kiedyś fotografie wisiały tu na ścianach, stały na okapie kominka. Koniec roku akademickiego w Trinity College. Szkic, który dostała od niego na szesnaste urodziny. Pierwsza podróż do Grecji, przed Akropolem w długiej białej sukience. Uwielbiał to zdjęcie. Znacznie mniejszą odbitkę nosił zawsze w portfelu. To powiększenie zrobiła w tajemnicy przed nim, oprawiła i dała mu w prezencie gwiazdkowym.

Staneła na środku pokoju i rozejrzała się dookoła. Nellie powkładała jego książki i papiery do pudeł po herbacie stojących teraz przy ścianie. Uklękła, zaczęła w nich grzebać. Krawędź aluminiowej folii, którą były pokryte od wewnątrz, zadrapała ją tuż nad łokciem, ale nie zwracała na to uwagi. Wyciągała pliki jakichś dokumentów, luźne kartki, notesy, stare kalendarze. Wreszcie usiadła na piętach z zeszytowanymi kolanami i brudnymi rękami, a następnie wstała i wyszła z pokoju. Otworzyła drzwi frontowe. Powietrze na zewnątrz było wciąż ciepłe, przesiąknięte ciężką wonią słonej wody i mułu. Odpyływ. Oparła się o balustradę i pociągnęła spory łyk ze szklanki. Wąską ulicą powoli przejechał duży ciemny samochód. Śledziła wzrokiem jego tylne czerwone światła aż do końca zaułka. Zatrzymał się, zawrócił. Ponownie przejechał obok jej domu. Nie była w stanie dostrzec, ile osób jest w środku. Policja, pomyślała. Samochód przyhamował na chwilę i zaraz ruszył. Odprowadziła go spojrzeniem aż do zakrętu, a nawet dalej, do głównej ulicy. Następnie wróciła do domu i zamknęła drzwi.

Rozdział 7

Pies zaskomlał. Ziając ciężko, szarpał się na przetartej rzemiennej smyczy. Była niedziela, 13 sierpnia. Ósmy dzień. Siódma trzydzieści rano. Chłodniej niż wczoraj i przedwczoraj, ale mimo wczesnej godziny promienie słońca przedzierały się już bez większego trudu przez liście drzew. W powietrzu unosił się miodowy zapach.

Pies szarpnął ponownie, węsząc zawzięcie w kępach wysokiej trawy rosnącej po obu stronach ścieżki nad kanałem. Nagle stanął jak wryty z opuszczoną głową i wyprostowanym ogonem. Towarzyszący mu starszy mężczyzna oparł się na lasce, schylił się powoli, usiłując nie zważać na skrzywienie stawów, po czym odpiął smycz od metalowego kółka przy obroży. Pies przesunął długim ciepłym jęzorem po wykrzywionych przez artretyzm stawach i popędził naprzód. Porośnięty długą strzępiastą sierścią ogon poruszał się niczym wiosło.

Mężczyzna powoli podążył za nim. Co kilka kroków przystawał, mamrotał coś pod nosem, wtykał laskę a to w stertę starych puszek po piwie, a to w oblepiony owocami krzew jeżyn. Nad mętną wodą w kanale śmigały jaskrawo kolorowe ważki.

Pies ponownie zatrzymał się jakieś pięć metrów z przodu. Jego szczupłym, porośniętym krótką lśniąca sierścią ciałem wstrząsały dreszcze podniecenia. Przesępował z łapy na łapę, popiskiwał, po chwili zaczął nerwowo biegać wzdłuż brzegu. Stary człowiek dotarł wreszcie do niego. W prawej ręce trzymał spory kij. Pokazał go psu, zamachnął się i rzucił kij do wody. Pies zaszczekał, odbił się mocno i skoczył do kanału. Zanużył się na chwilę, zaraz jednak wypłynął na powierzchnię, dziarsko przebierając łapami.

– Jude, aport! – zawołał mężczyzna, a następnie zagwizdał głośno. – Tutaj, piesku!

Pies dopłynął do gałęzi, chwycił ją w pysk, odsłaniając nie tylko zęby, ale również dziąsła, zawrócił i począł płynąć w kierunku pana.

– Dobry, dzielny pies!

Chwilę potem pies skręcił nagle i zniknął za pniem rosnącego tuż nad brzegiem jesionu. Później mężczyzna miał problemy z przypomnieniem sobie, kiedy dokładnie się zorientował, co zawiera plastikowy worek, który Jude znalazł, zaczął szarpać, a wreszcie rozpruł. W każdym razie, po kilkakrotnym odgwizdaniu, pies wreszcie wyszedł z wody, otrzepał się i podbiegł truchtem do pana. Mężczyzna zauważył, że coś utkwiło mu między zębami. Schylił się, otworzył pysk i zaczął wyciągać zaplątane wokół kłów długie czarne włókna, i chyba właśnie wtedy spojrzął w płytką wodę przy brzegu, zobaczył, co w niej leży, i rzucił się do nieporadnej ucieczki, wzywając pomocy, pies zaś ujadął donośnie i skakał wokół niego, usiłując chwycić go zębami za marynarkę i polizać po twarzy.

Rozdział 8

Postanowiła wystroić się na tę okazję, zrezygnować z dżinsów i bawełnianej bluzeczki, które ostatnio stały się niemal czymś w rodzaju jej mundurku. Włoży ulubioną kremową sukienkę z lnu, którą wybierała razem z Mary. Do tego korale, prezent od Mary na czterdzieste urodziny. Uczesze się, umaluje. Zrobi wszystko jak trzeba.

Przyjechało ich dwóch, tuż po jedenastej rano. Właśnie pomagała Catherine wziąć kąpiel, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Zbiegła z ręcznikiem na dół, w koszuli zachlapanej wodą. „Inspektor Michael McLoughlin”, przedstawił się starszy mężczyzna. Podał jej rękę, lecz ona jej nie uścisnęła. Stała w słońcu, mokre plamy schły na jej koszuli, słuchała, co ci dwaj do niej mówią, ale ich nie słyszała. Weszli do środka, młodszy mężczyzna wyjął jej ręcznik z rąk, zamknął drzwi, powiesił ręcznik na balustradzie.

– Nie tutaj – powiedziała. – Proszę powiesić go na sznurku w ogrodzie. Tam.

Wskazała na schodki wiodące do kuchni i tylnego wyjścia.

– Zaczekamy – oświadczył inspektor McLoughlin. – Proszę się nie spieszyć.

Usiadł na krześle przy aparacie telefonicznym, wyjął z kieszeni gazetę, rozłożył ją i pograżył się w lekturze.

Przykryte zielonym chirurgicznym prześcieradłem ciało leżało na metalowym stole z kółkami. W drodze do kostnicy przy Store Street prawie się do niej nie odzywali. Za kierownicą nieoznakowanego samochodu siedział młodszy z nich – chyba nazywał się Finney. Prowadził szybko, za szybko, wyprzedzając wszystko, co pojawiło się przed nimi, i przemykając przez skrzyżowania przy pomarańczowym świetle. Musiała mocno zaprzeć się stopami w podłogę, żeby nie rzuciło nią w prawo i w lewo na tylnym siedzeniu. Tuż obok jej głowy kołysał się odświeżacz powietrza w kształcie zielonej choinki, wybijając nierówny rytm o boczną szybę. Jakby ktoś stukał ołówkiem w zeszyt, pomyślała. Ulubione kolorowe ołówki Mary, lakelandy. W pięknym blaszanym pudełku. Klękała na krześle przy kuchennym stole i rysowała starannie, z przejęciem. Przesadne zygzaki bożonarodzeniowej choinki. Potem kolorowanie, mała rączka ściska zieloną kredkę, stara się utrzymać ją w granicach zarysu drzewka, zaostroszony koniec przebija cienki papier. Na zewnątrz – upalne Boże Narodzenie na południowej półkuli. W domu – drzewko udekorowane sztucznym śniegiem z waty, przyprószone mąką. Cofnęła się i przykucnęła, podziwiając swoje dzieło. Puk, puk, puk po kartce. Spójrz, mamusiu, jak ładnie namalowałam!

Wolałaby, żeby tak nie pędził. Chciała rozkoszować się ostatnimi minutami niewiedzy. Na razie nic przecież jeszcze się nie stało. Po prostu jechała samochodem w upalną sierpniową niedzielę, tak jak mnóstwo innych ludzi. Kierowca skręcił z Pearse Street w Townsend Street, ani razu nie zatrzymało ich czerwone światło, przejechali nad połyskującą żółtawo rzeką i zatrzymali

się przed małym, nierzucającym się w oczy ceglanym budynkiem, skrytym w cieniu dworca autobusowego.

Stała obok metalowego stołu na kółkach. Starszy policjant, McLoughlin, mówił do niej. Pracownik kostnicy uniesie prześcieradło, on zaś poprosi, żeby spojrzała na ciało i powiedziała, czy je rozpoznaje. Będzie musiała powiedzieć to głośno i wyraźnie. „Bo takie są przepisy, sama pani rozumie”. Skinęła głową. Wiedziała o tym wszystkim. Wiele lat temu, jeszcze jako studentka, pracowała latem w tej kostnicy. Sprzątała, pomagała, czasem nawet kogoś zastępowała. Lubiła to zajęcie. Jedyne problem stanowiła woń formaldehydu wnikająca w każdy zakamarek ciała, we włosy, w ubranie i bieliznę. Oraz inne zapachy, nie tyle rzeczywiste, ile wypełniające najbardziej mroczne zakamarki świadomości. Rozglądała się dookoła, patrzyła na wyłożoną kafelkami posadzkę, na emaliowane zlewozmywaki. Wszystkie powierzchnie były twarde i błyszczące. Stal nierdzewna, terakota, szkło, emalia. Miękkie były tylko zwłoki, takie jak te na stole, nieruchome, oczekujące.

McLoughlin odchrząknął. Finney stał dwa kroki za nim, uśmiechał się do niej. Odgarnął z czoła kędzior czarnych włosów.

– Jeśli można, doktor Mitchell...

Podeszła jeszcze bliżej, wbiła mocno stopy w podłogę, rozprostowała dłonie – odkąd tu weszła, miała je zaciśnięte w pięści – przyglądała sukienkę. Skinęła głową.

Na długo utkwіło jej w pamięci, że w pierwszej chwili poczuła ogromną ulgę. To nie mogła być Mary. Mary miała bujne, kręcone, lśniąco czarne włosy. Włosy, które żyły własnym życiem, nie uznawały grzebieni, szczotek, spinek ani gumek. Włosy wzburzone jak spieniona woda, zawsze potrafiące jakoś się wymknąć. Nie takie jak te, rzadkie, wystrzyżone, odsłaniające tu i tam białą skórę na czaszce. Jak włosy starej nikomu niepotrzebnej lalki, ciśniętej byle jak do szuflady. Dotknęła ich ręką i w tej samej chwili, nie wiadomo skąd, wysunęło się czarne poskręcane pasemko i owinęło się jej wokół palca. Zupełnie jak pędy pachnącego groszku, który ojciec siał co roku – sprężyste, wytrzymałe, dzielnie walczące z wiatrami i burzami. Zaraz potem ogarnął ją wstyd, że jej od razu nie poznała. Mimo podbitych oczu i posiniaczonych policzków. Mimo trójkątnej rany na czole, tam gdzie zahaczyły ją psie zęby. Mimo opuchniętych warg i zdeformowanego nosa.

– Czy rozpoznaje pani tę osobę? – zapytał McLoughlin. Później wydawało jej się, że odpowiedziała spokojnie i z opanowaniem, tak jak należało. Nie pamiętała, jak było naprawdę. Nie pamiętała, że zaczęła szlochać i wykrzykiwać, żeby stąd natychmiast wyszli, żeby zostawili ją samą. McLoughlin odwrócił się bez słów do dwóch pozostałych mężczyzn, położył palec na ustach, tłumiąc w zarodku protesty, i razem z nimi wycofał się na korytarz.

Obserwowali ją przez okrągłe okienko w drzwiach. Obeszła pomieszczenie dookoła. Otworzyła i zamknęła kolejno wszystkie szuflady. Przeczytała treść naklejek na stojach

z odczynnikami. Starannie poustawiała słoje na półkach według rozmiarów. Otworzyła sterylizator ze stali nierdzewnej, sprawdziła jego zawartość, zamknęła. Uważnie obejrzała wszystkie zdjęcia rentgenowskie leżące na stole, podnosząc każde pod światło i wpatrując się w widmowe wizerunki tych, którzy wcześniej przewinęli się przez to pomieszczenie. Znowu wędrowała od ściany do ściany, starannie stawiając stopy na przemian na białych i czarnych płytkach. Poruszała ustami, lecz nie usłyszeli ani słowa. Zdjęła szal, rzuciła go na podłogę, gdzie znieruchomiał jak szkarłatna plama. Usiadła, oparła się plecami o ścianę, kołysała się przez chwilę, wstała, wyjęła z kieszeni piękną różę, przysunęła do nosa. Podeszła do stołu. Gwałtownym ruchem ściągnęła prześcieradło ze zwłok. Stojący obok McLoughlina Finney gwałtownie nabrał powietrza i ruszył do drzwi, ale McLoughlin położył mu rękę na ramieniu i pokręcił głową. Oparła ręce po obu stronach głowy, stała tak przez jakiś czas, potem przeszła wzdłuż stołu, przesuając rękami po zmasakrowanym ciele pokrytym zielonymi, fioletowymi, brązowymi i czarnymi sińcami. Schyliła się, pocałowała kolejno wszystkie zeszywniałe palce, próbowała wpleść między nie własne. Następnie pochyliła się, pocałowała córkę w usta, położyła jej różę na piersi i odwróciła się po raz ostatni.

Rozdział 9

A więc tak się wszystko zaczyna, myślał McLoughlin. Kamień wpada do górskiego jeziora, po powierzchni wody rozchodzą się koncentryczne kręgi. Rozlega się huk wystrzału i stado wron podrywa się z wrzaskiem do lotu. Po drugiej stronie oceanu motyl porusza skrzydełkami i wezbrane fale przyptywu z rykiem wdzierają się w głąb lądu. Ktoś morduje dziewczynę i w mieście odżywają dawny gniew i podejrzenia.

Stał przy kuchennym oknie swego domu wysoko na zboczu gór otaczających Dublin i obserwował, jak naturalny blask słońca ustępuje miejsca sztucznej łunie tysięcy pomarańczowych, żółtych i białych świateł. Gdzieś tam, w dole, ukrywały się odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania. Kto i dlaczego, jak i gdzie – podstawowe wyznaczniki każdego śledztwa. Na początku często stawał właśnie w tym miejscu, ze szklaneczką w dłoni, próbował posegregować posiadane informacje, potem zaś pozwalał wyobraźni na swobodną wędrówkę, w nadziei, że jej pełgający płomyk dotrze do najdalszych zakątków, spowitych do tej pory mrokiem i ukrytych za pajęczynami niewiedzy.

To najlepsza pora, myślał, obserwując, jak zmierzch przeistacza się w noc. Wzniósł toast do swego odbicia w lustrze. Czas oczekiwania, podniecenia, nadziei. Jeszcze nie zapadły żadne decyzje, jeszcze nie popełniono żadnych błędów. Wszystko było dopiero przed nim.

Odwrócił się od okna i wrócił do wieczornych obowiązków. Zrobił sobie kolację. Przyrządził coś niewymyślnego, w taki sposób, w jaki robił to jego ojciec. Otworzył lodówkę, wyjął zapakowany w folię kawałek mięsa. Kupiony wczoraj stek. Pojechał do miasta, żeby się ostrzyć, potem zaś, z igiełkami włosów za kołnierzem, włóczył się przez jakiś czas po Grafton Street, zapuszczał się w boczne uliczki, kupował to i owo do jedzenia. Stek, świeże ziemniaki, kapustę, maliny. Maliny zjadł w drodze powrotnej do domu. Same konkretne, dobre rzeczy, nie żadne nowomodne wymysły, myślał, wykładając zakupy na kuchenny blat i wrzucając kapustę do zlewozmywaka.

Z treści kartki zostawionej na stole w dużym pokoju wynikało, że Janey wróci dopiero późnym wieczorem. Co to dzisiaj było? Dokonał w pamięci przeglądu dni tygodnia. W poniedziałki – joga. We wtorki – oświecenie przez medytację. W środy – doskonalenie refleksu. We czwartki – poezja dla początkujących. W piątki – kolacja z matką. Soboty starała się zachować dla niego. Dzisiaj była niedziela, co oznaczało babskie spotkanie w jakimś pubie. Zresztą, co go to obchodzi? Ponownie otworzył lodówkę i wyjął dwie puszki guinnessa. Przelał ich zawartość do dużego kufła, obserwując z fascynacją niemal alchemiczną przemianę dokonującą się w naczyniu, kiedy żółty płyn przeistaczał się na pewien czas w kremową pianę, by następnie stopniowo wrócić do poprzedniego stanu. Pociągnął łyk, poczuł zimne szczypanie na języku. Wspaniałe uczucie, nieodmiennie zaskakujące intensywnością. Zupełnie jak wtedy,

dawno temu, kiedy całując Janey, miał wrażenie, iż smak jej ust rozplywa się stopniowo po całym jego ciele. Jak wtedy, kiedy jeszcze się ze sobą kochali. Od tamtej pory minęło wiele czasu. Niekiedy budził się w nocy przyciśnięty do jej pleców, z twarzą tuż przy jej karku. Kiedyś był gotów przejechać pół kraju tylko po to, żeby poczuć jej zapach, żeby poczuć miękki dotyk jej ust. Teraz jednak zbywała go jakimś pomrukiem, odsuwała się, on zaś odwracał się na drugi bok i szybko zasypiał.

Posiekał kapustę, wrzucił do garnka, dolał trochę wody, posolił. Uchylił pokrywkę na garnku z gotującymi się ziemniakami. Musiał się cofnąć, bo spod pokrywki wystrzelił gejzer gorącej pary. Dziabnął je na próbę nożem: jeszcze jakieś dziesięć minut. Powąchał stek. Doskonały, chudziutki, prawie bez zapachu. Wystarczą dwie minuty na patelni. Zajmie się nim, gdy reszta będzie już prawie gotowa.

Rozłożył na stole lniany, ręcznie wyszywany obrus. Prezent ślubny – a raczej część prezentu – od matki Janey. Przesunął po nim palcami. Taki sam materiał jak ten, z którego miała sukienkę ta kobieta podczas identyfikacji. Był z siebie zadowolony. Później Finney długo marudził o przepisach i procedurze. Pieprzyć procedurę i pieprzyć tych szczyłowatych mądrali, którym się zdaje, że pozjadali wszystkie rozумы. Choćby się starał nie wiadomo jak, nie zliczyłby matek, ojców, braci i siostr, których obserwował wtedy, kiedy przychodzili rozpoznać ciało kogoś bliskiego. Zakładał się sam ze sobą i w dziewięciu przypadkach na dziesięć wygrywał. Na pierwszy rzut oka potrafił stwierdzić, czy maczali w tym palce. Nigdy jednak nie widziałby ktoś zachowywał się w ten sposób, żeby zupełnie odkrył zwłoki. To na pewno o czymś świadczyło: o odwadze, albo o szaleństwie, albo o obu tych rzeczach naraz. Obserwował twarz kobiety, kiedy przyglądała się córce. Kiedy patrzyła na sińce na brzuchu, na ślady po kopaniu i przypalaniu, na rany, na ukąszenia. Musiał się odwrócić, musiał wbić wzrok w ułożone w szachownicę płytki na podłodze. Ona się nie odwróciła.

Poszedł do holu po teczkę, wyjął z niej akta, które otrzymał od chłopaków z Dun Laoghaire. Otworzył je. To co zwykle w przypadku zaginięcia. W prawym górnym rogu przypięta fotografia. Sięgnął po kufel i pociągnął następny łyk.

Piękna dziewczyna. Twarz w kształcie serca, ciemnoniebieskie oczy, białe zęby, między górnymi jedynekami mała przerwa. I ten uśmiech. Odruchowo też się uśmiechnął. Myślami ponownie wrócił do kobiety, którą zabrali ze starego domu przy wieży Martello w Monkstown. Obserwował ją w lusterku w osłonie przeciwsłonecznej. Twarz w podobnym kształcie, ale szczuplejsza, o ostrzejszych rysach. Wystające kości policzkowe, szare oczy, pełne usta. Takie twarze widuje się na prerafaelickich płótnach, na obrazach Burne-Jonesa albo Dantego Gabriela Rossettiego. Może mniejsze i szczuplejsze, ale równie perfekcyjne. Z pewnością dawno już przekroczyła czterdziestkę, ale nie było tego po niej widać. Dopiero po uważnym przyjrzeniu się można było dostrzec nieco obwisłą skórę na szyi, zmarszczki wokół oczu, spłaszczone i odrobinę

obwisłe piersi pod sukienką, pasemka siwizny w lśniących brązowych włosach.

Odcedził ziemniaki, zostawił je na durszlaku, zestawił z palnika garnek z kapustą, postawił tam natomiast patelnię z olejem. Kiedy olej zaczął wrzeć, położył stek, natychmiast przewrócił na drugą stronę, a potem zostawił jeszcze na dwie minuty. Następnie przerzucił mięso na talerz podgrzany w piekarniku, do oleju dodał trochę musztardy i śmietany, zamieszał, wyłączył palnik. Sos był gotowy.

Masz, Michaelu. Spróbuj.

Duża ręka podsuwająca mu przed nos drewnianą łyżkę.

Dziękuję, tato. To musztarda. Nie lubię musztardy. Poza tym jest gorąca.

To nie jest zwykła musztarda. Spróbuj.

Skosztował ostrożnie, czubkiem języka, potem jeszcze raz, odważniej. Usta napęliły się śliną. Pyszne. Mogę jeszcze? Wyczekujące spojrzenie utkwione w wysokiego mężczyznę przy kuchni, w kwiecistym fartuchu na mundurowej koszuli i spodniach.

Usiadł przy stole, polał mięso sosem, zgarnął na talerz ziemniaki i kapustę, dodał sporo masła, solidnie posolił i rozpoczął ucztę. Janey już tak nie jadała. Zrezygnowała z tłuszczów zwierzęcych. W lodówce stały rozmaite smarowidła na bazie soi. Tłumaczył jej, że nie może jeść potraw, którym brakuje nieodzownych składników. Tłuszcz jest niezbędny, to wzmacniacz smaku. Ona jednak nie chciała tego słuchać. W ogóle zarzuciła gotowanie. Korzystała wyłącznie z kuchenki mikrofalowej i elektrycznego czajnika. Jadała szybko, na stojąco. „Jak koń”, tak powiedział Anthony Quinn w tym wspaniałym starym filmie *La Strada*.

Wstawił naczynia do zmywarki, nastawił wodę, posprzątał ze stołu. Wsypał do kubka trzy czubate łyżeczki kawy, zalał wrzątkiem, zamieszał. Czekając, aż fusy opadną na dno, umył podłogę pokrytą szarym linoleum, potem zaś ponownie usiadł przy stole, nalał brandy do szklanki, postawił obok kawy i zabrał się do lektury akt.

Prosta sprawa, albo przynajmniej tak się wydawało. W sobotę wieczorem dziewczyna umówiła się z przyjaciółmi. Wylądowali w Globe przy George's Street. Wyszła tuż przed jedenastą, ponieważ matka została w domu sama z ciężko chorą babcią. Policja z Dun Laoghaire przesłuchiwała jej przyjaciół, trzy dziewczyny i chłopaka. Mieli od osiemnastu do dwudziestu lat. Poznała ich w szkole tańca przy Digges Lane. Bardzo ją lubili, była miła i wesoła, ale z nikim bliżej się nie zaprzyjaźniła. Po ogłoszeniach w prasie i telewizji kierownik sklepu ze sprzętem elektronicznym przy George's Street przekazał policji nagranie wideo z kamery ustawionej na wystawie. Kamerę podłączono do dużego monitora, obraz zaś rejestrowano na magnetowidzie. Dziewczyna zatrzymała się przed wystawą, żeby na siebie popatrzeć. Było to o 23.01. Przypuszczalnie szła na przystanek kolejki podmiejskiej, choć gdyby tak było, powinna była raczej iść Wicklow Street. McLoughlin jeszcze nie widział tego nagrania. Finney dostarczy mu je jutro, a przy okazji sprawdzi, czy mają jeszcze jakieś.

Przerzucał kartki, aż trafił na informacje o matce. Doktor Margaret Mitchell, lat czterdzieści cztery, wdowa. Od 1975 mieszka w Nowej Zelandii. Już to wiedział. Wykaz rozmów z posterunkiem policji. Dzwoniła uparcie. Współczuł chłopakom. Nie jest łatwo pozbyć się przerażonej matki.

Gwałtownie podniósł głowę. Brzęknięcie, uderzenie o metal i szkło, podniesiony głos kobiety, przeraźliwe miauczenie. Chwilę potem zjawili się razem – kobieta z zagniewaną twarzą i kot pętający się jej pod nogami.

– Nie dałeś mu jeść!

– Nie wiedziałem, że jest głodny.

– Przynajmniej od czasu do czasu mógłbyś pomyśleć o jego potrzebach... o czyichkolwiek potrzebach!

Mówiła niewyraźnie, czuć od niej było papierosy i piwo. Przez dłuższy czas trzaskała szufladami i drzwiczkami, aż wreszcie znalazła puszkę z karmą dla kotów i otwieracz. Wygarnęła na talerzyk całą jej zawartość, postawiła na podłodze. Kilka oleistych kawałeczków pacnęło na podłogę.

– Uważaj, dopiero co posprzątałem.

– Coś takiego. – Niezdarnie przykucnęła obok mruczącego kota, pogładziła go po kremowej sierści. Kot wygiął grzbiet w kabłąk. – Dobry kotek, śliczny kotek, kochany kotek... Mamuśka nie pozwoli zrobić ci krzywdy... – Skierowała oskarżycielskie spojrzenie na McLoughlina. – Nic mi nie powiedziałeś, że dali ci tę sprawę!

– Jaką sprawę?

Podniosła się z trudem, nalala sobie sporą porcję brandy.

– Jaką sprawę? – powtórzyła szyderczym tonem. – Widziałam cię w telewizji, w wiadomościach o dziewczętej. Wszyscy cię widzieli. Tylko o tym rozmawialiśmy.

– Nie było cię w domu, kiedy do mnie zadzwonili. Byłaś na spacerze.

– Szkoda, że nie poszedłeś ze mną. Musieliby znaleźć sobie jakiegoś innego gwiazdora.

Przyglądał się jej bez słowa. Kiedy to się stało? Kiedy przestali się kochać? Nie potrafiłby wskazać konkretnej chwili, bo jej nie było. Pogarda i niechęć nabrzmiewały powoli, stopniowo, aż wreszcie eksplodowały odrazą i rozpaczą.

Opróżniła szklankę i wstała.

– Idę spać. A ty?

– Za chwilę.

Na kominku w salonie stała fotografia. Na pierwszą rocznicę ślubu kupił do niej srebrną ramkę. Zdjęcie wykonano rok wcześniej. Janey na nabrzeżu w Dun Laoghaire. Miała na sobie długą luźną sukienkę w nieduże białe i różowe kwiatki. Włosy, teraz stalowo-siwe, a wtedy jasne, otaczały jej twarz wzburzonymi kędziorami. Zmrużyła błękitne oczy, zarumieniła się ze

szczęścia. Popłynęli wtedy na wycieczkę motorówką, a następnie przedostali się na Killiney, gdzie urządzili piknik. Znaleźli na zboczu osłonięte od wiatru miejsce, z którego roztaczał się piękny widok na morze, i kochali się tam. Dla niego to był pierwszy raz, ale nie dla niej. Wydawało mu się, że w życiu nie dotykał czegoś równie wspaniałego jak jej pełne piersi. Wtulił w nie twarz, a kiedy był gotów, wciągnęła go w siebie. Skończył niemal natychmiast, ona jednak uśmiechała się, całowała go i powtarzała, że go kocha. Podniósł się z krzesła, podszedł do drzwi sypialni, uchylił je, przez chwilę słuchał cichego pochrapywania, potem delikatnie zamknął drzwi.

Kiedy oderwał wzrok od akt, było już bardzo późno. Dolał sobie brandy, otworzył sięgające do podłogi okno, za którym znajdował się wykładany kamiennymi płytami taras. Miasto leżało przed nim jak na dłoni. Ulice i drogi wrzynały się w ciemność głębokimi brzdami świateł, pomarańczowe sygnalizatory mrugały niczym magiczne symbole. Dalej na wschód dwa kominy Pigeon House tkwiły nieruchomo na tle nieba niczym gigantyczne słupy totemiczne. Podążył wzrokiem na zachód, w górę rzeki. Gdzieś tam, starannie przycumowana, bezpieczna, czekała jego prawdziwa miłość. Dziesięciometrowy kecz „Konik morski”, z nazwą wypisaną ozdobnymi literami na lewej burcie. Norweska sosna i dąb. Dziesięć lat temu kupiony jako wrak za psie pieniądze i pieczołowicie odbudowany. Teraz kołysał się lekko przy nabrzeżu w rytmie wyznaczanym falami przypływu.

Usiadł na ziemi, oparł się plecami o ścianę, chłonąc promieniujące z niej ciepło dnia. Postanowił siedzieć tu i pić tak długo, aż zaśnie. Zupełnie sam, właśnie tu, na dworze.

Rozdział 10

Dziewczynka i pies czekali na kamiennych stopniach przed domem. Siedzieli obok siebie, dziewczynka oparła głowę na grzbiecie porośniętym złocistą sierścią. Było bardzo gorąco. Pies dyszał głośno. Z różowo-czarnych warg ciekły mu strużki śliny. Dziewczynka obciągnęła białą bluzeczkę na niewielkich, pulchnych piersiach i starannie upchnęła jej skraj pod granatowo-białą spódniczkę. Zakładała nogę na nogę, najpierw prawą na lewą, potem lewą na prawą, wreszcie postawiła obie stopy na ziemi i pochyliła się, podziwiając swoje odbicie w błyszczących skórzanych pantofelkach.

*Z małego wróbelka
Pociecha niewielka
Gdy lata tu i tam...*

Umilkła, wstała, narysowała na ścieżce noskiem pantofelka planszę do gry w klasy i zaczęła po niej skakać, podśpiewując cicho:

*Z małego wróbelka...
Tu i tam...
Tu i tam...*

Pies starał się jej towarzyszyć, podskakiwał, opierał się o nią przednimi łapami, drapał pazurami pulchne białe ramiona.

– Przestań, Bella! Przestań! – Odepchnęła psa i usiadłaby dokładnie obejrzeć najwyraźniejsze zadrapanie. – Boli!

Włożyła do ust kciuk lewej ręki i zaczęła mocno ssać. W kącikach ust gromadziła się ślina. Równocześnie nawijała na palec wskazujący prawej ręki pukiel kręconych ciemnoblonde włosów. Pies położył się i oparł łeb na jej stopach. Ciężkie powieki opadły na oczy dziewczynki, ale gdy tylko do jej uszu dotarł odgłos silnika, natychmiast powędrowały w górę. Kciuk wyskoczył z ust z głośnym cmoknięciem. Otarła zaśliniony podbródek i zerwała się na nogi. Powtarzano jej wiele razy, żeby nie wybiegała naprzeciw samochodowi, kiedy ten wyłaniał się zza zakrętu zasłoniętego wysokimi krzewami. Miała stać nieruchomo jak posąg, aż samochód się zatrzyma. Dopiero wtedy wolno jej było się poruszyć.

Ale dzisiaj nie mogła czekać. Nie pamiętała już, ile minęło dni od chwili, kiedy ostatni raz widziała brata. Wydawało jej się, że bardzo wiele. Przywiózł jej wtedy czerwone wstążki w małe białe kotki, uczesał ją w kucyki i zawiązał na nich kokardki z tych wstążek. Nie chciała ich zdjąć,

nawet kiedy kładła się spać. W łóżku długo jeszcze żuła końce. Nazajutrz rano mama zdjęła je i wyrzuciła do kosza. Płakała i krzyczała, a kiedy mama nie patrzyła, usiłowała nawet podnieść ciężką przykrywą kosza, żeby je uratować, ale nie dała rady.

Wiedział, że będzie na niego czekać, że wybiegnie na środek wysypanego żwirem podjazdu. Skulony za kierownicą okrążył ją raz, dwa, trzy razy. Machała do niego i posyłała mu całusy, on udawał, że chce ją rozjechać, ona zupełnie się tym nie przejmowała. Zawsze tak było. Pamiętał dzień, kiedy przywieziono ją ze szpitala. Miał wtedy trzynaście lat i nie chciał jej, nie chciał siostry, nie chciał kogoś, kim trzeba się opiekować i kogo rodzice mogliby pokochać bardziej niż jego. Wiedziony ciekawością, pochylił się nad nosidełkiem, które zostawiono w holu, a ona otworzyła wtedy oczy i uśmiechnęła się do niego. Wyciągnął rękę, dotknął jej ust. Otworzyła buzię, wysunęła małeńki koci języczek, polizała go. Wsunął jej palec do ust, a ona zaczęła mocno ssać.

Zahamował gwałtownie, otworzył drzwi, a ona rzuciła się na niego, wspięła mu się na kolana, zarzuciła na szyję pulchne ramiona.

– No już, już! Uspokój się, Molly. Przecież już jestem. – Uwolnił się z jej objęć, przytulił do piersi. Powoli robi się na to zbyt duża, pomyślał. Nad jej górną wargą pojawił się delikatny ciemny meszek, otaczała ją ostra woń „dorosłego” potu. Starannie obciągnął kraciastą spódniczkę, która powędrowała sporo powyżej połowy białego, grubego uda. – Ładna spódniczka. Nowa?

Skinęła głową. Kciuk znowu powędrował do ust.

– Hej, malutka! Chyba nie powinnaś tego robić? Ponownie skinięcie głową, a potem dziecięcy głosik:

– Ale ja lubię. Podoba mi się.

– Mam coś, co też powinno ci się spodobać. – Przesadził ją na fotel pasażera i otworzył schowek na rękawiczki. – Poszukaj tam. Może coś znajdziesz.

Uklękła na fotelu, włożyła obie ręce do schowka i zaczęła szperać.

– Ostrożnie, Molly! – ostrzegł ją.

– Patrz! – Trzymała dwa przedmioty: w jednej ręce kartonowe pudełko w kształcie łabędzia, w drugiej zaś dużą błyszczącą brązową muszlę z mnóstwem kremowych kółeczek na wybrzuszonej powierzchni. – Prezenty! – zagruchała radośnie. – Prezenty dla Molly!

– Zostaw! – Sięgnął po muszlę. – Dla ciebie są tylko czekoladki.

– Ale przecież kazałeś zajrzeć i poszukać!

– Chodziło mi o czekoladki. Patrz! – Ostrożnie otworzył pudełko. – Widzisz? Twoje ulubione!

Wahała się, którą wybrać. Skorzystał z okazji i spróbował wyrwać jej muszlę, ale cofnęła rękę.

– Nie! Ona mi się podoba. Jest śliczna. A poza tym wiesz, że mama nie pozwala mi jeść czekoladek, chyba że w urodziny.

– Mama nie musi o tym wiedzieć, prawda?

– Powiem jej. Powiem jej o wszystkim. Powiem, że kazałeś mi szukać prezentów, i że ja to znalazłam, i że potem chciałeś mi to zabrać!

Schowała muszlę za plecami. Po puciołowatych policzkach popłynęły łzy.

– Już dobrze, dobrze... Tylko nie płacz. – Wycierał jej twarz jednorazową chusteczką. – Możesz ją zatrzymać, ale wolno ci się nią bawić tylko w samochodzie, ponieważ to jest muszla, a muszle mieszkają głęboko na dnie morza i dlatego trzeba je trzymać w ciemności, i mogą się nimi bawić tylko niektórzy ludzie. Właśnie dlatego trzymam ją w schowku, żeby na pewno nic jej się nie stało.

– Ale ja chcę ją pokazać mamie! Dlaczego nie mogę jej pokazać mamie? – spytała zawodzącym głosem.

– Bo nie możesz, i już! To jest nasza tajemnica. Jeśli powiesz o niej mamie, ja powiem, że nie stałaś jak posąg, że wybiegłaś naprzeciw, a wiesz, co wtedy mama robi, prawda?

– Będzie się na mnie gniewała.

To prawda, pomyślał. Można to tak ująć, choć określenie to nie było w stanie opisać całkowitego zlodowacenia uczuć oraz błyskawicznego wzniesienia muru gniewu i potępienia.

Molly włożyła do ust czekoladkę. Muszla leżała na fotelu. Podniósł ją i przyłożył jej do ucha.

– Słyszysz? To szum morza i głosy wszystkich wielorybów i delfinów, które tam żyją. Właśnie ten dźwięk słyszą.

– Kiedy się budzą?

– Kiedy się budzą, kiedy jedzą śniadanie i kiedy szykują się spać. To pierwszy i ostatni odgłos, jaki słyszą.

Z piersi Molly wyrwało się drżące westchnienie – pożegnanie ze łzami – i dziewczynka przycisnęła twarz do jego ramienia.

– Kocham cię, Jimmy. Czy ożenisz się ze mną, kiedy dorosnę?

– Oczywiście.

– Włożę białą suknię i takie coś na głowę. I będę śliczna jak Barbie.

Nieprawda, pomyślał. Nigdy nie będziesz śliczna, ponieważ masz nalaną nieruchomą twarz, wiecznie otwarte usta, z których wysuwa się za duży język, i nieduże krępe ciało. I nigdy nie dorosnie. Zawsze będziesz małą głupiutką Molly, nawet kiedy osiwiejesz, a twoją twarz pokryją zmarszczki. Tylko kto będzie się wtedy tobą opiekował?

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Rozdział 11

Margaret się obudziła. Leżała na wznak, szczelnie otulona kocem i prześcieradłem. Nie pamiętała, kiedy położyła się spać, wiedziała jednak, że obudziła się w nocy z zupełnie mokrą twarzą. Długo leżała bez ruchu i cichutko płakała. Łzy spływały jej po policzkach do uszu. Potem znowu zasnęła. Śniły jej się pokryte śniegiem górskie szczyty, fantastyczne ptaki z głowami węży i nogami słońca, stoły uginające się pod ciężarem smakowitych egzotycznych owoców. Siedziała przy krótszym boku jednego ze stołów i jadła feijoa, srebrzystoszary owoc z Nowej Zelandii w kształcie dużej żołądki. Przekroiła go na pół i wyjadała miękki miąższ srebrną łyżeczką. Przy drugim końcu stołu siedziała Catherine, jej matka, a w połowie długości usiadł John, jej ojciec. Margaret podała mu rękę, on z kolei podał rękę Catherine. Popłynął ciepły prąd. Nawet teraz, po obudzeniu, wciąż czuła mrowienie w palcach.

Nie miała pojęcia, która może być godzina. Przez szpary między zasłonami przeciskały się promienie słońca, załamując się tęczowo w krawędzi lustra. Powoli podniosła się z łóżka, ale zanim wstała, najpierw ostrożnie sprawdziła, czy nogi zdołają utrzymać jej ciężar. Miała wrażenie, że jest oderwana od swego ciała. Realne były tylko wspomnienia. I ból.

Staneła przed lustrem, odgarnęła z twarzy splątane włosy. Zestarzałam się, pomyślała. Czuję się jak moja matka, stara i o krok od śmierci. Dlaczego moje serce jeszcze pracuje? Czy nie mogę zmusić go, by przestało uderzać? Obracała w palcach szczotkę do włosów. Zostało na niej trochę delikatnych czarnych włosów. Kiedy była mała, Catherine pilnowała ją, żeby codziennie wieczorem wykonała co najmniej sto pociągnięć szczotką do włosów. „Jeśli nie zadbasz teraz o swoje włosy, później będziesz tego gorzko żałowała. Spójrz”. Siadała obok niej na długim stołku i rozpuszczała długie lśniące włosy. Była to jedna z nielicznych rzeczy, jakie razem robiły. Margaret nie zrezygnowała z codziennego rytuału. Miała wtedy czas na przemyślenie różnych spraw. Teraz również usiadła przed lustrem i zaczęła rozczesywać włosy, licząc szeptem pociągnięcia szczotki.

Można na to spojrzeć z dwóch stron, myślała. Jako lekarz jestem obeznana ze śmiercią. Widywałam ją wielokrotnie. Łatwa śmierć to taka, kiedy pacjent najpierw traci przytomność, a potem robi jeszcze ten jeden, ostatni krok i odchodzi; trudna śmierć to taka, kiedy pacjent walczy, krzyczy, boi się, jest zdezorientowany i przerażony, do samego końca zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Widziałam, jak umierają starzy i młodzi, dobrzy i źli. Dwa razy nawet przyczyniłam się do przyspieszenia czyjejś śmierci. Pierwszy był ten mężczyzna, który trzykrotnie przecinał sobie żyły, ale bez powodzenia. Wy tłumaczyłam mu, na czym polega jego błąd. Uważał, że najważniejsze są doskonale widoczne sino-niebieskie żyły na przedramieniu. Nie zdawał sobie sprawy, że po to, by uzyskać zamierzony efekt, powinien dostać się do ukrytej znacznie głębiej tętnicy. Pokazałam mu miejsce, w które powinien wbić ostrze. Druga była ta

pięćdziesięciokilkuletnia kobieta, która zgłosiła się z pierwszymi objawami Alzheimera. Szczegółowe badania nie pozostawiły cienia wątpliwości. Powiedziała mi, że nie chce dalej żyć. Zdawała sobie sprawę, że musi szybko podjąć decyzję. Przepisałam jej leki nasenne i ostrzegłam przed przedawkowaniem. Powiedziałam, jaka dawka może być śmiertelna. Podziękowała i pocałowała mnie na pożegnanie.

Rozumiem, co się dzieje, kiedy serce przestaje tłoczyć krew dostarczającą tlen do najdalszych zakamarków ciała. Nie rozumiem natomiast zaprzestania istnienia, negacji bytu. Chyba właśnie dlatego tak wielu ludzi wierzy w życie pozagrobowe. Starają się pojąć coś niepojętego. Ja rozumiem to wyłącznie na poziomie abstrakcyjnym, nie jestem w stanie tego zaakceptować. Wiem tylko tyle, że już nigdy nie zobaczę Mary, że odebrano mi ją, i że będę musiała żyć z tą świadomością. Aż w końcu i ja umrę.

Setne pociągnięcie. Gładkie, lśniące włosy spływały na ramiona. Zwinęła je w kok i upięła wysoko na głowie jedną z długich szpilek Mary. Szpilka była drewniana, z zakończeniem w kształcie konika morskiego. Zawięzała pasek szlafroka, poszła do łazienki. Światło sączące się przez witrażowe szybki w dwóch wąskich oknach spływało różnobarwnymi plamami na podłogę z czarnych i białych płytek. Duża wanna stała na wykrzywionych łwich łapach. Ściany wyłożono białą glazurą, armatura była chromowana. Między oknami wisiało lustro w złocistych ramach, nad prostokątną umywalką znajdowało się drugie, znacznie mniejsze lustro na wysięgniku. Margaret uwielbiała łazienkę. Kiedy była mała, przysiadła na krawędzi wanny i obserwowała ojca przy goleniu. Poranny rytuał wyglądał zawsze tak samo. Ojciec przychodził w starym kraciastym szlafroku, wyjmował ze skórzanej pochwy ulubioną brzytwę, napełniał umywalkę gorącą wodą, a następnie za pomocą pędzla i mydła zamieniał swoją twarz w podobiznę Świętego Mikołaja. Plusk, plusk, plusk. Skrob, skrob, skrob. W końcu odwracał się do niej i mówił: „Sprawdź, jak to wygląda, Maggie”. Przesuwała dłonią po jego policzkach i podbródku. „Gładkie jak pupa niemowlaka” – wykrzykiwali razem i wybuchali śmiechem, gdy tymczasem Catherine po raz kolejny dobijała się do drzwi łazienki.

Odkręciła kurki nad wanną. Popłynęła woda, w rurach zagulgotało i zaszumiało. Na lustrach i szybach zaczęła skraplać się para. Przesunęła palcem po szkle, narysowała drzewa i kwiaty, psy i koty, patyczkowe postaci kobiet i dzieci, domki z poskręcanyimi wstążkami dymu nad kominami. Potem starła wszystko, zrzuciła szlafrok na podłogę i weszła do wody.

W dawnych czasach gorące kąpiele stosowano jako lekarstwo dla szaleńców i ludzi opętanych przez złego ducha. Elementarne siły gorąca i wody pełniły funkcję uniwersalnych oczyszczaczy. Doskonały sposób na przegnanie upiórów.

Pamiętała to doskonale. Szereg wanien w długim wyłożonym kafelkami pomieszczeniu. Światło sączące się przez okrągłe otwory w dachu. Szczupły ciemnowłosy mężczyzna z ciężką ręką opartą władczo na jej ramieniu spojrzał na nią znad połówek okularów. „Oczywiście, że już

z nich nie korzystamy”. Doktor Ian MacDonald, dyrektor Szpitala Psychiatrycznego Bethany, Kowhai Creek, North Island, Nowa Zelandia, 18 grudnia 1975. Środek lata. Jej pierwszy dzień w szpitalu. Postanowiła pokonać na piechotę trzy kilometry dzielące szpital od miasteczka. Miała nadzieję, że w ten sposób przynajmniej na chwilę zapomni o pięciomiesięcznej Mary, rozkrzyczanej, zapłakanej, zasmarkanej, na rękach sąsiadki.

– Nic się nie przejmuj, na pewno zaraz się uspokoi. No, zrób mamusi pa-pa. Bądź grzeczną dziewczynką.

Wrzaski wcale niecichnące za zamkniętymi drzwiami.

Wąska droga prowadziła stromo pod górę. Po kilkuset metrach równa, ubita nawierzchnia zamieniła się w piach i luźne kamienie. Do jej uszu docierał tylko chrzęst żwiru pod podszwami butów i jej coraz głośniejszy oddech. Z przeraźliwym trąbieniem minął ją samochód. Pot spływał jej między piersiami. Włosy parzyły w kark. Na szczycie wzniesienia zatrzymała się, by złapać oddech i spojrzeć wstecz. Czerwone dachy z falistej blachy porzrucane bezładnie wzdłuż brzegów krętej rzeki. Dalej, jak okiem sięgnąć, szarozielone pola z niezliczonymi kropkami owiec przypominających ziarenka cukru na cieście. Gdzieś daleko ujadał pies. Do jednego ze stad zbliżał się mężczyzna na koniu. Białe punkciki zaczęły się do siebie zbliżać, skupiać się, aż wreszcie utworzyły nieregularną białą plamę, jakby ktoś rozlał mleko na podłodze. Minął ją kolejny samochód. Zaciekawione twarze przyciśnięte do szyb. Ruch ręki, uniesione dwa palce. Gorzki smak w ustach.

Wzdłuż drogi ciągnęło się wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Wreszcie dotarła do otwartej na oścież bramy, za którą zaczynała się kręta droga dojazdowa wijąca się między trawnikami i ukwieconymi klombami. Widok ten przywiódł jej na myśl kwiaty w parku w Dun Laoghaire w upalne letnie popołudnie. Egzotyczne odmiany róż o wielkich czerwonych kwiatach, mieczyki, lilie, różowe geranium, białe, żółte i pomarańczowe gladiole stojące na baczność w skwarze. Mężczyzna w kombinezonie roboczym pchał przed sobą kosiarkę, kilku innych pielę na kolanach. Poruszali się powoli, jakby mieli problemy z koordynacją. Kiedy ich mijiała, jeden coś zawołał: bełkotliwa zbitka poskładanych byle jak sylab.

Nieco dalej stał dom. Trzypiętrowy, drewniany, pomalowany na zielono, zwieńczony wieżyczką jak z bajki. Wspięła się po wydeptanych stopniach na obszerną werandę. Podpory i balustrada były bogato rzeźbione. Za drzwiami domu zaczynał się głęboki mrok. Kroki niosły się głośnym echem po drewnianych błyszczących podłogach. Zapach pasty był tak intensywny, że aż zaczęły łzawić jej oczy. Pot na plecach zrobił się lodowato zimny. Doktor MacDonald ujął ją za łokieć i poprowadził przez obszerne pomieszczenia, w których nieruchome sylwetki z opuszczonymi głowami siedziały na łóżkach albo stały sztywno wyprostowane w kątach. Rozszczebiotane, roześmiane pielęgniarki uwijały się wśród nich niczym stada mew. Łóżka na piętrze stały w nienagannie równych szeregach, gładko zasłane, z precyzyjnie ułożonymi kocami.

Mężczyźni i kobiety sprząтали korytarze – niektórzy na sucho, inni na mokro. Ubrania wisały na nich jak na wieszakach. Wszyscy mieli na stopach filcowe kapcie i szurali nimi po podłodze.

Usiadła w obszernym gabinecie doktora MacDonalda. Gospodyni, panna Blackman, przyniosła srebrny dzbanek z herbatą i ciasteczka z marmoladą.

– To jest zakład zamknięty. – Doktor MacDonald jednakowo akcentował wszystkie sylaby. Jego szkocki akcent był schludny i precyzyjny. Panna Blackman kiwała potakująco głową. – Naszym priorytetem jest pełna kontrola.

– A nie leczenie pacjentów?

– Leczenie? – Uniósł brwi. – Panno Blackman, od ilu lat pracuje pani w tym szpitalu?

– Niech pomyślę, panie doktorze... Będzie ze dwadzieścia pięć, albo nawet trzydzieści.

– Ilu pacjentów opuściło w tym czasie jego mury? Panna Blackman uśmiechnęła się, na chwilę przyłożyła do ciemnowiśniowych ust czubki zadbanych palców, następnie powiedziała:

– Obawiam się, panie doktorze, że żaden. Stąd raczej nikt nie wychodzi.

Woda wystygła. Margaret wyszła z wanny, owinęła się ręcznikiem, wytarła, ubrała się szybko. Zbiegła po schodach, wyszła do ogrodu, usiadła na drewnianej ławeczce i wystawiła twarz do słońca. Zamierzała nie zamykać oczu, żeby jaskrawe promienie wypaliły jej tęczę, by spopielili obrazy, które utrwaliły się na siatkówce jak fotografie. Nie dała rady. Zdawała sobie sprawę, że musi sama sobie z tym poradzić, że musi znaleźć sposób na zastąpienie rozpaczy innymi uczuciami. Wiedziała, że to w końcu nastąpi, może nawet wkrótce, ale jeszcze nie teraz.

Rozdział 12

– A więc proszę opowiedzieć mi o Mary.

– Co chce pan wiedzieć?

– Wszystko. Cokolwiek.

– Dlaczego?

– No cóż... – McLoughlin zawiesił głos. Słońce prażyło go w kark. Poluzował krawat i rozpiął koszulę pod szyją. – Jak na razie jedyną konkretną informacją, jaką mamy w tej sprawie, jest to, że dwudziestoletnia Mary Mitchell nie żyje.

– Została zamordowana. – Margaret zdjęła ciemne okulary i spojrzała mu w oczy. – Nie „nie żyje”, tylko została zamordowana.

McLoughlin zjawił się w Monkstown kwadrans po piątej. Całe przedpołudnie spędził na posterunku w Swan's Nest. Jego zespół składał się z dwudziestu ludzi, każdemu trzeba było przydzielić konkretne zadanie. Joe Fisher pełnił funkcję sekretarza, zapisując, kto czym miał się zająć. Wszystko tak jak zwykle. Wyniki sekcji zwłok miały nadejść dopiero późnym wieczorem albo nazajutrz z samego rana. McLoughlin nie oczekiwał jednak żadnych rewelacji. Zewnętrzne obrażenia wskazywały na to, że dokonano na niej gwałtu, również analnego, a bezpośrednią przyczyną śmierci były zapewne wielokrotne uderzenia w głowę. Nie zanosilo się na to, że będą szukać narzędzia zbrodni, tym były przypuszczalnie gołe pięści, przydałoby się natomiast znaleźć nóż, którym sprawca wykonał paskudne nacięcia wokół sutków. Ale po kolei. Dokąd poszła po wyjściu z baru i z kim się spotkała? Finney miał jeszcze raz przesłuchać ludzi, którzy widzieli ją jako ostatni, oraz przejrzeć taśmy ze wszystkich kamer zainstalowanych w rejonie George's i Dame Street. Pozostałym przypadła w udziale nudna, mrówcza robota: chodzenie od drzwi do drzwi, zadawanie pytań, notowanie, porównywanie, ponowne wypytywanie... Co prawda, podczas tej pracy nie widać lasu spoza drzew, na tym jednak głównie polega codzienne policyjne działanie.

Jemu została matka. Zadzwoił, aby uprzedzić, że wybiera się do niej, i zapytać, kiedy będzie najmniej przeszkadzał.

Była opanowana i konkretna. „Proszę przyjechać po piątej. Dziś po południu przychodzi pielęgniarka z hospicjum”. Nawet mu to odpowiadało. Dzięki temu miał trochę czasu, żeby pojechać nad kanał i jeszcze raz przyjrzeć się miejscu, w którym znaleziono ciało Mary.

Jechał na zachód w gęstym ruchu główną ulicą uroczego niegdyś georgiańskiego miasteczka. Pamiętał, jak zadowolona była jego matka, kiedy przydzielono go do komisariatu w Swan's Nest. Przypuszczała, że czeka go tam łatwe życie. Od czasu do czasu pijany farmer, od czasu do czasu kradzież paru owiec... Owszem, miała rację, ale szybko wszystko się zmieniło. Miasto rozrastało się w błyskawicznym tempie, połykając zielone rolnicze tereny. Teraz Swan's Nest zamieniło się

w byle jakie, pozbawione charakteru przedmieście, w którym kwitła przestępczość.

Zjechał z mostu przy Hazel Hatch i zaparkował samochód przy końcu ulicy, obok metalowej barierki uniemożliwiającej wjazd na wąską ścieżkę nad brzegiem kanału. Nieco dalej połyskiwała poruszana wiatrem żółta policyjna taśma. Umundurowany funkcjonariusz opierał się o drzewo. Teren po obu stronach kanału został dokładnie przeszukany, niczego jednak nie znaleziono. Żadnych odcisków stóp na twardej ciemnej ziemi, żadnych śladów w przykurzonej trawie.

Schylił się, przeszedł pod plastikową taśmą, zsalutował policjantowi. Po kilkunastu krokach dotarł do miejsca, w którym leżało ciało Mary. Zatrzymały je gałęzie pochylonego nad wodą jesionu. Po ciemku z pewnością nikt by go nie zauważył. Zwłoki zawinięto w foliowe worki, oklejono szarą taśmą samoprzylepną i obciążono betonowymi krążkami, mimo to jednak zaczepiły o gałęzie. Księżyc był w trzeciej kwadrze, blask ulicznych latarni z pewnością tutaj nie docierał. Ten, kto przyniósł ją aż tutaj z samochodu, nieźle się namęczył. A potem musiał przecież jeszcze wrzucić ją do wody. Może miał jakieś narzędzie, wiosło albo długi kij, żeby odepchnąć ciało od brzegu, ale nie zrobił tego, przestraszywszy się może plusku, z jakim zwłoki wpadły do kanału. Bał się, że obudzi ludzi śpiących na pobliskich barkach. McLoughlin przyjrzał im się pobieżnie. On lubił inne łodzie, nie takie ciężkie, nieruchawe, zabudowane. Przypominały pływające karawany. Nie było w nich ani odrobiny gracji i wdzięku.

Postał chwilę nad brzegiem, odwrócił się i ruszył z powrotem do samochodu. W dzieciństwie często przychodził tu z siostrą na jagody. Matka upominała ich wielokrotnie, żeby nie zjadali wszystkiego, co znajdują, ponieważ owoce miały być przeznaczone na dżem. Kiedy wracał, łąpała go za ucho i zmuszała do wystawienia języka. Jeszcze za wcześnie na jagody. Dopiero zaczynały czerwienieć na krzaczkach. Wróć tu za miesiąc albo półtora, jak już będzie po wszystkim, pomyślał.

– Kiedy to się skończy? – zapytała. Wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Jeżeli będzie nam sprzyjało szczęście, parę dni albo tydzień. Jeżeli nie... – Zawiesił głos i sięgnął po dzbanek z lemoniadą. – Mogę?

Skinęła głową. Siedzieli w ogrodzie za domem, na rozgrzanym kamiennym tarasie. Dom stał w doskonałym miejscu, zwrócony frontem do morza. Przy wąskiej uliczce stało jeszcze najwyżej dziesięć budynków, wszystkie wczesnowiktoriańskie. Wydawały się większe, niż były w istocie. Jechał powoli, szukając tabliczki z nazwiskiem przy bramie.

Zadzwoił dwa albo trzy razy, zanim wreszcie otworzyła się furtka i ujrzał starą kobietę, której wcześniej nigdy tu nie widział. Podał jej rękę, przedstawił się. Była nieduża i bardzo szczupła, jej ręka składała się z drobniutkich kosteczek obleczonych cienką skórą. Mimo upału miała na sobie zapinany sweter i grube tweedowe spodnie.

– Jest w ogrodzie za domem.

Margaret siedziała na tarasie na drewnianym krześle. Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu, wystawiła twarz do słońca. Obserwował ją przez chwilę. Bez makijażu, z włosami zebranymi z tyłu głowy, sprawiała wrażenie znacznie młodszej. Niespodziewanie ogarnęła go chęć, żeby pocałować zagłębienie nad jej obojczykiem, doskonale widoczne dzięki rozpiętemu kołnierzykowi koszuli. W tej samej chwili otworzyła oczy, a on poczuł, że się czerwieni. Przyłapany na gorącym uczynku, pomyślał.

Usiadł naprzeciwko przy stoliku. Lemoniada była słodko-kwaśna.

– Dlaczego wyjechała pani na Nową Zelandię?

– Wydawało mi się, że chce pan rozmawiać o Mary?

– Czy te tematy nie mają ze sobą związku?

– A mają? O Boże.

– Doktor Mitchell, doskonale wiem, co pani teraz przeżywa, ale...

– Doprawdy? Skąd? Czyżby zdarzyło się panu to samo? Przesunął odrobinę krzesło. Drewniane nogi zaszurały po kamiennej posadzce.

– Jestem policjantem. Od dwudziestu pięciu lat mam do czynienia z brutalnymi przestępstwami. Przykro mi o tym mówić, ale nie jest pani pierwszą matką, której jedyne dziecko zostało zamordowane w bestialski sposób. Ani nie ostatnią, niestety. Staram się po prostu wykonywać swoją pracę, najlepiej i najsensowniej jak potrafię. – Pochylił się lekko w jej stronę.

– Czy wyrażam się jasno?

Skinęła głową.

– Całkowicie, inspektorze.

– To dobrze. A teraz wracam do pytania: Dlaczego wyjechała pani na Nową Zelandię?

Wstała, odeszła od stolika, usiadła na niskim murku biegnącym wokół tarasu.

– Zamierzaliśmy przenieść się tam jeszcze z mężem, ale na kilka miesięcy przed przeprowadzką zginął w wypadku samochodowym. Po namyśle doszłam do wniosku, że nie powinnam zmieniać planów. Poza tym czekała tam na mnie praca.

– Kiedy to było?

– Jakieś dwadzieścia lat temu.

– Przed przyjściem Mary na świat?

– Zaraz po. Mój mąż zginął, zanim się urodziła. McLoughlin otworzył notes.

– Jak się nazywał pani mąż?

– David Mitchell. Ale to było w Londynie, dawno temu. Podniósł na nią wzrok.

– A więc podsumujmy: mieszkała pani w Londynie, wyszła pani za mąż i zamierzała razem z mężem przenieść się do Nowej Zelandii. Mąż umarł, pani zaś wyjechała wkrótce po urodzeniu dziecka, zgadza się?

Skinęła głową.

– Nie żał było pani zostawić tu rodziny? Ponownie wstała.

– Już panu powiedziałam, jak to wyglądało. Dlaczego mnie pan wypytuje? Czy jestem podejrzana?

– Słucham?

– Czy jestem podejrzana? Odłożył długopis na stół.

– Skąd ten pomysł?

– Przecież to chyba normalne, że w takich sprawach policja podejrzewa również najbliższych krewnych ofiary, prawda?

Ostrożnie skinął głową.

– Sądzę też, że teraz, kiedy rozmawiamy, któryś z pańskich podwładnych wysłał faks do nowozelandzkiej policji z prośbą o informacje na mój temat. – Podeszła do niego na dwa kroki, tak że musiał zadrzeć głowę, żeby na nią spojrzeć. Była bardzo blada, miała zaczerwienione oczy. – Prawda? I dlatego właśnie nie rozumiem, dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania.

Wzruszył ramionami, czując, jak wilgotny materiał odlepia mu się od łopatek.

– Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę, ale, jak wkrótce się pan dowie, jeśli już pan tego nie wie, ma się rozumieć, przez wiele lat pracowałam w zakładzie dla chorych umysłowo sprawców przestępstw, i dlatego właśnie wiem, jak groźna bywa namiętność w sytuacji, kiedy nietrudno o okazję.

Uśmiechnął się, słysząc jej słowa. Postanowił je zapamiętać i powtórzyć podczas najbliższego wykładu w Templemore.

– A kiedy już zasiądziecie nad stosem materiałów, które przyślą wam z Nowej Zelandii, będziecie się zastanawiać:

„Co prawda jest wdową, ale czy ma kochanka, albo chociaż przyjaciela? Kogoś, kto od dawna szykował się, żeby zrobić coś takiego? Wiedziała o tym? Może nawet go namawiała? Może była zazdrosna o córkę? A może obie zakochały się w tym samym mężczyźnie? Może chodzi o zwykłą staromodną zawiść? Pogrzebmy dokładniej, sprawdźmy, czy nie znajdziemy jakiegoś haka na matkę. Ułatwmy sobie robotę”. Czy tak właśnie będzie, inspektorze?

Wyjął z kieszeni papierosa, zapalił. W powietrzu zawisł sino-błękitny dym. W ogrodzie panowała cisza, zakłócana jedynie szumem dobiegającym z ulicy oraz łoskotem przejeżdżających co kilka minut podmiejskich pociągów. Odwróciła się od niego, przygarbiła, objęła ramionami. Przez cienki materiał koszuli mógł policzyć paciorki kręgosłupa. Ogromnie jej współczuł, ale na tym etapie musiał stłumić w sobie to uczucie.

– Mitchell... – powiedział, wypuszczając z ust kłąb dymu. – Margaret Mitchell. Uwielbiałem *Przemięło z wiatrem*. Przez wiele lat to była moja ulubiona książka.

– Na litość boską! – Odwróciła się do niego gwałtownie. – Dlaczego siedzi pan tu beczynn timer, zamiast szukać tego drania, który zamordował moją córkę? Co ja mogę panu

powiedzieć? Nic, bo nic nie wiem! Nigdy czegoś takiego nie przeżyłam. Nigdy nie czułam takiego bólu. Nie mam pojęcia, co mówić ani co robić. Wiem tylko, z kim mamy do czynienia. Widywałam takich ludzi. Rozmawiałam z nimi, siadywałam z nimi w ich celach, a oni zwracali mi się ze swoich obrzydliwych tajemnic, z odrażających fantazji. Słyszałam, jak kłamią i oszukują, jak kpią sobie z lekarzy i sądów. Traktowali swoje zbrodnie niemal jak coś w rodzaju alibi. Wykorzystywali pobłażliwość sędziów. Widziałam również ich ofiary. Dziewczynki, które nigdy już nie miały nikogo pokochać ani zostać pokochane, kobiety, które już nigdy nie miały opuścić swoich domów, te wszystkie budzące litość, nieszczęsne istoty siedzące zwrócone twarzami do ściany, skulone, drżące ze strachu.

McLoughlin podniósł się z krzesła. Zamknął oczy, zwrócił twarz ku słońcu, po czym spojrzał na kobietę.

– Namietność i okazja, sama tak pani powiedziała. Czy jest pani pewna, że córka nie miała tu chłopaka?

Rozpłakała się. Szlochała spazmatycznie, jej ciałem wstrząsały dreszcze, ukryła twarz w dłoniach. Z jabłoni zeskoczył czarny kot. Podbiegł do niej, wspiął się na tylne łapy, a przednie oparł o jej kolana. Schyliła się, wyciągnęła ręce, przygarnęła go do piersi. McLoughlin wstał, poszedł do kuchni, po krótkich poszukiwaniach znalazł butelkę whisky. Wrócił z nią do ogrodu, nalał trochę do szklanki po lemoniadzie. Kobieta wypija jednym haustem. Usiadł i czekał.

Odstawiła szklanę. Podał jej chusteczkę, a ona wytarła oczy i nos.

– Ma pani jakieś podejrzenia co do tego telefonu? Pokręciła głową.

– Od lat nie słyszałam tej melodii. Nowa Zelandia to zupełnie świecki kraj. Religia nie odgrywa tam takiej roli jak tutaj.

– Tak?

– To w ogóle dziwne miejsce. Z zewnątrz bardzo piękne, bardzo spokojne, bardzo zielone.

– Słyszałem, że podobno prawie wszyscy tam żeglują.

– To prawda. Pacyfik jest cudowny. Kiedy się patrzy na niego z okna, wygląda jak jakieś monstrualne śpiące zwierzę. Ludzie cierpią przy nim na agorafobię. Gdziekolwiek spojrzeć, tylko woda. Niektórzy tego nie wytrzymują i robią szalone rzeczy. Szaleństwo wytryskuje spod ziemi jak gejzery albo jak gorące błoto. Gina całe rodziny, zmasakrowane w bestialski sposób.

– Tak jak ona?

– Być może. – Podsunęła szklanę po dolewkę. – A pan nie pije? Pewnie dlatego, że na służbie?

– No cóż... – Wysączył resztki lemoniady. – Moja matka zawsze mówiła, że to nieładnie pozwalać, by ktoś pił samotnie.

– Mądra kobieta.

Nalał sobie whisky do szklanki i wzniósł ją w milczącym toaście.

– A więc dlaczego wyjechała pani do Nowej Zelandii?

Rozdział 13

Otwiera się przesłona. Światło przelewa się z przedmiotu w wizjerze na fragment filmu. Przesłona się zamyka. Obraz jest schwytyany w pułapkę niczym owad w bursztynie. Światło z powiększalnika wsiąka w światłoczuły papier. Fale siarczanu sodu wymieszane z bromkiem potasu i wodą uwalniają obraz. Powoli, stopniowo, papier kołysze się w roztworze i wypływa na powierzchnię. Światło znowu spotyka się ze światłem.

Na żyłce wisi nieruchomo szereg wilgotnych odbitek. Zafalowały lekko w podmuchu powietrza, kiedy drzwi otworzyły się i zaraz potem zamknęły. Kobieta w ogródku. Czerń i biel sprowadziły wszystko do podstawowych części składowych. Kobieta ma białą sukienkę i czarne włosy. Zrywa blade róże. Krzewy dookoła są czarne jak węgiel. Mleczno-biała twarz, usta i oczy jak mroczne cienie. Odwraca się do aparatu. Ma roztargnione, nieobecne spojrzenie. Siedzi na białym krześle z otwartą książką na kolanach. Tuż obok siedzi smolście czarny kot. Kobieta położyła mu na grzbiecie jasną rękę. Ta sama kobieta sfotografowana przez otwarte okno. Trzyma coś w ręce. Ma rozpuszczone włosy. Porusza ręką. Czesze się, czesze. Ręka wędruje w dół po włosach od czubka głowy.

Jimmy uważnie przygląda się fotografiom. Jest zadowolony. Warto było wydać tyle pieniędzy na teleobiektyw. Ojciec znowu miał rację. Znowu bredził o tym, że do wszystkiego trzeba zawsze podchodzić jak najbardziej poważnie. „Jeśli coś warto zrobić, to warto zrobić to dobrze” – powtarzał bez przerwy, jakby to była jakaś mantra. Zaproponował kurs fotograficzny. Jimmy jęczał, narzekał i najchętniej by odmówił, skoro jednak stary chciał za wszystko płacić, to właściwie niby dlaczego miałby nie skorzystać? Ojciec kupił mu już przecież mercedesa, żeby Jimmy mógł ruszyć z miejsca ze swoim szoferowaniem. Stać go było na to. Te wszystkie szkaradne domy, które budował w zachodniej części hrabstwa Dublin...

Kurs trochę go zaskoczył. Był trudny, albo raczej wymagający – tak się chyba mówiło. Całkiem inaczej niż w szkole. Szkoła to była kompletna strata czasu. Na samo wspomnienie od razu zaczynał ziewać. Przepisy, dyscyplina, ci wszyscy idioci, z którymi musiał przebywać. Nauka nie sprawiała mu najmniejszych problemów – gdyby tylko zechciał, bez trudu zostałby prymusem, ale po co? Nienawidził nauczycieli. Albo pedały, które uśmiechały się do niego oblesnie, albo lenie i obiboki, myślący wyłącznie o rugby i atrakcyjnych żonach czekających na nich w domkach z zadbanymi ogródkami.

Z kobietą, która prowadziła kurs fotograficzny, sprawy miały się całkiem inaczej. Była Angielką, przyjechała z południa, z jakiegoś nudnego nadmorskiego miasteczka. Miała obsesję na punkcie zachodniej części kraju. Marzyła o tym, żeby pojechać do Connemara, fotografować torfowiska i kamienne kręgi. Poza tym była w porządku. Znała się na swojej robocie. Potrafiła odpowiedzieć na każde pytanie, a w dodatku była bardzo ładna: niewysoka, szczupła w talii,

z lśniącymi brązowymi, ostrzyżonymi po chłopięcemu włosami. Na zakończenie kursu poszli całą grupą na drinka do Tempie Bar. Mała Pani Instruktorka kompletnie nawaliła się tequila. Wyglądała jak postać z filmu z Doris Day z lat pięćdziesiątych. Dokonała się w niej przemiana. Zdjęła okulary i zaczęła śpiewać piosenki Billie Holiday, które tak uwielbiała. Była niesamowita. Wędrowała posuwistym krokiem po ladzie, wypinała małe cycki, podsuwała mu cipkę pod sam nos. Ma się rozumieć, zaproponował, że odwiezie ją do domu. Zerznął ją w samochodzie, a potem drugi raz w holu, a potem zawlókł ją na piętro, do sypialni. Dobrze zabawił się tej nocy. Była tak pijana, że nawet nie pisnęła.

Zdjął jedną z odbitek, położył ją na stole pod lampą, wziął do ręki szkło powiększające i zaczął powoli, systematycznie przesuwając je nad błyszczącym papierem. Podobizna kobiety rosła i malała. Podobało mu się, kiedy część jej twarzy była ogromna, część zaś maleńka. Była wtedy brzydka, zniekształcona. Dokładnie obejrzał zdjęcie w poszukiwaniu ewentualnych niedoskonałości technicznych, ale żadnych nie znalazł. Z wyjątkowo udanego negatywu uzyskał wyjątkowo udaną odbitkę. Żadnych rys ani skaz. Po prostu doskonale zdjęcie, dobrze skomponowane i poddane właściwej obróbce.

Wyjął z portfela jedną ze swoich ulubionych fotografii. Była niewielka, jakieś osiem na pięć centymetrów. Białe paski wzdłuż krawędzi przycięto na gilotyńce o falistym ostrzu. Zdjęcie przedstawiało dziewczynę z dzieckiem. Dziewczyna była bardzo młoda. Wyglądała na dwanaście, najwyżej trzynaście lat. Możliwe, że była w tym samym wieku, co Molly teraz. Miała grzywkę oraz długie, proste jasne włosy. Nosek był lekko zadarty. Ubrana w koszulę nocną z falbanką przy szyi. Dziecko było zawinięte w koc. Choć malutkie, sprawiało wrażenie zbyt dużego i za ciężkiego dla chudych, niemal kościstych ramion. Miało otwartą buzię, spod koca wysunęła się drobniutka rączka. Przyjrzał się jej przez szkło powiększające. Dołeczki na wierzchu dłoni, wygięty do tyłu kciuk, długi paznokieć. Na delikatnym nadgarstku widniało brązowe, lekko rozmazane znamię. Przyjrzał mu się przez lupę, następnie spojrzął na swój nadgarstek. Znamię było teraz oczywiście większe, wciąż jednak miało taki sam kształt.

Znalazł to zdjęcie przed wielu laty. W szopie w najdalszym kącie ogródka, w metalowej skrzyni wypełnionej starą zastawą, poobijanymi patelniami, różnymi kuchennymi drobiazgami. Było to wkrótce po tym, gdy powrócili do Dublina. Skrzynia przyjechała z nimi. Pamiętał, jak zdejmowano ją z wielkiej ciężarówki razem z meblami. Ciężarówka przywiozła wszystko, co znajdowało się w ich mieszkaniu w Manchesterze.

Był listopad, w szopie panował chłód. Przez małe okienko widział sznur na bieliznę obwieszony mokrymi poszewkami i prześcieradłami. Z komina wydobywał się szary dym, spływał w dół razem z mgłą ku stertom zgrabionych przez ojca liści. Jimmy zamierzał później porzucić je po całym ogrodzie, żeby ojciec musiał zacząć od początku. Kopnął drzwi. Zatrzęsły się, lecz nie ustąpiły. Były zaryglowane od zewnątrz. Matka to zrobiła. Słyszał jej

oddalające się szybko kroki, delikatny stukot wysokich obcasów na betonowej ścieżce. Nienawidzę cię, ty cholerna suko, ty krowo, wrzeszczał za nią, ale nie zareagowała.

To nie było w porządku. Przecież nie tylko on kradł w szkole. W jego klasie wszyscy to robili, ale tylko jego przyłapano na tym, jak zabierał młodszym uczniom pieniądze, które dostali od rodziców na drugie śniadanie. Jego wychowawca, brat Miley, zadzwonił do domu, a ona zaraz po niego przyjechała. Miała na sobie nowe futro z norek, o którym opowiadała na lewo i prawo. Gdy tylko znikli nauczycielowi z oczu, uderzyła go na odlew w twarz. Pierścionek zahaczył o ucho, łyzy stanęły mu w oczach, ale się nie rozplakał. Nie przy niej. W domu natychmiast chwyciła go za krawat, wywlokła z samochodu, nie zważając na krzyki i wrzaski przeciągnęła do ogrodu, obrzucając go najgorszymi wyzwiskami zawlokła do szopy, wepchnęła do środka i zatrzasnęła drzwi.

Robiła to już wcześniej, lecz tym razem to był ostatni raz. Może i miał tylko dwanaście lat, ale był wysoki, tak wysoki jak ona. Już niedługo, kiedy spróbuje go uderzyć, on też ją uderzy. Tymczasem jednak było zimno, chciało mu się jeść i robiło się coraz ciemniej. Może w skrzyni będzie coś do jedzenia? Na przykład jakaś zapomniana paczka herbatników. Ukląkł i tak długo grzebał wśród owiniętych w gazety kubków, filiżanek i półmisek, aż wreszcie dotarł do dna skrzyni. Leżał tam stary fartuch, pełniący funkcję amortyzującej wyściółki. Wyjął go, strzepnął. Materiał był wilgotny, na wzorze w słoneczniki pojawiły się plamy pleśni. Wsunął rękę do pojedynczej kwadratowej kieszeni i jego palce zacisnęły się na czymś małym i śliskim. Obejrzał to uważnie w dogasającym świetle, po czym schował do kieszeni spodni. Ponownie kopnął drzwi, znacznie mocniej niż poprzednio, aż zabołał go paluch. Rygiel ustąpił, drzwi otworzyły się z hukiem, rąbnęły o ścianę szopy.

Na piętrze ukrył się pod łóżkiem Tiny, tam gdzie było ciemno i bezpiecznie. Jeszcze nie wróciła z pracy, ale wkrótce wróci. Wyobrażał sobie jej zbliżające się nogi, umięśnione łydki opięte rajstopami. Jeżeli podejdzie wystarczająco blisko, może zobaczy nawet drobniutkie czarne włoski prześwitujące przez cienki nylon. Miał wielką ochotę, żeby wyciągnąć rękę i pogłaskać ją po nogach, ale nie wolno mu było tego robić. Już nie. Kiedy był mały, kąpała się z nim, brała go do łóżka, obejmowała i przytulała, jak tylko jednak zaczął chodzić do szkoły średniej, powiedziała mu, że jest już na to za duży i że siostry nie powinny sypiać z braćmi w jego wieku. Przekonał się jednak, że jeśli jest bardzo ostrożny i zachowuje się naprawdę cicho, to może ukryć się pod jej łóżkiem albo w szafce na bieliznę w łazience. Patrzył stamtąd przez szpary między drzwiczkami, jak Tina się myje, jak mydliny spływają po jej białym ciele, głęboką szparą między piersiami, po fałdach na brzuchu, po gęstwinie czarnych kręconych włosów, po potężnych udach.

Zapłonęło światło, stopy ruszyły w jego kierunku po dywanie. Usiadła na łóżku, sprężyny wygięły się nad jego głową. Wyjął z kieszeni fotografię, położył ją przed sobą na zakurzonej podłodze. Dlaczego tak go wtedy trzymała? Był bardzo mały, chyba niedawno się urodził.

Dlaczego miała na sobie koszulę nocną?

Zastanawiał się nad tym i zastanawiał. On też ukrył fotografię, w swoim pokoju, w drewnianym piórniku pod obluzowaną klapką. Parę razy zamierzał ją o to zapytać, ale ilekroć próbował usiąść jej na kolanach albo zarzucić ramiona na szyję, gdy siedziała na kanapie, zawsze go odpychała. Aż wreszcie i tak wszystkiego się dowiedział. W szkole, na boisku, podczas przerwy. Wkrótce po swoich trzynastych urodzinach. Od tego gnojka Petera Cooneya. Przy wszystkich. Oczywiście mu nie uwierzył, no bo skąd Cooney miałby niby wiedzieć, że starsza siostra Jimmy'ego jest w rzeczywistości jego matką? Z podsłuchanej rozmowy telefonicznej matki z panią O'Brien. Kłamiesz, kłamiesz, kłamiesz, wrzasnął i rzucił się na niego głową naprzód, tak że Cooney runął na boisko z zakrwawionym nosem, ale nie przestał powtarzać, nie przestał wykrzykiwać: Fitzer to bękart, Fitzer to bękart, Fitzer to bękart! Wykrzykiwał to jeszcze wtedy, kiedy Jimmy z całej siły kopnął go w jaja. Chwilę potem dołączyli się inni, ciągnęli go za włosy, szarpali za sweter, wrzeszczeli chórem, zupełnie jakby od dawna to ćwiczyli, jakby od dawna o tym wiedzieli, aż wreszcie przybiegł pan Linehan, który akurat miał dyżur, złapał go i przytrzymał do chwili, aż po Cooneya przyjechała karetka.

Nie pojawił się już więcej w tej szkole. Kobiecie, która kazała mu mówić do siebie „mamo”, nie wspomniał ani słowem o tym incydencie. Wkrótce potem przeprowadzili się z nędznego segmentu w Booterstown do dużego domu w Killiney, gdzie mieszkali do dzisiaj. Niebawem przyszła na świat Molly. Wysłali go do szkoły z internatem, a on spędzał tam czas, śniąc na jawie. Prawie z nimi nie rozmawiał, z wyjątkiem Molly, i wciąż trzymał w ukryciu fotografię. Tina nie przeprowadziła się z nimi, zamieszkała samotnie w mieście. Niekiedy w weekendy albo podczas ferii śledził ją, gdy szła z pracy do pubu, by spotkać się z przyjaciółmi, a potem wracała do mieszkania. Był w tym świetny. Nigdy go nie zauważyła. A potem się zaręczyła.

Trzymał zdjęcie kciukiem i palcem wskazującym, pocierał je, głaskał. Wreszcie schował do portfela. Włączył nieduży elektryczny czajnik, który trzymał tu, w ciemni. Chciało mu się pić. Zdjął z półki kolorowe pudełko z herbatą ziołową Red Zinger. Wziął je z kuchni tej angielskiej dziewczyny tamtego wieczoru, kiedy poszedł nalać sobie wody. Stało w otoczeniu rozmaitych przedziwnych artykułów spożywczych. Słoje wypełnione różnobarwnymi nasionami, ziołami, przyprawami... Zwróciło na siebie jego uwagę, ponieważ było takie wesołe i kolorowe. Przeczytał skład: hibiskus, skórka cytrynowa, cynamon, płatki róży. Kilka razy powtórzył głośno nazwę. Spływała mu po języku jak sorbet. Wyjął jedną torebkę i włożył do specjalnego kubka, o grubych ściankach, ciemnogrnatowego, z wielką literą J. Dostał go w minione święta od Molly, razem ze słoiczkiem miodu. Akurat przechodziła przez okres fascynacji Kubusiem Puchatkiem, w związku z czym na etykietce widniał wizerunek misia, a słowo „miód” było napisane „mjut”.

Zanucił pod nosem.

Z dzióbka buchała para. Wyłączył czajnik, nalał wrzątku do kubka, kilka razy podniósł i opuścił torebkę, następnie wrzucił ją do kosza. Dodał łyżeczkę miodu do ciemnoczerwonego płynu. Czekając, aż herbata wystygnie, otworzył szafkę z segregatorami, w której przechowywał swoje archiwum. Wyczytał kiedyś w podręczniku fotografowania, że bardzo przydaje się sprawny system archiwizowania zbiorów: albumy na negatywy, teczki na odbitki, indeks pozwalający szybko i sprawnie łączyć je w pary. Zastosował się do tych zaleceń, dzięki czemu teraz w każdej chwili mógł dotrzeć do dowolnego zdjęcia. To moja rodzina, myślał. Moi najbliżsi. Krew z krwi i kość z kości.

Kolejno wysuwał negatywy z kopert i oglądał pod światło. Tak, nie ulegało wątpliwości: przebył daleką drogę. Początkowo nie obchodziła go ani kompozycja, ani oświetlenie. Zależało mu wyłącznie na tym, by jak najszybciej utrwalić obraz na filmie. Niektóre z jego najwcześniejszych dokonań wywoływały teraz zażenowanie. Był idiotą, sądząc, że to takie łatwe. Stopniowo jednak, ucząc się na błędach, doskonalił swoje umiejętności. Każda kolejna wycieczka z aparatem dawała lepsze rezultaty. Angielka wiele go nauczyła. Cytowała amerykańskiego filozofa Schumachera, który napisał książkę zatytułowaną *Małe jest piękne*. Powtarzała, że podczas robienia zdjęć powinien zawsze o tym myśleć. Najważniejsze są pozornie drobne szczegóły. Znalazł tę książkę obok łóżka. Tej nocy położył obwolotę na jej brzuchu i zrobił zdjęcie. Nie obudziła jej nawet lampa błyskowa.

Zakończył inspekcję, schował wszystko, pozamykał. Umył kubek i odstawił go na półkę. Jeszcze raz spojrzął na najświeższe, schnące odbitki, po czym wyłączył światło i otworzył drewniane drzwi. Na zewnątrz panowała cisza, słychać było tylko szmer poruszanych wiatrem gałęzi sosen. Światło dawały jedynie rozrzucone w nieładzie po niebie gwiazdy, czuć było zapach grabionego siana i wilgotnej ziemi. Założył potężną kłódkę, przekręcił klucz, upewnił się, że jest zamknięta. Do następnego razu.

Rozdział 14

Czarny kot otarł się o łydki Margaret, prawie owinał się wokół nich, jeszcze raz, i jeszcze jeden, i jeszcze. Przy każdym nawrocie zahaczał ją wyprężonym, sztywnym ogonem. Opuściła rękę, przesunęła po lśniącym grzbiecie. Kot wygiął się w kabłąk, a następnie napał na dłoń twardą głową, szturchnął palce wrażliwym nosem, wreszcie położył się na kuchennej podłodze i przekręcił z boku na bok, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Pomasowała stopą miękką brzuszek. Tuż obok pustej moszny znajdowała się kępka białej sierści. Kiedy jej stopa zbliżyła się do tego miejsca, kot złapał za nią pazurami, chwilę później do pazurów dołączyły ostre jak igły zęby. Wycofała się pospiesznie, nie dość szybko jednak, ponieważ na podbiciu pojawiła się wążutka czerwona kreska.

Przyglądała się zadrapaniu i maleńkim kropelkom krwi, nanizanym na nie jak paciorki. Siły obronne organizmu przystąpiły do działania. Krew krzepła, białe ciała szykowały się do walki przeciwko bakteriom, najdalej za kilka godzin powinien zacząć się formować strup, tworząc ochronny pancerz, pod którym będzie rosła nowa skóra.

Rano zadzwonili z biura koronera. Zaproponowali przedsiębiorcę pogrzebowego. Poczyniono niezbędne ustalenia. Mary miała zostać pochowana pojutrze w tym samym grobie, w którym spoczywał jej ojciec. Msza żałobna będzie odprawiona o dziesiątej rano w kościele św. Patryka w Monkstown. Żadnych nekrologów w prasie. Żadnego zamieszania. Margaret powtórzyła to na głos i dla podkreślenia wagi swoich słów uderzyła pięścią w kuchenny stół. Żadnego zamieszania.

– Czy wszystko w porządku, pani doktor? – W drzwiach kuchni stała mocno zbudowana kobieta w białym stroju. – Przepraszam, jeśli przeszkadzam...

– Wcale nie przeszkadzasz... Sinead. – Margaret potrzebowała trochę czasu, żeby przypomnieć sobie imię. Wskazała krzesło stojące przy drugim końcu stołu. – Siadaj, proszę, napij się kawy. A może wolisz coś zimnego?

– Kawa będzie w sam raz.

Pielęgniarka ciężko opadła na krzesło, położyła na stole wypchaną skórzaną torbę. Margaret podała jej filiżankę z kawą i podsunęła czekoladowe ciasteczka.

– I jak? – zapytała.

– No cóż... – Kobieta niespiesznie pociągnęła łyk kawy, po czym wyjęła chusteczkę i otarła pot z czoła. – Morfina wiele zmieniła. Dzisiaj rano pani matka była w znacznie lepszym nastroju, może dlatego, że wreszcie mogła się wyspać. Wydaje mi się jednak, że wciąż dokuczają jej zatwardzenia. To dość często spotykany efekt uboczny morfiny. Ale sama pani wie, jaka ona jest. Nie lubi o tym rozmawiać, a kiedy pytam wprost, najzwyczajniej nie odpowiada.

Margaret skinęła głową.

– Rzeczywiście, nigdy nie chciała mówić o czynnościach fizjologicznych.

– Jak zresztą większość ludzi z jej pokolenia. Czasem tak bardzo się wstydzą, że przez to wręcz nie sposób im pomóc.

Zawstydzić, obudzić, przypomnieć, sprowokować, wstrząsnąć. A nawet jeszcze więcej, pomyślała Margaret. Cokolwiek, byle tylko rozbić skorupę zapomnienia.

– A rokowania? Może mi pani powiedzieć coś dokładniej?

Pielęgniarka ponownie otarła czoło.

– Raczej nie – odparła powoli i ostrożnie. – Może pół roku, może mniej... Ale nie powinniśmy o tym myśleć w kategoriach czasu. Staramy się zachęcać ludzi, by koncentrowali się na jakości, nie na ilości. Dla niektórych... – Umilkła na chwilę i pociągnęła kolejny łyk kawy. – Dla niektórych te tygodnie bywają naprawdę wspaniałe. Pełne emocjonalnych odkryć, niemal objawień, zrozumienia dla innych ludzi, mądrości i czułości. Dzieci i rodzice wreszcie odnajdują się po latach, wreszcie zaczynają ze sobą rozmawiać.

Sięgnęła po herbatnik. Kot wskoczył Margaret na kolana i oparł łapę na stole. Margaret masowała mu skórę za uszami. Przez kocie ciało przebiegały dreszcze rozkoszy, rozlegało się głośne mruczenie. Obnażone pazury zapadły w materiał sukienki.

Pielęgniarka zjadła ciasteczko, popiła kawą, wytarła usta chusteczką.

– Doktor Mitchell, wszyscy nie możemy wyjść z podziwu, jak wspaniale radzi sobie pani w tej okropnej sytuacji. Jeśli będzie pani potrzebowała jakiegokolwiek pomocy, na przykład, by ktoś posiedział przy pani matce, proszę natychmiast dzwonić. Ma pani mój numer telefonu.

Margaret usiłowała się uśmiechnąć, starała się zmusić mięśnie twarzy, żeby ułożyły się w odpowiedni grymas. Otworzyła usta, by podziękować kobiecie za jej życzliwość, lecz nie zdołała wykrztusić ani słowa. Doskonale wiedziała, co powinna powiedzieć. Słyszała to w głowie, nie potrafiła jednak przełożyć myśli na czyny. Czuła się tak, jakby zamknięto ją w szklanej klatce. Gdzieś na zewnątrz był cały świat, w środku jednak panowały mrok, chłód i cisza.

A potem zadzwonił telefon. Pielęgniarka poderwała się z krzesła, kot zeskoczył z kolan Margaret, zaczepiając pazurami o rajstopy.

– Odbiorę wychodząc – powiedziała pielęgniarka, nim jednak zdążyła sięgnąć po torebkę, telefon umilkł. – Nie znoszę, kiedy tak się dzieje. Później mało nie oszaleję, zastanawiając się, kto to mógł być.

Oszaleję. Zastanawiając się.

– Margaret. Margaret!

Niecierpliwie stukanie laski w podłogę. Catherine siedziała wyprostowana w fotelu przy oknie. Laska wciąż łomotała w podłogę.

Margaret stanęła w drzwiach.

– O co chodzi?

– Telefon. Kto dzwonił? Ktoś do mnie? Na pewno do mnie. Czy to John? Pewnie chciał uprzedzić, że nie zdąży na obiad do domu. Ostatnio wcale nie jada w domu. Za dużo pracuje. Jest ciągle zajęty. To był on, prawda? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Chciałam z nim porozmawiać.
– Jej głos wspinał się na coraz wyższe histeryczne rejestry. – Dlaczego nigdy niczego mi nie mówisz?

Zrobiła sobie makijaż. Jaskrawoniebieski cień na pomarszczonych powiekach, brązowy puder na zapadniętych policzkach, szkarłatna szminka na wąskich ustach i wokół nich. Maska smutnego clowna.

– To tylko pomyłka, mamo.

Zamknęła za sobą drzwi i wpatrzyła się w aparat. Nowoczesny plastikowy model, zupełnie nie na miejscu na wiktoriańskim stoliku, wyposażony we wszystkie nowinki techniczne: ponowne wybieranie numeru, zawieszanie rozmowy, pamięć, automatyczną sekretarkę. Kiedy dzwonił, w obudowie migało światełko. Tak jak teraz. Miało migać tak długo, aż wreszcie ktoś podniesie słuchawkę. Jak małe latarnia morska ostrzegająca przed niebezpieczeństwem.

– Margaret! – Zza drzwi ponownie dobiegł stłumiony, zaniepokojony głos. – Margaret, odbierz wreszcie! To John. Wiem, że to on.

Podniosła słuchawkę. Niemal natychmiast usłyszała ciche kliknięcie, potem zaś rozległ się dziewczęcy głos, pogodny, szczęśliwy:

*Mały ze mnie dzbanuszek, pękaty, milutki,
To jest moja rączka, a to dzióbek krótki.
Gdy herbata gotowa, krzyczę wniebogłoso...*

Krótką przerwę, a potem znowu głos Mary:

– Teraz twoja kolej.

Szelest przesuwającej się taśmy. I cisza.

Margaret poprawiła się na twardym krześle. Wystroiła się na pierwszy szkolny koncert Mary. Opuchnięte stopy ledwo mieściły się w skórzanych pantoflach. Kusiło ją, żeby je zrzucić i przycisnąć podeszwy i palce do chłodnej posadzki.

Spojrzała przez wysokie okna szkolnego holu. Boisko do krykieta zamieniło się w suche, wypalone klepisko, podobnie jak rozciągający się za nim, lekko pofalowany trawnik. Nie wolno nam tam chodzić, poinformowała ją Mary. Wolno tylko starszym chłopcom, kiedy ucieknie im piłka. Jeszcze dalej, w poprzek zbocza kolejnego wzniesienia, biegły równe rzędy krzewów tworzących winnicę pani Begavitch. Dzieciaki mówiły na nią „Begabitch”. [Bitch (ang.) – suka] Mary wyszeptala jej to na ucho, chichocząc nerwowo, przejęta własną odwagą. Dobiegający

z winnicy klekot kołatek i wiatraków mających odstraszać ptaki był tak głośny, że Margaret słyszała go mimo panującej w holu wrzawy. Wzdłuż rzędów winorośli wisiały na sznurkach puste puszki i butelki, kiedy zaś i to nie pomagało, właścicielka osobiście wyruszała na obchód ze strzelbą, we wzorzystej sukience, w gumiakach, z głową owiniętą chustką w różowe i szkarłatne róże. Zjawiła się tu, nad brzegiem Oceanu Spokojnego, tuż po drugiej wojnie światowej, która zrównała z ziemią jej rodzinną wieś w Jugosławii. Chociaż od tamtej chwili minęło już tyle lat, wciąż żyła poza nawiasem miejscowej społeczności.

Publiczność umilkła, kiedy na estradzie pojawił się pan Gibson, dyrektor szkoły, i zapowiedział występ chóru. Dzieci wykonały pieśń Maorysów; słodkie, wysokie głosiki zupełnie nie pasowały do mrocznego tekstu. Królowa Elżbieta spoglądała dobrotliwie z wiszącego na ścianie portretu, spowita w powłóczysty błękitny płaszcz, na którym rozkwitała słoneczna brylantowa gwiazda. Oklaski wybuchły niczym huk przyboju roztrzaskującego się na przybrzeżnych skałach, głowy pochylały się ku sobie, wymieniano pochlebne komentarze. Czyjaś dumna i wzruszona babcia otarła ukradkiem łzę. Na scenie kolejno pojawiali się chłopcy i dziewczęta. Wszystkich witała burza oklasków, wykrzykiwano słowa zachęty, niektórzy głośno dziwili się rodzinnemu podobieństwu. Starsi bracia i siostry wprowadzali młodsze rodzeństwo. Nastąpiła chwila smutku, kiedy modlono się za dziecko, które umarło na białaczkę. Margaret zwróciła uwagę na brak tradycyjnych odniesień do Najświętszej Marii albo Ducha Świętego – była tylko prosta prośba skierowana bezpośrednio do Boga. A potem pojawiła się Mary. Margaret odruchowo napięła mięśnie, zacisnęła palce. Dziewczynka dygnęła, czerwone wstążki wplecione w czarne kędziory podskoczyły gwałtownie. Małe stopki w białych skarpetkach i pantofelkach stały pewnie na scenie. Śpiewała spokojnie, ilustrując piosenkę pewnymi, opanowanymi gestami. Kiedy otwierała szeroko usta, widać było puste miejsce po dwóch przednich zębach. Margaret wiedziała, że w kieszonce sukienki spoczywa błyszcząca moneta. Minionego wieczoru włożyła ją tam dobra wróżka, zabierając w zamian oba ząbki. Gdy tylko występ dobiegł końca, Margaret zaczęła klaskać co sił. Bolały ją dłonie, oczy wypełniły się łzami. Po raz pierwszy dostrzegła, jak bardzo Mary przypomina ojca. Nie tylko z koloru włosów i cery, ale z całej sylwetki, z ruchów, z zachowania. Łzy piekły ją w oczy, gardło ścisnęła stalowa obręcz. Zupełnie jak teraz.

Mary! – wykrzyknęła w duchu. Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego? Co takiego zrobiłaś?

Znowu głos zza drzwi, jękliwy, rozdrażniony:

– Dlaczego nigdy mi nie mówisz, kto dzwoni? Przecież to ciągle mój dom!

Otarła łzy, podniosła się z klęczek, otworzyła drzwi.

– To był John, prawda? Nie próbuj mnie oszukiwać.

– Mamo, dlaczego nie chciałaś, żebym przyjechała na pogrzeb taty?

Miała wrażenie, że jej głos dobiega z wielkiego oddalenia. Catherine spojrzała na nią

zupełnie przytomnym wzrokiem.

– Bo nie. To ja się nim opiekowałam. Kochałam go. Dopóki żył, chciał tylko mnie. Dlaczego po śmierci miałoby być inaczej?

Margaret odwróciła się i odeszła szybko, byle dalej od tego głosu, od gniewu. Wspięła się po schodach, weszła do pokoju Mary. Wciąż wyglądał tak jak w tamtą sobotę. Zabrały z Nowej Zelandii tylko najpotrzebniejsze rzeczy, niemniej Mary udało się przemycić kolekcję pocztówek, fotografii powycinanych z czasopism, zasuszonych kwiatków, taniej biżuterii, zaczytanych książek. Zawsze lubiła wszystko gromadzić. Kiedy była mała, Margaret regularnie dokonywała przeglądu jej szkolnej torby i nie zważając na protesty, wyrzucała zebrane na plaży kamyczki, opakowania od gumy do żucia, muszelki, liściki od koleżanek, zwiędłe jabłka, resztki kanapek. Przez pewien czas to samo robiła z jej kieszeniami, aż wreszcie Mary zarzuciła jej wścibstwo i natręctwo. Jednak teraz, grzebiąc w jej rzeczach, nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia. Kolejno otwierała książki, wyjmowała kasety z pudełek, wyrzucała ubrania na podłogę. Szukała pod poźółkłymi gazetami, którymi były wyłożone półki, pod wykładziną, za zasłonami, pod materacem. Ściągnęła nawet poszewkę z poduszki – coś białego wysypało się na podłogę. Rzuciła się na kolana, zgarnęła to na rękę, powąchała. Tylko lawenda, nic więcej. Po prostu biała lawenda.

Opadła bez sił na skotłowane łóżko. Zapach lawendy mieszał się z wonią kurzu. Przekręciła się na bok, podkuliła kolana, objęła poduszkę. Potrzebowała kogoś, kto by ją przytulił. Potrzebowała ojca Mary. Zamknęła oczy. Dobrze wiedziała, kiedy Mary została poczęta. Co prawda jej medyczne doświadczenie podpowiadało jej, że to niemożliwe, ona jednak wiedziała na pewno. Czuła się inaczej, była ociężała, jej ciało stało się jakby obce, wydzielalo jego zapach. Patrząc na siebie w lustrze, patrzyła na niego, patrząc na swoje ręce, widziała jego ręce. Na prawej piersi miała siniak w kształcie motyla. Pamiętała, że całowała go całego, od stóp do głowy. Zatrzymała się przy znakach na prawym udzie. Trzy małe czerwone kółeczka ustawione w linii prostej. Mary miała na nodze takie same.

Wiesz, co to jest? To Pas Oriona. Tak jak w gwiazdozbiornie. Jaki piękny jest zimą.

Tak samo jak ty, powiedział, i wciągnął ją na siebie, pieścił i całował jej piersi, pieścił, całował i lizał ją całą, aż wreszcie oboje nie mogli już dłużej wytrzymać.

– Potrzebuję cię – powiedziała głośno. Dlaczego cię tutaj nie ma? Dlaczego mi nie pomożesz? Usiłowała sama się pocieszyć, ale nie było dla niej pocieszenia, nie było wybawienia, nie było pomocy. Ani dla niej, ani dla Mary. Już nie.

Rozdział 15

McLoughlin odchylił się do tyłu razem z krzesłem i skrzyżował stopy. Szósta wieczorem we wtorek, piętnastego sierpnia. Kolejny piękny dzień. Dwadzieścia dwa stopnie i ani chmurki na niebie. Nie powinniśmy siedzieć w pubie, wdychać odoru dymu, potu, sera i cebulowych chipsów, pomyślał. Powinniśmy być na morzu, gdzie łagodna trójka wypełnia żagle, a słońce powietrze pompuje w płuca czystą radość.

Odszukał wzrokiem Dave'a Finneya przepychającego się przez tłum z tacą zastawioną kufkami z piwem. Finney był całkiem porządnym chłopakiem, naturalnie wtedy, kiedy nie stawał się znanym upierdliwym. Przystojny, uroczy. Podchmieleni bywalcy pubu rozstępowali się przed nim jak Morze Czerwone przed Mojżeszem, on zaś obdarzał ich promiennym uśmiechem. Spryciarz. Dobrze wie, kiedy odgrywać „swojego chłopaka”, a kiedy maminsynka. Ja też kiedyś wiedziałem. Dawno temu.

Dokoła siedzieli pozostali członkowie zespołu. McLoughlin zaprosił ich wszystkich na piwo. Po południu mieli pierwsze prawdziwe zebranie i udało im się trochę posunąć naprzód. Najważniejsze, myślał, żeby chłopcy przez cały czas wiedzieli o wszystkim, co się dzieje. To dobre dla morale. Trzeba z nimi pogadać, pożartować, podzielić się najświeższymi plotkami.

Wziął od Finneya swój kufel, zaczekał, aż uczynią to pozostali, podniósł i pociągnął tegi łyk. Potrzebował tego. Potrzebował wielu takich łyków. Zbyt wielu, ale na to nic już nie mógł poradzić.

Odstawił kufel i sięgnął po papierosa.

– Więc co pan tak naprawdę myśli?

– O czym?

Finney zapalił papierosa, po czym zdmuchnął zapałkę krótkim dmuchnięciem z kącika ust.

– O nim albo o niej.

– Raczej o nim, sądząc po sile ciosu, od którego zginęła dziewczyna.

Raport anatomopatologa nie był przyjemną lekturą, zresztą jak zwykle. Ktoś zmiażdżył jej czaszkę, przypuszczalnie pięścią. Przerwaniu uległa środkowa tętnica oponowa. Dziewczyna straciła natychmiast przytomność, a potem może i odzyskała ją na parę godzin, ale zgon był nieunikniony. Usiłował sobie wyobrazić ból, jaki sprawiały jej inne obrażenia. Rany tłuczone i szarpane w rejonie pochwy i odbytu. Wsadzano w nią jakiś twardy przedmiot – może kij od szczotki, może nóż. Na udach, piersiach i brzuchu miała ślady po papierosach, dokoła sutków wykonano owalne nacięcia. Włosy łonowe oraz na głowie zostały krótko obcięte, przypuszczalnie zwykłymi kuchennymi nożyczkami, dużymi, ale niezbyt ostrymi. Pozostałe rany cięte i klute zadano skalpelem lub ostrym nożem. Sądząc po obtarciach i siniakach na kostkach i nadgarstkach, była skuta kajdankami albo związana łańcuchem. McLoughlin powiesił jej

zdjęcia na tablicach informacyjnych w pokoju. Barwy – żółta, niebieska, sina, czarna, zielonkawa – kontrastowały krzykliwie z szaroburą monotonią ścian, sufitu i podłogi. Żebyśmy pamiętali, z czym mamy do czynienia, myślał. Żebyśmy nie zapomnieli, co ten drań zrobił.

– Miał trochę pecha, palant.

– To znaczy?

– No, na pewno nie przypuszczał, że tak szybko ją znajdziemy.

Nie „my”, tylko staruszek z małym wścibskim pieskiem, przemknęło McLoughlinowi przez głowę.

– Co zresztą w gruncie rzeczy niewiele zmienia – dodał Finney – bo i tak oprócz ciała właściwie niczego tam nie znaleźliśmy.

– O czym to świadczy?

– Że albo jest sprytny i wszystko zaplanował, albo po prostu ma szczęście.

– Jak myślisz, ile czasu minęło od chwili, kiedy ją zamordował?

Finney uśmiechnął się. Dołki w jego policzkach jeszcze się pogłębiły.

– No cóż, szefie... Stężenie pośmiertne zaczyna się jakieś sześć godzin po zgonie. Po dwunastu godzinach ciało jest zupełnie sztywne i pozostaje takie przez trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin. Albo więc wrzucił ją do kanału przed upływem sześciu godzin, albo po trzydziestu sześciu. Ta druga ewentualność raczej nie wchodzi w grę. Wynika więc z tego, że została znaleziona około czterech godzin po śmierci.

– Mądry chłopiec. – McLoughlin przepił do niego. – A teraz trudniejsze pytanie: czego możemy się dowiedzieć na podstawie jej obrażeń?

– Że to świr?

– Też. Przede wszystkim jednak tego, że nie boi się zbliżyć do ofiary, nie boi się pobrudzić rąk. Mógłby zabić ją nożem, ale tego nie zrobił. Postanowił uczynić to pięścią. Kość o kość.

– A może wcale nie miał takiego zamiaru?

– Myślisz, że chciał się tylko trochę zabawić?

– Dobrze pan wie, co myślę.

Rzeczywiście, McLoughlin wiedział. Niestety. Ale nie wiedział dlaczego. Już dawno zaprzestał prób zrozumienia okrucieństw, jakie mężczyźni zadawali swoim kobietom. Tego ranka przed zebraniem przejrzał teczkę wszystkich znanych przestępców seksualnych. Było ich około trzystu. Gwałciciele, mordercy, deprawatorzy, producenci pornografii. Przerzucał zdjęcia i opisy przestępstw. Każdemu zdjęciu poświęcił przynajmniej kilka sekund. Po tylu latach służby wciąż jeszcze się łudził, że potrafi powiedzieć, co siedzi w człowieku wyłącznie na podstawie jego wyglądu. Te naiwne oczekiwania nigdy się nie sprawdziły. Żaden z tych mężczyzn niczym się nie wyróżniał. Mógłby napić się z nimi piwa albo rozegrać w niedzielę partyjkę bilarda. Nie rozumiał, jak to możliwe. Goląc się codziennie rano, mógłby przysiąc, że widzi w spoglądającej

na niego z lustra twarzy zebrane przez całe życie grzechy, zaniedbania i kłamstwa. Czyżby każdy z tych ludzi miał na strychu swój portret, chłonący jak gąbka zbrodnie właściciela oraz ich tragiczne następstwa?

– Kto to powiedział, że zrozumieć znaczy tyle, co wybaczyć?

– Bo ja wiem? Chyba Jezus – odparł Finney. – A może matka dziewczyny? Wygląda na intelektualistkę.

– Bo jest nią, ale nie w głowie jej wybaczenie. Wczoraj mieliśmy bardzo ciekawą rozmowę.

– Naprawdę? – Finney uśmiechnął się z przekąsem. – Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, dlaczego pan sam do niej pojechał.

– Odczep się.– McLoughlin żartobliwie zamierzył się na niego kuflem. – Powiedziała stanowczo, że rehabilitacja przestępców seksualnych nie przynosi żadnych rezultatów. Pracowała kiedyś w szpitalu psychiatrycznym dla przestępców w Nowej Zelandii. Cała ta terapia, sesje grupowe i leczenie są diabła warte. Jej zdaniem sprawdza się wyłącznie kara.

Grymas na jej twarzy, gniew, nienawiść... Dobrze znał gniew, doskonale wiedział, do czego może zmusić człowieka. A do tego obosieczny miecz gwałtownych uczuć. Z jednej strony rozkosz, z drugiej rozpacz. W jego życiu z Janey była taka chwila, kiedy pragnął ją uderzyć, zetrzeć w proch, zmusić do milczenia. Walił pięścią w stół, kiedyś rzucił nawet w jej stronę ciężkim żeliwnym garnkiem. Na szczęście chybił, w garnku jednak do dzisiaj pozostało przypominające mu o tym zdarzeniu wgłębienie.

Istniała jednak zasadnicza różnica między takim gwałtownym wybuchem a systematyczną wyrachowaną brutalnością charakteryzującą wielu mężczyzn. Tak mu się przynajmniej wydawało. Rzecz jasna, w przypadku tych wszystkich burd rodzinnych, do których był wzywany – zazwyczaj przez matki albo sąsiadów, którzy mieli już dość hałasów – trudno byłoby wyznaczyć granicę między wściekłością a sadyzmem. Penis równie często bywał narzędziem zbrodni, jak pięść albo but. A jednak żaden z figurujących w policyjnych kartotekach przestępców nie wykazywał aż tak zimnego, wyrachowanego zezwierzęcenia jak osobnik, który zabił Mary Mitchell.

– Co jeszcze panu powiedziała, szefie? Coś o dziewczynie?

McLoughlin wzruszył ramionami.

– Raczej nie. Tylko tyle, że na pewno nie miała chłopaka i że z nikim się nie spotykała.

– To samo mówią te dzieciaki, z którymi wtedy była.

McLoughlin przeczytał ich zeznania, porównując z wyjaśnieniami, jakie złożyli, kiedy Mary była jeszcze oficjalnie uważana za zaginioną. Nie znalazł żadnych poważnych rozbieżności. Jedna z dziewcząt utrzymywała, że Mary piła malibu z sokiem ananasowym, druga, że jakąś nową alkoholizowaną lemoniadę. Chłopak, Gary Palmer, uważał, że wyszła z baru tuż po jedenastej; zdaniem obu dziewczyn było trochę wcześniej, może za pięć jedenasta. Jedyna

rzucająca się w oczy różnica między początkowymi wyjaśnieniami a zeznaniami, które złożyli po odnalezieniu zwłok, polegała na tym, że przy tej drugiej okazji nie spieszyli się już tak bardzo z zapewnieniami, że ją lubili. Wiedzieli, że na pewno nie wróci, i stali się bardziej szczerzy. W gruncie rzeczy nic do niej nie mieli, nie uważali ją za arogancką ani nieprzyjemną. Sądziły tylko, że jest zanadto zamknięta w sobie, że trudno nawiązać z nią kontakt, zupełnie jakby myślami cały czas przebywali gdzieś daleko. Sądziłyśmy, powiedziała dziewczyna imieniem Aoife, że to dlatego, iż jest cudzoziemką. I tyle.

Myślał o matce i córce, myślał o ojcu. Biolog morski, powiedziała. Sierota z domu dziecka. Bardzo zdolny. Prowadził badania dotyczące hodowli ostryg.

Dopił piwo.

– Dave, przynieś każdemu jeszcze po jednym, i po małej whisky.

Wręczył mu zwitek banknotów. Niektórzy zbierali się już do wyjścia. Bertie Lynch i John Casey. Mieli się przejść z kwestionariuszami po domach w okolicy George's Street. Będą tam wracać tak długo, aż się czegoś dowiedzą. Ktoś musiał coś zauważyć. Finney zdobył taśmę wideo ze sklepu i dokonał jeszcze kilku odkryć. Kamera przed Bankiem Centralnym zarejestrowała ją stojącą na stopniach między 23.05 i 23.20. Inna kamera, zainstalowana nad sygnalizatorami ulicznymi obok Bank of Ireland, uchwyciła ciemnowłosą dziewczynę i jasnowłosego mężczyznę w samochodzie podobnym do czarnego mercedesa.

Ponownie wrócił myślami do fotografii na tablicach. Na zbliżeniach głowy widać było wyraźnie, że ma przedziurawione uszy. Jej matka powiedziała mu, że nosiła srebrne kolczyki z muszelkami w kształcie ryb. Swoje ulubione. Na pewno założyła je tamtego wieczoru. Zatrzymała się w holu i poprawiała je przed lustrem. Oprócz tego na serdecznym palcu prawej ręki miała złoty pierścionek z maleńkim brylancikiem.

– Skąd go wzięła?

– Ode mnie, ma się rozumieć.

– Zabytkowy? Skinęła głową.

– Chociaż to, oczywiście, zależy od tego, co rozumie się przez zabytek. To była taka sobie błyskotka z okresu Edwarda VII, niewiele warta.

– A skąd pani go miała?

Milczała przez chwilę, po czym spytała:

– Czy to ważne?

– Być może.

– Dostałam od ojca na szesnaste urodziny. Przedtem należał do jego matki. Nie mieścił mi się na żaden palec, więc dałam go Mary. Kolczyki też dostała ode mnie, gdyby chciał pan wiedzieć. Na ostatnie urodziny.

Kolczyki i pierścionek zniknęły. Przeszukiwano już lombardy i sklepy z używaną biżuterią,

lecz jak na razie bez powodzenia.

Zniknęła również torebka. Miała ją, kiedy wychodziła z baru, matka utrzymywała, że Mary nigdzie się bez niej nie ruszała. Otrzymała ją w prezencie od swojej ulubionej nauczycielki baletu w Auckland. Była ciężka, z grubej brązowej skóry, trochę przypominała staromodny tornister, miała dwa paski i klamerkę. Nosiła w niej wszystko: baletki i kostium, kiedy szła na zajęcia, kosmetyki, notes, zdjęcia rodzinne, dziennik, rozmaite drobiazgi.

– Wciąż jej powtarzałam, że psuje sobie sylwetkę, nosząc ją przerzuconą przez ramię, ale ona mnie nie słuchała.

– Czy córka często pani nie słuchała?

– To nie pańska sprawa, inspektorze. Nie pańska sprawa.

Ona naprawdę nie rozumiała. Jeszcze do niej nie dotarło, że wszystko było jego sprawą. Wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły jej życia... tyle że to już nie było „jej” życie. Teraz to było ich życie. Wspólne. I miało takim pozostać aż do chwili, kiedy to wszystko się skończy.

Rozejrzał się, uświadomiwszy sobie nagle, że pub częściowo opustoszał. Finney postawił na stoliku piwa, obok rzucił resztę. Nie siadał, stał obok, bawiąc się kluczykami.

– Znikam, szefie. Robota czeka.

– Nie przyłączysz się?

– Nie dzisiaj.

– W gorącej wodzie kąpany, co?

Białe zęby Finneya błysnęły w drapieżnym uśmiechu.

– No dobrze, zmykaj. Do zobaczenia jutro. McLoughlin przysunął sobie kufel i szklaneczkę z whisky.

Potrzebował się napić. I pomyśleć. W jego przypadku czynności te były ze sobą nierozzerwalnie połączone.

Rozdział 16

Gałęzie krzewu różanego spływały kaskadami po rozsypującym się cmentarnym murze. Kwiaty były kremowe, z ledwo dostrzegalną domieszką różu. Przysunęła jeden z nich i rozchyliła płatki, odsłaniając złociste serce. Poczowała słodki zapach truskawek leciutko skropionych cytryną. Wciągnęła głęboko powietrze, przymknęła oczy, płatki musnęły jej policzki. Kiedy się wreszcie cofnęła, opadły na ziemię niczym wielkie, delikatnie zaróżowione śnieżynki.

Stojąca za nią Catherine rozglądała się bezradnie dookoła. Margaret wzięła ją za rękę.

– Mamo, pamiętasz, gdzie jest pochowany tata? Wcześniej była znacznie bardziej przytomna. Wyspała się, zjadła na lunch trochę rosółu i bez protestów połknęła tabletki.

– Chcesz pojechać na cmentarz? Pokażesz mi grób taty i wybierzemy miejsce dla Mary. Pojedziesz ze mną, mamo?

Catherine uśmiechnęła się i skinęła głową. Pozwoliła się ubrać i uczesać. Dzień był tak ciepły, że Margaret namówiła ją, by włożyła sukienkę z ładnego wzorzystego materiału, zapinaną z przodu na guziki. Nie obawiaj się, powiedziała, na wszelki wypadek wezmę szal.

Dozorca pokazał im na planie miejsce, w którym, jego zdaniem, powinien się znajdować grób Johna. Mierząc je badawczym spojrzeniem, które odrobinę zbyt długo wędrowało w okolicy gołych nóg Margaret, uprzedził je, żeby szły ostrożnie. Wandale dopuszczali się tam okropnych rzeczy. Oczywiście nie chce im niczego narzucać, ale byłoby lepiej, gdyby trzymały się głównych alejek. Podziękowała mu i wcisnęła do ręki trochę drobnych. Odprowadził je spojrzeniem: drobnutką staruszkę o zupełnie pustych oczach i młodszą kobietę, szczupłą, lecz bez wątpienia silną, o szarych oczach, ze spódnicą powiewającą wokół nóg. Kiedy sięgnął ręką po tkwiące w ustach cygareto, poczuł wyraźny zapach lawendy.

Cmentarz był zarośnięty i zaniedbany. Wysoka trawa kołysała się nad kamiennymi nagrobkami. Różnobarwne kwiaty upodabniały to miejsce do wiejskiego pastwiska usianego zagadkowymi skalnymi formacjami. Zza muru dobiegał przytłumiony szmer ulicznego ruchu, Margaret słyszała jednak tylko łomotanie swojego serca oraz skrzek zirytowanej sroki, przeskakującej nad ich głowami z gałęzi na gałąź.

Na końcu głównej alejki skręciły w lewo. Po obu stronach ścieżki wznosiły się duże grobowce i pomniki poprzedzielane cisami, których już od dawna nikt nie przycinał w regularne kształty. Na szczycie sarkofagu ozdobionego kamiennymi rozetami stał kamienny anioł z rozłożonymi do lotu skrzydłami. W jednej ręce dzierżył miecz, w drugiej tarczę. Kręcone włosy spływały łagodnie na twarz oszpeconą brakiem nosa. Jaka szkoda, pomyślała Margaret. Bez nosa wygląda jak ilustracja z książki medycznej, pokazująca skutki syfilisu. Jej ojca z pewnością rozbawiłoby takie skojarzenie. Nagle tak bardzo za nim zatęskniła, że odniosła wrażenie, iż serce przestało na jakiś czas bić w jej piersi.

Zeszła ze ścieżki, żeby dokładniej przyjrzeć się grobowcowi. Przesunęła palcami po częściowo zatartych inskrypcjach. Rodzina nazywała się Purefoy. Siedmioro dzieci i rodzice umarli w ciągu piętnastu lat. Najmłodsze, nazwane jedynie „chłopczykiem”, odeszło tego samego dnia co trzydziestotrzyletnia matka. Co za nieszczęście, przemknęło jej przez głowę. Gdyby wtedy znano antybiotyki, przypuszczalnie oboje by przeżyli.

Jej uwagę przykuł krzak róży. Brnąc ku niemu, potknęła się o jakiś twardy przedmiot. Po krótkim wahaniu schyliła się, pomacała w trawie i podniosła wieniec laurowy z kutego żelaza. Nieco dalej świeża mogiła tonęła pod stosem różnobarwnych kwiatów. Na jednej z szarf wyczytała słowo MATCE. Starła się nie myśleć o tym, co jest pod spodem, ale nieproszone obrazy i tak próbowały wpełznąć się jej do głowy.

– Pomocy! Pomocy!

Odwróciła się gwałtownie. Catherine zasłaniała sobie twarz dłońmi, ze strachu jeszcze bardziej zgarbiona niż zwykle. Tuż przed nią na ścieżce siedział nieruchomo beżpański kot o zmierzwionej matowej sierści. Kiedy Margaret klasnęła głośno, miauknął żałośnie i zniknął w kępie suchej strzępiastej trawy.

Wzięła matkę za rękę i poprowadziła w kierunku wskazanym przez dozorcę. Szły powoli, przystając co kilka kroków, żeby odczytać nazwiska na tablicach.

– Znam to miejsce. – Catherine spojrzała na nią zupełnie przytomnym wzrokiem. – Pamiętam.

Wykonany z białego marmuru grób Johna był na końcu bocznej alejki. John Patrick McKenna, 1910-1990, głosił napis, pod spodem zaś: Ukochany mąż Catherine. Spoczywaj w spokoju. Po bokach znajdowały się groby jego rodziców, Margaret i Thomasa, a także braci, Michaela i Eamonna. Nad nagrobkami szumiały cicho gałęzie rozłożystego dębu. W tym zakątku cmentarza było chłodno i ciemno. Gwałtowniejszy podmuch wiatru poderwał z ziemi miniaturową trąbę powietrzną pyłu i potargał rzadkie włosy Catherine. Gdzieś w pobliżu śpiewał kos przycupnięty na gałązce poskręcane wiąz.

– Słyszysz, Maggie? – zapytał John, wskazując na ptaka. – Ćwicz. Trenuje głos. Widocznie wieczorem daje recital w ptasiej filharmonii. Wszystkie się tam zjawiają: nakrapiane drozdy, wiecznie zaaferowane wróbelki, wrony w pięknych frakach, a nawet maleńki strzyżyk, który nie bardzo ma się w co ubrać.

– Czy my też możemy tam pójść, tatusiu?

– Obawiam się, że nie. Jesteśmy za duzi. Ale jeśli będziemy bardzo cicho, usłyszymy wszystko tu, gdzie teraz jesteśmy.

Nie mogła sobie przypomnieć, po co przyszli, pamiętała jednak, że przynieśli kwiaty: bukiet czerwonych róż. Znowu zaczęło padać. Krople deszczu były najpierw drobniutkie, prawie niezauważalne, potem stały się znacznie większe, tak że każda zostawiała wyraźny ślad na jej

białej bluzce. Ojciec zdjął marynarkę, rozpostarł ją nad głową, przyciągnął córkę bliżej. Dokoła leżała porozrzucana świeżo ścięta trawa. Margaret miała ogromną ochotę biegać po niej i rozrzucać ją stopami, tak jak robiła w domu, tutaj jednak, wśród tylu nieżywych ludzi spoczywających tuż pod powierzchnią ziemi, wydawało jej się to niestosowne.

– Tatusiu, co człowiek czuje, kiedy jest martwy?

– Przypuszczam, że jest zmęczony i senny. Tak jak wtedy, kiedy przez cały dzień bawisz się na plaży, pływasz i dokazujesz, a potem wracasz do domu, a ja robię ci wielki kubek kakao i przychodzę do twojego pokoju, żeby ci poczytać przed zaśnięciem, ale tobie oczy same się zamykają i zasypiasz przed końcem historyjki. Tak właśnie czuje się człowiek, który jest martwy, tyle że... – Umilkł na chwilę i spojrzał na nią. – Tyle że tak naprawdę to ja wcale tego nie wiem. A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo jeszcze żyję!

Wciąż trzymając marynarkę nad głową, zaczął obracać się, podskakiwać i tańczyć na ścieżce.

– Mamo?

– Tak?

– Czy byłaś z tatą, kiedy umierał?

– Oczywiście.

– Mówił coś o mnie?

– To się zdarzyło nagle. Po prostu przewrócił się po obiedzie i już nie wstał. Miał szczęście, nie czuł żadnego bólu.

Po zapadniętych, pomarszczonych policzkach popłynęły łzy. Margaret objęła ją za szczupłe ramiona, przytuliła mocno, pocałowała w głowę i ruszyła z powrotem do samochodu. Już nie miała do matki pretensji o obojętność, chłód, brak miłości. Kiedy przyszła na świat, ojciec miał czterdzieści lat, a matka trzydzieści. Catherine powiedziała jej kiedyś w napadzie złości, że wcale jej nie chciała. Pozabyłabym się ciebie, wrzeszczała, gdybym tylko mogła. Próbowałam, naprawdę próbowałam. Poszłam nawet do jednego lekarza, chciałam mu dużo zapłacić, ale odmówił. Nienawidziłam swojego ciała, takiego opuchniętego, wzdętego i obrzydliwego. A kiedy się urodziłaś było jeszcze gorzej. Na moich oczach zagarniałaś miłość, jaką obdarzał mnie twój ojciec. Patrzył tylko na ciebie. Mnie prawie przestał dostrzegać.

Bardzo się bała, że takie same uczucia będzie żywiła do swojej córki, Mary. Że będzie jej nienawidzić, że będzie jej zazdrościć. Że będzie ją traktowała jak pasożyta wysysającego z niej siły życiowe. Jak bardzo się ucieszyła, kiedy tak się nie stało. Zamiast nienawiści ogarnęła ją miłość – czysta, prosta i bezgraniczna. Wielokrotnie powtarzała córce, że w ich miłości nie ma żadnych „ale” i „może”. Że po prostu jest, na zawsze. Mary śmiała się wtedy i przytulała do niej. A czy może być inaczej, mamusiu? – pytała, chichocząc. Jak to dobrze, że nie miała o tym

najmniejszego pojęcia.

Stara kobieta u jej boku wciąż cichutko pochlipywała.

– Chcę do domu!

Margaret pocieszała ją przez całą drogę do samochodu, a potem usadowiła na tylnym siedzeniu i opatulila szalem jak dziecko. Była tym tak pochłonięta, że nie zwróciła uwagi na stojący nieopodal samochód o lustrzanych szybach, nie zauważyła jasnowłosego mężczyzny, który siedział za kierownicą i czytał książkę. Kiedy przechodziły przez cmentarną bramę, podniósł wzrok i uważnie przyglądał im się zza ciemnych okularów.

Rozdział 17

Notes z adresami leżał obok niego na fotelu pasażera. Wziął go do rąk i spojrzął na okładkę: kwiaty, owoce, liście i ptaki splecione w powtarzającym się wzorze w przytłumionych odcieniach błękitu, czerwieni, ochry i zieleni. Kosy z jaskrawymi kolorowymi plamami na piersiach trzymały w dziobach truskawki. Otworzył książkę, na skrzydełku obwoluty znajdował się podpis: „Złodziej truskawek”, Chintz 1883, projekt William Morris. Doskonale znał tę ilustrację. Pamiętał ręce matki trzymające igłę, wbijające ją w płótno. Książka ze wzorami na podstawie rysunków autorstwa Williama Morrisa leżała przez jakiś czas przy kominku, obok torby z motkami różnokolorowej włóczki. Szybko o niej zapomniała, podobnie jak o innych swoich szaleństwach. Torba trafiła w ręce Molly, która korzystała z niej podczas zajęć praktyczno-technicznych w szkole.

Powoli przewracał kartki. Każdemu listowi odpowiadał jakiś roślinny ornament. Rożdżeniec, róża, orlik, stokrotka... Każdy kolejny piękniejszy od poprzedniego. Dziecinne bazgrały pod i nad cieniutkimi kreseczkami. Na stronie z literą M wpis wykonany ręką dorosłej osoby: „Catherine McKenna, u której mieszkają w Irlandii Margaret i Mary Mitchell”, obok zaś adres i numer telefonu. A niżej, charakterem pisma Mary: „Nasz dom na tak długo, aż wrócimy do domu”.

Zerknął na zegarek. Zaparkował przed hotelem Shelbourne. Dzisiaj jego pasażerami było zamożne amerykańskie małżeństwo. Najpierw miał zawieźć ich na zakupy, potem do Wicklow przez Avondale, przez Vale of Clara do Glendalough, następnie z powrotem, zahaczając o wodospad Powerscourt, tak żeby zdążyli na kolację do Patricka Guilbauda. W bagażniku stała przenośna lodówka z dwiema butelkami szampana, pieczywem, wędzonym łososiem i innymi piknikowymi specjalami. Ponownie spojrzął na zegarek. Powinni byli zjawić się punktualnie o 10.00, a była już 10.22. Poprawił się nerwowo w skórzanym fotelu. Promienie słońca odbijały się od wypucowanej maski samochodu. W powietrzu czuć było ciężką woń spalin. Było już bardzo gorąco. Według prognoz temperatura miała osiągnąć dwadzieścia cztery stopnie i chyba już tyle było.

Włożył kompletny uniform: śnieżnobiałą koszulę, ciemny garnitur, czapkę z daszkiem. Rano wstał pół godziny wcześniej niż zwykle, żeby uprasować koszulę i spodnie. Woń pary buchającej z wilgotnego materiału kojarzyła mu się z zapachem świeżo upieczonego chleba.

Przez chwilę bębnił palcami w kierownicę, potem zaczął naciskać przyciski radioodtwarzacza, przeskakując ze stacji na stację. Słyszał już dzisiaj wiadomości, ale o Mary nie wspomniano ani słowem. Z jednej strony był zadowolony, z drugiej zaś nieco rozczarowany. Tak dziwnie się czuł, kiedy wszędzie o niej mówiono, a we wszystkich gazetach pojawiły się jej fotografie... W pierwszym odruchu potraktował to jako naruszenie jego – i jej – prywatności, kiedy jednak wysłuchał dywagacji na temat „kto mógł popełnić tę odrażającą zbrodnię”, ogarnęło

go coś w rodzaju satysfakcji. W głosach reporterów słysząc było podniecenie. Oglądał ich w telewizji, słuchał w radiu. Wielu spośród nich było w jego wieku, żaden jednak nie dokonałby czegoś takiego.

Schował notes do kieszeni i wysiadł z samochodu. Obrotowe drzwi wpuściły go do chłodnego holu. Szybkim krokiem minął recepcję i wszedł do jednej z budek telefonicznych. Wsunął kartę w szczelinę, wystukał numer. Słuchając elektronicznego sygnału w słuchawce, usiłował sobie wyobrazić dźwięk dzwonka rozbrzmiewający w domowej ciszy. Wyraźnie widział wyblakłe czerwone drzwi, odłazącą płatomi farbę z okien, furtkę z kutego żelaza, żółte róże pnące się po frontowej ścianie. Zerwał jeden pączek, żeby zasuszyć go między książkami. Na pamiętkę.

Gdzie teraz jest? Co robi? Zapewne siedzi przy matce, albo robi kawę w kuchni, albo leży na leżaku w ogrodzie z nosem w książce. Wiedział na pewno, że myśli o nim.

– Halo?

Nie odpowiedział.

– Czy to ty?

Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Słyszę cię. Wiem, co myślisz.

Na pewno nie wiesz, odparł bezgłośnie.

– Proszę, odezwij się. Powiedz, kim jesteś.

Ręce miał mokre od potu, oddychał szybko i chrapliwie.

– Próbuję sobie wyobrazić, kim... czym jesteś. Zacisnął powieki. Krew pulsowała mu w żyłach.

– Nie jesteś człowiekiem, prawda? Nie przypominasz ani mnie, ani mojej córki. Jesteś odrażającym potworem żyjącym w ciemności. Wstrętnym, paskudnym, ohydny.

Włoski zjeżyły mu się na rękach, serce łomotało w szaleńczym tempie. Powoli kołysał się w przód i w tył.

– Czy łatwo było ją zabić?

Otworzył usta. Chciał się odezwać, ale nie mógł wykrztusić ani słowa.

– Co powiedziała przed śmiercią? Chcę wiedzieć. Powtórz mi. Słowo w słowo.

Zaraz potem zaczęła przeraźliwie krzyczeć, bez słów, to był tylko sam wrzask. Wepchnął sobie do ust niemal całą pięść, zacisnął zęby, ogarnięty trudnym do opisania, radosnym poczuciem siły. Kiedy umilkła, miał ochotę ryknąć, by nie przestawała, żeby robiła to dalej, że chce jej dalej słuchać, zamiast tego jednak odwiesił gwałtownie słuchawkę, wypadł z budki i pobiegł chwiejnym krokiem do toalety.

Kiedy wyszedł z powrotem w upalny dzień, czekali na niego przy samochodzie. Zupełnie do siebie nie pasowali. Mężczyzna wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat i przedstawił się jako Rod.

Miał długie siwiejące włosy zgarnięte do tyłu z wysokiego czoła i związane z tyłu w kucyk, skórę brązową i pomarszczoną. Górną część twarzy zasłaniały przyciemnione okulary w czarnych oprawkach, usta były duże i ostro zarysowane. Droga sportowa marynarka doskonale leżała na szerokich ramionach i baryłkowatej piersi. Jimmy obserwował ich we wstecznym lusterku. Kobieta nazywała się Liza. Ona również nosiła ciemne okulary. Miała krótko obcięte, srebrzyste włosy. Ubrana była w różowe lycrowe legginsy i różowy kusy top odsłaniający opalony brzuch. Złoty łańcuszek na szyi przy każdym ruchu przesuwiał się po brązowej skórze.

Siedzieli blisko siebie na tylnej kanapie. Ręce mężczyzny były duże i kształtne. Jedna z nich bez przerwy przesuwiała się po przyciskach i gałkach na drzwiach, druga zaś głaskała włosy i skórę kobiety. Duża, zadbana ręka opierała się na jej ramieniu, zsuwała się niżej, prawie dotykała piersi. Jimmy z trudem mógł się skoncentrować na tym, co działo się na drodze. Nie widział rąk kobiety, obserwował jednak twarz mężczyzny i widział, jak ten uśmiecha się z zadowoleniem.

Darujmy sobie zakupy, powiedział Rod, Jimmy jechał więc prosto Bray Road, wciskając mocno pedał gazu. Od czasu do czasu mężczyzna pochylał się do przodu i zadawał pytanie – nic ważnego, zazwyczaj chodziło mu o nazwę mijanej miejscowości, rzeki albo wzgórza. Kiedy mijali tablicę z napisem Avondale, mruknął:

– Tak, o tak, świetnie, Parnell...

Zaraz potem zaczął coś szeptać dziewczynie do ucha. Jimmy obserwował w lusterku, jak ruchliwy język dotyka małżowiny, jak dziewczyna coraz mocniej przywiera do niego całym ciałem. Zastanawiał się, czy powinien, czy może to zrobić. Mógłby zjechać z głównej szosy. Nawet by nie zauważyli. Mógłby udać, że złapali gumę, zatrzymać samochód, wysiąść, otworzyć bagażnik, wyjąć tyżkę do opon...

– Hej!

Rod poklepał go po ramieniu.

– Tak?

Częściowo odwrócił głowę, żeby usłyszeć, co tamten mówi do niego.

– Proszę tu zatrzymać.

Odprowadził ich wzrokiem, kiedy znikali w lesie: dziewczyna z kraciastym kocem przewieszonym przez ramię, mężczyzna z turystyczną lodówką w ręce. Zaczekał, aż się oddalą, po czym wysiadł, zamknął samochód i ostrożnie podążył za nimi.

Rozłożyli koc na małej polance jakieś dwieście metrów od szosy. Przez gałęzie rosnących dokoła gęsto sosen przeciskały się wąskie smugi słonecznego blasku. Jimmy rozsiadł się wygodnie na pniu zwalonego drzewa i czekał. Strzelił korek szampana, rozległy się śmiechy, potem zapadła cisza. Podkraść się bliżej. Bez ubrania dziewczyna była wręcz niezmiernie piękna, z jasnymi piersiami o różowych sutkach, mężczyzna zaś, mimo swego wieku, był doskonale

zbudowany. Serce Jimmy'ego uderzało coraz szybciej. Jęknął raz i drugi, oni też stękali, jęczeli, wreszcie któreś krzyknęło, zaraz potem drugie, tarzali się po kocu ciasno spleceni ramionami i nogami, tak że trudno było ich odróżnić. Tak, tak, tak, chciał do nich zawołać, ale tylko wepchnął sobie pięść do ust, by zatrzymać wzbierający w nim krzyk. Po raz pierwszy widział wszystko tak dokładnie. Do tej pory czasem mignęło mu coś przez okno albo w zaparkowanym samochodzie. Teraz było inaczej. I całkiem do końca, kiedy zobaczył, że dziewczyna wpatruje się w niego, dosiadając okrakiem mężczyzny i wyginając ciało w łuk, zupełnie jakby podsuwała jemu, Jimmy'emu, swoje piersi i usta.

Czekał na nich przy samochodzie. Wrócili zmęczeni, wręcz wyczerpani. Otworzył im tylne drzwi, koc i lodówkę schował do bagażnika. Rod wręczył mu zwitek banknotów, a następnie uśmiechnął się i poklepał go po policzku.

– Chyba możemy zerknąć na ten wodospad, o którym tyle tu wszyscy mówią – powiedział, wsiadając do samochodu.

Jadąc w kierunku Enniskerry, Jimmy wciąż obserwował pasażerów w lusterku, odczuwając zadowolenie z ich zadowolenia i zastanawiając się nad rolą, jaką całkiem przypadkowo mogli odegrać w jego życiu. Niewiele brakowało, żeby dzisiaj wszystko spieprzył. Precyzyjne planowanie stanowi podstawę sukcesu, tak zawsze powtarzał ojciec. I miał rację. Gdyby on, Jimmy, poddał się dzisiaj przemożnemu pragnieniu i zadziałał pod wpływem impulsu, byłby skończony. Z Mary wszystko szczegółowo zaplanował. Nie spieszył się. Pomysł pojawił się w jego głowie zaraz po tym, jak zobaczył ją po raz pierwszy, przed trzema tygodniami, po południu, zaraz po burzy. Zawsze ogarniała go wesołość, gdy o tym myślał. Znaki na niebie. Niebo otworzyło się, jaskrawe błyskawice kreśliły płomieniste zygzaki na tle czarnych chmur. Grube krople deszczu bębniły w dach samochodu. A ona pomachała ręką. Stała przy krawężniku, bluzka i spódniczka oblepiały jej ciało, z włosów spływała woda.

Mimo to śmiała się. Pamiętał jej sutki prześwitujące przez mokry materiał, podobne do tych twardych, lecz rozplływających się w ustach słodyczy, którymi dzieci objadały się podczas przyjęć urodzinowych. Od razu zapragnął zatopić w nich zęby, ale tego nie zrobił. Dał jej ręcznik, żeby wytarła sobie głowę. Poczęstował kawą z piersiówki, którą trzymał w schowku. Odwiózł ją do domu i umówił się z nią.

– Miło spędziła pani dzień? – zapytał Lizę, kiedy odwiózł ich do hotelu.

Uśmiechnęła się i na chwilę położyła rękę na jego ramieniu.

– Najważniejsze, żeby on był zadowolony – odparła, wskazując ruchem głowy na szerokie plecy Roda.

– Chce pani mój numer telefonu?

– Czemu nie?

Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki plik papierów i zaczął wśród nich szukać

wizytówki. Niespodziewanie wyciągnęła rękę i wyjęła mu z dłoni zdjęcie kobiety i dziewczynki.

– Kto to?

– Moja matka i siostra. Przyglądała się przez chwilę fotografii.

– Bardzo ładne – powiedziała wreszcie, przenosząc wzrok na jego twarz.

Odebrał jej zdjęcie. Na odwrocie widniał wykonany dziecięcą ręką podpis: „Ja i mamusia, Gwiazdka 1995”. Odbitka była mocno sfatygowana, z oddartym jednym narożnikiem. Nie powinna była nosić jej luzem w torebce, razem z grzebieniami, szminkami i mnóstwem innych rzeczy. Zaskoczyło go, że była taką bałaganiarą. W torebce znalazł nawet zjedzone do połówki jabłko, które częściowo rozsmarowało się na podniszczonej książce. Wylał ją starannie. *Songs of Innocence and Experience* Williama Blake’a. Na wewnętrznej stronie okładki napis czarnym atramentem: David Mitchell, Londyn 1972.

– To książka taty – powiedziała. – Jego ulubiony poeta. Mój zresztą też. Posłuchaj. – I przeczytała mu. To było chyba podczas drugiego spotkania.

*Ujrzyć świat cały w piasku ziarenku,
I niebo w dzikim kwiecie,
Schwytać bezkonec w rękę wyciągniętą,
I zamknąć wieczność w godzinie.*

– Podoba ci się? Ja to uwielbiam.

Zdjęcie powinno być w jej małym albumie, razem ze wszystkimi pozostałymi fotografiami matki i mężczyzny o pociągłej przystojnej twarzy, z kręconymi czarnymi włosami.

– A to jest mój tata. Tak żałuję, że zmarł, zanim się urodziłam, że go nie poznałam.

– Ja też nie znałem swojego ojca – powiedział, a ona pocałowała go w usta.

– A więc jeszcze jedna rzecz, która nas łączy... Przetrzęsając jej torebkę w poszukiwaniu kluczy, znalazł muszelkę. Ogarnęła go przemożna chęć, by przyłożyć ją do ucha i wsłuchać się w szum morza, odległego oceanu, o którym tyle mu opowiadała.

– Jest ciepły, ciemnoniebieski, a kiedy kładziesz się na wodzie twarzą ku słońcu i dajesz się unosić falom, wydaje ci się, że zmarłeś i trafiłeś do Nieba.

– Liza, co tam się dzieje? Jestem głodny!

Rod zatrzymał się przed obrotowymi drzwiami i odwrócił niecierpliwie w jej stronę. Złożyła wizytówkę Jimmy’ego na pół i wsunęła pod gumkę legginsów.

– Muszę bieć! – szepnęła. – Mam nadzieję, że bawiłeś się równie dobrze jak ja.

Gdyby tylko wiedziała, pomyślał. Gdyby wiedziała.

Rozdział 18

McLoughlin stanął w drzwiach długiego wysokiego pokoju. W prawej ręce ścisnął bukiet przywędłych białych chryzantem. Maskując poczucie winy sztucznym uśmiechem, ruszył powoli naprzód. Wokół dużego drewnianego stołu siedziało sześć kobiet i dwóch mężczyzn. Siwe włosy, różowe łysiny. Na półmiskach leżała kapusta, tłuczone ziemniaki, mięso pokrojone w plastry, tworząc szaro-zielono-brązową mieszaninę barw. Zapach jedzenia sprawił, że ślina napłynęła mu do ust, a żołądek skurczył się boleśnie. Szedł bardzo, bardzo powoli. Światło dnia z trudem przedzierało się przez brudne szyby, sześćdziesięciowatowe żarówki nad stołem niewiele mogły pomóc. Białe klosze były obficie upstrzone muszymi odchodami. Między lampami wisiła postrzępiona pajęczyna.

W pokoju panowała cisza. Od czasu do czasu słychać było jedynie brzęknięcie sztućców, odgłos nalewania wody lub przełykania. Z powykręcanej artretyzmem dłoni wysunęła się łyżeczka i spadła na podłogę. Z kuchni przyjechał wózek zastawiony naczyniami. Przez krótką chwilę, potrzebną na otwarcie dwuskrzydłowych drzwi, pomieszczenie wypełniły dźwięki radia. Na ekranie zainstalowanego wysoko na ścianie telewizora migotały kolorowe obrazki. Brudne, wychudzone, ciemnoskóre dzieci wołały coś bezgłośnie do świata, a potem inne dziecko, biała dobrze ubrana dziewczynka siedząca na futerale wiolonczeli, zdarła złocistą folię z czekoladowego batonika i włożyła go do ust. McLoughlin oblizał się nerwowo. Niemal czuł na podniebieniu słodką kruchość.

W pobrzękującej sztućcami ciszy, która powróciła do pokoju, rozległ się nowy odgłos, początkowo cichy i nieśmiały, stopniowo coraz bardziej natarczywy. Wzrok McLoughlina przesunął się coraz niżej, wreszcie padł na szybko powiększającą się kałużę na podłodze pod jednym z krzeseł. Siedząca na nim stara kobieta usiłowała trzymać stopy z dala od kałuży, nie udało jej się, rzuciła łyżkę na stół i rozpląkała się bezgłośnie. Po bladych policzkach popłynęły wielkie łzy.

Jej sąsiadka wstała powoli, z wysiłkiem, podpierając się laską. McLoughlin podał jej rękę; chwyciła ją tak mocno, jak pozwalały jej opuchnięte stawy i wyprostowała się z trudem. Pochylił się, musnął ustami jej policzek. Z bliska zapach Chanel No. 5 był silniejszy od smrodu kapusty i moczu.

– Chodź – powiedziała. – Pójdziemy zapalić.

– Co za niespodzianka. Myślałam, że ty, taki zajęty, co najmniej przez kilka tygodni nie znajdziesz czasu, by mnie odwiedzić. A może jeszcze dłużej.

Nie spuszczała go z oka, kiedy wsadzał sweet afton do jej bursztynowej cygarniczki. Wsunął jej koniec cygarniczki do ust, podsunął ogień. Od razu zaciągnęła się głęboko, tak że koniec papierosa rozjarzył się intensywną czerwienią, po czym z głośnym westchnieniem wypuściła

przez nos i usta kłęby siwego dymu. Ręka drżała jej tak bardzo, iż przez chwilę był niemal pewien, że wypuści papierosa, zdołała jednak jakoś włożyć go z powrotem do ust i ponownie się zaciągnąć.

Papierosy i matka, matka i papierosy. Zawsze nierozłączni. Nieodmiennie poprzedzał ją orszak popielniczek, ciągnęła się za nią procesja niedopałków. Kiedyś próbował na nią wpłynąć, żeby rzuciła palenie, teraz jednak nie miało to najmniejszego sensu. Papierosy były jej jedyną przyjemnością.

– Dobrze wyglądasz – powiedział.

– Naprawdę?

– Boli?

– Tak jak zawsze.

– Zdawało mi się, że lekarz zamierza zastosować jakiś nowy środek...

– Michael! – Strąciła popiół na podłogę. – Nie wiem, jaką staruszkę jeszcze odwiedzasz, ale ja mówiłam ci już milion razy, że na mój artretyzm po prostu nie ma żadnych środków, wszystko jedno, nowych czy starych. – Oparła się wygodnie. – A teraz wyświadcz mi przysługę i opowiedz o szerokim świecie. Proszę.

Pochylił się nad nią, delikatnie rozpiął szary sweter, po czym zaczął zapinać go na nowo, uważając, by każdy guzik trafił we właściwą dziurkę.

– No, tak jest dużo lepiej – powiedział, uporawszy się z zadaniem. – Ktokolwiek pomagał ci się ubrać dzisiaj rano, nie za bardzo przykładał się do pracy.

– A to coś nowego! – parsknęła, odpychając go lekko. Wyjął z kieszeni piersiówkę z whisky, nalał sporą porcję do szklanki stojącej na nocnym stoliku i sięgnął po karafkę z wodą.

– Wolę bez – powiedziała, ostrożnie biorąc szklankę w zdeformowane dłonie.

– Mamo, przecież nie musisz tu być. Możesz mieszkać ze mną.

– Na litość boską! – Wykrzywiła się i potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Z tobą? Chyba żartujesz. Chciałeś chyba powiedzieć: z Janey. Przecież ciebie nigdy nie ma w domu. Zdajesz sobie chyba sprawę, jak bardzo by się ucieszyła, że musi się mną opiekować.

Opróżniła szklankę jednym haustem i podsunęła ją po dolewkę.

– Skoro nie ze mną, to może z Clare? Na pewno by cię przyjęła.

– Nie chcę mieszkać w Londynie. Nie chcę, żeby któreś z was mnie „przyjmowało”. Tutaj przynajmniej codziennie dostaję swoją porcję współczucia. A teraz bądź tak dobry i przestań wreszcie gadać o mnie i mojej chorobie, dobrze?

Siedzieli w milczeniu. Obserwował ją ukradkiem nad krawędzią swojej szklanki. Zdaje się, że ma siedemdziesiąt pięć lat, myślał. Mniej więcej tyle co Catherine McKenna. Mógł się tylko domyślać, bo nawet gdyby o to zapytał, z pewnością nie przyznałaby się do swojego wieku. Jeśli jednak McKenna była drobna i krucha niczym nasionko dmuchawca, to jego matka z wiekiem

robiła się coraz potężniejsza. Kiedyś po prostu silna i dobrze zbudowana, teraz była ogromna i otyła, jej piersi poruszały się pod luźnym strojem niczym monstrualne żelatynowe góry. Nogi również miała grube, opuchnięte kostki nie mieściły się w czarnych sznurowanych pantoflach. Tylko piękne brązowe oczy i gęste, białe jak mleko włosy upięte w elegancki kok wciąż były takie same.

– Kto cię czesze, mamó? Masz wspaniałą fryzurę.

– Cudowna nowa pielęgniarka. Urocze dziecko. Nie może się doczekać, żeby cię poznać.

Widziała cię wczoraj w telewizji.

– Tak?

– No, powiedz mi wreszcie: kto to zrobił?

– Obawiam się, że na razie wiem tyle samo co ty.

– Aha... Właśnie się zastanawiałam...

– Nad czym?

– Skąd ta niespodziewana wizyta. Roześmiał się.

– Tak, oczywiście masz rację. Próbuję zjednać sobie bogów. Liczę na zapłatę za dobry uczynek, i tak dalej.

– A czy przynajmniej, jak to się mówi... „ustaliłeś krąg podejrzanych”? Twój ojciec zawsze tak robił. Potem wystarczy porządne lanie i od razu masz zdumiewające rezultaty. Tak w każdym razie mówił.

Tym razem to ona parsknęła śmiechem.

Nalał jej kolejną porcję whisky. Działanie alkoholu było już wyraźnie widoczne: zachowywała się znacznie swobodniej, rozluźniła się, przestała się garbić.

– W tamtych czasach było znacznie łatwiej. Mniej przepisów i ograniczeń, nikt się za bardzo nie przejmował prawami obywatelskimi...

– Prawa obywatelskie, przecież to kpina! A co z prawami obywatelskimi ofiary? Czy teraz kogoś obchodzą?

Bez słowa pociągnął ze szklanki.

– To nie do wiary. Siedzę tu całymi dniami, słucham radia, oglądam telewizję i bez przerwy słyszę same wymówki. A co z działaniem? Pamiętasz de Valere, jak sobie poradził w latach czterdziestych z IRA?

– Mamó, teraz są inne czasy...

– Inne? Naprawdę? A co takiego się zmieniło, jeśli można wiedzieć? Zabijanie i okaleczanie w imię zjednoczonej Irlandii wciąż trwa w najlepsze. A wszyscy ci gwałciciele, zbrodniecy, damscy bokserzy, narkomani, włóczędzy? Czy wiesz, Michael, na co ostatnio cierpię? Na coś, co nazywa się zmęczeniem współczucia. Mam po dziurki w nosie tego, w jaki sposób silni terroryzują słabych. Mam po dziurki w nosie tego, jak wszyscy wychodzą ze skóry, by pomóc

przestępcom, a nikt nie przejmuje się losem ofiar. Parę dni temu przywieziono tu kobietę. Miała osiemdziesiąt dwa lata, była starsza ode mnie. Została zgwałcona we własnym domu przez jakiegoś drania ze strzykawką. Zgwałcona, pobita, sterroryzowana. Do tej pory jakoś sobie radziła, ale teraz już koniec. Leży w łóżku i bez przerwy płacze, w noc i w dzień. Czy ktoś przejmuje się jej prawami? Oczywiście, mówienie o takich sprawach nie jest politycznie poprawne. Przynajmniej wśród was, młodszych.

– Tak się składa, mamó, że całkiem niedawno poznałem kobietę, jedną z tych „młodszych”, która całkowicie się z tobą zgadza w tej kwestii.

– Doprawdy?

– Owszem. To Margaret Mitchell, matka tej zamordowanej dziewczyny. Twarda sztuka.

– W telewizji nie wyglądała na taką. Piękna, bez wątpienia, ale zdruzgotana.

– Wcale nie.

– A ty? Co z tobą?

– Mną się nie zajmuj. Jest świetnie.

Przyjrzała mu się uważnie. Pod jej mądrym, przenikliwym spojrzeniem poczuł się jak dziesięciolatek, którego przyłapano na gorącym uczynku.

– Miałeś szczęście, że ci się udało. Za czasów twojego ojca przeniesiono by cię w jakiś odległy, zimny zakątek, gdzie miałbyś do towarzystwa najwyżej parę owiec.

Opuścił wzrok na buty. Powinien je wypastować. Były drogie, z doskonałej skóry. Nigdy nie żałował pieniędzy na dobre ubrania. Wlał do szklanki resztkę whisky. Za to, co się wydarzyło, winił przede wszystkim alkohol. Nie powinien był wdawać się w romans w pracy, a już na pewno nie ze znacznie młodszą kobietą, w dodatku mężatką. Żoną policjanta. Wybuchł skandal. Przeprowadzono postępowanie dyscyplinarne. Liczył się z tym, że zwolnią go ze służby. Zgłosił się na sześciotygodniową szpitalną kurację odwykową. Dzięki temu zniknął ludziom z oczu do czasu, kiedy plotki nieco ucichły... chociaż nie ucichły do końca. Wciąż traktowano go podejrzliwie. Dlatego właśnie tak bardzo zależało mu na szybkim rozwiązaniu tej sprawy. Chciał pokazać wszystkim, że jest w porządku, że wciąż gra po właściwej stronie.

Spojrzał na matkę. Zmęczyła się rozmową. Błada twarz błyszczała od potu. Starła się być taka jak kiedyś: w centrum wydarzeń, zawsze u steru. Tak jak wtedy, kiedy żył ojciec. Ale to się skończyło w dniu jego śmierci. Postrzelony w głowę podczas napadu na bank przy głównej ulicy w Dundrum. Wszyscy mówili, że był bohaterem, prawda jednak przedstawiała się w ten sposób, że powinien był trzymać się z daleka. Po pogrzebie przyniosła do domu szarfę w barwach narodowych, którą udekorowano trumnę. Jego mundur nadal wisiał w szafie w sypialni, nic już jednak nie było takie samo. Dla nikogo. Już nigdy.

Rozdział 19

Szósta rano, wtorek 17 sierpnia. Schyłkowa faza lata, kiedy półkula północna coraz bardziej oddala się od słońca.

Od jakichś dwóch godzin niebo stopniowo stawało się coraz jaśniejsze, wreszcie przybrało barwy gołębih skrzydeł – rozwarstwione odcienie szarości poprzątkane rozmazanymi smugami sączącego się zza horyzontu światła. Za sześć minut słońce powinno pojawić się na niebie na wschód od Kish Bank. Jego promienie najpierw padną na gmachy Fraser Bank i Muglins, potem zaś spłyną na Sandycove, rozleją się po Scotsman's Bay, rozpalą zamknięte w granicie East Pier okruchy miki, a następnie podążą w szybkim tempie w głąb lądu. Żółte pola pszenicy i jęczmienia, szare jeziora z połyskującymi metalicznie falami, fioletowe i błękitne góry, srebrzyste kamienne ścieżki – wszystko pędziło nieuchronnie na jego spotkanie.

Dopiero szósta rano, a już ciepło. Śpiący ludzie leżeli w łóżkach z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, wśród zmiętej pościeli. Skóra dotykająca skóry była wilgotna i lepka. Blask wstającego dnia wdzierał się przez szerokie szpary między zasłonami, pozostawione po to, by wpuścić do środka jak najwięcej nocnego powietrza. Na progu jednego z domów przystanął kot z myszą w pysku. Rudzik krążył przez jakiś czas w powietrzu, pokrzykując donośnie, aż wreszcie usiadł na ogrodowym płotku. W stawach i strumieniach różowe i białe pąki lilii wodnych, obłe i ostro zakończone niczym rakiety, czekały na sygnał do otwarcia. Czyjaś ręka sięgnęła do stojącego na nocnej szafce radia, po czym opadła bezwładnie. Z głośnika posypała się muzyka, potem wiadomości, wreszcie prognoza pogody. Bez opadów, ciepło, prawie bezchmurnie. Wiatr słaby i umiarkowany z południowego zachodu, po południu temperatura maksymalna od dwudziestu do dwudziestu sześciu stopni.

Jimmy leżał na boku z policzkiem przytulonym do sfatygowanego pluszowego misia. Obie ręce wcisnął między nogi. Powieki zadrżały, uspokoiły się, znowu zadrżały, gałki oczne poruszały się w lewo i prawo, wodząc za obrazami widocznymi po wewnętrznej stronie cienkiej skóry. Otworzył usta, wymamrotał coś niezrozumiale. Czoło miał mokre od potu, od czasu do czasu zaciskał szczękę i zgrzytał zębami.

– Aaaaa!... – krzyknął i przekręcił się na brzuch.

Jego oddech uspokoił się i pogłębił, mięśnie się rozluźniły, pluszowy niedźwiadek spadł na podłogę obok łóżka. Brązowe szklane oczy wpatrywały się w sufit. Na nosie z guzika przysiadła mucha i zajęła się czyszczeniem czułek. Jimmy poruszył się po raz kolejny, łóżko zatrzeszczało, mucha zamarała w oczekiwaniu. Chwilę później puściła w ruch przezroczyste skrzydełka, uniosła się w powietrze i skierowała ku otwartemu na oścież oknu.

McLoughlin powoli otworzył oczy. Budzik właśnie umilkł. Tuż obok Janey pochrapywała cicho. Czuł się tak, jakby nawet nie zmrużył oka: w ustach pełno kwasu, w oczach piasek.

Zachował w pamięci resztki snów. Przesunął językiem po dolnych zębach. W nocy obudził się, ogarnięty paniką, i poczuł na języku drobinki szkliva. Mało się nie zakrztusił.

Usiadł, sięgnął po szklankę z wodą. Woda była ciepła i niesmaczna, niemniej wypłukał usta, sprawdzając czubkiem języka, czy nie wypadła mu jakaś plomba, a następnie wypluł ją z powrotem do szklanki. Janey stęknęła cicho i odwróciła się w jego stronę. Jak zwykle miała na sobie bawełnianą bluzkę i bawełniane legginsy. Rozlane piersi napierały na wyblakłą tkaninę. Kiedy jej głowa zsunęła się nieco z poduszki, zauważył, że w okolicach szczytu czaszki włosy ma mocno przerzedzone. Nagle zrobiło mu się jej żal. Nie zestarzała się ładnie. Kiedyś zastanawiał się, jak by to wszystko wyglądało, gdyby mieli dzieci, ale już nie teraz. Teraz starał się po prostu o tym nie myśleć.

Wstał z łóżka i poszedł na taras, zgarniając po drodze lornetkę. Miasto spływało łagodnie ze wzgórz aż do granicy między lądem i morzem. Maski i szyby setek samochodów, mimo wczesnej pory pełznących już w kierunku centrum, lśniły w słońcu. Usiadł na drewnianej ławce, podniósł lornetkę do oczu. W odległym o kilkaset metrów ogrodzie jakaś kobieta wieszala pranie na sznurze. Podregulował ostrość. Była młoda, najwyżej dwudziestoparoletnia, miała krótkie potargane włosy. W ustach trzymała papierosa. Pracowała metodycznie: najpierw kolorowe dziecięce bluzeczki, potem męskie koszule, białe i błękitne. Dziewczęce sukienki, które zaczepiała za bufiaste rękawki, męskie skarpetki w pęczkach, niczym nadmiernie dojrzałe owoce. Bielizna: czarne koronkowe staniczki, jakieś całościowe komplety, trochę podobne do gorsetów, tyle że miękkie, wreszcie majteczki, blad różowe i białe niczym delikatne muszelki wydobyte z morskiej piany. Bez trudu potrafił sobie wyobrazić ich miękki dotyk na policzku i zapach. Nie powinienem tego robić, pomyślał, ale nie odłożył lornetki.

Kobieta uporała się z zadaniem. Przez chwilę stała nieruchomo i rozglądała się dookoła. Kiedy zwróciła twarz w jego stronę, na ułamek sekundy ogarnęła go panika, natychmiast jednak uświadomił sobie, że nie może go widzieć. Rzuciła papierosa na wypalony słońcem trawnik, po czym schyliła się po kosz, w którym przyniosła pranie. Z niedopałka unosił się sinoniebieski dym. Zdeptała papierosa i znikła McLoughlinowi z pola widzenia.

Podniósł się z ławki, wrócił do kuchni, zrobił sobie mocną kawę i włączył radio. Z głośnika odezwał się znajomy głos.

Rzecznik prasowy policji odpowiadał na pytania dotyczące zabójstwa Mary Mitchell. Zapewnił, że dzisiaj, w dniu pogrzebu dziewczyny, policja jest bliska aresztowania sprawcy. Gówno prawda, pomyślał McLoughlin, tamten zaś mówił gładko dalej. W imieniu wszystkich funkcjonariuszy złożył kondolencje rodzinie zmarłej, następnie zapewnił obywateli, szczególnie kobiety, że są czynione wszelkie możliwe wysiłki w celu schwytania zbrodniarza. Rzecz jasna zaapelował także do społeczeństwa o pomoc i o zgłaszanie się do władz ze wszystkimi podejrzeniami, nawet gdyby wydawały się całkiem błahe.

Plamy słonecznego blasku przesuwają się powoli po czarno-białej szachownicy kuchennej podłogi w starym domu w Monkstown. Głos ciągle mówił, podnosząc się i opadając. Margaret wyszarpnęła wtyczkę z gniazdka, przerywając mu w pół zdania, wstała od stołu i wyszła do holu. Otworzyła frontowe drzwi. Delikatny błękit morza i nieba stanowił nieśmiałą zapowiedź barwy, jaką miały przybrać około południa. Usiadła na granitowych schodkach i otuliła się szczerze szlafrokiem. Przez całą noc czuwała przy zwłokach córki. Wczoraj o piątej po południu Mary przewieziono do odległego o niespełna kilometr kościoła. Pół godziny wcześniej zamknięto trumnę. Nim to się stało, Margaret całowała twarz córki, czesała żalosne resztki jej wspaniałych włosów, przemawiała czule, tłumacząc, co się zaraz stanie. Opowiedziała jej o cmentarzu i o dziadku, który będzie blisko. Potem ujęła ją za ręce, głaskała, oglądała ze wszystkich stron, szukała linii życia, jakichś znaków.

Jak mogłam się nie domyślić? Jak to możliwe? Powinnam była się domyślić, powinnam była coś przeczuć. Wsunęła palec wskazujący w zagięcie dłoni Mary, pragnąc z całej duszy, żeby zacisnęła rękę jak wtedy, kiedy była małeńka. Pamiętała to tak wyraźnie, jakby wydarzyło się najdalej wczoraj. Leżała sztywno wyprostowana w szpitalnym łóżku w Londynie. Czuła się tak, jakby miała już nigdy nie chodzić. Szwy okropnie ją ciągnęły, zdawała sobie jednak sprawę, że proces zdrowienia już się zaczął, że rany już zaczęły się zablizniać. Zanim zaczęła przec, wykonano nacięcie krocza. Lekarz spojrział na nią spomiędzy jej nóg. Kręcone włosy leżały na kołnierzyku białego fartucha. Miał nieduże okrągłe okulary i gęste bokobrody. „Oddychaj, mocno!” – polecił szorstkim tonem. Pielęgniarka przyłożyła jej maskę do twarzy. Poczowała badawcze dotknięcia rąk w gumowych rękawiczkach, a potem ostre ukłucie, kiedy skalpel przeciął napiętą skórę. Potem było już łatwiej. Zaciskała zęby do bólu, jej paznokcie pozostawiły czerwone półksiężycowe ślady na przedramieniu pielęgniarki. I wreszcie to niesamowite uczucie, jakby wielka ryba wypłynęła z niej w powodzi gorącej wody. Chętnie przeszłaby przez wszystko jeszcze raz, choćby dla tej jednej chwili.

– Pokażcie mi je! – zażądała.

Lekarz podniósł dziecko, genitaliami w jej stronę. Zobaczyła czerwony przecięty pagórek sromu i silne wierzgające nóżki, badające rozległość otwartej przestrzeni po dziewięciu miesiącach w ciasnym brzuchu.

Później, już umyta i zszyta, wstała z trudem z łóżka, wzięła dziecko owinięte w zielony szpitalny ręcznik, położyła je na łóżku, odwinęła i obserwowała jego ruchy. Głaskała je po policzku, ono zaś natychmiast zwracało w tę stronę łapczywie rozwartą usteczką. Przesuwała palcem po pomarszczonej stopce, patrząc, jak córeczka kurczowo podwija paluszki. Przewróciła ją na brzusek, masowała po kręgosłupie, badała odruchy, patrzyła, jak się wije i reaguje na bodźce. Na koniec podsunęła jej palce wskazujące, a kiedy małeńka chwyciła je kurczowo, pociągnęła ku sobie, tak że małe ciało uniosło się z pościeli, a główka bezwładnie odchyliła się

do tyłu.

– Ma pani bardzo udane dziecko. Prawdziwy okaz zdrowia.

Odwróciła się. U stóp łóżka stał młody mężczyzna z jej kartą w ręce. W klapie ciemnej marynarki połyskiwał złoty krzyżyk.

– Pani Mitchell, zgadza się? Wróciła do przerwane go zajęcia.

– Doktor Mitchell. Ponownie zerknął na kartę.

– Oczywiście, przepraszam. Jestem ojciec Pat Kinevane, kapelan szpitalny.

Nie odpowiedziała.

– Chciałem tylko panią poinformować, że codziennie rano o dziesiątej odprawiam mszę w naszej kaplicy na parterze.

Margaret skupiła się na ubieraniu dziecka. Nie mogła sobie poradzić z agrafką do spinania pieluch. Przy maleńkim, drobnym ciałku wydawała się wielkim, topornym, wręcz niebezpiecznym narzędziem. W pewnej chwili agrafka wymknęła się jej z ręki i ukuła ją w palec aż do krwi.

– Aj!

Zirytowana, wsadziła palec do ust.

– Pomogę pani.

Podjął zadanie w miejscu, w którym ona je przerwała. Ostrożnie zapiął agrafkę, a następnie, podtrzymując niemowlę jedną ręką, drugą sprawnie nałożył mu maleńkie śpioszki i miniaturowy sweterek, po czym błyskawicznie pozapinał guziczki i owinął dziecko kocikiem.

– Bardzo proszę. Podał jej dziecko.

– Dziękuję, ojczu. Jestem pełna podziwu. – To nic nadzwyczajnego, kiedy jest się najstarszym z dziesięciorga rodzeństwa. W moim krótkim życiu zmieniłem więcej pieluch niż obecnie przeciętna młoda matka potrafi sobie wyobrazić.

Margaret uświadomiła sobie nagle, że ma na sobie tylko kusą szpitalną koszulę. Usiadła na brzegu łóżka, jedną ręką tuląc dziecko, a drugą niezdarnie usiłowała obciągnąć skraj koszuli.

– Ojciec pochodzi z Dublina, prawda?

– Zgadza się. Pani też? Skinęła głową.

– Słyszałem, że niedawno straciła pani męża. Milczała. Gardło miała zaciśnięte i obolałe.

– Może chce się pani pomodlić?

– Nie – odparła schrypniętym głosem. – Nie chcę. Zewsząd otaczały ich szpitalne odgłosy. Stevie Wonder śpiewał z radia przy akompaniamencie blaszanych dzbanków i białych porcelitowych talerzy pobrzękujących na kuchennym wózku. Wózek, pchany zbyt szybko i nieuważnie, uderzył w jej łóżko; wstrząs był na tyle silny, że Margaret skrzywiła się boleśnie. Dwuskrzydłowe szklane drzwi otworzyły się na oścież, wpuszczając kilku mężczyzn obładowanych kwiatami i pękatymi plastikowymi torbami. Rozległy się donośne śmiechy,

wszyscy wzajemnie sobie gratulowali. Ksiądz wskazał ruchem głowy hałaśliwą grupkę.

– Nie męczy panią to zamieszanie? Margaret dotknęła jego rękawa.

– Wie ojciec... Chyba jest coś, co ojciec mógłby dla mnie zrobić.

– Tak?

– Nie znam tu żadnego księdza, a za kilka tygodni wyjeżdżam na stałe do Nowej Zelandii.

– Tak?

– Czy mógłby ojciec ochrzcić dziecko jeszcze tu, w szpitalu?

– Hmm... – Delikatnie przesunął ręką po maleńkiej główce wystającej z koca. – Nie chce pani, żeby była przy tym rodzina?

– Po prostu chcę to zrobić jak najprędzej.

Znak krzyża uczyniony wodą. Nadaję ci imię Mary. Błogosławieństwo.

A tak się to wszystko skończyło. Margaret uknęła w pierwszej ławce, na wyciągnięcie ręki od ukwieconej trumny. Słowa kapłana obiecującego zbawienie, miłość Boga i życie wieczne odbijały się od wysokiego sklepienia i spływały na kamienną posadzkę. Z witraża spoglądała święta Małgorzata z bukietem niewiędnych lilii w rękach. W głowie Margaret rozbrzmiewał udreżony krzyk konającego Boga:

Eloi, eloi, lama sabachthani? Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił?

Obok niej siedziała Catherine wpatrzona z otwartymi ustami w ołtarz. Z tyłu tłoczyli się ciekawscy. Wychodząc z kościoła, zauważyła inspektora McLoughlina i sierżanta Finneya. Obaj mieli zatroskane, ponure miny. McLoughlin uściśnął jej rękę. Miał tak spoconą dłoń, że zaraz potem musiała ukradkiem wytrzeć swoją w spódnicę. Poza nimi w kościele i na zewnątrz byli sami obcy. Kamerzysta skierował na nią długi obiektyw, jakaś kobieta w czerwonym kostiumie i z dużymi zębami próbowała ją o coś pytać, fotoreporterzy wołali ją po imieniu i robili zdjęcia. Starła się ich ignorować, ale jeden z nich zwrócił na siebie jej uwagę. Miał bardzo jasne, prawie białe włosy, a kiedy opuścił aparat, odsłonił piękną twarz. Przypominał anioła z obrazu Botticellego: świetlistego i czystego. Spojrzał na nią i uśmiechnął się tak pogodnie i szczerze, że mimo woli ona również się uśmiechnęła. Zaraz potem, wstrząśnięta, zasłoniła usta ręką. Jak to możliwe, żeby teraz, tutaj, była w stanie się uśmiechać? Kiedy rozejrzała się ponownie, jego już nie było.

Stanełam nad otchłanią, pomyślała. Najgorsze było to, że kiedy w nią spojrzałam, okazało się, że niczego tam nie ma.

Rozdział 20

Adres: Tritonville Road, Sandymount. Imię i nazwisko: Anne Brady. Finney ją znalazł. Tak długo grzebał w liście gości uczestniczących w pogrzebie, aż wreszcie trafił na osobę, która знаła młodą Margaret Mitchell, wówczas jeszcze McKenna.

McLoughlin jechał powoli, sprawdzając numery domów. Zatrzymał się przed numerem 186, wiktoriański, jednopiętrowy dom, z zadbanym trawnikiem, na którym stała przyczepa do holowania łodzi. Na bladuróżowych drzwiach, poniżej dzwonka, widniała mosiężna tabliczka z napisem: Dr Anne Brady, lekarz ogólny.

Zaparzyła kawę, poczęstowała go domowym piernikiem. Usiedli w kuchni przy otwartych drzwiach do ogródka, żeby, jak powiedziała, mogła mieć oko na dzieci. Było ich troje, same dziewczynki. Sześć lat, cztery lata i rok. Starsze urządziły przyjęcie dla lalek, najmłodsza zasnęła w kojcu.

– Jak pani daje sobie radę? – zapytał, żując piernik. – Praca i małe dzieci...

Wzruszyła ramionami.

– Musiałam się dostosować. Kiedy dziewczynki wracają ze szkoły i przedszkola, staram się zajmować już tylko nimi.

– A pani mąż? Czym się zajmuje?

– Jest chirurgiem ortopedą. Specjalizuje się w kontuzjach sportowych.

– Pewnie nie narzeka na brak zajęć...

– Zgadza się. Jeśli akurat nie operuje, zazwyczaj załatwia sprawy służbowe przez telefon komórkowy.

– Spotkaliście się dzięki medycynie?

– Chyba można tak powiedzieć – odparła z uśmiechem. – Studiowaliśmy w tym samym czasie. Barry był rok wyżej, więc często korzystałam z jego notatek.

– A Margaret? Też z wami studiowała?

– Panie inspektorze... – Pochyliła się i dolała mu kawy. – Czy zechciałby pan wyjaśnić, dlaczego uznał pan za stosowne rozmawiać ze mną o kimś, kogo nie widziałam od kilkunastu lat?

Było co najmniej kilka powodów. Mógł jej powiedzieć, że w śledztwach w sprawie zabójstwa do działań rutynowych należało zbieranie informacji o ofierze i jej najbliższych. Czyniono to zazwyczaj, rozmawiając z rodziną, przyjaciółmi, znajomymi z pracy, szkoły, skądkolwiek. W tym przypadku sprawa była nieco bardziej skomplikowana, ponieważ Margaret i Mary Mitchell wróciły do Irlandii po długoletniej nieobecności, a ich jedyna bliska krewna, Catherine McKenna, była poważnie chora. W związku z tym policja musiała korzystać z każdej, nawet najmniej obiecującej sposobności, byle tylko zdobyć jakiekolwiek informacje na ich temat.

To właśnie mógł powiedzieć tej przyjemnej kobiecie o krótkich jasnych włosach, siedzącej w różowych szortach w nieskazitelnie czystej, urządzonej w drewnie kuchni. Drugi powód zatrzymałby dla siebie, podobnie jak zawartość teczeki, która dziś rano wylądowała na jego biurku. Zawierała ona wykaz rozmów telefonicznych przychodzących pod numer telefonu Margaret Mitchell od czwartku 10 sierpnia. Bertie Lynch zajął się identyfikacją numerów, z których dzwoniono. Hospicjum, lekarz, policja. Nellie Walsh, która sprzątała w domu. Ojciec Lonergan z kościoła Św. Patryka w Monkstown. Kilka telefonów z Nowej Zelandii. I reszta, wszystkie z automatów telefonicznych rozrzuconych po mieście. Margaret powiedziała policji o trzech anonimowych telefonach, nie wspomniała jednak o taśmie z dziecięcą piosenką śpiewaną przez córkę ani o dziwnej jednostronnej rozmowie... z kim? Nie miał pojęcia, co się dzieje w jej głowie. Kiedy pokazał wykaz Finneyowi, tamten nie zastanawiał się ani chwili. „Zapuszczajmy ją, szefie. Szybko się dowiemy, o co tu chodzi, do cholery”. Ale on tak nie postępował. Lepiej zaczekać. Lepiej czekać, obserwować i słuchać.

Istniał również całkiem osobisty powód, dla którego się tutaj zjawił, siedział w rozświetlonej słonecznymi promieniami kuchni, pił doskonałą kawę i zjadał jeszcze lepsze ciasto. Pamiętał to uczucie z dawnych lat. Kiedyś go doświadczał, ale nie ostatnio. Była to chęć jak najczęstszego posługiwania się czyimś imieniem, pragnienie, żeby jak najczęściej je słyszeć. Dawało to złudzenie bliskości, poufałości, nawet intymności.

– A więc: Margaret Mitchell, z domu McKenna. Kiedy ją pani poznała?

– Chodziłyśmy razem do szkoły. The Holy Child w Killiney. Nie pamiętam, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Przypuszczam, że miałam wtedy jakieś pięć lat, a ona była odrobinę starsza. Wsiadałam do kolejki w Blackrock, ona w Seapoint.

– Jaka była?

Oparła brodę na splecionych dłoniach i zastanawiała się przez chwilę.

– Niepospolita, nawet jako mała dziewczynka.

– Ładna?

– Nie tylko. Charyzmatyczna, w najmocniejszym i najgorszym znaczeniu tego słowa.

– A więc nie lubiła jej pani? Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Och, wręcz przeciwnie. Szalałam za nią... albo z jej powodu. W przypadku Margaret zawsze miało się do czynienia ze skrajnościami.

– Czyli miała nie tylko przyjaciół, ale i wrogów?

– „Wrogów” to może za dużo powiedziane. To byli raczej ludzie, którzy czuli się dotknięci, odrzuceni lub zaniedbani. Wszyscy chcieli być blisko niej, a jeśli komuś się to nie udało, to wydawało mu się, że słońce zgasło.

– Czy mogę jeszcze? – Wskazał na piernik. – Jest przepyszny.

– Oczywiście. – Ukroiła mu kawałek. – To dlatego, że zrobiłam go na prawdziwym miodzie.

– A więc dobrze sobie radziła w szkole?

– Była najlepszą uczennicą. Zbierała wszystkie nagrody, i to nie tylko za wyniki w nauce. Doskonale pływała i chyba nawet mogłaby mieć jakieś sportowe osiągnięcia, ale to ją nie interesowało. Świetnie grała też w hokeja.

– Naprawdę?

Dr Brady uśmiechnęła się z wdziękiem.

– Miała niespożytą energię i szła do celu po trupach. Powiedziałam jej kiedyś, że zdecydowała się na medycynę chyba dlatego, by choć częściowo zadośćuczynić za te wszystkie kontuzje, których z jej powodu nabawiły się koleżanki. Nie zaprzeczyła.

– Miała wielu chłopaków?

– Żadnego, i tego właśnie nie mogliśmy za nic zrozumieć. Była naprawdę piękna: nieduża, delikatna, ze wspaniałymi oczami i włosami. I żadnego chłopaka.

– Aż do studiów?

– Wtedy też nie, a przynajmniej nikogo specjalnego. Na imprezy albo do knajpy chodziła zawsze w grupie. Oczywiście kręciło się wokół niej mnóstwo facetów, ale bez większego przekonania. No, może z wyjątkiem jednego. Nazywał się Joe Macken.

– Tak?

– Zupełnie o nim zapomniałam. Naprawdę mu na niej zależało. Spędzali ze sobą sporo czasu, ale wątpię, czy interesowały ją „te sprawy”, jeśli wie pan, co mam na myśli.

McLoughlin sięgnął po notes.

– Joe Macken, powiada pani?

– Tak, ale on już tu nie mieszka. Wyjechał do Stanów, do Los Angeles, zdaje się. Jest chirurgiem plastycznym i robi tam fortunę.

– A jak radziła sobie na studiach?

Znowu uśmiech, lecz tym razem towarzyszyło mu lekkie potrząśnięcie głową.

– Nie domyśla się pan? Była najlepsza. Wykładowcy serdecznie jej nie lubili, a kiedy zaczęły się zajęcia w szpitalu, też oczywiście świetnie dawała sobie radę.

– Miała jakieś szczególne uzdolnienia?

– Byliśmy przekonani, że wybierze chirurgię. Potrafiła się doskonale skoncentrować, całkowicie odciąć od świata. Do tego miała bardzo pewną rękę. Poza tym w tej specjalności można doskonale funkcjonować, nie mając, że tak powiem, szczególnych zdolności w nawiązywaniu kontaktów międzyludzkich.

– Czy to był jej słaby punkt?

– Może nie tyle „słaby”, ile „słabszy”. Jeśli tylko chciała, potrafiła być naprawdę czarująca.

– A jednak nie miała przyjaciela, partnera, kochanka?

– Innymi słowy, pyta mnie pan o jej życie seksualne? Oczywiście, jak najbradziej.

– Tak, chyba właśnie o to mi chodzi.

– Na pewno je prowadziła. Wszyscy je prowadziliśmy. W tamtych czasach nikt nie myślał o bezpiecznym seksie. Globulkowe pokolenie. Seks, prochy i rock and rol. – Zachichotała wdzięcznie. – Trudno w to uwierzyć, prawda? Teraz wszyscy jesteśmy tacy poważni i dorośli...

– Proszę mi opowiedzieć o jej rodzicach. Znała ich pani?

– Niezbyt dobrze. Byli starsi od większości naszych rodziców. Była mocno związana z ojcem. Widziałam go parę razy. Przystojny, czarujący, błyskotliwy. Chętnie pomagał w szkole. Pamiętam, jak matka przełożona skakała wokół niego, wciąż dolewała mu herbaty i szczebiotała jak najęta.

– A matka?

– Też bardzo przystojna i zadbana. Moja mama często komentowała jej stroje. Eleganckie, ręcznie szyte kostiumy, wysokie obcasy, mocny makijaż. Margaret chyba nie układało się z nią najlepiej, bo rzadko o niej mówiła.

– Pewnie wszyscy się zdziwiliście, kiedy wyjechała do Nowej Zelandii?

– Czy ja wiem? Raczej nie. Ani przez chwilę nie przypuszczałam, że tu zostanie. Zdziwiło mnie natomiast, a nawet zdumiało to, że postanowiła robić specjalizację z psychiatrii. Właśnie ona! Przecież jako chirurga czekały na nią złote góry!

– A jako psychiatrę? Uniosła brwi.

– Żartuje pan. To chyba najgorsza specjalizacja. Niewdzięczna ciężka robota, zazwyczaj marnie opłacana. Dokładnie to, czego młodzi ambitni lekarze starają się unikać jak ognia.

– Rozumiem.

– Później jednak wyszło szydło z worka. Kolega pojechał na pół roku do Nowej Zelandii z wykładami z ginekologii. Po powrocie powiedział nam, że Margaret stała się tam prawdziwą gwiazdą medialną. To akurat wcale mnie nie zdziwiło. Proszę, naszykowałam to, jak tylko zapowiedział się pan z wizytą.

Podala mu złożony na pół wycinek z gazety. Widział go już. W ubiegłym tygodniu nadszedł faksem od nowozelandzkiej policji. Artykuł z „New Zealand Herald”. Obszerny wywód o tym, jak to dzięki jej osiągnięciom zmieniło się podejście do zagadnień zdrowia psychicznego w ogóle, a zdrowia psychicznego kobiet w szczególności. Artykułowi towarzyszyło zdjęcie. Od ramion w górę. Uśmiechnięta, pewna siebie. Uosobienie kobiety sukcesu.

– To było całkiem naturalne – ciągnęła doktor Brady. – Gwiazda pierwszej wielkości, jak zwykle.

– Czy pani kolega spotkał się z nią podczas pobytu w Nowej Zelandii?

Pokręciła głową.

– Próbował kilka razy. Akurat przygotowywała dla telewizji cykliczny program o zdrowiu kobiety. W końcu dodzwonił się do niej. Rozmawiała z nim uprzejmie, ale nie umówiła się na

spotkanie.

– Zaskoczyło to panią?

– Raczej nie. Margaret zawsze koncentrowała się na tym, co robi. Jeśli ktoś stanowił część tego, wówczas jemu również poświęcała trochę uwagi, ale jeśli nie...

Machnęła wymownie ręką.

– Widziała się pani z nią po tym wszystkim, co się stało?

– Dopiero na pogrzebie. Oczywiście zadzwoniłam natychmiast, jak tylko się dowiedziałam o... o Mary, ale potraktowała mnie bardzo oschle, prawie niegrzecznie. Powiedziała, że nie życzy sobie żadnych odwiedzin. Napisałam więc do niej. Zaczekam tydzień albo dwa i znowu napiszę.

– Czyli nie znała pani jej córki?

– Nie. Nie wiedziałam nawet, że mieszkaly tu razem. Jaka ona była? Och... – Umilkła na chwilę, zażenowana. – Oczywiście. Przecież pan też jej nie znał.

On jednak wcale nie miał takiego wrażenia. Dziwna rzecz, ta zażyłość policjanta z ofiarą. Oglądał ciało Mary ze wszystkich stron. Wiedział, jak wygląda na zewnątrz i od środka. Z pewnością nie zdziwiłby się, ujrzawszy ją idącą ulicą. Dla niego wciąż była żywa, co najmniej tak samo jak jej matka, i miała taka pozostać aż do zakończenia śledztwa. Właśnie dlatego takie trudne były wszystkie nierozwiązane sprawy. Dopiero zakończenie śledztwa pozwalało ofiarom spocząć na zawsze w grobie.

Wstał i podziękował. Najmłodsza dziewczynka właśnie się obudziła i z czerwoną, mokrą od łez buzią próbowała podciągnąć się w kojcu do pozycji stojącej. Matka pochyliła się nad nią, wzięła na ręce, ucałowała, pocieszyła. Odprowadziła go do drzwi. Jeszcze przez minutę albo dwie zagadywał do dziecka, łaskotał pod bródką, maszerował palcami po różowych śpiochach.

– Świetnie radzi pan sobie z dziećmi, inspektorze. Chyba miał pan praktykę.

Cofnął się, poprawił krawat.

– Raczej nie. Niestety nie mam dzieci.

– Aha...

Była lekko zażenowana, chyba trochę niespokojna. Pożegnał się, zszedł po schodkach, ruszył po wysypanej żwirkiem ścieżce. Przechodząc na drugą stronę ulicy do samochodu, obejrzał się przez ramię. Wciąż stała w drzwiach. Zastanawiała się teraz, tak jak wszyscy, z którymi rozmawiał. Próbowała sobie przypomnieć, co mu powiedziała, usiłowała dociec, jakie wnioski z tego wyciągnął. Mógłby ją uspokoić, zapewnić, że wiedział już o tym wszystkim, ale to byłoby kłamstwo. Zostawił ją więc stojącą w otwartych drzwiach z dzieckiem w ramionach i niespokojnym, skupionym wyrazem twarzy.

Rozdział 21

Pocztówka leżała na wycieracze obrazkiem do dołu. Margaret pochyliła się nad nią. Po prawej stronie widniały napisane na maszynie imię, nazwisko i adres; lewa strona była pusta. Wzięła ją do ręki. Pocztówka nie była wykonana ze sztywnego kartoniku, gięła się w palcach. Odwróciła ją i ujrzała własną twarz. Na zdjęciu miała na sobie szlafrok w pasy, siedziała na stopniach w ten piękny błękitny poranek w dniu pogrzebu Mary. Rozpuszczone włosy opadające na ramiona, głębokie cienie pod oczami, smukła noga wychylająca się spod pasiastego materiału.

Oblała się potem, fotografia wysunęła się jej z palców i łagodnie spłynęła na podłogę, porwana przeciągiem przeciskającym się pod drzwiami. Nogi – miała wrażenie, że należą do kogoś innego – ugięły się pod nią i Margaret opadła na krzesło przy stoliku z telefonem. Popękane skórzane siedzisko skrzypnęło boleśnie, w jej uda wbiły się wyłazające spod pokrycia ostre końcówki końskiego włosia. Przesunęła spojrzeniem po wyblakłym perskim dywanie, którego soczyste niegdyś barwy dodatkowo gasiła gruba warstwa kurzu. Czy ta Nellie w ogóle coś robi? – przemknęło jej przez głowę. Catherine byłaby wstrząśnięta, gdyby się dowiedziała, jaki nieład zapanował w domu w związku z jej chorobą.

Schyliła się ponownie, palec przesunął się po krawędzi dywanu, spoczął na śliskiej odbicie. Obróciła ją, nie podnosząc z podłogi. Wcale nie wyszła źle na tym zdjęciu, z pewnością lepiej niż na wielu pozowanych fotografiach. Przypuszczalnie należało to zawdzięczać temu, iż nie miała pojęcia, że ktoś ją fotografuje. Była sobą. Nieświadoma, że jest obiektem obserwacji. Przewróciła zdjęcie na drugą stronę i przyjrzała się stemplowi. Kartkę wysłano wczoraj z centrum miasta. Baile Atha Cliath i data 23.08.95. Spróbowała przeczytać napis na głos, zmagając się z niezwykłymi połączeniami spółgłosek i samogłosek. Od dawna nie mówiła po irlandzku. Kiedyś, dawno temu, doskonale władała tym językiem, uciekł jej jednak z pamięci jak piasek, który wysypuje się przez najdrobniejsze szczeliny, jego miejsce zajęły nazwy, fakty, liczby i skojarzenia przyswajane podczas studiów. Od czasu do czasu z najgłębszych pokładów podświadomości niespodziewanie wypływało jakieś zdanie lub zwrot. „An bhfoil cead agam dul go dt i an leithreas? Or ‘dun an doras, ma se do thuil” – to było niemal jak modlitwa albo jak mantra, powtarzane kiedyś tak często, że całkowicie utraciło znaczenie.

Podniosła kartkę, wstała i poszła do kuchni. Nie wiadomo skąd i dlaczego jej głowę wypełniły najpierw słowa, chwilę później zaś dołączyła do nich muzyka:

*Sinne Fianna Fail, atdfaoid gheall ag Eirinn,
Buion dar sina, that toinn do rdinig chugainn,
Faoi mhóid bheith saor, sean tir dr sin searfeasta,
Ni fhdg far faoin tir an ndfaoin trdill.*

Mary była zdumiona, kiedy po raz pierwszy usłyszała matkę śpiewającą hymn narodowy. Stały na chodniku na Queen Street w Auckland, w dzień Św. Patryka w 1980 roku. Była jesień. Rankiem mocno padało, teraz jednak słońce lśniło w kałużach na asfalcie. Pojechała z Mary do miasta, żeby kupić jej nowe buty zimowe. Dopiero kiedy zobaczyły zbliżającą się paradę, uświadomiła sobie, co to za dzień. Mijały je sklecone byle jak platformy udekorowane zielonymi wstążkami, wyciętymi z kartonu koniczynkami i owocami kiwi. Jakaś otyła kobieta w nastroszonej fryzurze, wbita w zbyt ciasną, obsypaną cekinami marynarkę, śpiewała z ciężarówka *If Ypu're Irish Come Into the Parlour*, sypiąc na przechodniów zwiędłe koniczynki z koszyka. Dźwięki akompaniującego jej akordeonu z trudem przebijały się przez jazgot maszerującej z tyłu orkiestry dętej, znęcającej się bez odrobiny wdzięku nad *Sean South from Garryowen*. Chłopcy grali na gwizdkach i trąbkach, dziewczęta wymachiwały nogami w wysokich, sznurowanych zielonych butach obszytych również zielonym futerkiem. Krótkie zielone spódniczki podrygiwały w takt ich rytmicznych podskoków. Kilka kobiet w czerwonych flanelowych spódnicach, koronkowych bluzkach i czarnych szalach upozowało się malowniczo przed wiezioną na ciężarówce, namalowaną wiejską chatą. Kartonowy dym ulatujący z kartonowego komina drżał i kiwał się na boki, kiedy samochód przejeżdżał przez tory tramwajowe, i niebezpiecznie zbliżał się do poprowadzonych nad ulicą przewodów telefonicznych. Za platformami, precyzyjnie jak automaty, maszerowali ustawieni w trzy rzędy mężczyźni w czarnych beretach. Nieśli tablice z napisami „Brytole do domu” i „Uwolnić więźniów”. Ich koledzy i znajomi machali i pokrzykiwali z chodników po obu stronach ulicy, wznosząc toasty puszkami guinnessa lub zjadliwie zielonymi kuflami. Następnie nadjechała kolejna ciężarówka z dziewczynkami w wieku Mary, ubranymi w sukienki obszyte koniczynkami, harfami, celtyckimi krzyżami i stworami z *Book of Kelts*. Trzymając się pod boki, podskakiwały i tańczyły, podnosząc wysoko kościste kolana. Mary wprost pożerała wszystko wzrokiem. Zażądała, żeby podnieść ją jak najwyżej i aż podrygiwała w takt marszowej muzyki. Trzymając ją na rękach, z policzkiem tuż obok jej zarumienionego policzka, Margaret przypominała sobie, jak sama przeżywała podobne chwile, usadowiona na szerokich ramionach ojca.

Trzymała go kurczowo za włosy i bębniła nogami w jego klatkę piersiową, aż wreszcie uszczypnęła ją w łydkę i powiedział: „Ostrożnie, Maggie. Nie tak mocno”. Przesunęła więc ręce na jego czoło, spoglądając z góry na tłum oraz inne dzieci, bo one nie miały szczęścia, żeby być dziećmi takiego wspaniałego tatusia, który niebawem kupi jej balon i wielkiego lizaka. Catherine co chwila wzdychała, spoglądała na zegarek i jęczała: „Zimno mi, John!”, albo: „Może już wystarczy, John?”, albo: „John, chce mi się siusiu!”, by wreszcie sięgnąć po najskuteczniejszą broń: „Jeśli się za bardzo rozbawi, nie będzie mogła zasnąć”.

Mała rączka delikatnie skubnęła ją w policzek.

– Mamusiu, co on robi?

Jezdnią maszerował drobnutki chłopaczek w czarnym uniformie z czerwoną i srebrzystą lamówką, wymachując buławą prawie dwa razy większą od siebie. Wywijał nią w lewo i prawo, nad głową, przekładał między nogami, podrzucał i łapał w ostatniej chwili, zanim upadła na ziemię. W pewnej odległości za nim szli dwaj więksi chłopcy, niosąc transparent z napisem w staroirlandzkim alfabecie: „The Takapuna Celtic Silver Band”. Siedem rzędów instrumentów, zniekształcone twarze gapiów odbijające się w ich lśniącej powierzchni. Tuby, trąbki, saksofony, klarnety, talerze, skupione chłopięce buzie, pałeczki uderzające w napięte membrany bębnów i werbli. Melodia zmieniała się, w miarę jak mijały ich kolejne rzędy muzyków, przechodziła z rejestru w rejestr, wreszcie pochłonął ją wybijany pałeczkami rytm. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, co to jest, wyprężyła się odruchowo, złączyła pięty, jedną ręką przyciskała Mary, drugą opuściła sztywno wyprostowaną. Znienacka ogarnęła ją ogromna, rozdzierająca tęsknota, która w okamgnieniu przeniosła ją w miejsce odległe o dwadzieścia tysięcy kilometrów, znad ciepłego błękitu południowego Pacyfiku nad zimne szarozielone fale Morza Irlandzkiego. Dokąd? Do domu?

– Co to? Co to? – wykrzykiwała Mary, ciągnąc ją za włosy i starając się obiema rączkami odwrócić jej głowę w kierunku, w którym sama patrzyła. – Powiedz mi, co to jest?

Później, kiedy już zmęczyła się podskokami, zachwykami i wygibasami, a także ćwiczeniem wymowy słów „mądra”, „bainne”, „fir” i „mna”, zażądała stanowczo, popierając żądanie szlochaniem, tupaniem i ssaniem kciuka, żeby się dowiedziała, gdzie można się zapisać na kurs tańca. Mężczyzna, który odebrał telefon w Ośrodku Kultury Irlandzkiej, powitał ją, nucąc *Top of a morning*.

– Słucham?

– Jeśli się do nas przyłączysz, już nigdy nie będziesz tęsknić za ojczyzną – zapewnił ją, niezrażony jej reakcją.

Położyła zdjęcie na kuchennym stole, wyjęła z szuflady dużą szarą kopertę i wytrząsnęła na stół jej zawartość. Mary w stroju ludowym, na paluszkach, z rękami na biodrach, z poważną miną i zielonymi wstążkami we włosach. Laleczka, nie żywe dziecko.

– Śliczna byłam, co? – zagadnęła, znalazłszy fotografie w kuchni pod stosem starych rachunków za gaz. – Chyba powinnam zostać tancerką. Co o tym myślisz, mamusiu?

– Nie mów tak do mnie – odparła Margaret zza „Irish Timesa”, a następnie spojrzała na nią i dodała: – Pamiętasz swoją nauczycielkę, panią Curtin?

– Tak sobie.

– Na pewno pamiętasz. Miała córeczkę w tym samym wieku co ty. Czasem przychodziła bawić się z tobą, a parę razy nawet została na noc.

Kiedy jej matka nie mogła pokazać się ludziom z powodu poobijanej twarzy. Kiedy jej matka nie mogła już wytrzymać i uciekała do siostry w Wellington. Kiedy jej matka przedawkowała Valium i trafiała do szpitala na płukanie żołądka.

– Co się z nią stało? Umarła, prawda?

Sekcja wykazała, że przyczyną zgonu było utonięcie. Przypadkowe, jak ustaliła policja. Naprawdę jednak nie było w tym nic przypadkowego. Wyszła z domu, po czym skierowała się mało uczęszczaną drogą w kierunku oceanu. I już się nie zatrzymała. Wchodziła coraz głębiej i głębiej, aż wreszcie ciężar mokrego ubrania i wody, która dostała się do płuc, pociągnęły ją w dół.

Biedna Ellie Curtin. Biedna, krucha Ellie Curtin. Początek krucjaty Margaret. Napisała o niej swoją pierwszą książkę. Była jej to winna.

Kiedy pierwszy raz stanęła przed jej drzwiami z rozbitym nosem, Margaret poprosiła ją do środka, opatrzyła, i powiedziała: „Niech go pani zostawi. Nie może pani z nim mieszkać. Proszę zabrać dzieci i przeprowadzić się do mnie. Tutaj jest mnóstwo miejsca”.

Ellie jednak siedziała na kanapie, obejmowała się ramionami, kołysała się w przód i w tył, a po jej poobcieranej, posiniaczonej twarzy płynęły łzy. „Nie mogę. Nic pani nie rozumie. Ja go kocham”.

Zobaczyła go parę miesięcy później, w którąś niedzielę. Przyszli razem na plażę: Ellie, Mick i czwórka dzieci. Z koszykiem wypełnionym prowiantem i turystyczną lodówką z piwem. Dzieci budowały zamki z piasku, biegały jak szalone, Ellie i Mick zaś leżeli ciasno objęci na kocu, ze splecionymi nogami. Obserwowała ich tak długo, aż wreszcie zazdrość przeżarła ją niemal na wylot, po czym zawołała Mary i odeszły tak daleko, jak tylko się dało. Po powrocie do domu upiła się, siedząc samotnie na werandzie i patrząc w gwiazdy. A jeszcze później rozległ się dzwonek do drzwi i zjawiała się Ellie, zapłakana, trzymając się kurczowo za bok. Przycisnął żelazko do jej skóry i trzymał tak długo, aż zaczęła dymić.

Ellie nauczyła ją wiele o miłości, zależności, okrucieństwie i pożądaniu. Nauczyła ją wszystkiego, co wiedziała, i za to umarła.

Margaret stanęła przed niewielkim prostokątnym lustrem wiszącym na ścianie obok zegara. Wyglądała tak samo jak trzy tygodnie temu, pomyślała, ale to już nie jestem ja, tylko jakiś odmieniec. Złe duchy porwały prawdziwą Margaret, zamiast niej zaś podrzuciły tego stwora z identycznymi włosami i oczami, ustami i zębami, rękami i stopami. Ów stwór jest słaby, jest bierny, jest ofiarą. Ów stwór za sprawą pewnego szaleńca stał się niczym. Ów stwór jest jak szpak, którego kot zagnał w kąt pokoju: skrzeczy przeraźliwie, po pięknym głosie nie zostało nawet wspomnienie. Ów stwór nigdy nie dopuści do powrotu prawdziwej Margaret – chyba że prawdziwa Margaret spróbuje coś z tym zrobić.

Idąc przez hol, usłyszała głos matki. Catherine na przemian to zadawała pytania, to udzielała

odpowiedzi, jakby była pogrążona z kimś w rozmowie. Margaret weszła do pokoju, chłodnego i ciemnego. Zastony były zaciągnięte. Catherine leżała wsparta na poduszkach. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w coś lub w kogoś, bezpośrednio nad nią. Nagle uśmiechnęła się, kokieteryjnie wydymając usta, i wyciągnęła ramiona.

– Teraz, John. Zrób to teraz. Proszę!

Zaczęła gwałtownie poruszać głową, zamknęła oczy, otworzyła je ponownie, wykrzyknęła coś głośno. Jej wychudzone ciało wiło się pod kołdrą.

– Mamo!

Margaret cofnęła się o krok. Catherine spojrzała na nią, przez nią, obok niej. Twarz starej kobiety przypominała ekran, na którym wyświetlano błyskawicznie zmieniające się obrazy. To obłęd, przemknęło Margaret przez głowę. Kto jak kto, ale ja powinnam wiedzieć, co począć w takiej sytuacji. Patrzyłam już w oczy tym, którzy tam weszli. Słuchałam tego, co mówili. Byłam dla nich głosem rozsądku, odpowiedzialności, jedynym łącznikiem z normalnością. A mimo to wciąż nic nie wiem. Ani o życiu, ani o śmierci, ani o tym, czym jest dobro, a czym zło. Jestem jak miedź brzęcząca albo cymbał brzącający.

A potem dzwonek telefonu. Podniosła słuchawkę. Czekwała, wsłuchując się w szum taśmy.

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.

Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:

orzeźwia moją duszę.

Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach

przez wzgląd na swoje imię.

To był jej głos, zwielokrotniony echem, zniekształcony rozmiarami kościoła. Ktoś zakasłał, ktoś się poruszył, zaraz potem znowu zapadła cisza. I ponownie jej głos. Czytanie podczas mszy żałobnej.

Chociażbym chodził ciemną doliną,

zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną.

Twój kij i Twoja laska

są tym, co mnie pociesza.

Kłamstwa. Wszystko kłamstwa. Nikt nie jest w stanie mnie pocieszyć.

Stół dla mnie zastawiasz

*wobec mych przeciwników;
namaszczasz mi głowę olejkami;
mój kielich jest przeobfity.*

Napełniony po brzegi udęką i cierpieniem, smakiem rzygowin i goryczą.

*Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną
przez wszystkie dni mego życia
i zamieszkać w domu Pańskim
po najdłuższe czasy.*

Nie ma dla mnie miejsca w domu Pana. Dobroć i łaska przestały dla mnie istnieć.

*I zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy
Zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy
W domu Pańskim po najdłuższe czasy
Po najdłuższe czasy.*

A potem cisza.

Rozdział 22

Kryształowa kula obracała się powoli, sypiąc świetlne refleksy niczym srebrne monety na głowy tancerzy tłoczących się na parkiecie. McLoughlin był w ponurym nastroju. Stanowczo za dużo wypił, dopadła go depresja. Rozglądał się po sali z mieszaniną rozpaczy i pogardy. Kiedyś pewnie byłby tam razem ze wszystkimi, poruszając się rytmicznie w takt muzyki. Teraz siedział przy stoliku z opróżnionym do połowy kuflem w ręce, nad talerzem z zimnymi resztkami kolacji. Kolejna pożegnalna impreza, kolejne okropne przemowy, łzawe wspomnienia, pijackie zwierzenia, kolejny policyjny emeryt. Za jakieś piętnaście lat nadejdzie jego kolej. Zasiądzie na honorowym miejscu, z Janey u jednego boku i zastępcą komisarza u drugiego. Z wielką pompą wręczą mu pożegnalny prezent. Będą mieli trochę problemów z wyborem: ani nie grywa w golfa, ani nie kręci amatorskich filmów wideo, ani nie jeździ do Anglii na mecze ulubionej drużyny piłkarskiej. Oczywiście wszyscy wiedzą, że pasjonuje się żeglarstwem, ale przecież nie będą mieli tyle pieniędzy, żeby kupić mu łódkę. Wiedzą również o tym, że jest dobrym kucharzem – mało razy robił dla wszystkich frytki w kuchni na zapleczu komisariatu? Niewiele brakowało, żeby się roześmiał, wyobraziwszy sobie delegację funkcjonariuszy kupującą frytkownicę w dziale z naczyniami kuchennymi jakiegoś supermarketu.

Wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki i ostrożnie wyjął cygaro – wielkie, grube, hawańskie, w metalowym etui. Kilka dni temu kupił je sobie u Foxa przy Grafton Street. Janey niezbyt się to spodobało. Nie to, żeby się tym szczególnie przejął, nie lubił jednak, kiedy urządziła mu sceny przy ludziach. Na szczęście akurat wtedy była głęboko pogrążona w rozmowie z dziewczyną, którą przyprowadził Dave Finney. Hałas był zbyt duży, żeby udało mu się cokolwiek podsłuchać, sądząc jednak z docierających do niego od czasu do czasu pojedynczych wyrazów, robiła jej wykład na temat medycyny alternatywnej.

Powoli zdjął nakrętkę z etui, wytrząsnął cygaro na stolik. Leżało na poplamionym białym obrusie jak gruby złocisty palec, nienaruszone i doskonale. Delikatnie przeturlał je najpierw w jedną stronę, potem w drugą, następnie wziął w dwa palce, podniósł i powąchał. Przedziwne, jakim metamorfozom ulegają zapachy: od przenikliwej słodczy tytoniowego krzewu po aromatyczną, ostrą woń jego wysuszonych liści. Już miał włożyć koniec cygara do ust, kiedy poczuł na sobie wzrok Janey. Oparła rękę na stoliku, pochyliła się w jego stronę i już otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz nie zdążyła, ponieważ wstał szybko i torując sobie drogę przez tłum, ruszył w kierunku baru.

Otoczyły go znajome twarze. Wiele z nich znał niemal równie dobrze jak własną, wiele razy bowiem spoglądał na nie nad kubkami z gorącą policyjną herbatą w Castleblayney, Elphin czy Letterkenny. Niektórzy z ich właścicieli bardzo się postarzel: łyse głowy pokryte potem i brązowymi plamami, opasłe brzuszyska zwieszające się nad paskami. Nieliczni zachowali

młodzieńcze eleganckie sylwetki nie zepsute nieracjonalnym odżywianiem, wyczerpującą pracą i zbyt dużą ilością piwa. Tu i tam dostrzegał beznadziejne przypadki, jak choćby ten człowiek, na którego oczach bandyci podziurawili kulami najlepszego przyjaciela. Wśród funkcjonariuszy krążyła szeptana plotka, że uciekł, schował się za samochodem, a tamten wziął na siebie cały ogień. Kto jednak mógł go winić za to, że nie okazał się bohaterem, że nie wpisał się w szlachetną policyjną tradycję, że nie zginął na posterunku, jak chociażby ojciec McLoughlina? Nie był wcale osamotniony. McLoughlin doskonale zdawał sobie sprawę, że odwaga, podobnie jak pewność siebie, nie była nikomu dana raz na zawsze. Jednego dnia ją miałeś, innego nie, i już. Bardzo się cieszył, że, jak do tej pory, nie został jeszcze poddany próbie. Wiele razy budził się w środku nocy zlany potem, niemal czując na piersi fizyczny ciężar strachu, i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że boi się nie kuli, lecz tego, że nie sprostą sytuacji. Przedzierając się przez rozfalowaną masę ciał, kiwając głową temu lub owemu, ignorując pozostałych, włókł za sobą smutek wyobcowania kogoś, kto w głębi duszy zdaje sobie sprawę z tego, że jest nie na swoim miejscu. Większość tych ludzi nie miała takich problemów. Wykonywali swoją robotę, kochali swoje rodziny i przyjaciół, bez zarzutu wywiązywali się z zobowiązań. Wiedzieli, kim są i czego pragną. Mieli szczęście.

Oparł łokcie na ladzie, unikając kałuż rozlanego piwa i wypełnionych z czubem popielniczek. Znalazłszy sobie trochę miejsca, zapalił cygaro; musiał się nieźle napracować, żeby się porządnie rozpałiło. Gęsty dym zawisł w powietrzu wokół jego głowy. Spowity tym całunem, wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze za rzędem butelek z alkoholem. Miał zmęczoną twarz, z workami pod jasnobrązowymi oczami i głębokimi bruzdami na czole. Wzniósł milczący toast i pociągnął łyk.

– Świetny zapach.

McLoughlin spojrział zezem w bok, następnie odwrócił się w kierunku, z którego dobiegł głos.

– Witaj, Tony. Jak się miewasz? I gdzie się ukrywałeś? Nie zauważyłem cię wcześniej.

Tony Heffernan wcisnął długie ciało w wąską wolną przestrzeń obok niego. W ręce ścisnął kufel piwa.

– Dopiero co przyszliśmy. Przyjechaliśmy z Cork i zostajemy na noc, bo Breege chce jutro odwiedzić matkę w szpitalu.

– Coś poważnego?

– Miała udar, ale powinna wyjść za kilka tygodni.

– Prosto w wasze troskliwe objęcia?

– Na szczęście nie – odparł Tony z uśmiechem. – Bogu dzięki, Breege nie czuje się na siłach, żeby wziąć na barki taki ciężar.

McLoughlin zmierzył przyjaciela podejrzliwym spojrzeniem.

– Nieźle wyglądasz. Czyżby w robocie wszystko było w porządku?

Tony uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– W całkowitym. A co u ciebie? Słyszałem, że jesteś dość zajęty. To dobrze?

McLoughlin wbił wzrok w piwo i westchnął ciężko.

– Bo ja wiem... Tak sobie.

– Jakież problemy?

– Wiesz, jak to jest. Wszyscy chcą od razu wyników, szybkich odpowiedzi, jak w telewizorze. Żeby rozwiązać zagadkę przed ostatnią przerwą na reklamy.

– A tak się nie da, prawda?

– Obawiam się, że nie. Ale nie mówmy o tym. Nie chcę sobie psuć wieczoru.

– Więc chyba nie jest aż tak niedobrze. – Tony rozejrzał się dookoła. – Już zapomniałem, jak wyglądają takie spotkania. Czy tylko my dwaj nie rozmawiamy o piłce nożnej?

– Ani o curlingu, ani o golfie.

Tony poprosił barmana o to samo, co przedtem.

– A jak ci się układa z Janey? McLoughlin wzruszył ramionami.

– Czemu pytasz?

– Tak sobie.

– Odpowiedź jest wciąż taka sama.

– Nie da się żyć w ten sposób, co? Ponowne wzruszenie ramionami.

– Powiem ci coś, Michael. Podjąłem decyzję. Mam czterdzieści sześć lat. I mam już tego dosyć.

– Czego?

– Opowiem ci, jak wygląda moje życie. Codziennie wstaję o wpół do siódmej rano. Robię dzieciakom śniadanie, zawożę je do szkoły. Breege śpi wtedy jak zabita. Wracam do domu około szóstej, szykuję kolację, sprzątam. Jemy zawsze albo przed siódmą, albo po ósmej, bo Breege nie może stracić ani jednego odcinka *Emmerdale*, *Fair City* albo *Coronation Street*. W poniedziałki, z powodu *EastEnders*, siadamy do stołu dopiero o wpół do dziewiątej. Właściwie nigdy nie rozmawiamy o ważnych sprawach, które naprawdę nas dotyczą, tylko o jakichś abstrakcyjnych pierdołach: ciężach, romansach, skrobankach i przestępczości. Mówię ci, mam tego potąd.

Przesunął ręką dwadzieścia centymetrów nad głową.

– Wciąż łyka te wszystkie świństwa?

Tony skinął głową. Radosne ożywienie rozplynęło się bez śladu, kąciki jeszcze niedawno uśmiechniętych ust opadły.

– Zdecydowałem się. Odchodzę. McLoughlin zaciągnął się głęboko.

– Znam ją? – zapytał, wypuszczając kłąb dymu.

– Dlaczego myślisz, że jest jakaś „ona”?

– Daj spokój, Tony. Przecież wasze życie wygląda w ten sposób co najmniej od dziesięciu lat.

Tony oparł głowę na rękę.

– Nazywa się Janet Simms. Jest wdową.

– Protestancką wdową, sądząc po nazwisku.

– To dyrektorka St Columba's Church of Ireland National School, zaraz za miastem przy drodze do Bandon.

– Jak się poznaliście?

– Miałem w szóstej klasie prelekcję o narkotykach. Poszło tak dobrze, że poprosiłabym opowiedział czwartoklasistom o tym, jak należy jeździć rowerem po ulicy. Potem zaczęła przychodzić na nasze weekendowe warsztaty dla nauczycieli, dotyczące walki z narkotykami. I tak to się jakoś zaczęło.

Mam nadzieję, chłopie, że wiesz, w co się ładujesz, pomyślał McLoughlin, obserwując z ukosa Breege, która przechodziła od stolika do stolika, ścisnęła ręce wysokim rangą oficerom i ich żonom, witała się z przyjaciółmi, aż wreszcie usiadła obok Janey i obie natychmiast pograżyły się w serdecznej pogawędce.

– Breege jeszcze nic o tym nie wie?

– Powiem jej jutro, w drodze powrotnej do domu. Już po odwiedzinach u matki. Dam jej dwa tygodnie na załatwienie wszystkich spraw. Byłem już u prawnika. To nie będzie łatwa sprawa, a pod względem finansowym to dla mnie wręcz katastrofa, przynajmniej przez jakiś czas.

– Co z dziećmi? Kto je weźmie?

– Mam nadzieję, że wybiorą mnie. Są już wystarczająco duże, by dać sobie radę bez matki. Są już przecież na studiach. Jestem pewien, że polubią Janet.

– No cóż, mogę ci tylko życzyć powodzenia. Ja nigdy jakoś nie potrafiłem zebrać się na odwagę.

– Widocznie nie spotkałeś właściwej kobiety.

– Możliwe. Nie wiem.

– Chodzą plotki, że kręcisz się koło matki tej zamordowanej dziewczyny...

– A wiesz, co ludzie zaczną wygadywać, kiedy zobaczą, że teraz ze sobą gadamy?

– Jak to się mówi: nie ma dymu bez ognia.

Tony uśmiechnął się i poklepał McLoughlina po ramieniu.

– Szczerze mówiąc, mam z tą sprawą spory problem.

Chętnie skorzystałbym z czyjejś rady. – Opowiedział mu o anonimowych telefonach, o podsłuchu, o obserwacji. – Teraz prowadzimy ją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Szef jeszcze o tym nie wie, ale się dowie, kiedy zobaczy rachunki za nadgodziny.

– To niebezpieczna gra.

– Owszem, ale ona aż się prosi, żeby być przynętą, co wcale nie oznacza, że z nami współpracuje. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jak bardzo nam to utrudnia życie.

– Śledzenie ludzi to ryzykowne zajęcie – powiedział Tony z uśmiechem. – Nigdy nie wiadomo, co przy okazji wyjdzie na wierzch.

McLoughlin poprosił barmana o brandy, a potem spojrział na starego przyjaciela. Zazdrościł mu energii, nadziei, podekscytowania.

– Jesteś pewien, że Breege niczego nie podejrzewa? Tony pokręcił głową.

– A czy Janey kiedykolwiek coś podejrzewała? McLoughlin się uśmiechnął.

– Zabawne, ale nie. – Sięgnął po szklankę. – Napijmy się. Za namiętność.

Za namiętność, która wkrótce potem wyciągnęła go na parkiet, kazała wciąż podsuwać szklankę do napełnienia, aż wreszcie wytoczył się w ciepłą letnią noc, wsiadł do samochodu i jakimś cudem dojechał sprzed hotelu przy Killiney Beach aż do Monkstown. Za namiętność, która kazała mu stać na ulicy i gapić się na pogrążony w ciemności dom. Za namiętność, która nie zważając na pokaźny brzuch, kazała mu wspiać się na mur, zeskoczyć z drugiej strony, przekraść się do ogródka i obserwować ją, jak stoi w kuchni i pije wodę, a potem gapić się w witrażowe szyby łazienki na piętrze, a jeszcze później w okno sypialni oświetlone łagodnym blaskiem lampki nocnej, w którym stała przez chwilę, spoglądając w ciemność, by wreszcie zaciągnąć zasłony.

Nazajutrz obudził się skulony za kierownicą samochodu stojącego przed zamkniętą bramą. Zamknęła ją zapewne Janey, która z pewnością wróciła do domu długo przed nim. W ustach czuł kwaśny niesmak. Wykręcił szyję, żeby przejrzeć się w lusterku wstecznym. Usta i język miał ciemnoczerwone. Spojrzał w dół, na rozpięty rozporek. Nie pamiętał jazdy do domu, pamiętał jednak – choć jak przez mgłę – klub, do którego zaszedł, kobietę, dla której kupił butelkę drogiego wina, obmacywanie na ulicy. Pamiętał wystarczająco wiele, żeby czuć gniew, wstyd i smutek.

Za namiętność, pomyślał, wysiadając sztywno z samochodu i szykując się na spotkanie dnia.

Rozdział 23

Stała w progu, dokonując w pamięci przeglądu listy rzeczy, które miała ze sobą zabrać: klucze, pieniądze... Czego jeszcze potrzebowała? Mała rączka pociągnęła ją za spódnicę. Mamusiu, nie zapomnij chusteczki. Sprawdziła w kieszeni: była tam, złożona, uprasowana, z wyhaftowanymi inicjałami M.M.

– Wychodzisz, Maggie?

Nellie zatrzymała się na kuchennych schodach ze szczotką w ręce.

– Aha.

– Późno wrócisz?

– Nie wiem, ale chyba około szóstej. Możesz zostać tak długo?

Starsza kobieta skinęła głową tak energicznie, że zatrzęsł się podwójny podbródek.

– Dokąd się wybierasz?

– Po prostu do miasta.

– A gdyby ktoś dzwonił?

– Powiedz, że źle się czuję, leżę w łóżku i nie można mi przeszkadzać.

– W porządku.

Margaret zawróciła i weszła do pokoju Catherine. Matka siedziała, oparta na poduszkach, przed włączonym telewizorem.

– Mamo, wychodzę na trochę, ale Nellie zostaje w domu. Catherine nie odpowiedziała. Margaret schyliła się, żeby pocałować ją w policzek, lecz matka się odsunęła. Tylko trochę, ale wystarczająco.

Zapamiętam to sobie, pomyślała Margaret, zamykając za sobą ciężkie drzwi wejściowe. Zatrzymała się na schodkach, spoglądając na jasny, roziskrzony świat. Nagle ogarnął ją lęk. Nie muszę tego robić, przemknęło jej przez głowę. Mogę jeszcze wrócić. W jej pokoju na piętrze czekało niezasłane łóżko, kołdra odrzucona na bok tak, jak zostawiła ją godzinę temu. Jakże łatwo byłoby rzucić pantofle i skryć się w ciepłe i ciemności. Nawet gdyby nie zdołała już zasnąć, mogłaby leżeć z zamkniętymi oczami. Nie, to niedobry pomysł. Kiedy się leży w ciemności, nie śpiąc, zazwyczaj sięga się myślami do tego, co najgorsze. Do tego, czego się dowiedziała, co jej powiedziano, czego nie chciała wiedzieć.

Założyła ciemne okulary i zza ochronnej tarczy przydymionych szkieł rozejrzała się dookoła. Samochód jak zwykle stał po lewej stronie, jakieś cztery domy dalej. Zeszła po stopniach na ścieżkę o nierównej popękanej powierzchni, otworzyła skrzypiącą furtkę z kutego żelaza, wyszła na zewnątrz, niemal wpadając na trójkę dzieci z czarnym szczeniakiem labradora na smyczy. Nieproporcjonalnie grube łapy psiaka wyglądały jak zrobione z plasteliny. Dzieciaki minęły ją, kłócąc się głośno o to, kto teraz powinien trzymać smycz. Najmłodsze, nieduży chłopczyk, szedł

z tyłu, ciągnąc za sobą biało-granatowy, mocno już wybrudzony ręcznik. Odprowadziła je wzrokiem aż do wieży Martello, za którą skręciły w betonowe zejście prowadzące na plażę, po czym ruszyła w przeciwną stronę, w kierunku samochodu. Jak zwykle było w nim dwoje ludzi. Tym razem na miejscu dla pasażera siedziała kobieta. Margaret nigdy wcześniej jej nie widziała. Miała jasne proste włosy, grzywkę, a na sobie śnieżnobiałą bluzkę. Margaret obserwowała zza okularów, jak zmieniało się ich zachowanie, gdy się zbliżała. Stawali się coraz sztywniejsi, rozmawiali ze sobą z poważnymi minami. Dziesięć metrów dalej, za zakrętem, czekała ją wspinaczka po metalowych stopniach na przerzuconą nad torami kładkę, a po drugiej stronie niedługa wędrówka do stacji kolejki dojazdowej. Zerknęła ukradkiem przez ramię: kierowca i pasażerka samochodu nadal siedzieli sztywno, wpatrzeni prosto przed siebie. Na pewno jej nie obserwowali, ale ona wiedziała, że u wylotu wąskiej alejki łączącej kładkę z ulicą z pewnością ktoś będzie na nią czekał.

Skórzane podeszwy sandałów nie czyniły żadnego hałasu, kiedy wspinała się po metalowych stopniach. Ciekawe, ile już razy tędy szłam? – przemknęło jej przez głowę. W deszczu i słońcu, za dnia i nocą, w radosnym i ponurym usposobieniu. Jako dziecko i jako dorosła. W czarnych wypucowanych szkolnych pantofelkach, z połami czerwonego płaszcza furkoczącymi w porywach lutowej wichury i w potężnych glanach sznurowanych niemal do kolan i spódniczce tak krótkiej, że każdy, kto za mną szedł, widział moje majtki. Wbiegałam po dwa-trzy stopnie naraz, słysząc turkot nadjeżdżającego pociągu, i wlokłam się noga za nogą, dopalając ostatniego papierosa przed powrotem do domu. Pamiętam, jak się tu całowałam. Nie mam już pojęcia, jak się nazywał ten chłopak, wciąż jednak czuję ból w tym miejscu na karku, do którego przywarł jak wampir i ssał, ssał tak długo, aż kropelki krwi pojawiły się na zasinionej skórze. W domu pracownicy ukrywałam ten siniak, w innych miejscach z dumą go wszystkim prezentowałam. I ten ekshibicjonista. Biały wiotki penis dyndający u rozporoka, chwila zmieszania, potem chichoty. „Widziałyście?”. Jeszcze rozbawione spojrzenie wstecz, na przygarbionego mężczyznę oddalającego się szybko z opuszczoną głową. I zawsze ten sam smród: mocz i gnijące liście. I wilgoć, nawet teraz, w samym środku suchego lata.

Przystanęła przed skrętem w szeroką alejkę. Ciekawe, kto będzie tym razem?

Drugą stroną ulicy szedł młody mężczyzna. Nie zwolnił kroku, kiedy skręciła w tę samą stronę co on i zrównała się z nim. Stała obserwacja, pomyślała. Tak to się nazywa. Po angielsku „surveillance”, po francusku „sur veiller”. Od łacińskiego „vigilare”. Ilu z tych młodych mężczyzn, którzy ją obserwowali, w przeszłości było podglądaczami? Ilu jeszcze teraz odczuwało gdzieś w głębi duszy podniecenie, a może i rozkosz na myśl o tym, że patrzą na nią, ona zaś, nawet gdyby chciała, nie może uchronić się przed ich dyskretną wszechobecnością?

Przez całą drogę do stacji słyszała za plecami kroki. Było wczesne przedpołudnie, już po porannych godzinach szczytu. Kupiła bilet, przeszła przez bramkę i szybko zeszła po

drewnianych schodkach na peron. Na pociąg czekało zaledwie kilka osób: młoda kobieta z zapłakany dzieckiem w wózku, dwie nastolatki – bliźniaczki – zapalające właśnie papierosy. Chichotały, usiłując trafić papierosami w płomień zapalniczki. Różniły się tylko kolorem włosów: jedna ufarbowała się niemal na biało, druga była naturalną szatynką. Mimo króciutkich spódniczek, lycrowych topów i grubej warstwy makijażu wyglądały prawie na dzieci.

Poczuła dotknięcie policzka Mary na swoim policzku, jej rękę w swojej ręce, kiedy siedziały na tej samej ławeczce. Wyprostowane długie nogi, zawiązywany na rzemyki sandał zsuwający się ze smukłej stopy o wysokim podbiciu. Udała, że podstawią nogę przechodzącemu obok nich młodemu mężczyźnie. Uśmiechnął się do niej, a ona do niego, podkuliła nogi, szepnęła matce do ucha dwa słowa. Pamiętała je dokładnie, tak samo jak ciepły powiew oddechu. „Fajny, co?”. A potem jeszcze chichot i rzucone z ukosa spojrzenie, i ruch ręki odgarniającej z twarzy czarne kędziory.

Nie zwracając uwagi na młodego człowieka ze zwiniętą w rulon gazetą, oparła się o rozgrzaną kamienną ścianę, zamknęła oczy i czekała.

McLoughlin przywykł do czekania. Kiedyś podliczył wszystkie godziny spędzone w samochodach, barach, na ulicach, na parkowych ławkach, w restauracjach i kawiarniach, na dworcach kolejowych i autobusowych, w hotelach i w cuchnących męskich toaletach, i wyszło tego jakieś cztery tygodnie za każdy rok przepracowany w policji. Niezliczone godziny balansowania na cienkiej granicy między obojętnością a pulsującą adrenaliną czujnością.

Zawiadomiono ich o 10.43, w chwili, kiedy opuszczali Harcourt Square. Razem z Finneyem uczestniczył w spotkaniu z ludźmi z *Crimeline*. Rozmawiali o wykorzystaniu sprawy Mitchell w najbliższym programie. Margaret wyszła z domu i udała się w kierunku stacji kolejki dojazdowej. W pociągu jechał z nią Brian Conroy. Wsiadła przy Lansdowne Road. Ten cholerny głupek myślał pewnie, że jedzie aż do Pearse Station, i mało jej nie zgubił. Oczywiście, nawet się o tym nie zająknął, ale McLoughlin bez trudu domyślił się tego z jego głosu. Ci nowi chłopcy stanowili dla niego nie lada zagadkę. Nie to, żeby byli głupi, wręcz przeciwnie. Jego zdaniem, większość miała wręcz zbyt wysokie kwalifikacje, łącznie ze stopniami naukowymi i niezliczonymi kursami kończonymi dzięki ślęczeniu po nocach i pozarywanym urlopom. Brakowało im natomiast wyobraźni. Nie wierzyli w tajemnice życia. Wszystko było przycięte na wymiar, zło i dobro stanowiły pojęcia niemieszczące się w granicach ich rozumienia. Brian Conroy stworzył dla Margaret Mitchell etykietkę poważanej, zamożnej kobiety z klasy średniej. Pojechała kolejką do miasta, musiała więc wysiąść na Pearse lub Tara Station i pójść na zakupy. Nic innego nie wchodziło w grę.

McLoughlin wyjął lornetkę ze schowka. Zaparkowali na Wellington Road, jakieś dwadzieścia metrów od skrzyżowania z Pembroke Road. Według Conroya Margaret weszła do

domu pod numerem 378, z czerwonymi drzwiami doskonale widocznymi z ich punktu obserwacyjnego. Skierował lornetkę na budynek. Dwa piętra i piwnica, po dwa okna na piętrach, jedno na parterze, wszystkie przesłonięte zawieszonymi w połowie wysokości zasłonami. Wpatrywał się uważnie w górną część okien. W jednym z nich, na ostatnim piętrze, wisiało coś przypominającego „pajęczki”, jakie zawiesza się nad niemowlęcymi kołyskami. Ani śladu mieszkańców. Na najwyższym, szerokim stopniu przed wejściem, tuż obok skrobaczki do butów stał metalowy pojemnik z sześcioma pustymi butelkami po mleku. Widok na okna piwniczne częściowo zasłaniał zaniedbany żywopłot. McLoughlin skoncentrował uwagę na drzwiach wejściowych. Tylko jeden przycisk dzwonka. Dość niezwykle w okolicy, gdzie większość domów takich jak ten już dawno temu została podzielona na indywidualne mieszkania.

Czekali. Był kolejny piękny dzień. Jeśli wierzyć prognozom, przyjemne ciepło już niedługo miało się zamienić w upał. Finney bez przekonania pogmerał przy radiu, a następnie ziewnął rozdzierająco. McLoughlin wysiadł z samochodu, przeciągnął się i zaczął spacerować tam i z powrotem po szerokim chodniku. Zawsze uważał, że Wellington Road to jedna z najładniejszych ulic w mieście. Domy z czerwonej cegły, w większości jednopiętrowe, wzniesione w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, były w doskonałym stanie. Jeszcze kilka lat temu wynajmowane gromadom studentów, ostatnio zaczęły odzyskiwać dawny splendor. Zatrzymał się przy jednej z posadzonych wzdłuż chodnika czereśni i przycisnął policzek do gładkiej kory. Wiosną ulica dosłownie tonęła w cudownych biało-różowych kwiatach przypominających pianę na koktajlu truskawkowym.

A potem odwrócił się powoli w kierunku samochodu i zobaczył ją. Stała na schodkach przed domem z czerwonymi drzwiami, obok kobiety z dzieckiem w ramionach. W chwili kiedy skierował się w jej stronę, popędziła co sił w nogach. Zbiegła po stopniach, a następnie skręciła w Baggot Street. Druga kobieta zamierzała chyba ją powstrzymać, nie dała jednak rady i tylko odprowadziła ją wzrokiem.

– Idę za nią! – zawołał McLoughlin do Finneya. – Będziemy w kontakcie!

Machnął tamtemu przed oczami krótkofalówką, a następnie pognął za Margaret. Minąwszy zakręt, spostrzegł, że już nie biegnie, tylko idzie, szła jednak tak prędko, że tylko z najwyższym trudem mógł jej dotrzymać kroku. Na szczęście jasnokremowa lniana sukienka na tyle rzuciła się w oczy, że nie obawiał się, iż zgubi ją w tłumie przed Waterloo House – niegdyś szpitalem, teraz kliniką dla narkomanów – albo na Baggot Street Bridge. W jej chodzie, w jej ruchach było coś, co go pociągało i czego obserwacja sprawiała mu przyjemność. Przyglądał się jej z drugiej strony ulicy. Zdawała się niemal płynąć albo ślizgać, bez trudu omijając wszystkie wyrastające na drodze przeszkody. Nie umknęło jego uwagi, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety oglądali się za nią, śledzili ją wzrokiem, zerkali z zainteresowaniem. Tak się zagapił, że z dużym opóźnieniem zareagował na to, iż zatrzymała się przed pubem „Doheny and Nesbitt”. Zahamował raptownie,

idąca za nim kobieta wpadła na niego jak na ścianę, wymamrotał pod nosem przeprosiny, po czym skrył się w najbliższej bramie.

To, co działo się później, częściowo zachowało się w jego notesie, całkowicie zaś w jego pamięci.

11.30 Siedzi w kącie w Nesbitt's. Pije dwie kawy. Prosi barmana o „Irish Times”. Rozmawia z nim o pogodzie, o tym, ilu turystów jest w mieście itd. *(Siedziałem przy barze i obserwowałem ją z daleka. Kiedy zdjęła okulary, miała oczy opuchnięte od płaczu.)*

12.30 Pora lunchu, zaczyna się robić tłoczno. Płaci i wychodzi. *(Była zaniepokojona, przyglądała się wchodzącym ludziom.)*

12.35 Idzie na zachód Baggot Street, skręca na północ w Merrion Street, do Merrion Square. Wchodzi do National Gallery, idzie prosto do działu sztuki irlandzkiej. Stoi 8 minut przed *Autoportretem* Roberta Fagana i *Magikiem* Nathaniela Hone'a. Idzie do toalety. *(Wpatrywała się w obrazy z taką miną, jakby szukała w nich odpowiedzi na dręczące ją pytania. Szczególnie spodobała jej się chyba włoska żona Fagana, jej loki wymykające się spod francuskiej czapeczki rewolucjonistki, jej nagie, niczym nieosłonięte piersi. Tuż obok zatrzymali się dwaj francuscy turyści. Jeden próbował nawiązać rozmowę. Już się chciałem wtrącić, ale poradziła sobie beze mnie.)*

13.15 Wychodzi z National Gallery. Idzie na zachód Clare Street, skręca na północ przy London Place i wchodzi przez Lincoln Gate do Trinity College. Przez kwadrans siedzi na ławce. *(Gorąco, bardzo gorąco. Zdjęła ciemne okulary, z zamkniętymi oczami odchyliła się do tyłu. Słońce grzało ją, kołło. Nogi wyciągnęła daleko przed siebie. Czy się zdrzemnęła? Może przez kilka minut. Kiedy znowu otworzyła oczy, sprawiała wrażenie lekko zdezorientowanej.)*

13.55 Rusza dalej na północ przez New Square, opuszcza teren Trinity College przez bramę przy Pearse Street. Idzie Tara Street, przez Butt Bridge, dalej Gardiner Street, wchodzi do pubu Hill 16. Łączę się z sierżantem Finneyem, mówię mu, gdzie jestem. *(Szła jak zahipnotyzowana, nie patrzyła ani w lewo, ani w prawo. Dopadła ją gromadka dzieciaków żebrzących na moście. Odepchnęła je, puściła się biegiem, one za nią. Znikła im w tłumie. Zatrzymała się, żeby złapać tchu. Sprawdziła torebkę, portmonetkę, przyglądała włosy, odwróciła się i pomaszzerowała Gardiner Street. Rzuciła się w oczy jak biały kwiat, jak promień światła w pochmurny dzień. Przeszła na drugą stronę przy skrzyżowaniu z Parnell Street, weszła do Hill 16. Zamówiła gin z tonikiem. Stałem na zewnątrz i wykręcałem szyję, żeby zobaczyć coś przez szybę. Szybko wypiła, zamówiła jeszcze jeden. Czyżby znała barmana? Mówi coś do niej cicho. Ona uśmiecha się, on bierze ją za rękę. Ogarnia mnie zazdrość. Gapię się na jego poplamione nikotyną palce i mam ochotę mu je połamać.)*

14.30 Wychodzi z pubu. Idzie wciąż na północ do Mountjoy Square. Przechodzi na drugą stronę ulicy, zatrzymuje się przed numerem 50. Ostatni nietknięty budynek. Wyremontowany

pod koniec lat sześćdziesiątych przez Desmonda Guinnessa i Georgian Society. Otwiera drzwi kluczem. Wchodzi. *(Co ona tu robi? Mieszkała tutaj? Skoro tak, to dlaczego jej wcześniej nie spotkałem, nie poznałem? Przecież kiedy studiowała, pracowałem przy Store Street. Mogłem wpaść na nią wieczorem albo w nocy. Sam dość często chodziłem do Hill 16. Zabawni ludzie, trochę awanturników. Miejscowi handlarze, paru hipisów. Afgańskie płaszcze. Kręcone włosy. Gnieździli się w starych opuszczonych domach. Sami mówili, że się nimi „opiekują”. Bez bieżącej wody, ze szczurami w piwnicach, pod sufitami, z których płatami odpadał tynk. Mogliśmy ich wszystkich zgarnąć za prochy, nielegalne zajmowanie pomieszczeń, cokolwiek, ale szef uważał, że szkoda fatygi. Stałem przy ogrodzeniu parku, patrzyłem w okna na piętrze. Częściowo zastłonięte kratami, niewiele było widać. Stała przy szybie, oparła na niej dłoń, wpatrywała się we mnie, przeze mnie, nade mną. Co widziała? Zejdź tutaj. Pozwól, żebym cię pocieszył. Przytul się do mnie, oprzyj mi głowę na ramieniu.)*

15.40 Wraca Gardiner Street, skręca w Parnell Street, przy Parnell Monument przechodzi na drugą stronę. Wchodzi do pubu Conway's, siada przy barze, pije gin z tonikiem. Czyta „Evening Herald”. *(Sprawiała wrażenie zmęczonej. Miała wymiętą sukienkę, zakurzone stopy. Fryzura jej się rozpadła, pod oczami pojawiły się głębokie cienie. Spojrzała w kierunku kąta, w którym piłem piwo. Nasze oczy się nie spotkały. Poruszyła się na barowym stołku, założyła nogę na nogę. Piersi zafalowały pod cienkim materiałem sukienki. Dopła drinka, zamówiła następnego, przesiadła się na miejsce, z którego widziała telewizor. Leciła SKY NEWS albo CNN, w każdym razie któryś z programów informacyjnych. Po jej twarzy płynęły łzy.)*

16.45 Mitchell wychodzi z Conway's, kieruje się w stronę Rotunda Hospital, wchodzi do środka. Obserwację przejmują sierżant Finney. *(Wszystko zdarzyło się szybko i niespodziewanie. Poszła do łazienki, a ja zamówiłem jeszcze jedno piwo, tym razem z małą wódką. Wróciła, kiedy płaciłem barmanowi. Nie zatrzymała się, tylko od razu wybiegła z pubu. Miałem nadzieję, że Finney jest na zewnątrz. Pobiegłem za nią i zobaczyłem, jak wchodzi starym wejściem do Rotunda Hospital, a Finney za nią, dzięki Bogu. Poszedłem za nimi starym, wyłożonym kafelkami korytarzem, w górę schodami obok windy. Jedno piętro, drugie. Wszędzie dokoła kobiety w kwiecistych szlafrokach, z gołymi nogami, w puchatych kapciach. Słodkawy zapaszek maleńkich dzieci. Seksowne pielęgniarki w białych i błękitnych fartuchach. Co ona tu robi, do cholery? Jedna z pielęgniarek usiłowała mnie zatrzymać, wskazała na tabliczkę z napisem „Oddział noworodkowy”. Odepchnąłem ją. Drzwi, drzwi, drzwi, mnóstwo szklanych drzwi po obu stronach korytarza. Znalazłem ją za jednymi z nich. Stała nad inkubatorem, łzy kapły jej z nosa i policzków na plastikową pokrywę. W środku leżało maleńkie niemowlę z czerwoną pomarszczoną twarzyczką. Szlochala coraz głośniejsze, prawie skręcała się z cierpienia. A potem mnie zobaczyła. Wynoś się, wrzasnęła, podnosząc zacisnięte pięści. Mało ci jeszcze? Cofałem się powoli, krok za krokiem, zupełnie oszołomiony, aż wreszcie oparłem się plecami o drzwi, a ona*

krzyczała i krzyczała. Z bólem, z wściekłością. Co mogłem zrobić? Musiałbym jej powiedzieć, że na tym polega moja praca. Musiałem ją śledzić, musiałem patrzeć, jak żżera ją rozpacz i ból. Musiałem jej powiedzieć, że sekcja wykazała, iż Mary była w ciąży. Kiedyś. Zmiana zabarwienia sutków, minimalna deformacja szyjki macicy. Trudno powiedzieć, czy poroniła, czy zdecydowała się na aborcję, ale nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że była w ciąży i że zarodek zdążył przekształcić się w płód. Skąd miałem wiedzieć, że ona, jej matka, nie miała o niczym pojęcia? Że najpierw zacznie gwałtownie protestować, to niemożliwe, to jakaś pomyłka, potem umilknie, głęboko się zastanawiając, jeszcze później zaś każe mi się wynosić, zabierać się stąd czym prędzej i nigdy nie wracać, że będzie waliła pięściami w stół, aż zaczną sinieć i puchnąć.

Przybiegli lekarze, pielęgniarki. Dali jej coś na uspokojenie, położyli na łóżku, na którym jeszcze wczoraj leżała jakaś matka ze swoim nowo narodzonym dzieckiem, a ja wróciłem do pubu i dokończyłem moje piwo z wódką.)

Rozdział 24

I zamieszkać w domu Pańskim po najdłuższe czasy.

Jest coś miłego w brzmieniu słowa „zamieszkać”, pomyślała Margaret. Coś sugerującego stabilizację i bezpieczeństwo, i to, że wszystko już zawsze będzie takie jak powinno.

Przycisnęła plecy do twardego oparcia ławki i postawiła stopy na wyściełanym kłęczniku. W porównaniu z panującym na zewnątrz upałem w kościele było chłodno, prawie zimno. Zupełnie jak w kościołach we Włoszech i w Hiszpanii, azylach wzniesionych ludzkimi rękami dających schronienie przed roznieconym boską dłonią słonecznym żarem. Dokoła, w bocznych nawach i małych kaplicach, wyłaniały się z cienia postaci, które zapalały świece, przykłękały, siadały, skłaniały głowy, a niekiedy zamieniały między sobą kilka słów scenicznym szeptem. Jakiś siedzący z tyłu staruszek z głośnym szelestem otworzył gazetę. Czy mój ojciec też przychodził tu po to, żeby w ciszy i spokoju poczytać gazetę? – przemknęło jej przez głowę. Już po tym, jak przeszedł na emeryturę i nagle zawalił się cały jego uświęcony tradycją porządek dnia. Przesunęła palcem po zaśnieżonej tabliczce.

John Patrick McKenna 1910-1990

R.I.P

Jego życie było kiedyś precyzyjne i uporządkowane. Bardzo się z tego cieszył. Zapamiętała tabliczkę na drzwiach jego biura przy Merrion Street: Sean MacCionnaith, An Runai, starym irlandzkim pismem, błyszczące czarne litery na granatowym tle. Pierwszy raz zobaczyła ją w swoje dziesiąte urodziny. Tego właśnie dnia, 21 czerwca 1961, zabrał ją ze sobą do pracy. Miał to być specjalny prezent, ponieważ teraz, kiedy jej wiek wyrażało się już nie cyframi, lecz liczbami, była niemal dorosła – tak powiedział. Jechali tramwajem koloru marmolady, tym aż z Rosslare. W Monkstown panował już w nim spory ścisk, o miejscach siedzących nie było nawet co marzyć. Ojciec wcisnął ją sobie między nogi, żeby nie przewróciła się podczas hamowania i przyspieszania. Wielu współpasażerów – niemal wyłącznie mężczyźni z teczkami i zwiniętymi gazetami pod pachą – witało się z nim mniej lub bardziej poufale. Przedstawiał ją im wszystkim, poprzedzając imię zawsze takim samym zdaniem: „A to moja śliczna dziesięcioletnia córka...”. Uśmiechała się milcząco. Po wyjściu z tramwaju wsunęła mu rękę do kieszeni, starając się nadażyć, kiedy szedł żwawym krokiem przez Westland Row, obok Merrion Hall z wielkim afiszem głoszącym „Jam jest Drogą, Prawdą i Życiem”, przez Merrion Square aż do biura w Budynkach Rządowych. Weszli przez szerokie, dwuskrzydłowe szklane drzwi, strażnik zasalutował, potem szli już długim, wyłożonym brązowym linoleum korytarzem. Zatrzymali się dopiero przed drzwiami biura. Margaret pociągnęła za marynarkę, wskazała na

tabliczkę i zachichotała, on zaś przyłożył palec do ust i bezgłośnie szepnął „Ciiii!...”. Otworzył drzwi. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, była wielka czarna maszyna do pisania. Dopiero chwilę później zauważyła wyglądającą zza niej niedużą kobietę w średnim wieku o kręconych siwiejących włosach.

– Pani O’Connor, mam przyjemność przedstawić pani moją córkę Margaret. Właśnie dzisiaj kończy dziesięć lat.

Kobieta wstała i podała jej białą rękę. Margaret uściśnęła wiotkie palce i rozejrzała się dookoła: sterty papierów, wielki czarny telefon z jakimiś przyciskami, półki uginające się pod książkami w zielonych okładkach, z harfami wytłoczonymi na grzbietach. Przez kolejne drzwi weszli do gabinetu ojca. Jego biurko było znacznie większe, dostrzegła na nim białą suszkę ze skórzanym uchwytem, obok leżał srebrny nóż do papieru i stała oprawiona w srebrne ramki fotografia. Margaret i Catherine. Na jednej ścianie wisiał portret Eamona de Valera, [Eamon de Valera (1882-1975) – irlandzki mąż stanu, twórca niepodległego państwa irlandzkiego, wielokrotny premier (1932-48,1951-54,1957-59) oraz prezydent (1959-73)] przeciwległa ściana była cała zastawiona książkami. Ojciec posadził ją w skórzanym fotelu w kącie i dał stertę czasopism do przeglądania, sam natomiast zajął się rozmowami telefonicznymi i korespondencją. Punktualnie o 12.30 w całym budynku rozległ się odgłos otwieranych i zamykanych niezliczonych drzwi. Panna O’Connor zajrzała do gabinetu i zakasłała.

– Tak jak zwykle, o drugiej – powiedział, nie odrywając wzroku od leżącej przed nim kartki. Chwilę później uporządkował papiery na biurku i starannie ułożył przybory do pisania. – Pora na lunch, Margaret.

Wziął ją za rękę. Gdy wyszli na korytarz, niczym bladozielona mgła otoczyła ich woń gotowanej kapusty. Pamiętała, że zrobiło się jej niedobrze, mimo to jednak posłusznie stała w kolejce do kantyny, trzymając tacę i robiąc to samo co on. Porcje szarego mięsa były w wielu miejscach poprzecinane smugami tłuszczu. Przesuwała swoją po talerzu tak długo, aż wreszcie zniecierpliwiony ojciec pokroił mięso na drobne kawałki i niemal przemocą wepchnął jej do ust.

Miała wrażenie, że kości lada chwila przebiją pośladki i zetkną się z twardym drewnem ławki. Poruszyła się niezgrabnie. Straciła sporo na wadze. Doskonale wiedziała, że to typowa reakcja na stres. Kłopoty ze snem, kłopoty z jedzeniem. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przyrządziła sobie normalny posiłek, taki wielodaniowy i wielosmakowy, sporządzony starannie i z dbałością o szczegóły. Białko i węglowodany, warzywa i owoce, barwy i kształty, narzędzia przyjemności i zadowolenia. Odżywiała się niemal wyłącznie herbatą i kawą, czasem chlebem, niekiedy jabłkami. I alkoholem. Cudowny balsam zapomnienia. Opuściła wzrok na ręce leżące luźno na kolanach. Miała bardzo szczupłe nadgarstki, obrączka bez trudu przesuwiała się na palcu. Margaret była zadowolona. Zaczynała rozumieć euforię ludzi prowadzących strajk głodowy, żyjących na granicy między jawą i halucynacjami

spowodowanymi niedostatkami glukozy we krwi docierającej do mózgu. Ogarnęło ją pragnienie wyzwolenia się z fizycznych więzów cielesności. Jej córka już tego dokonała, czemu więc jej miałyby się nie udać? W książkach dokładnie opisano tę fazę, ona jednak nie zamierzała zostawić jej za sobą. Nie chciała się upodobnić do tych wszystkich, którzy w końcu rozstają się z bólem, którzy pokonują całą drogę od protestu przez gniew aż do pogodzenia się z losem. Pragnęła na zawsze zatrzymać wściekłość przy sobie, karmić się nią, czerpać z niej siłę.

Potoczyła wzrokiem po witrażach z wizerunkami świętych i stacjach drogi krzyżowej – prostych marmurowych płaskorzeźbach. Dawniej zdarzało się, że odczuwała fizyczny ból tak ostry i przejmujący, jakby to jej ręce i stopy przebijano żelaznymi gwoździami. Zdarzało się, iż odnosiła wrażenie, że serce jej pęknie, rozdzieli się na dwie części, trzaśnie w przeraźliwym mrozie. Niekiedy zaś czuła się tak, jakby jej serce zamarło, niczym serce Królowy Śnieżki czekającej na pocałunek, który je ożywi, który wywoła uczucie odmienne od tej okropnej, wszechogarniającej wściekłości.

Nad jej głową zabrzmiał dzwon na Anioł Pański. Wsunęła rękę do kieszeni spódnicy i wyjęła kopertę ze swoim nazwiskiem. Wiedziała, że to od Jimmy'ego. Bez znaczka. Kopertę wrzucono w nocy do skrzynki na listy. Wewnątrz znajdowały się dwie fotografie. Położyła je na ławce obok siebie i przyjrzała im się. Jedną wykonano w dniu pogrzebu. Stała przed kościołem z twarzą pobladłą od cierpienia. Drugie zdjęcie przedstawiało rękę wraz z nadgarstkiem na jakimś neutralnym tle. Prawą rękę. Na małym palcu był pierścionek z maleńkimi brylancikami, na nadgarstku – zegarek z Myszka Miki. Obróciła odbitkę, żeby mu się dokładniej przyjrzeć.

To było w sklepie wolnołowym w Singapurze. Margaret kupiła perfumy dla matki i dużą butelkę whisky. Zastanawiała się nad pięknymi kolczykami z perłami. Rozejrzała się w poszukiwaniu Mary, żeby zasięgnąć jej opinii. Córka właśnie coś kupowała, śmiejąc się radośnie. „Mary!” – zawołała, przekrzykując brzęczenie kas i elektroniczne dźwięki *Nad pięknym modrym Dunajem* dobiegające z głośników. „Chodź, spójrz na nie. Co myślisz?”

Ale Mary interesował wyłącznie nowo nabyty zegarek. „Czy nie jest boski?” – chichotała, podziwiając Myszka Miki, która wskazywała godziny i minuty nienaturalnie wielkimi ramionami. „I nawet tyka”. Podsunęła go matce do ucha. „Posłuchaj!”

„To śmieć. Założę się, że przestanie działać najdalej po tygodniu”.

„Och, nie opowiadaj takich rzeczy!” – wykrzyknęła Mary melodramatycznym tonem, wytarła plastikową kopertę o bluzkę i założyła zegarek. „Nasza mamuśka zawsze potrafi wszystko zepsuć, prawda, Myszek?”

Czy kupiła wtedy te kolczyki? Nie mogła już sobie przypomnieć. Ponownie przyjrzała się zegarkowi na zdjęciu. Myszka podniosła wysoko nad głowę rękę w białych rękawiczkach, niczym policjant kierujący ruchem na ulicach Singapuru. Nadęci nieduzi mężczyźni wymachujący białymi pałkami, narzucający swoją wolę przemykającym wokół nich

samochodom, motocyklom i autobusom. Duża i mała wskazówka razem na dwunastce. Czas. A na drugim zdjęciu miejsce. Czas i miejsce spotkania? Czy zegarek pokazywał północ, czy południe? Tego nie wiedziała, druga fotografia została jednak wykonana w dzień, w blasku słońca. Miejsce było ruchliwe, uczęszczane, bezpieczne.

Przebrzmiało ostatnie uderzenie dzwonu. Margaret wstała i ruszyła w kierunku wyjścia ze świątyni. W kruchcie przystanęła przy koślawym drewnianym stoliku, na którym leżały równiutko ułożone egzemplarze „Sacred Heart Messenger”. Mijały ją dziesiątki ludzi. Starła się zatrzymać wzrok na każdej twarzy. Kim on był? Gdzie? Nie natrafiła na ani jedno znaczące spojrzenie, żadna twarz nie wywołała najmniejszego skojarzenia. Zniecierpliwiona, wyszła na zewnątrz, w pełne słońce. Samochody sunęły powoli od Monkstown Road na południe, w kierunku Mountown, Baker’s Corner i Dean’s Grange. Margaret spoglądała to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się ludziom robiącym zakupy i po prostu spacerującym. W Monkstown jak zwykle panował duży ruch. Z delikatesów wyszła kobieta z dwojgiem małych dzieci i dużą foliową torbą. Dzieci niosły wiaderka, łopatki i siatkę na ryby, na potwornie długim kiju. Kobieta złapała je za ręce i ciągnęła za sobą przez ruchliwą ulicę. W pewnej chwili jedno z nich potknęło się i upadło, wrzeszcząc wniebogłose. Kobieta upuściła torbę, pomarańcze potoczyły się po asfalcie we wszystkie strony, ruch zamarł, rozległo się zniecierpliwione trąbienie. Dziecko, pochlipując, podniosło się z jezdni. Matka pospiesznie pobierała, co się dało, zgarnęła je na ręce, zaniósła na chodnik. Samochody ruszyły, zapomniana pomarańcza dostała się pod koło, miąższ i skórka rozprysnęły się na asfalcie.

Siedząca do tej pory na latarni mewa zapikowała w kierunku przepelnionego kosza ze śmieciami, złapała kawałek chleba, rzuciła na ziemię, zaraz potem wylądowała tuż obok i zaczęła szarpać go zakrzywionym dziobem. Z donośnym ujadaniem nadbiegł pies. Ptak wahał się przez chwilę, w końcu głośno skrzecząc, poderwał się do lotu, zatoczył szeroki krąg, a następnie skierował się ku morzu, nad przypominającymi pieprzniczki bliźniaczymi wieżami protestanckiego kościoła po drugiej stronie ulicy, doskonale widocznymi niemal z każdego punktu miasta.

Margaret odprowadziła go wzrokiem, następnie spojrzała na trzymaną w ręce fotografię. Na zdjęciu stała u podnóża schodów. Wykonano je mniej więcej z miejsca, w którym znajdowała się teraz, odwrócona tyłem do wejścia. Jednak na fotografii za jej plecami widniał nie kościół Św. Michała, do którego zawsze uczęszczała jej rodzina i w którym odbyła się ceremonia pogrzebowa Mary, lecz ten naprzeciwno, z ciemnymi wieżami stojącymi nieruchomo w blasku dnia.

Oczywiście! Doskonałe miejsce: kościół zbudowano w czasach, kiedy w tej zamożnej podmiejskiej dzielnicy żyła liczna społeczność protestancka. Od tamtej pory jednak liczba wiernych znacznie się zmniejszyła, częściowo za sprawą emigracji, a częściowo ze względu na

coraz powszechniejszą obojętność religijną.

Z łomocącym sercem zbiegła po stopniach, besztając się w duchu za to, że nie domyśliła się od razu. Przyszła do niewłaściwego kościoła. Korek zaczynał się przy światłach na końcu Monkstown Road. Wbiegła na jezdnię, lawirując między stojącymi samochodami, przedarła się na drugą stronę. Niewiele brakowałoby potracił ją nadjeżdżający z przeciwnej strony motocyklista. Wpadła w bramę, minęła tablicę z ogłoszeniami, spod jej stóp pryskał żwir i drobne kamyczki. Przed ciężkimi drewnianymi drzwiami z potężnym mosiężnym uchwytem zatrzymała się, zawahała, spróbowała złapać oddech. Jeszcze nie było za późno. Jeszcze mogła się cofnąć. Mogła wrócić do domu, przeprosić policjanta, któremu tak sprytnie się wymknęła, przeskakując przez mur na tory kolejki, a następnie idąc nasypem aż do Salthill. Jeszcze mogła zrezygnować, zostawić sprawę w rękach McLoughlina, żeby powoli i uparcie posuwał się naprzód. Nie chciała tego jednak. Przypomniała sobie wszystkie te sytuacje ze swojego życia, kiedy wybrała łatwiejsze rozwiązanie, i postanowiła nie wydłużać tej listy.

W końcu pchnęła drzwi tak mocno, że aż uderzyły o ścianę, i weszła do przedsionka. Przed sobą miała kolejne drzwi, prowadzące do głównej części świątyni, po prawej stronie znajdowały się kręcone schody wiodące na chór. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz, dostała gęsiej skórki, włoski zjeżyły się na całym ciele. Zimno jak w Boże Narodzenie. Półmrok rozświetlony migotliwym blaskiem świec trzymany przez chórzystów. Wysoki chłopiący głos:

Dawnymi czasy, w mieście Dawida, złóbek maleńki sobie stał, gdzie matka pewna dziecię powitałaby synek jej łóteczko miał. Maryja było jej na imię, dzieckiem zaś Jezus mały był.

Chór podjął opowieść. Było to nabożeństwo Dziewięciu Nauk i kolęd, odprawiane co roku, odkąd mogła sięgnąć pamięcią. Jej ojciec nazywał je aktem ekumenizmu. Siadywali w galerii na samym przodzie, tak by Margaret mogła wymieniać uśmiešky i porozumiewawcze spojrzenia z Gillian, najmłodszą córką pastora, która kręciła się niecierpliwie w chórze niczym rozbrykany anioł, aż do chwili, kiedy nadchodziła pora, by otworzyć usta i śpiewać na cały głos o miłości, która kazała jednemu umierać za wszystkich. Margaret słuchała z zapartym tchem, niekiedy nawet popłakiwała podczas snuty przez słodkie głosy opowieści o prorocत्वach i tajemnicach, o gwiazdach zawieszonych w ciemności, o ludziach i zwierzętach zbierających się po to, by się modlić i oddawać cześć. Ogarniał ją wówczas trudny do opisanego smutek, łzy spływały po policzkach i gromadziły się w kącikach ust.

Postawiła stopę na pierwszym stopniu. Zatrzeszczał głośno. Spojrzała w górę: schody skręcały w prawo, nikły jej z oczu. Ściany pomalowano na mdły bladoróżowy kolor. Zaciśnięła palce na poręczy, podciągnęła się w górę, ponownie znieruchomiła, nasłuchując. Ulicą przejechał samochód, łomotanie głośnej muzyki narastało przez chwilę, by szybko zacićnąć. Jakiś ptak powtarzał w kółko te same dwa dźwięki. Światło sączyło się przez niewielki witraż na podeście i spływało różnobarwnymi plamami na jej sukienkę. Ametyst i złoto. W ciągłym ruchu.

Słońce skryło się za obłokiem i barwy znikły. Czuła woń swojego potu: gorzką, kwaśną, przesyconą strachem. Kręciło jej się w głowie. Zmusiła się do zachowania spokoju, przez jakiś czas oddychała głęboko, po czym podjęła wspinaczkę po wąskich drewnianych schodach. Uszy wypełniły jej dźwięki organów, ciężkie i brązowe jak świąteczny piernik. Poczła zapach kurzu. Zapach starych kobiet, mawiał jej ojciec. W nadjedzonych przez mole paltach, wilgotnych od deszczu lub śniegu, parujących powoli we względnym cieple kościoła. Dotarłszy do szczytu, ponownie skrzyła w prawo. Teraz miała przed sobą chór: dziesięć rzędów wznoszących się amfiteatralnie czarnych dębowych ławek. Z tyłu wielka witrażowa mozaika błękitnych, czerwonych i zielonych szybek, z przodu na dole ołtarz przykryty białym obrusem, mosiężny krucyfiks, wazon z białymi liliami. Powoli schodziła między rzędami ławek, przesuwając po nich ręką. Wreszcie dotarła na sam przód, spojrzała w dół, czując, jak do ust napływa jej ślina. Ambona w kształcie orła z rozpostartymi skrzydłami, na niej otwarta Biblia. Podniosła wzrok, przeniosła go w lewo, na boczną część galerii. Samotna postać w pierwszym rzędzie: mężczyzna z jasnymi włosami. Stopy postawił na najniższym pręcie balustrady, ręce rozrzucił szeroko na oparciu ławki. Rozpoznała jasne włosy, rozpoznała twarz. Przypomniała sobie uśmiech, na który odruchowo zareagowała tamtego okropnego dnia. Mężczyzna miał ściągnięte usta. Chwilę potem usłyszała gwizdanie.

Rozdział 25

McLoughlin wszedł do pokoju przesłuchań, Finney tuż za nim. Było to niewielkie, pozbawione okien pomieszczenie o ścianach pomalowanych niedawno na blad różowo i nie całkiem białym suficie ozdobionym dwiema jarzeniówkami. Standardowe wyposażenie wszystkich nowych komisariatów, takich jak ten w Blackrock.

Pośrodku stał niewielki laminowany stolik. Po jednej jego stronie, zwrócona bokiem do drzwi, siedziała detektyw Chris Murray. Miła dziewczyna, całkiem nieźle dawała sobie radę z robotą, a przy tym nie przejmowała się nadmiernie całym tym syfem nierozzerwalnie z tą robotą związanym. To właśnie ona zadzwoniła przed godziną i powiedziała, że ma chyba coś, co ich zainteresuje. Coś w związku ze sprawą Mitchell. Nie mogła wybrać lepszej pory na telefon. McLoughlin właśnie wyszedł ze spotkania z szefem. Finucane wymachiwał mu przed nosem najświeższym wydaniem „Irish Timesa” i złorzeczył na brak wyników, paskudną prasę, „wszystkie te zakichane feministyczne dziennikarki, które nic, tylko pieprzą o tym, że kobiety nie są bezpieczne na ulicach. A co ty porabiałeś, Michael? Jak spędziłeś dzień?”

W przerwach między osuszaniem kolejnych kuflów piwa, ma się rozumieć. Dostałeś dwudziestu ludzi: mundurowych i tajniaków, detektywów i techników. Ile to wychodzi roboczogodzin? I co udało wam się osiągnąć? Wiesz, co ci powiem? Weź się lepiej do roboty, bo znam co najmniej parę osób, które chętnie by cię zastąpiły”.

Kiedy jechali przez Tallaght, zdał Finneyowi relację z tej rozmowy. Po namyśle doszedł do wniosku, że postąpił niezbyt rozsądnie, był jednak tak wściekły, że musiał zrzucić ciężar z piersi.

– Naprawdę się pan zdziwił? – zapytał Finney.

– Co masz na myśli?

– No, czy on i Declan Hickey nie są kumplami? Czy nie grają w każdą sobotę w golfa, nawet jeśli leje jak z cebra?

– Hm...

– Pomału zaczyna panu coś świtać, prawda? Powinien to raczej nazwać bolesnym olśnieniem. Aż się skrzywił. Sierżant Declan Hickey, mąż pięknej, godnej pożądania Aine, tej, przez którą niemal stracił pracę.

– Zaczerwienił się pan! – rzucił Finney, uśmiechając się szeroko.

– Odpieprz się. Lepiej zmieńmy temat.

Mount Anville Road właśnie doprowadziła ich na szczyt wzniesienia. Przed nimi rozpościerała się zatoka, dalej morze w nieregularne jasno – i ciemnozielone pasy, wreszcie granatowy horyzont. Daleko, za Południowym Murem, oczami wyobraźni ujrzął rdzawobrunatne żagle pewnego kutra.

– Wiesz co, Dave? Kiedyś koniecznie musisz ze mną pożeglować. Jak to się skończy.

Wezmę sobie parę dni wolnego i popłynę na północ. Strangford Lough, Portaferry, w te okolice. Wybierzesz się ze mną?

Czy naprawdę tego chciał? Przestrzegał zasady, żeby nie mieszać obowiązków z przyjemnością. Łódka była poza wszystkim, na uboczu. Nietknięta, niezarażona, stanowiła coś w rodzaju azylu.

Posterunek Blackrock przypominał fortecę. Masywny budynek z czerwonej cegły, łatwy do obrony przed szarżującym tłumem podczas zamieszek. Chociaż tutaj raczej nie musieli się czegoś takiego obawiać. Dyżurny powitał go ciepło, pogawędził przez chwilę o jego ojcu i dawnych dziejach, a następnie zaprowadził do pokoju, w którym czekała dziewczyna.

Siedziała przy stole naprzeciwko Murray i płakała. Murray podsunęła jej pudełko z papierowymi chusteczkami, ona jednak pokręciła głową i wyjęła własną z kieszeni dzinsowej kurtki przewieszanej przez oparcie krzesła.

McLoughlin podał policjantce rękę, przedstawił Finneya i siebie. Jej dłoń była zimna i wilgotna. Potem przysunęli sobie krzesła i usiedli.

– No więc, co tutaj mamy? Murray wskazała na kobietę.

– To jest Jenny Adamson. Prowadzi kurs fotograficzny w Tempie Bar. Przyszła, żeby nam powiedzieć o napaści, której ofiarą stała się kilka miesięcy temu. Jej zdaniem sprawca może mieć coś wspólnego z zabójstwem Mary Mitchell.

McLoughlin przyjrzał się kobiecie. Miała zapewne około trzydziestu pięciu lat, ale strój bardzo ją odmładzał. Brązowe, lśniące włosy ostrzygła „na pazia”. Oczy za niedużymi okularami w złocistych oprawkach były czerwone i opuchnięte, w świetle jarzeniówek cera wydawała się bledsza, niż była naprawdę. Niewielkie usta drżały spazmatycznie. Najwyraźniej czegoś się bardzo bała.

– Czy mogę... – Nie dokończyła, ponieważ dopadł ją kolejny atak płaczu. Czekali w milczeniu, aż się uspokoi. – Czy mogłabym zapalić? Właściwie prawie wcale nie palę, więc nie noszę przy sobie papierosów...

– Oczywiście.

Murray sięgnęła pod stół po torebkę, wyjęła paczkę benson and hedges, podała kobiecie. Ta nie mogła sobie poradzić z jej otwarciem, więc Murray odebrała jej paczkę, wyjęła dwa papierosy, zapaliła oba, następnie wetknęła jeden kobiecie w usta.

Ta zaciągnęła się głęboko, a kiedy wydychała dym, zgarbiła się i skuliła.

– Skąd pani pochodzi? – zapytał McLoughlin.

– Z południowej Anglii, z Chichester.

– Ach, tak. Bardzo ładne miejsce. Dobry teatr, wspaniała katedra, piękne ogrody wokół Pałacu Biskupiego.

Uśmiechnęła się.

– To prawda.

– Od jak dawna mieszka pani w Dublinie?

Okazało się, że przed trzema laty przyjechała tu na wakacje. Przeczytała książkę Synge'a o Wyspach Aran i zamierzała zobaczyć je na własne oczy, potem zaś postanowiła zostać na dłużej, żeby napisać własną książkę o wyspach i morzu. Więcej zdjęć niż tekstu. Kursy fotografowania prowadziła wyłącznie po to, żeby mieć się z czego utrzymać do chwili, kiedy znajdzie wydawcę gotowego podpisać umowę i wypłacić stosowną zaliczkę.

– Czy mogłaby pani powiedzieć mnie i sierżantowi Finneyowi, dlaczego pani tu przyszła?

Oglądała wieczorne wiadomości. Jakies dwa tygodnie temu. Pokazywano migawki z pogrzebu tej biednej zamordowanej dziewczyny. Wtedy go zobaczyła.

– Kogo?

Podniosła papierosa do ust, ale jak tylko zetknął się z jej wargami, znowu się rozplakała. Czekali cierpliwie. Wreszcie zaczęła mówić. To był on. Człowiek, który ją zgwałcił. Stał przed kościołem w tłumie fotoreporterów.

– Wie pani, jak się nazywa? Skinęła głową.

– Jimmy Fitzsimons. Przed kilkoma miesiącami chodził na mój kurs.

Teraz bardzo żałowała, że wcześniej nie zgłosiła się na policję. Zdawała sobie sprawę, że powinna była to zrobić. Jeśli kobiety nie zaczną się bronić, mężczyźni tacy jak on zawsze będą je krzywdzić.

McLoughlin podniósł rękę.

– Proszę mnie wysłuchać: nie zrobiła pani nic złego. Najważniejsze, że zdobyła się pani na odwagę, by do nas przyjść. Fakt, że nie zdecydowała się pani zrobić tego wcześniej, świadczy nie najlepiej nie o pani, ale o nas. Mam nadzieję, że się rozumiemy?

Skinęła głową.

– A teraz proszę nam wszystko opowiedzieć. Od samego początku. Kiedy spotkała go pani po raz pierwszy?

– To chyba było...

Zastanawiała się przez chwilę. To chyba było jakoś tuż przed połową stycznia, kiedy zaczęła pierwszy kurs w nowym roku. Trzy razy w tygodniu przez dziesięć tygodni. Zwykle przyjmowała najwyżej osiem osób. Jimmy zjawił się za późno, usiłowała mu wytłumaczyć, że nie ma już miejsc, ale on zupełnie nie przyjmował tego do wiadomości. Przekonywała go właśnie, żeby jednak zaczekał na początek następnego kursu, kiedy wyjął z foliowej torby plik fotografii.

– Proszę spojrzeć.

To były czarno-białe portrety kobiet. Bardzo udane. To znaczy, z błędami technicznymi, ale mimo to bardzo dobre. Przemysłane. Jeden z nich przedstawiał dziewczynkę z zespołem Downa.

Zajadała lody w wafli. Lizała je w skupieniu, widać było, że w tej chwili nic innego dla niej nie istnieje.

– Kto to? – spytała.

– Moja siostra.

– Aha, rozumiem...

– Naprawdę? Naprawdę pani rozumie? Poczwała się bardzo niezręcznie.

– Opowiadał pani o swojej rodzinie? – zapytał McLoughlin, pochylając się w jej stronę.

Nie od razu. Odniosła wrażenie, że niewłaściwie zareagowała na informację o jego siostrze, starannie więc unikała tego tematu. Ktoregoś wieczoru został po zajęciach, żeby pomóc jej posprzątać w sali. Poprosiła go, żeby zajął się wielkimi butlami z odczynnikami. Był niezwykle usłużny, ogromnie się starał, ona jednak wciąż czuła się nieswojo w jego towarzystwie. Kiedy do niej mówił, często się czerwieniła albo sama stawała się zbyt gadatliwa. W pewnej chwili wyjął z torby płaski pakunek zawinięty w błyszczący brązowy papier i przewiązany sznurkiem. Była to oprawiona fotografia przedstawiająca ją w parku Stephen's Green. Padał śnieg, miała na sobie stare futro i futrzaną czapkę. Przed nią na zamrożonym stawie stała kaczka czekająca na chleb, który Jenny właśnie miała rzucić. Zdjęcie emanowało doskonale uchwyconym nastrojem oczekiwania, niemniej jednak poczuła się nieswojo. Nie mogła sobie przypomnieć, czy tego dnia się z nim widziała. Dosłownie zawisł spojrzeniem na jej twarzy. Od razu było widać, że uraziłaby go nawet najłagodniejsza krytyka.

– Dziękuję. To bardzo dobre zdjęcie. Zrobił je pan w tę niedzielę, prawda? Dlaczego nie podszedł pan wtedy do mnie?

– Nie chciałem przeszkadzać.

Przesunęła palcami po roślinnym ornamencie na ramie.

– To też jest piękne. Gdzie pan dostał taką ramkę?

– Należała do mojej matki.

– Aha. Jak to miło, że ją panu dała.

– Nie dała – odparł lakonicznie, zmywając kувety.

– Co było dalej? – zapytał McLoughlin.

Przez jakiś czas milczała z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem wyprostowała się gwałtownie, wbiła wzrok w niewidoczny punkt na ścianie i zaczęła mówić. Zaczął ją coraz bardziej niepokoić. Zauważyła, że dużo o nim myśli, że niecierpliwie czeka na kolejne zajęcia. Była ogromnie rozczarowana, kiedy nie pojawił się na trzech z rzędu, a kiedy wreszcie przyszedł, zaskoczyło ją, jak bardzo się z tego ucieszyła.

– A więc pani uczucia były czymś więcej niż zwykłą przyjaźnią?

Skinęła głową.

– Proszę nam go opisać. Jak wygląda?

Ponownie skryła na jakiś czas twarz w dłoniach. Był, to znaczy jest bardzo piękny. Nie po prostu przystojny, jak wielu mężczyzn, ale właśnie piękny. Ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, jest bardzo szczupły. Włosy koloru masła i oczy koloru morza. Do tego dość ciemna cera, niezwykle gładka skóra, białe zęby i olśniewający uśmiech.

Nic dziwnego, że nie zgłosiła się wcześniej, pomyślał McLoughlin. Nic nowego. Trudno uwierzyć, by ktoś o takim wyglądzie miał okazać się draniem. Dranie są przecież mali, krępi, brudni i mają gęby w krostach. Kobiecie natomiast łatwo uwierzyć, że wina leży po jej stronie, że to jej żądze wyzwoliły w nim zwierzę.

– A teraz, panno Adamson, proszę nam dokładnie opowiedzieć, co się zdarzyło.

Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że zemdleje: oddychała szybko i płytko, zaczerwieniła się po cebulki włosów, zaraz potem śmiertelnie pobladła.

Problem polega między innymi na tym, wyznała, że nie pamięta wszystkiego, co się wtedy wydarzyło. Już po wszystkim wydawało jej się, że ta noc była jak świeżo namalowany obraz, który ktoś zamazał. Barwy pozostały żywe i wyraźne, kontury jednak uległy rozmyciu. W każdym razie wszystko zaczęło się od świętowania. Koniec kursu. Kupiła trochę wina musującego, otworzyli butelki ze śmiechem, hałasem i wygłupami. On też brał w tym udział. Zwykle trzymał się na uboczu, spoglądał nieco z góry na pozostałych uczestników zajęć, tym razem jednak żartował i śmiał się ze wszystkimi. Wystarczył łyżeczek alkoholu, żeby poczuła się jak szybujący wysoko w powietrzu latawiec, ale działało się tak nie tylko za sprawą alkoholu. Pamiętała, że uśmiechał się do niej, że miał śnieżnobiałe zęby i usta koloru truskawek, a ona czuła, że żyje i że jest szczęśliwa. Potem ktoś – ale nie on – zaproponował, żeby poszli się czegoś napić. Gdzieś niedaleko, na przykład do Norsemana.

– Pójdiesz z nami, Jimmy? – spytała.

– A chcesz, żebym poszedł?

Zachichotała jak nastolatka, po czym wsunęła mu rękę pod ramię. W barze zamówiła tequile.

– Patrz, tak się ją pije!

Przełknęła na raz, wyssała ćwiartkę limonki. Postawił jej jeszcze jedną, i jeszcze. Ktoś uruchomił szafę grającą. „Kochanku mój, gdzie jesteś?” – śpiewała Billie Holiday.

– Ja też to potrafię!

Usiadła na barze i zaśpiewała pięknym głębokim głosem, bawiła się melodią, słowa spływały jej z ust. Potem tańczyli, czuła się wspaniale. Był taki delikatny, taki zaangażowany. Przycisnął jej prawą rękę do swego serca, przesuwając palcami po karku. Wypiła jeszcze więcej. Nie pamiętała już, ile.

– A reszta? Co z nimi?

Tego też nie pamiętała. Kiedy barman ogłosił, że zamykają lokal i wyłączył światła, byli sami. Zaprowadził ją za rękę do podziemnego garażu. Nie miała pojęcia, gdzie to było ani jak

długo tam szli. Po drodze całował ją i obmacywał. Miał duży samochód z lustrzanymi szybami. Jej odbicie falowało w nich nieprzyjemnie, aż poczuła się niedobrze. Gdy tylko usiadła na fotelu pasażera, zablokował drzwi od wewnątrz i powiedział: „Tu będzie ci ciepło i bezpiecznie”, zupełnie jak jej matka dawno temu, kiedy otulała ją na noc do snu.

– Dokąd pojechaliście?

Prawie natychmiast zasnęła. Kiedy się obudziła, stała na chodniku przed swoim domem. Było jej bardzo zimno. Wyjął klucze z jej torebki i właśnie otwierał drzwi.

– Co było potem?

Odsunęła krzesło, wstała. Murray również się podniosła, ale McLoughlin gestem nakazał jej powrót na miejsce. A tamta krążyła po pokoju, wędrowała z kąta w kąt, od ściany do ściany, i opowiadała.

Ciemność, ból, mdłości, strach. Uderzam tyłem głowy o podłogę w holu. Twarz Jimmy’ego nade mną. Dlaczego krzyczy? Ślina kapie mu z ust na moje piersi. Gdzie się podziało moje ubranie? Próbuję go odepchnąć, on mnie uderza. W ustach mam pełno krwi.

Znowu ciemność. Czuję smród i smak wymiocin. Leżę na brzuchu z policzkiem w cuchnącej kałuży. Nie mogę poruszyć ramionami. Paraliżujący ból przeszywa moje ciało. Otwieram usta, żeby krzyknąć, ale on przewraca mnie na wznak i wpycha mi go w usta. Znowu zbiera mi się na wymioty. Bije mnie. Rezygnuję z oporu, zamykam oczy. Patrz na mnie, patrz na mnie, wrzeszczy. Nic nie widzę. Chyba zwymiotuję. Boli mnie. Nigdy w życiu nic mnie tak nie bolało. Dlaczego to robisz, dlaczego? Otacza mnie obłędna karuzela świateł i wymieszanych dźwięków, śmiechu, wrzasków i żalosego lamentu. Czy to ja? Niemożliwe. I znowu ból. Smród przypalanej skóry. Nie, nie, nie. Przestań, błagam, przestań! Potem nic.

Kiedy odzyskuję przytomność, nie mam pojęcia, czy on jeszcze tu jest. Leżę więc bez ruchu z twarzą przyciśniętą do podłogi. Mam związane z tyłu ręce i szeroko rozłożone nogi. Nasłuchuję. Mój oddech jest najgłośniejszym dźwiękiem w pokoju. Wpatruję się w brud między deskami. Czy tak właśnie czuje się bezradny kaleka? Próbuję usłyszeć cokolwiek poza odgłosami własnego ciała. Mija minuta. Godzina. Pół dnia. Zaczynam się poruszać. Bardzo powoli. Pot kapie na deski. Wreszcie odważam się usiąść, uwalniam ręce. Posłużył się moją apaszką, żółtą w białe stokrotki. Próbuję wstać, nogi jednak uginają się pode mną, jakby były z rozgrzanej plasteliny. Na udach mam zaschniętą krew i odchody. Jakoś dowlekam się pod prysznic, wstaję z najwyższym trudem, woda kąsa boleśnie, spływając po ranach. Ukłucia, rozcięcia, ukąszenia, oparzenia. Różowa woda. Przemywam rany wacikiem nasączonym środkiem dezynfekującym. Okropnie piecze, ale postanawiam, że już nie będę płakała. Owijam się ręcznikiem, kładę się na kanapie, piję brandy z dużej szklanki. Kiedy nabieram dość sił, żeby znowu wstać, zbieram i wyrzucam wszystko, co mogłoby mi przypominać o tej nocy. Ubranie, pościel, białą koźlą skórę umazaną teraz czymś brązowym. Tłukę naczynia, do których się załatwiał. Łamię woskowe

świecie, które we mnie wpychał. Zniszczył mój dom. Mam ochotę go podpalić, choćby po to, żeby razem ze sprzętami spłonął mój wstyd. Już nigdy nie będę czuła się bezpiecznie. Mam wrażenie, że mieszkam w ścianach z przezroczystej folii. Przeprowadzam się do budynku z kamerami, judaszem w drzwiach, strażnikiem z psem. Nigdy jednak nie odzyskam wiary, że moje ciało do mnie należy. Nigdy już na nowo nie uwierzę, że jestem panią swojego losu.

Umilkła, zwrócona twarzą do ściany. Murray wstała, podeszła do niej, podprowadziła do krzesła. Szepnęła coś do ucha Finneyowi, a on zaraz wyszedł z pokoju.

– Mówiła pani o tym komuś? – zapytał McLoughlin. Pokręciła głową.

– Widziała go pani od tamtej pory? Taka sama odpowiedź.

– Czy jeśli go złapiemy, będzie pani przeciwko niemu zeznawać?

Jeszcze raz potrząsnęła głową. Murray spojrzała na niego z niepokojem.

– Posłuchaj, Jenny: nie możemy cię do niczego zmusić. Decyzja należy wyłącznie do ciebie, ale...

– Nie, nie, nie! Nie rozumie pan? Nie mogę. Jak pan myśli, jak czuję się teraz, kiedy wyróciłam się na lewą stronę jak dojrzała figa, kiedy pokazałam wszystko to, co powinno pozostać ukryte? Na pewno nie zdołam zrobić tego przed sądem. Nie mogłabym nawet być z nim w jednym pomieszczeniu. Chyba bym umarła.

– Ale może – spróbował jeszcze raz.

– Żadnych „ale”, żadnych „może”. Po prostu nie, i już. Nie zrobię tego.

McLoughlin wbił wzrok w poplamione linoleum na podłodze. Gwałt to wyjątkowe przestępstwo: jedną z najpiękniejszych rzeczy na świecie zamieniało w coś odrażającego. Zdawał sobie sprawę, że kobieta nie opowiedziała im o wszystkim, do czego tamten ją zmuszał i co z nią robił. Wiedział, że nie dopuszczała do siebie myśli o ewentualnym zeznawaniu przed sądem, ponieważ czuła się częściowo odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Fakt, że prawo stanęłoby po jej stronie, nie miał najmniejszego znaczenia. Przekonanie o współuczestnictwie miało towarzyszyć jej już zawsze. Wiedział o tym z doświadczenia. Żeby z tym skończyć, zmieniono prawo – dawniej obrońca mógł bezkarnie znęcać się psychicznie nad zeznającą w charakterze świadka kobietą – tyle że teraz może nadal to czynić, zachowując pozory subtelności. Wciąż niemal tak samo traktowano zarówno sprawcę, jak i ofiarę przestępstwa.

Spojrzał na nią.

– Powiedziała nam już pani, jak on się nazywa. Zna może pani adres?

Bez słowa podała mu złożoną kartkę. Rozłożył ją i wygładził. Był to wypełniony formularz zgłoszenia na kurs fotograficzny ze starannie wypisanymi imieniem, nazwiskiem i adresem. Jimmy Fitzsimons, Canal Lane 22, Dublin 4.

– A może wie też pani, czym się zajmuje?

– Tak, oczywiście. Jest szoferem, ma własną limuzynę. Chyba mercedesa. Wozi bogatych

turystów po kraju.

Otworzyły się drzwi i wszedł Finney z tacą, na której były metalowy dzbanek, kubki oraz talerzyk z herbatnikami. Postawił ją na stole, nalał do kubków herbaty koloru nikotyny. McLoughlin ostrożnie upił niewielki łyk.

– Odrażająca historia – powiedział, odstawiając kubek. Nikt nie zareagował. Na policzki kobiety powoli wracały rumieńce. Wiedział, że Jenny tej nocy wreszcie spokojnie zaśnie – na tyle spokojnie, na ile to możliwe za drzwiami z trzema zamkami, przy akompaniamencie odgłosów nocy zmuszających do zachowania bezustannej czujności. Dla kogoś, kto zazna prawdziwego strachu, świat już nigdy nie będzie taki jak dawniej.

Rozdział 26

Gwizdał z głową odrzuconą do tyłu i wzrokiem utkwionym w sklepieniu kościoła. Jakby jej tu nie było. Jakby na świecie istniał tylko słoneczny blask sączący się przez witraże, dobiegający z zewnątrz szmer ulicznego ruchu, zapach kurzu i pasty do podłóg, a także wypełniające go cudowne poczucie siły.

Nie patrzył na nią. Nie musiał. Wiedział, że przyjdzie. Dokładnie zapamiętał jej wygląd, jej zachowanie, jej upodobania. Receptory jego pamięci wchłonęły wszystkie dane tak jak światłoczuły papier wchłaniał obraz utrwalony na negatywie. Posegregowały je, by w nocy można było po nie sięgnąć i bawić się nimi. Wyobrazać sobie. W różnych miejscach, w różnych sytuacjach. Bawić się nimi tak jak kiedyś, w dzieciństwie, bawił się małymi ludzikami z zestawów lego. Tu mamy mamusię, a tu tatusia. To jest starsza siostra, a ja jestem młodszym bratem. A może to jest dziadziuś, to babcia, to mamusia, a ja jestem synkiem?

Tego właśnie pragnął: obrazów, którymi mógłby bawić się bez końca. Dopasowywać je jak puzzle. Układać z nich skomplikowane pasjanse namiętności. Ten tutaj. Ten obok. Ten pasuje do tego. Ta twarz należy do tego ciała. A może inaczej? Spróbujmy połączyć głowę matki z tułowiem córki. Nogę córki ze stopą matki. I tak aż do chwili, kiedy każda rzecz trafi na swoje miejsce, kiedy gra dobiegnie końca.

Umilkł. Nasłuchiwał. Już kiedyś był w tym kościele. W niedzielę, ile tygodni temu? Policzył w myślach. Trzy albo cztery. Mary go przyprowadziła. Uwielbiała z nim jeździć, siadała na tylnej kanapie, ukryta za lustrzanymi szybami.

– Czy to nie wspaniałe? – mawiała. – Nikt nas nie widzi. Jedź, chłopcze.

Tego popołudnia kazała mu zajechać przed jej dom i zatrzymać samochód. Słońce jeszcze świeciło, frontowe drzwi były otwarte. Na najwyższym stopniu schodków wygrzewał się wielki czarny kot.

– Jaka jest twoja matka?

Nie odpowiedziała od razu. Jeszcze przez chwilę żuła gumę, wreszcie wyjęła ją, zawinęła w ofoliowany papierek i pociągnęła spory łyk z butelki, w której była cola z wódką.

– Piękna. I mądra. Wszystko, co robi, robi doskonale. Doprowadza mnie do szału.

– Pewnie brakuje jej twojego ojca? – zapytał, sięgając po butelkę.

Wzruszyła ramionami.

– Wątpię. Umarł dawno temu.

– Nikogo sobie nie znalazła? Ponowne wzruszenie ramionami.

– A kto byłby w stanie spełnić jej wysokie wymagania? Daj spokój. Zabierajmy się stąd.

Kazała jechać mu do kościoła, zaprowadziła schodami na chór. Kończyło się właśnie wieczorne nabożeństwo.

– Ekstra, prawda? Podoba mi się tutaj. To trochę zwariowane, zupełnie jak w *Alicji w krainie czarów*. Te wieże jak figury szachowe... Lubię tu przychodzić – ciągnęła szeptem – w środku nocy, przy świetle gwiazd, kiedy nikogo nie ma. Chyba się nie dziwisz, prawda?

Znowu zaczął gwizdać. Tym razem pochylił się do przodu, oparł brodę na rękach i spoglądał w dół, na równiutkie rzędy ławek i czarno-białą posadzkę nawy głównej, następnie zaś odwrócił się i po raz pierwszy skierował wzrok ku balkonowi po przeciwnej, zachodniej stronie kościoła. Na jej widok serce zatrzepotało mu w piersi jak motyl. Stała tam sztywno wyprostowana, z rękami zaciśniętymi na balustradzie. Patrzyła na niego. Wyglądała... Szukał właściwych słów, żeby ją opisać. Przypominała mu kobiety z pewnych fotografii, które pokazywała im nauczycielka podczas kursu. Zostały wykonane podczas Wielkiego Kryzysu w południowych stanach Ameryki. Blade, kanciaste twarze kobiet spoglądających w obiektyw aparatu były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Tak samo wyglądali więźniowie uwolnieni z obozów koncentracyjnych. Żadnej ciekawości, żadnego zainteresowania. Przypuszczalnie dla kogoś, kto egzystował na granicy między życiem a śmiercią, ciekawość stawała się luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić. On jednak chciał, żeby się nim zainteresowała, żeby pragnęła zrozumieć, co zrobił do tej pory i co robił teraz.

Jeżeli o niego chodziło, to był nią ogromnie zafascynowany. Znał rozmiar jej odzieży, wiedział, jakie owoce lubi najbardziej, jakie książki czyta, jakiej muzyki słucha. Wiedział, jakiego koloru jest jej szczoteczka do zębów, czy lubi jajka na twardo, czy na miękko, że słodzi kawę, ale nie herbatę. Wiedział też, że od śmierci męża nikogo naprawdę nie pokochała i że matkę kocha zupełnie inaczej, niż kochała ojca. Wiedział to wszystko, ponieważ Mary mu o tym powiedziała.

Nagle ogarnęło go znużenie. Planował to już od dawna, teraz zaś poczuł się trochę jak podczas świąt, kiedy był dzieckiem. Zmęczyło go wytężone oczekiwanie. Położył się na ławce i zamknął oczy. Odpocznie chwilę, a potem zrobi to, co należy. Upewnił się, że nóż nie wysunął mu się z kieszeni. To zabawne, jak zmieniali się ludzie, kiedy im się go pokazało. Należałoby się spodziewać, że zareagują podobnie jak na widok pistoletu, wiele jednak wskazywało na to, iż nóż był bardziej przerażający. Z broni palnej strzelało się z daleka, można było chybić. Jak chybić nożem z najbliższej odległości?

Otworzył oczy. W kościele panował półmrok. Wysoko nad jego spadzistym dachem, na ciemnogramatowym niebie zawisły śnieżnobiałe wieże utworzone z kryształków lodu. Chmury nacierały na siebie, zderzały się i mieszały, aż wreszcie, jakby dając upust rozpierającej je energii, sypnęły na ziemię twardymi jak kamyki kulkami gradu. Zrobiło mu się zimno. Usiadł. Kobieta wciąż stała w tym samym miejscu, teraz jednak wpatrywała się w ołtarz. Wstał, przeszedł do końca rzędu. Nie zareagowała. Odwrócił się i ruszył ku schodom w tylnej części chóru. Na pierwszym stopniu przystanął i zerknął na nią przez ramię, ona jednak wciąż stała

nieruchomo. Zszedł szybko, ruszył do północnego wyjścia, upewnił się, że jest zamknięte, a następnie podszedł do głównych drzwi. Obok, oparty o ścianę, stał długi żelazny pręt; wsunął go w solidne uchwyty. Znieruchomiał, nasłuchując. Grad łomotał o szyby i parapety, wybijając skomplikowany taneczny rytm. Z chóru nie dochodził żaden odgłos. Serce biło mu coraz szybciej. Położył rękę u nasady szyi, poczuł gorączkowy puls. Wbił wzrok w sufit, wyobraził ją sobie stojącą teraz bezpośrednio nad nim. Co miała na sobie? Widział ją tylko od pasa w górę, wyglądało to jednak na długą białą spódnicę i gładką granatową bluzkę z krótkim rękawem. Czy zapinała się na plecach?

Spoglądając wciąż w górę, ostrożnie przesunął się do przodu. Zobaczył ją, cofnął się więc o pół kroku, a ona w tej samej chwili odwróciła się i skierowała w stronę schodów. Czekał. Wreszcie drzwi się otworzyły i weszła do głównej nawy. Zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy dzieliły ich nie więcej niż dwa kroki. Była niższa, niż mu się zdawało, niższa od córki. Delikatniejsza. Biała spódnica spływała niczym zwiedły kwiat aż do jej stóp. Powoli ruszył w jej kierunku.

– Nie! – Jej głos zabrzmiał jak wystrzał. – Nie waż się mnie dotknąć!

Nieco wystraszony, cofnął się odruchowo. Wyprostowała się, uniosła głowę i splunęła na niego. Żółtawa ślina wylądowała na przodzie jego białej koszuli.

– Chcę wiedzieć tylko jedno – powiedziała. – Tylko jedno, nic więcej. Chcę wiedzieć, co powiedziała przed śmiercią?

Wyjął z kieszeni chusteczkę, starannie wytarł koszulę, rzucił chusteczkę na posadzkę. Wzrok Margaret powędrował za nią. Schyliła się, podniosła, przyjrzała jej się. W rogu widniały starannie wyhaftowane inicjały: DAM. David Anthony Mitchell. Przeniosła spojrzenie na Jimmy'ego. Uśmiechnął się.

– Co... powiedziała... przed... śmiercią...? – powtórzył powoli i wyraźnie, robiąc długie przerwy między wyrazami. Potem sięgnął do kieszeni po nóż. – Ja to wiem, ty musisz się tego dopiero dowiedzieć.

Zahaczył palcem za kołnierzyk bluzki, napiął materiał i zanim zdążyła zareagować, błyskawicznym pociągnięciem rozciął go od góry do dołu. Z jej piersi wyrwał się przeraźliwy, gniewny krzyk, on zaś zakołysał się na piętach, śmiejąc się głośno, a następnie minął ją, ocierając się o nią ramieniem.

– Mały ze mnie dzbanuszek, pękaty mam brzuszek – zanucił.

Odwrócił się raptownie w jej stronę, jedną rękę oparł na biodrze, drugą wznosił nad głowę, skłonił jej się głęboko w szyderyczym ukłonie, po czym zniknął.

Jakby go nigdy nie było. Grad zamienił się w deszcz i bębnił głucho w okna oraz w czarną pustkę, tam gdzie kiedyś było jej serce.

Rozdział 27

– Mamy więc nazwisko, adres i zawód. Chyba warto to uczcić, nie sądzisz?

Stali w przedsionku posterunku, spoglądając na zewnątrz przez szklane drzwi. Lało jak z cebra, gnane wiatrem fale deszczu spływały na samochody, woda pędziła jezdnią i rynsztokami w dół, w kierunku Blackrock.

– Chodź, nie będziemy tu przecież tkwili cały dzień! McLoughlin wyślizgnął się na zewnątrz, osłonił głowę teczką i skierował się w tę samą stronę co brudna, spieniona woda.

– Dokąd pan idzie? – zawołał Finney, biegnąc za nim.

– Do O'Rourke. Powiedziałem, że trzeba to uczcić.

– Szefie, przecież nie mamy czasu!

McLoughlin obejrzał się na Finneya stojącego na ścieżce z mokrymi włosami i szybko powiększającymi się ciemnymi plamami na ramionach marynarki.

– O co ci chodzi? Pora na lunch, a ja jestem głodny. Finney dołączył do niego w chwili, kiedy McLoughlin zamawiał drugie piwo i kanapki z szynką.

– Siadaj. – Wskazał sierżantowi stołek. – Co dla ciebie?

– Kawa – wymamrotał Finney, po czym zaczął wycierać twarz serwetkami.

McLoughlin dał znak barmanowi, potem wskazał na kanapki.

– Poczęstuj się, Dave. To najlepsze kanapki w mieście. Szynka ugotowana jak trzeba, dobry chleb, masło, a nie żadna margaryna. No i ta musztarda, najprawdziwsza w świecie. Dijon. Palce lizać.

Finney milczał z nieprzyjaznym wyrazem twarzy. Jedli bez słowa. McLoughlin obficie smarował każdą kanapkę kremowo-żółtą musztardą.

– A więc – powiedział, dopiwszy piwo i ocierając pianę z górnej wargi – o co ci chodzi?

– Szefie, nie to, żebym zamierzał pana krytykować, ale czy nie uważa pan, że... że...

– Tak?

– No, dopiero teraz cokolwiek udało nam się osiągnąć. Do tej pory waliliśmy głowami w ścianę. Niczego nie znaleźliśmy: ani odcisków palców, ani DNA, ani świadków. Setki godzin chodzenia od drzwi do drzwi, wypytywania ludzi, tysiące kartek zapisanego papieru. Do tego jeszcze ta kretyńska sytuacja z anonimowymi telefonami do matki dziewczyny. Od początku panu mówiłem, że powinniśmy ją przymknąć, jak tylko zobaczyliśmy, co się dzieje. Ale pan się uparł, żeby ją śledzić, obserwować... I co z tego wyszło? Atak hysterii w cholernym szpitalu położniczym. Wyszliśmy na idiotów, na jakichś pieprzonych podglądaczy. Aż tu nagle, nie wiadomo skąd, zjawia się ta dziewczyna i dostarcza nam pierwsze najprawdziwsze informacje. A pan...

– Co ja, Dave?

– A pan, zamiast natychmiast jechać pod adres, który podała, jakby nigdy nic idzie sobie na piwo!

– Na lunch, Dave. Na lunch.

– Jasne. – Finney dopił kawę. – Wie pan co, szefie? Ostatnio ludzie dużo o panu gadają, ale ja zawsze stawałem po pańskiej stronie. Zawsze.

– Ach, plotki... To musztarda na kanapkach naszego nieciekawego życia...

– Może pan to sobie nazywać, jak pan chce, ale powiem panu jedno: pańska dzisiejsza kłótnia z Finucanem to zaledwie czubek góry lodowej.

Zapamiętaj sobie tę lekcję, pomyślał McLoughlin, podnosząc się z miejsca. Nigdy nie ufaj podwładnym. Nigdy. Położył na ladzie stos monet i sięgnął po teczkę.

– Sądzę, że powiedziałaś wystarczająco wiele. Myślę, że gdyby ktoś zadał sobie trud, by dokładnie przyjrzeć się tej sprawie, stwierdziłby, że jest prowadzona bez zarzutu. Nikt, nawet bardziej doświadczeni oficerowie, nie poradziłby sobie z nią lepiej ode mnie. – Otworzył teczkę, wyjął z niej telefon komórkowy, wystukał numer, odczekał kilka sekund. – Cześć, Bertie. Jak wam idzie? Ruszyło się coś? – Słuchał przez chwilę. – To dobrze. Nie, nic nie róbcie. Czekać na nas. Będziemy za kwadrans. Ale gdyby znowu wyszedł, idźcie za nim i dajcie nam znać.

Finney patrzył na niego ponuro.

– Właśnie po to, chłopcze, Bóg wynalazł telefony komórkowe. Żebym mógł spokojnie zjeść lunch, wiedząc, że Bertie Lynch obserwuje dom podejrzanego. A teraz przestań się wreszcie dąsać. Trzeba się brać do roboty.

Rozłożyła rozciętą bluzkę na kuchennym stole. Była zupełnie przemoczona, granatowy lniany materiał zrobił się niemal czarny od wody. Wybiegła z kościoła w sam środek ulewy, ale była z tego nawet zadowolona, ponieważ mogła biec, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania. Nikogo nie powinien dziwić widok biegnącej kobiety, jedną ręką przyciskającej ubranie do piersi, drugą osłaniającej mokrą od deszczu twarz. Zatrzymała się dopiero przed drzwiami. Powietrze, które łąpała szeroko otwartymi ustami, paliło jej gardło i płuca żywym ogniem. W pośpiechu szukała w torebce kluczy, znalazła je, ale wyślizgnęły się jej z mokrej ręki. Musiała przykucnąć, by podnieść je ze schodków.

Nie wiadomo skąd zjawił się kot, pomrukując, niemal owinął się wokół łydek, otarł się raz, drugi i trzeci. Prawie potknęła się o niego, kiedy wreszcie zdołała otworzyć drzwi i zataczając się, wpaść do środka. Dostrzegła swoje odbicie w ściennym lustrze. Wyglądała jak wariatka, przemknęło jej przez głowę. Włosy opadały mokrymi strąkami na ramiona, wytrzeszczone oczy, rozdęte nozdrza. Kiedy opuściła ręce, poły rozciętej bluzki rozchyliły się na boki. Tuż pod obojczykiem zauważyła cieniutką czerwoną kreskę; widocznie zahaczył ją czubek noża, a ona nawet tego nie poczuła. Pobiegnęła do kuchni, wyjęła z szafki butelkę whisky, nalała do szklanki, przełknęła jednym haustem. Kot wciąż kręcił się koło niej, zostawiając na podłodze mokre ślady

łap. Przez kilka sekund nie była w stanie złapać tchu, ale jak tylko znowu zaczęła oddychać, zaaplikowała sobie taką samą dawkę alkoholu. Niemal natychmiast poczuła, jak po jej ciele rozplywa się przyjemne ciepło. Przykłęła, wygarnęła na miseczkę resztę zawartości otwartej puszki z karmą. Kot zamruczał z wdzięcznością i od razu zabrał się do jedzenia, delikatnie wybierając najbardziej smakowite kęsy.

Usiadła przy stole. Jej oddech powoli wracał do normy. Zgarnęła bluzkę ze stołu i zaczęła drzeć na strzępy. Mokry materiał nie stawiał większego oporu. Następnie zebrała wąskie paski i powiązała je w długą linkę. Przyda mi się, kiedy się do niego zabiorę, pomyślała. Będzie cierpiał tak samo jak moja córka. A potem odbiorę mu życie, tak jak on odebrał mi moje. Zarzucę mu ją na szyję i mocno ścisnę obiema rękami. Będę patrzeć, jak stopniowo dociera do niego świadomość, że już nie może oddychać, że powietrze nie dociera już do jego płuc przez szeroko otwarte usta. Nie ma powietrza. A kiedy nie ma powietrza, nie ma też życia.

Nagle zrobiło jej się zimno. Wstała i powoli, noga za nogą, poszła na górę do łazienki. Trzęsły się jej nogi, bolało serce, piekło w piersi. Owinęła sobie wokół nadgarstka sznurek upleciony z resztek bluzki. Zdjęła biustonosz, spódnicę i figi i weszła pod prysznic. Zamknęła oczy, o niczym nie myślała, starała się skupić jedynie na ciepłych strumykach wody spływających po ciele.

Ubrawszy się, zeszła do kuchni i ponownie usiadła przy stole, na którym stała butelka whisky. Dzisiaj był 28 sierpnia. Minęły dwadzieścia trzy dni od chwili, kiedy po raz ostatni rozmawiała z Mary. Bardzo chciała zachować tę ostatnią rozmowę w nienaruszonym stanie, tak by móc często do niej wracać, ale już teraz zdarzało się, że nie bardzo potrafiła ją sobie przypomnieć. Czy to ja powiedziałam pierwsza „do widzenia”, czy ona? Czy to ona powiedziała, że wróci wcześniej, czy ja poprosiłam ją, żeby za późno nie wracała? Pocałowała mnie na pożegnanie? A jeśli tak, to w który policzek? Lewy czy prawy? Dlaczego nie patrzyłam za nią, kiedy wychodziła? Chyba czytałam książkę, nie podniosłam wzroku. Gdybym to zrobiła, może bym ją zawołała, może bym prosiła, błagała, żeby nie szła. Dlaczego tak nie postąpiłam? Dlaczego nie zachowałam czujności? Od zawsze wiedziałam, że macierzyństwo czyni wrażliwym, słabym, podatnym na ból, ale zaczęłam o tym zapominać. Przestałam się bać. Odprężyłam się. Mary miała przecież dwadzieścia lat, była prawie dorosła. Wspominała już o tym, że po powrocie do Auckland wynajmie sobie mieszkanie z przyjaciółką, tą blondynką Louisą. Znajdzie jakąś pracę. Pójdzie do college'u. Później może zacznie studiować medycynę, zrezygnuje z baletu. To wszystko moja wina. Za dużo samozadowolenia, za mało ostrożności. Zupełnie jak Billy Montgomery, jej pacjent sprzed wielu lat. Cierpiał na coś, co w podręcznikach nazywano schizofrenią paranoidalną. Ostra agorafobia. Przekonany, że nieszczęście czyha na niego o każdej porze dnia i nocy. Bał się zasnąć, żeby nie umrzeć. Nie dopuszczał nikogo do siebie bliżej niż na metr w obawie przed śmiertelnościami mikroorganizmami. Długie rozmowy,

jakie z nim prowadziła, zapadły jej głęboko w pamięć. Nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia, jak racjonalne wydawały się jego argumenty. Niekiedy pozwalała sobie spojrzeć na świat jego oczami. Pod wieloma względami miał rację. Niebezpieczeństwa istotnie czyhały na każdym kroku. Nic nie było pewne ani bezpieczne raz na zawsze. Jak to on mówił? „Nie znacie dnia ani godziny”.

Biedny Billy. Pragnął jedynie bezpieczeństwa i pewności, i osiągnął cel. Zabił pielęgniarkę towarzyszącą mu podczas krótkich spacerów po szpitalnym ogrodzie. Na widok oceanu zaczął przeraźliwie krzyczeć. Próbowano go uspokoić, wtedy chwycił ją za gardło i udusił. Potem wszystko odbyło się bardzo szybko. Sąd uznał go za winnego zabójstwa w stanie chwilowo ograniczonej poczytalności i skazał na bezterminowy pobyt w zamkniętym oddziale psychiatrycznym. Margaret odwiedziła go raz w pilnie strzeżonym oddziale dla chorych groźnych dla otoczenia. Kiedy rozmawiał z nią przez stalową kratę, sprawiał wrażenie całkiem szczęśliwego. Nareszcie był bezpieczny.

Wzięła do ręki zmiętą chusteczkę, przesunęła palcami po wyhaftowanych inicjałach. Mary nosiła ją zawsze w torebce. Chusteczka tatusia, tak mówiła. Teraz chustka została zbrukana, zbezczeszczona. Wstała, wzięła z blatu zapalniczkę, zapaliła jedną, chwyciła chusteczkę za róg i przytknęła płomień. Jak tylko bawełna zajęła się ogniem, wrzuciła ją do zlewozmywaka i patrzyła tak długo, aż zostało tylko kilka zwęglonych kawałeczków.

Dzień mijał powoli. Ci sami ludzie przychodzili i odchodzili. Nellie wiecznie mamrocząca pod nosem, kiedy sprzątała na mokro i na sucho i wieszła pranie na sznurze. Kilka razy dzwonił dzwonek. Sąsiedzi. Pozbądź się ich, powiedziała do Nellie. Po południu zjawiała się pielęgniarka z hospicjum. Margaret leżała wtedy na leżaku w ogrodzie. Pielęgniarka popatrzyła na nią i wzięła do ręki prawie całkiem opróżnioną butelkę whisky.

– Czy to słuszne?

Margaret wzruszyła ramionami.

– Ani słuszne, ani niesłuszne, tylko potrzebne. Przynajmniej na razie.

Pielęgniarka założyła ciemne okulary i zarzuciła torebkę na ramię.

– Chyba powinna pani wiedzieć, że stan pani matki szybko się pogarsza. Wątpię, czy będzie z nami jeszcze długo.

– Myśli pani, że ona wie?

– A pani?

Około szóstej zaczęło się ochładzać. Lekki wietrzyk poruszał liśćmi i kwiatami fuksji. Margaret podniosła się z leżaka i wróciła do domu. Wyrzuciła pustą butelkę do kosza. Powinno być pijana, pomyślała, ale działanie alkoholu bywa czasem nieprzewidywalne. Zaparzyła herbatę, zaniosiła ją do pokoju matki. Kiedy pochyliła się nad starą kobietą, Catherine poruszyła się lekko.

– Potrzebujesz czegoś, mam? Drobnutka postać nie odpowiedziała.

Margaret zasnęła, i to bardzo szybko. Zadrżała tylko, kiedy opuszczała ją świadomość. Śniło jej się, że kogoś zabiła. Nie wiedziała kogo, ale w foliowej torbie miała czyjaś głowę. Musiała się jej pozbyć. Podszedł do niej jakiś mężczyzna, wyciągnął ręce. Nie mogła dopuścić, żeby zobaczył, co ma w torbie, a jednocześnie tak bardzo go pragnęła. Aż do bólu. Ponownie wyciągnął ramiona. Chciała do niego pobiec i chciała od niego uciec, ukryć gdzieś torbę razem z zawartością. Nie mogła. Nogi nie chciały jej słuchać, były miękkie jak roztopione lody. Spojrzawszy w dół, spostrzegła, że rzeczywiście się topią, rozpływają, uciekają dokądś strumyczkami. On zaś zbliżał się coraz bardziej, szeroko uśmiechnięty.

– Moje nogi! Moje nogi! Pomocy!

Krzyk wdarł się przemocą w sen. Podniosła się powoli. Krzyk znowu się powtórzył. Zbiegła po schodach, wołanie stawało się coraz głośniejsze. Górna połowa ciała Catherine zwisała z łóżka, głowa prawie dotykała podłogi. Miała szeroko otwarte usta, z trudem łapała powietrze.

– Boli mnie... – wyjąkała. – W piersi... Bardzo boli. A nogi... Nie czuję nóg! Tak mi zimno... Ogrzej mnie, John! Ogrzej mnie, proszę!

Znowu zaczęła krzyczeć, tym razem jak osaczony szczur, piskliwym, przerażonym głosem. Margaret patrzyła na nią z twarzą mokrą od łez.

– Mamo... Mamo... Nie, proszę! Nie!

Rozdział 28

– Czy to była łódź pani ojca? – zapytał McLoughlin. – W basenie Coal Harbour w Dun Laoghaire, jakieś dziesięć metrów długości, ozaglowanie gaflowe, nazywa się Kitty Dhubh.

– Skąd pan wie?

– Znam paru gości, którzy tam pracują. Mają świra na punkcie żaglówek, tak jak ja. Kiedy się dowiedzieli, że prowadzę tę sprawę, jeden z nich przypomniał sobie, że wiele lat temu widywał panią z ojcem na tej łódce.

Ogromny połatany żagiel wypełniony wiatrem, kołysanie pokładu, ojciec przy sterze w wyświechtanym filcowym kapeluszu na głowie, dziób wznoszący się majestatycznie nad fale niczym smukły róg jednorożca.

– Pomachaj im, Maggie! – zawołał ojciec, kiedy mijali główki falochronu, a stojący tam wędkarze unieśli ręce w geście pozdrowienia.

– Piękna żagłówka, prawda? – zagadnął McLoughlin, siadając na żelaznej ławeczce w ogrodzie.

– To wrak. Lada chwila rozsypie się na kawałki.

– Ale ma piękną historię.

– Niech ją pan sobie weźmie, jeśli pan chce. Mnie do niczego nie jest potrzebna.

– Nie mogę. Jest warta sporo pieniędzy.

– Jak pan woli. W takim razie trafi na wysypisko, razem z większością rzeczy z tego domu.

McLoughlin i Finney przyjechali po to, żeby zapytać o Jimmy'ego Fitzsimonsa. Znała go? Czy Mary kiedykolwiek o nim wspominała?

Zastali ją w ogródku. Miała zmęczoną twarz, głęboko zapadnięte oczy, ziemistą cerę. Powiedziała im, że tej nocy nie zmrzyła oka. Chodziło o matkę. Przerzuty na kręgosłup. Uciśnięte nerwy, obręcz bólu w pasie, postępujący paraliż dolnej części ciała. Matkę zabrano do szpitala na radioterapię. Będzie musiała tam zostać. Sprawy nie wyglądały najlepiej.

– Muszę się przebrać. Niedługo znowu jadę do szpitala.

McLoughlin zmielił kawę, zaparzył, znalazł w lodówce mleko. Jednocześnie opowiadał o przesłuchaniu Fitzsimonsa: znał Mary, byli razem od sobotniego wieczoru aż do środy rano. Potem Mary wyszła. Był przekonany, że pojechała do domu.

– Wierzycie mu?

– To co mówi, brzmi prawdopodobnie.

– Ale nie przestaniecie na tym, prawda?

– Nie – odparł Finney. – Na pewno nie. Choćby dlatego, że jest ostatnim człowiekiem, który widział ją żywą.

– Jeżeli jest niewinny, to dlaczego sam nie zgłosił się wcześniej?

– Mówił, że się przestraszył. Bał się, że oskarżymy go o zabójstwo. Standardowe wykrety.

– W związku z tym – podjął McLoughlin – jutro zamierzamy wrócić z nakazem rewizji i zabierzemy go na posterunek na formalne przesłuchanie. Dlatego chciałem panią zapytać, czy ma pani fotografie, na których widać zaginione kolczyki i pierścionek Mary, jej torebkę albo ubranie, żebyśmy mogli je zidentyfikować.

Jakby raptownie zeszywniała, zacisnęła zęby, odwróciła się na pięcie i wyszła. Mężczyźni zostali sami w słonecznej kuchni i w milczeniu pili kawę. Z góry dobiegały odgłosy otwierania i zamykania szuflad, pospieszne kroki przemieszczały się z pokoju do pokoju.

– Nie porozmawia pan z nią o tych telefonach? – zapytał Finney.

McLoughlin pokręcił głową.

– Nie dzisiaj.

– Dlaczego?

– Nie wydaje ci się, że w tej chwili ma wystarczająco dużo na głowie?

– Ale to są przecież dowody, na litość boską!

– Dowody czego? Nie wiemy, kto dzwoni. Nie mamy żadnych poszlak, które wskazywałyby na Fitzsimonsa. Ale jeśli wszystko zawiedzie, jeśli nie zdołamy z niego niczego wycisnąć, spróbujemy go nimi nastraszyć.

– Ona z nim prawie spiskuje!

– Naprawdę? Moim zdaniem wcale na to nie wygląda. A skoro o spiskowaniu mowa, to chyba przyznasz, że my też nie jesteśmy całkiem niewinni?

Finney wstał z krzesła.

– W ogóle pana nie rozumiem. – Wskazał na głowę McLoughlina. – I nawet wolę się nie domyślać, co się tam dzieje.

McLoughlin nalał sobie drugą filiżankę kawy. Rozejrzał się po kuchni, po białych ścianach, szafkach, spojrzął na głęboki emaliowany zlewozmywak i starą kuchenkę. Czarny kot wskoczył mu na kolana, zamruczał, wpatrując się w niego okrągłymi oczami.

Wrócił pamięcią do domu, który opuścili niewiele ponad godzinę temu. Jedno piętro, kryty dachówką mansardowy dach, sięgające podłogi okna na parterze. Tuż obok Killiney Hill Road, z długim żwirowym podjazdem okolonym rododendronami, kamiennymi stopniami strzeżonymi przez dwa kamienne lwy i solidnymi frontowymi drzwiami z żelazną kołatką w kształcie gryfa.

Pani Fitzsimons nie spodziewała się gości. Była niedużą, szczupłą, pięćdziesięciokilkuletnią kobietą. Gęste jasne włosy wyglądały jak peruka, na kościstych palcach błyszczały liczne pierścionki z brylantami oraz różnymi czerwonymi i zielonymi kamieniami. Zaprosiła ich do salonu z fotelami o wzorzystych obiciach i dużą mahoniową serwantką, w której lśniły kryształy z Waterford.

McLoughlin wyjaśnił jej, że przesłuchiwali Jimmy'ego, bo jej syn jest ostatnim człowiekiem,

który widział żywą Mary Mitchell. Finney powtórzył matce słowa syna o tym, że oboje, on i Mary, lubili się pieprzyć. Specjalnie użył tego słowa, kładąc na nie taki sam nacisk, jaki położył Jimmy. Kobieta odwróciła twarz, jej oczy wypełniły się łzami.

– Proszę nam o nim opowiedzieć – zwrócił się do niej McLoughlin. – Jakim jest człowiekiem?

Zgarbiła się, splotła i zacisnęła palce.

– Trudnym. Często miewa kłopoty. Wyrzucono go ze szkoły. Nie mogłam tego zrozumieć, jest przecież bardzo inteligentny. Ma fotograficzną pamięć, ale często wdawał się w bójki z innymi chłopcami.

– Teraz chyba jednak radzi sobie całkiem nieźle? Ma własną firmę...

– Dzięki mojemu mężowi. To on kupił mu samochód i zgłosił go do agencji.

– Rozumiem. Przez chwilę milczeli.

– Piękny dom – odezwał się wreszcie McLoughlin. – Od dawna pani tu mieszka?

– Od siedmiu albo ośmiu lat.

– I ładna okolica. Pochodzi pani stąd?

Pokręciła głową, przesuwając nerwowo dłońmi po podłokietnikach fotela.

– Wspomniała pani, że to jej mąż pomógł Jimmy’emu założyć własny interes.

– Tak jest. Zawsze był dla niego bardzo dobry.

– A jednak nie użyła pani określenia „ojciec Jimmy’ego”? Wbiła wzrok we wzorzysty dywan. Chyba powinna im powiedzieć prawdę, wyszeptła. Jimmy jest w rzeczywistości synem jej najstarszej córki. Urodziła go w wieku czternastu lat. Mieszkali wtedy w Anglii, w Manchesterze.

– I postanowiła pani wychowywać go jak własne dziecko?

– Zgadza się.

– A co z jego ojcem? Zna go pani?

Uniosła głowę, potoczyła wzrokiem po pokoju, jakby szukała otuchy w kryształowych naczyniach, w delikatnej irlandzkiej porcelanie na kominku, w ozdobnym mosiężnym żyrandolu.

– Nigdy o niego nie pytałam.

– Czy Jimmy wie o tym?

– Nie.

Kiedy wyszli, zobaczyli opartą o ich samochód otyłą dziewczynkę o bardzo jasnej cerze i włosach związanych w kucyki.

– Kim jesteście? – zapytała podejrzliwie.

– Kolegami Jimmy’ego – odparł McLoughlin, wsiadając do samochodu.

– Jimmy! Jimmy! – Podskakiwała niezgrabnie. – Jimmy mnie tego nauczył! Patrzcie!

Śpiewając, przedstawiała jednocześnie nieudolną pantomimę. – Posłuchajcie, ja umiem

śpiewać!

Mały ze mnie dzbanuszek, pękaty mam brzuszek, uchwyt zgrabniutki i dzióbek króciutki.

Obserwował ją w lusterku wstecznym, podskakującą na podjeździe i wykrzykującą w kółko te same słowa, aż znikła za zakrętem.

Staraj się zawsze przygotować, powtarzał mu ojciec. Kiedy masz kogoś przesłuchiwać, najpierw zbierz jak najwięcej informacji nie tylko o sprawie, ale i o tym człowieku. O jego rodzinie, o przyjaciółach, o życiu. O wszystkim. Wszyscy zgodnie powtarzali, że Pat McLoughlin był doskonałym fachowcem od przesłuchań. Niektórzy utrzymywali, że nawet najlepszym. Nigdy nie posługiwał się przemocą, nawet w czasach, kiedy przymykano na to oczy. Po prostu siedział i czekał. Tak długo, jak długo było trzeba. Gawędził o pogodzie, o koniach, o psach. Czekał na właściwą chwilę, żeby mocniej przycisnąć, czekał, aż pragnienie powiedzenia wszystkiego stanie się tak silne, że nie do opanowania.

Margaret wróciła do kuchni i wręczyła mu kilka odbitek. Jej palce zostawiły wilgotne ślady na ich błyszczącej powierzchni. W większości były to portretowe zdjęcia Mary, jedno przedstawiało ją z torebką na ramieniu.

– Niestety, nie są zbyt wyraźne, ale innych nie mam. Możecie je zatrzymać, jeśli wam się do czegoś przydadzą.

– A pierścionek?

Pokręciła głową i zerknęła na zegarek.

– Powiedziałaś przecież, że to wszystko. Przykro mi, ale muszę już jechać do szpitala.

– Ciekawa sprawa z tym Fitzsimonsem, wie pani? – powiedział McLoughlin, jakby niczego nie usłyszał. – Okazało się, że urodziła go starsza siostra, ale dziadkowie wychowywali go jak własnego syna.

– Tak? I co z tego?

Wzruszył ramionami. Miała teraz na sobie długą, luźną białą plisowaną sukienkę z bawełny, z haftowanymi czerwonymi i żółtymi kwiatami.

– Bardzo ładna. Nie odpowiedziała.

– W razie gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę do mnie dzwonić.

Skinęła głową. Zapraagnął objąć ją, przygarnąć, przycisnąć z całej siły, obsypać pocałunkami jej kark, szyję.

Wieczorem, siedząc samotnie w domu, też o niej myślał. Telewizor był włączony, ale bez dźwięku. Nadawano transmisję z dorocznego festiwalu Rose of Tralee w Keny. Na estradzie stał Derek Davis z parą pantofli na wysokim obcasie w ręce, obok zaś śliczna dziewczyna tańczyła gigę z zadartą, suto marszczoną spódnicą. Sięgnął po pilota i włączył dźwięk. Pokój wypełniły huczne brawa.

– Czyż ona nie jest urocza? Panie i panowie, przed wami wystąpiła Kathleen O’Boyle

z Chicago. Założę się, że jej rodzice, Cindy i Thomas, są teraz z niej bardzo dumni!

Kamera odszukała ich na widowni. Siedzieli blisko siebie, trzymając się za ręce. Na ich twarzach malowały się miłość i duma. Realizator zrobił płynne przejście na twarz dziewczyny. Była niezwykle podobna do ojca: ten sam mocno zarysowany podbródek i duże, białe amerykańskie zęby. Zaraz potem na ekranie pojawiła się matka. Płakała, nawet nie próbując ukryć łez. Mąż wyjął z kieszeni chusteczkę, delikatnie ujął ją pod brodę i osuszył policzki. McLoughlin dolał sobie wina i też się rozplakał. Płakał nad Margaret, nad Mary, nad sobą.

Rozdział 29

Wszystko było zapisane w „Kodeksie karnym” z roku 1984, w rozdziale 4, na stronie 11. „Postępowanie wobec osób czasowo zatrzymanych przez policję w szczególnych przypadkach”.

Podrozdział 3a: Okres tymczasowego zatrzymania nie może przekraczać sześciu godzin, z wyjątkiem sytuacji opisanej w punkcie b.

3b: O przedłużeniu okresu tymczasowego aresztowania maksymalnie o kolejne sześć godzin może zdecydować oficer policji w randze co najmniej inspektora, jednak wyłącznie w sytuacji, jeśli jest to niezbędne dla wyjaśnienia sprawy.

„Przepisy wykonawcze” z 1987 roku precyzowały sytuację jeszcze bardziej: kto, kiedy, dlaczego, na jak długo. Koniec ze „zgarnianiem” podejrzanego w piątek wieczorem i przetrzymywaniem go przez cały weekend, żeby skruszał. Koniec z biciem, trudnymi do wyjaśnienia obrażeniami, nieudokumentowanymi odwiedzinami lekarzy. Koniec z przekrętami. Teraz wszystko musiało być zanotowane, zarejestrowane, opisane, zarzuty przedstawione jasno i wyraźnie, równie jasno wyjaśnione prawa przysługujące zatrzymanemu.

McLoughlin patrzył, jak wprowadzają Jimmy’ego Fitzsimonsa. Była za dziesięć dwunasta we środę, 30 sierpnia. Zwyczajny powszedni dzień. Zakorkowane główne ulice, zatłoczone chodniki. Pogoda wciąż fantastyczna. Rano pojawiła się mgła, teraz jednak zupełnie się rozpozodziło.

O siódmej czterdzieści pięć Dave Finney i Bertie Lynch zjawili się u Fitzsimonsa z nakazem przeszukania. Wraz z nimi do domu weszła ekipa techników. Przetrzęsli budynek od piwnicy po dach, zbierając próbki włosów, kurzu, włókien i odcisków palców. Nie znaleźli biżuterii dziewczyny, podobnie jak odzieży ani torebki. Gdy tylko skończyli, Finney aresztował go i zapoznał z przysługującymi mu prawami. Zatrzymanie nastąpiło dokładnie siedem po jedenastej.

McLoughlin schodził powoli po schodach, obserwując, jak umundurowani funkcjonariusze wprowadzają na posterunek skutego kajdankami Fitzsimonsa. Mężczyzna sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego, jakby to, co się działo, wcale go nie dotyczyło. McLoughlin przystanął na uboczu, by nie rzucać się w oczy. Już wczoraj zrozumiał, co Jenny Adamson miała na myśli, mówiąc o jego urodzie. Rzeczywiście, nie sposób było nie zwrócić na niego uwagi. Jasnożółte włosy. Jasnobłękitne oczy z długimi rzęsami. Gładka kremowa skóra. Szczupłe umięśnione ciało, wąska talia i biodra, długie nogi, niewymuszony wdzięk. Tak mógłby wyglądać baletmistrz albo toreador – ktoś, kto jednym gestem, jednym ruchem potrafi skupić na sobie uwagę publiczności.

Podążył za małą grupką do gabinetu sierżanta. Sal Daly właśnie odczytywał Fitzsimonsowi formularz C72: powód aresztowania, możliwość kontaktowania się z osobami trzecimi, możliwość zasięgnięcia porady prawnej, zdjęcia, rozmowy telefoniczne, posiłki itd. Po raz

kolejny zapytał go, czy życzy sobie obecności adwokata, czy chce, żeby kogoś powiadomiono o miejscu jego pobytu. Kiedy Fitzsimons pokręcił głową, zaskoczony Sal powtórzył pytanie.

– Jest pan całkowicie pewien, że nie potrzebuje pan adwokata? Jeśli nie ma pan własnego, możemy przydzielić panu kogoś z urzędu.

Kolejne potrząśnięcie głową.

Potem nadeszła pora na zdejmowanie odcisków palców i na zdjęcia, następnie zatrzymany trafił do celi. Nie na długo. Właściwie bez konkretnego powodu. Tylko po to, żeby go trochę zmiękczyć, pokazać, kto tu rządzi, uprzytomnić, że nie jest już panem swojego losu. Potraktować tak, jak matki traktują bezradne niemowlęta. Prosty sposób, ale skuteczny. Żeby musiał prosić o pozwolenie wyjścia do toalety. Niekiedy zaledwie półgodzinna zwłoka w odpowiedzi dawała iście cudowne rezultaty. Bardzo ciekawe było obserwować, jak świadomość, że nic już od niego nie zależy, powoli toruje sobie drogę do umysłu zatrzymanego. Rzecz jasna większość tych, którzy z kajdankami na rękach przekraczali próg celi, znała na pamięć te drobne gierki, wielokrotnie bowiem w nich uczestniczyła. Ale ktoś zupełnie nowy, jak Jimmy Fitzsimons? Powinny wyrzeć na nim jakieś wrażenie, nawet jeśli to on zgwałcił, torturował i zabił tę nieszczęsną dziewczynę. Klasyczne prężenie mięśni. Ustawić wokół niego kilku policjantów po metr dziewięćdziesiąt wzrostu i po sto kilogramów żywej wagi, z pięściami jak bochny chleba, i poczekać cierpliwie na rezultat.

Na pierwszy ogień posłał Finneya i Lyncha. Zgodnie z przepisami w przesłuchaniu mogło jednocześnie uczestniczyć najwyżej czterech funkcjonariuszy i tylko dwaj z nich mieli prawo zadawać pytania zatrzymanemu, uzupełnił więc stawkę dwoma Schwarzeneggerami. Tak dla ozdoby.

Godziny mijały powoli. Zanosilo się na długi dzień. Finney działał według wielokrotnie powtarzanego schematu. Najpierw ogólne pytania o sprawy prywatne i o pracę. Później bardziej szczegółowe, dotyczące dziewczyny, gdzie i kiedy się poznali, co robili, kiedy widział ją po raz ostatni. Sporo przerw, sporo powrotów do tego, o czym już była mowa. Finney wstawał, krążył po pokoju, nie zrywając kontaktu wzrokowego z przesłuchiwanym. Kilka razy wchodzili inni policjanci, odwoływali Finneya albo Lyncha na bok, szeptali im coś do ucha, zerkając z ukosa na przesłuchiwanego. Lynch przez cały czas sporządzał szczegółowe notatki. Po dwóch godzinach nastąpiła przerwa: zatrzymanemu zaproponowano kawę lub herbatę do wyboru i pozostawiono w pokoju w towarzystwie umundurowanego funkcjonariusza.

Po jakimś czasie wrócili i zaczęli wszystko od początku.

Zegar na ścianie wskazywał siedem po pierwszej. Od chwili aresztowania upłynęły dokładnie dwie godziny. McLoughlin zamierzał pozwolić Finneyowi, by popracował dłużej. Nie było powodu do pośpiechu. Mieli czas aż do siedem po jedenastej w nocy. Bardzo dużo czasu.

– Jak idzie, inspektorze? – Przy jego biurku zatrzymał się sierżant Daly. – Wszystko

w porządku?

– Tak, dziękuję. A u pana? Daley skinął głową.

– Też, przynajmniej na razie, chociaż Finney bywa chwilami trochę... Hm, nie wiem, jak to określić...

– W gorącej wodzie kąpany? Porywczy?

– Nadmiernie ambitny, to chyba chciałem powiedzieć – odparł Daly z uśmiechem. – Ale nic nie szkodzi, będę miał na niego oko.

Kiedy nadeszła pora lunchu, Fitzsimonsa odprowadzono do celi i przyniesiono mu posiłek na tacy. Chociaż miał do przejścia zaledwie kilka metrów, założono mu kajdanki. McLoughlin zajrzał do celi przez judasza. Fitzsimons siedział nieruchomo na pryczy, na jego pobladłej przystojnej twarzy zamarł wyraz zdumienia i niepokoju. Nie zwracał najmniejszej uwagi na tacę z jedzeniem. McLoughlin poszedł do kantyny, gdzie siedzieli już Finney i Lynch. Wziął sadzone jajko z frytkami, a do tego kilka plasterków białej bułki. Posmarował ją masłem, umoczył w żółtku.

– I co sądzicie?

– To on, bez żadnej wątpliwości.

– Tak? Dlaczego tak myślisz?

– Wciąż wraca do tego pamięcią.

– Skąd wiesz?

– Za każdym razem, kiedy wymawia jej imię, coś dziwnego dzieje się z jego twarzą. Prawda, Bert? Porusza ustami, spogląda gdzieś w bok albo przymyka oczy, jakby sobie coś przypominał.

– Powiedział cokolwiek?

– Niewiele. Wciąż trzyma się pierwotnej wersji. Poznali się kilka tygodni temu. W sobotę wieczorem pojechali do niego do domu i byli razem aż do środy rano. Wtedy wyszła. Przypuszczał, że już nie wróci, a kiedy się dowiedział, co się stało, przestraszył się.

Powoli mijało popołudnie. Wokół nich toczyło się zwyczajne życie posterunku. Ludzie wchodzili i wychodzili, zgłaszali drobne przestępstwa, przynosili do podpisu formularze paszportowe, płacili mandaty.

Trzecia... czwarta... piąta po południu. Nadinspektor Finucane podpisał zgodę na przedłużenie zatrzymania o kolejne sześć godzin. Nadeszła przerwa na herbatę. I znowu to samo: Fitzsimons do celi, Finney i Lynch do kantyny.

O ósmej wieczorem McLoughlin stanął przed drzwiami pokoju przesłuchań. Ze środka dobiegały krzyki. Zajrzał przez judasza. Finney, z twarzą czerwoną jak burak, pochylał się nad Fitzsimonsem, który kulił się na krześle, zasłaniając twarz rękami. McLoughlin zapukał, odczekał chwilę, następnie otworzył drzwi.

W pozbawionym okien niewielkim pomieszczeniu panował potworny zaduch. Cuchnęło

potem, gniewem i strachem.

– Myślę, że na razie wystarczy – powiedział.

Kazał im ustawić projektor. Każda z pustych ścian doskonale nadawała się na ekran. Kiedy ponownie wprowadzono aresztanta, wszystko było już gotowe. McLoughlin wyciągnął rękę, Fitzsimons zaś uścisnął ją odruchowo. Był bardzo blady. Chyba niedawno płakał.

– Możemy zaczynać? Dave, wyłącz światło, proszę. Nagle tuż obok nich pojawiło się nagie ciało Mary.

Ogromne, na całą ścianę. Tak blisko, że wystarczyłoby wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć. McLoughlin nacisnął guzik. Karuzelowy podajnik slajdów przesunął się z cichym szcęknięciem, on zaś rozpoczął opowieść. Szczegółowo, posługując się fachowymi medycznymi określeniami, opisał wszystkie obrażenia. Wyjaśnił, w jaki sposób powstały, jak wielkiej użyto siły. Następnie przyszła pora na zbliżenia. Piersi, uda, genitalia, nadgarstki, kostki, brzuch. Wreszcie twarz. Obserwował Fitzsimonsa w widmowym blasku rzutnika. Chłopak wyglądał tak, jakby miał lada chwila zemdleć. McLoughlin wyłączył rzutnik. W pokoju zrobiło się zupełnie ciemno. Usiadł wygodnie na krześle, założył nogę na nogę.

– Opowiedz nam o sobie, Jimmy.

Zapadła cisza. McLoughlin sięgnął po papierosa, wyjął zapalnik, zapalił. Suchy trzask zabrzmiał z siłą wystrzału. Włoski zjeżyły mu się na karku. W blasku płomyka dostrzegł wlepione w siebie spojrzenie Fitzsimonsa. Chłopak milczał. Nic nie szkodzi, on może czekać. Był w tym bardzo dobry, chyba najlepszy. Miał za sobą wiele lat treningu. Większość zwyczajnych ludzi źle radziła sobie z pustką. Czarna dziura poczucia winy pojawiała się bardzo szybko, wabiła ich, przyciągała, a kiedy, nie mogąc się oprzeć, klękali na brzegu, wciągała ich głęboko. Widywał to wiele razy. Wszechwładne pragnienie wypełnienia pustki kłamstwami, bełkotliwymi wyjaśnieniami, litanią usprawiedliwień. Cokolwiek, byle tylko usłyszeć jakiś głos, nawiązać choćby namiastkę kontaktu z kimkolwiek.

– Czy chcesz jeszcze raz obejrzeć zdjęcia? Chłopak pokręcił głową.

– Dlaczego? Nie podobają ci się? Są wstrząsające, prawda? Oto co człowiek potrafi zrobić człowiekowi... Ale ty przecież dużo wiesz na ten temat, zgadza się, Jimmy? Robiłeś to wiele razy. – Odwrócił się do Finneya. – Dave, wspomniałeś mi o Jenny Adamson, instruktorce fotografii? – Ponownie skierował wzrok na Fitzsimonsa. – Wiele nam o tobie opowiadała. O tym, jak spędzaliście czas. Z pewnością dobrze się wtedy bawiliście. Czy wiesz, że dopiero po trzech tygodniach mogła znowu normalnie chodzić? Po trzech tygodniach. Ty to osiągnąłeś. Zupełnie sam. Bez żadnych narzędzi, bez broni. Pięściami, palcami, stopami i kutasem. Tylko tyle było trzeba, żeby tę wykształconą, inteligentną, cieszącą się życiem kobietę zamienić w przerażony, roztrzęsiony strzęp człowieka. Niesamowite, prawda? Nie potrzebujesz noża, pistoletu ani nawet sznurka. Potrzebujesz tylko samego siebie.

Umilkł, wstał z krzesła, przez chwilę majstrował przy rzutniku, po czym znowu go włączył.

– Powiedziała nam też, że jesteś dobrym fotografem. Wręcz doskonałym. Mógłbyś zostać zawodowcem, zamiast obwozić bogatych jankesów po kraju. Twoja matka jest tego samego zdania. Mogłeś być najlepszym uczniem w szkole. Masz fotograficzną pamięć. Znowu to słowo. Zabawne, jak często powraca, prawda?

– Moja matka? – Jimmy wyprostował się gwałtownie. – Rozmawialiście z moją matką?

– Oczywiście. I z twoją młodszą siostrą Molly. Urocza dziewczynka. Jaka szkoda. A ty, Dave, rozmawiałeś z Tiną, prawda? Z twoją starszą siostrą Tiną. Opowiedz o tym Jimmy'emu. Na pewno z przyjemnością posłucha. Opowiedz mu o jego starszej siostrze.

– Jest wspaniała. To piękna, cudowna kobieta. Kiedy... Nie dokończył. Jimmy rzucił się na niego, zwał go z krzesła, chwycił za głowę i, ogarnięty szałem, zaczął walić nią w podłogę, wrzeszcząc przy tym coś niezrozumiale i bryzgając śliną. Odciągnęli go, zakuli w kajdanki, posadzili przemocą na krześle, przytrzymali. McLoughlin pomógł Dave'owi wstać z podłogi, wytarł mu twarz chusteczką.

– A więc to cię bierze, mały draniu? Bo tym właśnie jesteś: małym wszawym draniem. Bękartem swojej siostry. Ciekawe, kim był twój ojciec? Jakimś krostowatym smarkaczem, który zerznął ją po lekcjach w szopie na rowery albo w ostatnim rzędzie w kinie podczas sobotniego seansu? Miała czternaście lat, kiedy cię urodziła. Wiesz, jak wygląda czternastoletnia dziewczynka? Potrafisz sobie wyobrazić, jak wyciskała cię spomiędzy tych małych tłustych ud? Była wtedy mniej więcej taka jak twoja młodsza siostra teraz.

McLoughlin przerzucił szybko kilka slajdów, aż znalazł ten ze zbliżeniem twarzy Mary.

– Czy ktoś pobił cię tak, kiedy byłeś dzieckiem? Może twój ojciec, a raczej dziadek? A może był i ojcem, i dziadkiem? To by dopiero było coś! Co o tym myślisz, Jimmy? Mała dziewczynka z białymi udami i drobnymi cycuszkami, i ten wielki mężczyzna, z nim też rozmawiałem, na niej, w niej, i ból, ból taki sam jak ten, który zadawałeś Jenny i Mary...

Jimmy szlochał, jego twarz w upiornym blasku była biała jak mleko. Łzy płynęły po policzkach. Usiłował poruszyć ramionami, lecz uniemożliwiły mu to kajdanki. Mimo to walczył, szarpał się, wyginał całe ciało.

– To boli, prawda? Widziałeś, jak wyglądały nadgarstki Mary Mitchell po tym, jak zdjąłeś jej kajdanki? Na pewno widziałeś, ale popatrzmy na to razem.

Kilka kliknięć i na ścianie pojawił się powiększony obraz przedramion z głębokimi, czerwonymi bruzdami w miejscach, gdzie metal werznął się głęboko w ciało.

– Ja chcę do mamy! – zawył przeraźliwie Jimmy – Mamo! Mamo! Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże.

Lynch spojrział pytająco na McLoughlina, lecz ten ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

– Za późno, Jimmy. Ona ci już nie pomoże. Tylko my możemy ci pomóc. Musisz nam

wszystko opowiedzieć. Musisz nam opowiedzieć o tym, co zrobiłeś. O tym, jak to się stało. Zrób to. Zrób to teraz.

Oddali go Finneyowi, żeby spisał zeznania. Finney sam tego chciał, a McLoughlin uważał, że to mu się należy. Sam wrócił za swoje biurko i zadzwonił do prokuratora okręgowego. Wyjaśnił, jaka jest sytuacja. Rozpoczęło się spisywanie zeznań. Będzie tego dosyć, żeby przedstawić oficjalne oskarżenie. Spojrzał na zegarek: kwadrans po dziesiątej. Siedem po jedenastej Fitzsimons powinien znaleźć się z powrotem na wolności. Równo dwanaście godzin po zatrzymaniu. Ale Finney też o tym wiedział i z pewnością postara się o to, żeby wszystkie papiery dotarły w porę tam gdzie trzeba.

Wyłączył światło i wyszedł z pokoju. Sal Daly skończył już służbę, ale Peter Manning, który go zastąpił, wiedział, co do niego należy. Wezwie lekarza, który dokona oględzin zatrzymanego i opíše w protokole podbite oko Finneya. Wszystko będzie spisane jak należy, a potem Jimmy Fitzsimons zostanie oskarżony o uprowadzenie, wielokrotny gwałt i zabójstwo. Ten dzień z pewnością można było uznać za udany.

Rozdział 30

Co teraz? Co teraz, kiedy została zupełnie sama: bez matki, córki, bez ojca?

Siedziała przy łóżku Catherine. Był wczesny ranek. Obserwowała, jak wstaje nowy dzień i jak kończy się życie jej matki. Wsłuchiwała się w dobiegające zza okna odgłosy. Koniec nocnej ciszy oznajmiły ptasie głosy – kosy, drozdy, wróble, rudziki – akompaniujące niestrudzenie życiu przedmieścia.

Nauczyła się dzielić uwagę między ptasie śpiewy i powolny, cichy oddech matki. Chwilami wydawało jej się, że ustał, zaraz potem jednak pierś leżącej w łóżku kobiety unosiła się z wysiłkiem. Serce wciąż biło, lecz mózg stopniowo obumierał, pozbawiony wystarczającej ilości tlenu. Sprawdziła puls: uderzał nierówno, ledwo wyczuwalnie. Patrząc na matkę, odnosiła wrażenie, że jej rysy uległy rozmyciu, jakby ktoś zatarł je gąbką. Wiedziała, że ta kobieta leżąca w łóżku jest jej matką, a równocześnie coraz trudniej było jej w to uwierzyć.

Kiedy Margaret wróciła do szpitala, Catherine była jeszcze przytomna. Zwiększono jej dawkę morfiny. Już nie czuła bólu.

– Czy to ty, Margaret?

– Tak, mamó.

– Ojciec przyjechał z tobą?

– Nie, mamó, ale jest niedaleko.

Odwróciła twarz do białej ściany i zamknęła oczy. Jakiś czas potem niespodziewanie je otworzyła i powiedziała:

– Kocham cię, Margaret. Zawsze cię kochałam. Rozpłakała się. Drobnym, zasuszonym ciałem wstrząsało spazmatyczne szlochanie. Margaret pochyliła się nad nią, odgarnęła jej włosy z czoła i szeptała kojąco tak długo, aż matka się uspokoiła. Czy to wciąż był tylko sen? Czy nie przestała zupełnie oddychać? Podsunęła jej rękę pod nos. Wydaje jej się, czy też czuje ledwo uchwytny podmuch powietrza?

O tyle spraw chciała ją zapytać. Dopiero teraz sobie uświadomiła, jak niedużo wie. Myślała o tych wszystkich albumach z fotografiami. Tyle zdjęć Johna, jego rodziny, przyjaciół... i ani jednego Catherine. Nigdy nie wspominała o swoich rodzicach. Nie miała rodzeństwa. Można by odnieść wrażenie, że któregoś dnia po prostu zjawiała się znikąd w gabinecie Johna. Nowa sekretarka, energiczna młoda kobieta z notatnikiem w ręce. Najpierw go sobą zainteresowała, a potem rozkochała. Złapała najlepszą partię: z samochodem, z domem w Monkstown.

– Dlaczego nigdy ze mną nie rozmawiałaś, mamusiu? – wyszeptała jej do ucha. – Dlaczego?

Nie otrzymała odpowiedzi. Przypomniała sobie, jak obserwowała ją przy makijażu. Codzienny rytuał. Siadała przy toalecie w plisowanej podomce, zakładała nogę na nogę, nieduża stopa w różowym kapciu kołysała się miarowo. Pewnie byłam wtedy chora, pomyślała Margaret.

Gdyby nie to, na pewno by mnie tam nie było. Zwykle Catherine wstawiała dopiero wtedy, kiedy tata i ja wyszliśmy już z domu. A jednak to pamiętam. Najpierw podkład, Elizabeth Arden, wyciśnięty z tubki i rozsmarowany od szyi aż po czubek czoła. Potem puder z dużego okrągłego pudełka z cienką gąbeczką do nakładania. Następnie oczy: delikatne podkreślenie górnej powieki czarną kreską, malowanie brwi i rzęs. Na koniec usta, staranne szminkowanie wybranym na dany dzień kolorem, zwykle koralowym lub brzoskwiniowym, zakończone narcystycznym pocałunkiem do lustra.

– Ja też tak chcę, mamusiu!

Catherine wzięła ją jednak na ręce, zniosła do jej pokoju i zamknęła drzwi.

Margaret delikatnie zacisnęła palce na prawej ręce matki, pogładziła pomarszczoną skórę, przytuliła do policzka. Chętnie by się rozplakała, nie miała już jednak łez. Wszystko skończone, pomyślała, kładąc bezwładną rękę na kołdrze. Opuściła wzrok na swój nadgarstek obwiązany paskiem z postrzępionego materiału.

– To na znak przyjaźni, prawda? – zapytała jedna z pielęgniarek. – Moja córka też ma coś takiego. Dostała od przyjaciółki. Zdaje się, że chodzi o to, żeby nosić to tak długo, aż samo spadnie, prawda?

Siedziała i czekała, aż wreszcie nie było już na co czekać. Oddech ustał, pierś przestała się poruszać. Wtedy wstała. Powiem im, że umarła, pomyślała. To ostatnia rzecz, jaką mogę dla niej zrobić. Uniosła obwisłą powiekę, odsłaniając nieruchome, wpatrzone gdzieś hen, daleko, oko. Sprawdziła puls. Przysunęła lusterko do na wpół otwartych ust.

Siedziała przy łóżku do chwili, kiedy przyszli, żeby zabrać ciało matki. Oglądała w lusterku własną twarz, przyglądała się zmarszczkom, głębokim bruzdom. Nie miała już nic do powiedzenia, nic do zrobienia. Nie ma już „nas”, pomyślała. Nie ma Mary. Nie ma jej dziecka. Jestem tylko ja. Całkiem sama.

Nie ruszyła się z twardego krzesła nawet wtedy, kiedy salowe zmieniały pościel na łóżku, wycierały na mokro podłogę, usuwały wszystkie ślady kobiety, która niedawno tu umarła. Potem wstała i podeszła do okna. Wokół szpitala rozciągał się ogród z ogromnymi starymi drzewami – kasztanowcami, jesionami i dębami. Na jego terenie znajdował się także trawiasty kort tenisowy. Dwie pary grały na nim debła. Spoglądała na młode, silne ciała, słuchała dobiegających z kortu śmiechów i okrzyków. Czuła, jak starzeje się z minuty na minutę, jak jej mięśnie wiotczeją, kości stają się coraz bardziej kruche, włosy tracą barwę, a skóra sprężystość.

Jestem martwa, przemknęło jej przez głowę. Trzeba już tylko mnie pochować. W tej samej chwili poczuła znajomy delikatny zapach. Czarny bez. Lekki i przyjemny, ale z lekką goryczką. Obejrzała się. Obok niej stała Mary, blada, lecz uśmiechnięta, z błyszczącymi, pełnymi zrozumienia oczami.

– Nie martw się, mamusiu – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze.

Objęła matkę, położyła jej głowę na swoim ramieniu i głaskała ją po policzkach, ocierając płynące powoli łzy.

– Ciiii... – szeptała. – Ciiii... Ciiii...

Stały tak w blasku słońca, który wlewał się do pokoju przez szyby, rozświetlał białe ściany i podłogę, odbijał się niezliczonymi refleksami w metalowej tacy z lekarskimi instrumentami i otaczał głowę Margaret złocistą aureolą, wypełniając ją na chwilę ciepłem.

Część druga

Rozdział 31

Znudzony taksówkarz przyglądał się ludziom wychodzącym z budynku dworca lotniczego. Silnik pracował na wolnych obrotach, radio grało cicho. Ciekawe, skąd oni wszyscy są, myślał. A skoro mają pieniądze na to, żeby podróżować, to dlaczego przylatują właśnie tutaj? Szczególnie teraz, na wiosnę, kiedy pogoda jest zupełnie nieprzewidywalna. Samochód przed nim odjechał, przesunął się więc na przód kolejki. Dwadzieścia po trzeciej. Dzisiaj miał niewielu klientów. Jak tak dalej pójdzie, będzie musiał jeździć do wieczora. Poprawił się na fotelu, lecz klamra paska wciąż wpijała się boleśnie w opasły brzuch. Otworzyły się tylne drzwi. Odwrócił się z wysiłkiem, spojrzął przez ramię. Do taksówki zaglądała kobieta o bladej twarzy częściowo zakrytej okularami przeciwsłonecznymi.

– Jeszcze dwie torby, jeśli pan łaskaw.

Wyjechał na główną drogę łączącą lotnisko z miastem. Jak zwykle panował na niej duży ruch, tym razem jednak jechało się wyjątkowo powoli. Może coś się stało, pomyślał. Wypadek albo kontrola policyjna. Niecierpliwie bębnił palcami w kierownicę, przełączał radio ze stacji na stację. Wreszcie ruch całkiem zamarł, wyprostował się więc i położył prawą rękę na oparciu fotela pasażera.

– Co się dzieje? – zapytała. Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Tutaj tak zawsze.

Przyjrzał jej się we wstecznym lusterku. Siedziała sztywno, rozglądała się dookoła, wykonując raptowne, szybkie ruchy głową. Akurat w tej chwili patrzyła przez boczną szybę. Szyję miała długą i smukłą, z wyraźnie widocznymi napiętymi mięśniami. Chwilę później spojrzała na niego. Przez te ciemne okulary niewiele mógł powiedzieć o jej twarzy. Kiedy ładował torby do bagażnika, zaskoczyło go, że jest taka nieduża. Z pewnością miała niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Ciemnobrązowe włosy były zaczesane do tyłu i spięte drewnianą klamrą u nasady karku. Dżinsy z miękkiej bawełny ciasno opinały kształtne biodra. Nalepki na bagażach nosiły logo Air New Zealand. Jak na tak daleką podróż miała ze sobą niewiele rzeczy. Podziękowała mu za pomoc uśmiechem, który odsłonił nieduże białe zęby, a kiedy minęła go, wsiadając do samochodu, poczuł delikatny naturalny zapach, trochę podobny do tego, jakiego używała jego córka. Coś jakby róże.

Włożył kasetę do odtwarzacza. Wnętrze samochodu wypełnił nosowy głos Nanci Griffiths. Zerknął pytająco w lusterko.

– Może być?

– Oczywiście.

Znowu można było jechać, początkowo bardzo powoli, stopniowo coraz szybciej. Powiedziała mu dokładnie, dokąd i którędy chce dojechać. Nie potrafił rozszyfrować jej akcentu.

Raczej nie pochodziła z Dublina, chociaż doskonale znała miasto. Kiedy przejeżdżali przez centrum, komentowała zmiany, jakie zaszły w wyglądzie ulic.

– Była pani tu kiedyś? Uśmiechnęła się.

– Tak, kilka razy.

– A ostatnio?

– W ubiegłym roku, latem.

– Piękne było, prawda? Oby to było takie samo.

Nie odpowiedziała. Odniósł wrażenie, jakby zapadła się głębiej na siedzeniu, jej twarz zszarzała, usta zaczęły drżeć.

Kiedy zatrzymał samochód tam, gdzie sobie życzyła, nie wysiadła od razu. Przed nimi wznosiła się wysoka brama z kutego żelaza. Ozdobne uchwyty owinięto łańcuchem, który spięto kłódką. Z obu stron bramy zebrało się sporo zeszlorocznych liści. Wyłączył silnik. Muzyka zrobiła się nagle bardzo głośna. Ponownie spojrzął na kobietę. Pochyliła głowę, ukryła twarz w dłoniach. Czekał. Po jakimś czasie wysiadł z samochodu, podszedł do bramy, wyciągnął ramiona w górę, chwycił się prętów i rozprostował kręgosłup. Kiedy się odwrócił, stała przy bagażniku. Wrócił wolnym krokiem.

– Muszę coś zabrać.

Otworzył bagażnik, a ona wyjęła z torby plastikowe pudełeczko wielkości pojemnika na drugie śniadanie.

– Może pan zaczekać? Oczywiście zapłacę.

Skinął głową. Weszła na teren cmentarza furtką w kamiennym murze. Odprowadził ją wzrokiem aż do chwili, kiedy znikła za nagrobkami, po czym zamknął samochód i ruszył za nią.

Za cmentarnym murem panowała cisza. Słyszał jedynie chrzęst żwiru pod podeszwami swoich butów. Wąska kręta ścieżka prowadziła go coraz głębiej między porozstawiane chaotycznie groby. Nagle ogarnął go przesądny lęk. Zrobiło mu się zimno; wiosenne słońce nie mogło sobie poradzić z podmuchami północno-wschodniego wiatru. Zapiął suwak skórzanej kurtki, wepchnął ręce w kieszenie i przyspieszył kroku. Od czasu do czasu podskakiwałby choć na mgnienie oka ogarnąć wzrokiem większy teren. Wreszcie ją dostrzegł: daleko, prawie na końcu cmentarza, mignęła biała plama jej bluzki.

Zszedł ze ścieżki, niemal od razu potknął się na jakiejś nierówności terenu. Wyraźnie słyszał własny oddech i szelest wysokiej trawy, przez którą teraz brnął. Ostatnio był na cmentarzu na pogrzebie ojca. Zupełnie mu się to wtedy nie podobało, krawędź ciężkiej trumny wrzynała się w ramię, i teraz też mu się nie podobało. Najchętniej wróciłby do samochodu, ale właśnie wtedy, przekraczając kolejną alejkę, zobaczył ją wyraźnie. Siedziała na piętach obok kilku grobów usytuowanych nieco na uboczu, w cieniu potężnego drzewa. Kołysała się miarowo w przód i w tył, wyjmowała coś z pudełka i kładła na jednym z grobów. Przed pomnikiem płonęła

samotna lampka; płomyk migotał nieśmiało w ruchliwych plamach słonecznego blasku sączącego się przez koronę drzewa. Nigdy jeszcze nie widział takiego nagrobka. Miał kształt muszli wyrzeźbionej z szarego kamienia, o chropawych krawędziach i powierzchni, jakby przylgnęły do niej jakieś morskie stwory i rośliny. Sam grób również pokrywały nie do końca obrobione kamienie poprzerastane soczyście zielonym mchem. Wytężywszy wzrok, spostrzegł, że kobieta układa w mchu małe muszelki. Mruczała przy tym coś półgłosem. Nie rozumiał słów, dźwięki te jednak przywiodły mu na myśl coś bardzo odległego, co – jak do tej pory sądził – utracił już na zawsze. Ruszył ostrożnie naprzód, by odczytać napis na pomniku, zdradził go jednak szurgot żwiru pod stopami.

Odwróciła się. Bez ciemnych okularów sprawiała wrażenie zupełnie bezbronnej, jakby dopiero co obudziła się z głębokiego snu.

– Przepraszam... Bardzo przepraszam... Nie chciałem...

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym wróciła do przerwanej zajęcia. Przeniósł wzrok na pomnik i, poruszając bezgłośnie ustami, odczytał napis wyryty na kamiennej muszli:

Mary Mitchell 1975-1995

Ujrzeć świat cały w piasku ziarenku,
I niebo w dzikim kwiecie,
Schwytać bezkoniec w rękę wyciągniętą,
I zamknąć wieczność w godzinie.

Kwadrans później wróciła do taksówki. Oczy znowu miała ukryte za ciemnymi okularami. Nie nawiązała rozmowy, podała tylko adres. Dopiero kiedy mijali wieżę Martello w Seapoint, uświadomił sobie, skąd zna nazwisko tej dziewczyny. Przypomniał sobie. To było w ubiegłe lato. Policja wypytywała wszystkich taksówkarzy w mieście. Pytania, niekończące się pytania. Paru chłopaków wzięli nawet na posterunek, nieźle ich tam wymaglowali, ale nikt niczego nie wiedział o śmierci dziewczyny. Przez parę tygodni było nieciekawie, a potem złapali tego, kto to zrobił. Nie był taksówkarzem, woził zamożnych turystów limuzyną. Paskudna sprawa. Jeden z kumpli miał brata w policji, opowiadał, że dziewczyna była przed śmiercią torturowana, że okropnie cierpiała. Biedne dziecko.

Dom, przed którym zatrzymał samochód, najlepsze dni miał już chyba za sobą. Z dachu odpadło parę dachówek, z okien i drzwi obłaziła farba. Szkoda, pomyślał, wysiadając z wozu, żeby pomóc jej z bagażami. Piękne miejsce, nad samym morzem. Byłby wart małą fortunę. Zaniósł torby na schodki przed drzwiami, a ona odliczyła należność, po czym dołożyła jeszcze

dziesiątkę.

– To za dużo... – wymamrotał.

– Wcale nie – odparła z uśmiechem. – Był pan bardzo miły.

– Proszę pani... – Przerwał w pół zdania.

– Tak?

Odwróciła się do niego z kluczami w ręce.

– Gdyby pani potrzebowała kiedyś pomocy, albo czegokolwiek...

Wcisnął jej do ręki wizytówkę.

Patrzyła za nim, kiedy zawracał na końcu uliczki i przejeżdżał przed domem. Zwolnił, pomachał, i odjechał. Ogarnęła spojrzeniem zaniedbany budynek. Z powrotem w domu, pomyślała.

Rozdział 32

*Kupcie na targu tłustą świnkę nam,
Do domu z nią wróćcie,
tam-taram-taram.
Kupcie na targu tłuste świnki dwie,
Przywieźcie je do domu,
debe-debe-de.*

Znowu przyśnił jej się ten sen. Nawiedzał ją regularnie od wielu miesięcy.

Była w jakimś pokoju w jakimś domu. Nie wiedziała dokładnie gdzie, niemniej czuła się całkiem swobodnie i bezpiecznie. Mary siedziała bokiem na jej kolanach. Miała około trzech lat: pulchne zdrowe dziecko o silnych nóżkach, którymi wymachiwała zawzięcie. Była ubrana w kremowe spodenki z karczkiem z wyszytą z przodu tłustą świnką w słomkowym kapeluszu. Na główce miała taki sam kapelusz jak świnka. Z zapałem wyśpiewywała rymowanekę, Margaret zaś rytmicznie podrzucała ją na kolanach. Bum, bum, bum. W górę i w dół, w górę i w dół, czarne kędziory i słomiany kapelusik. Margaret była bezgranicznie szczęśliwa. Podśpiewywała razem z córeczką.

*Kupcie na targu tłustą świnkę nam...
Kupcie na targu tłuste świnki dwie...*

Nagle coś się zmieniło. Mary już nie siedziała na jej kolanach. Margaret nie miała pojęcia, kiedy ani dokąd sobie poszła. Za każdym razem, kiedy budziła się z tego snu, usiłowała sobie przypomnieć, co się stało, wszystkie wspomnienia jednak znikwały w chwili, gdy otwierała oczy. W jej uszach pozostawało jedynie brzmienie wysokiego dziecięcego głosiku:

tam-taram-taram debe-debe-de

Córeczki nie było także nigdzie w pobliżu. Wciąż poruszała miarowo kolanami, wciąż czuła na nich ciężar dziecka, ale dziecko znikło.

Wstała i podeszła do dużego jednoskrzydłowego okna. Na zewnątrz, na soczyście zielonej trawie leżał słomkowy kapelusz. Przeszła przez szybę, która roztrzaskała się na kawałeczki, i podniosła kapelusz. Mary leżała pod nim, małeńka, z otwartymi szeroko ustami, i wykrzykiwała słowa rymowanki. Ale gdy tylko Margaret schyliła się, żeby ją podnieść, okazało się, że to wcale nie Mary, tylko porcelanowa laleczka z namalowanym na twarzy okropnym grymasem,

straszliwie powykręcanyimi kończynami i włosami również z porcelany. Zimnymi, twardymi, nieruchomymi.

Obudziła się równie sztywna i zimna jak lalka. Na zewnątrz szalała wichura. Wiatr nadlatywał znad morza, wściekle łomotał w okna i szarpał zasłonami, wydymając je jak spódnice kobiety tańczącej walca. Wpatrywała się w beżowy abażur starej lampy nad głową. Małe pomponiki, którymi był ozdobiony, kołysały się lekko w przeciągu. To był pokój Mary, to było jej łóżko, po niej samej jednak nie został najmniejszy ślad ani na wilgotnej poduszce, ani w pustych szufladach i szafkach wciąż pootwieranych na oścież, tak jak zostawiła je pół roku temu. Myślała, że odnajdzie ją w ich domu w Auckland. Biegała z pokoju do pokoju, rozsuwała zasłony, wykrzykiwała jej imię, co jakiś czas zaglądała do jej pokoju, pewna, że zobaczy ją leżącą na kanapie ze słuchawkami walkmana na uszach, butelką coli i nadgryzionym jabłkiem obok na podłodze. Nikogo jednak nie znalazła, nikogo nie spotkała, nikogo nie zobaczyła, niczego nie usłyszała poza bzyczeniem uwięzionej muchy, niczego nie dostrzegła poza własną udreżoną twarzą spoglądającą na nią z okna w pustej łazience.

Wstała z łóżka, zeszywniała, z obolałymi nogami. Było wcześniej, jeszcze przed siódmą. Wyszła do holu. Drzwi do pozostałych pomieszczeń były zamknięte, na podeście panował półmrok. Do jej uszu docierało jedynie wycie wiatru chłoszczącego ściany budynku. Zeszła na parter, do pokoju matki. Tu także nic się nie zmieniło. Przed wyjazdem zdjęła tylko pościel, poza tym wszystko wyglądało jak dawniej. Usiadła na łóżku, sprężyny skrzypnęły, materac ugiął się nieco. Położyła się w płytkim zagłębieniu w jego środkowej części. Jej głowa leżała tam, gdzie głowa Catherine, jej ciało dopasowało się do odcisku ciała matki. W pokoju czuć było wilgoć i kurz. Zamknęła oczy, lecz chłód nie pozwolił jej na odpoczynek. Opuściła stopy na podłogę, podeszła do wysokiego okna, otworzyła wewnętrzne okiennice. Zielonożółte morze toczyło spienione fale, które z łoskotem roztrzaskiwały się na przybrzeżnych skałach. Nad Howth wisały ciemne chmury, horyzont skrył się za ruchomą zasłoną deszczu siekającego wzburzone morze.

Na miasto spadł deszcz przygnany huraganowym wschodnim wiatrem, który pędził małe gniewne fale w górę rzeki Liffey i wyszarpywał parasole z rąk. Deszcz tak obfity, że studzienki ściekowe nie mogły połknąć płynącej rynsztokami wody, która w związku z tym rozlewała się szeroko, tworząc kałuże i małe jeziorka.

Było dopiero wpół do dziesiątej rano, a McLoughlin już miał przemoczone buty. Przemoczone buty i paskudny humor. Marny początek dnia, pomyślał ponuro, stojąc w męskiej toalecie w Four Courts. Spojrzał w dół, obok białego emaliowanego pisuaru, na okolone ciemnymi obwódkami nogawki spodni. Kałuża nie wyglądała na tak głęboką, oszukała go, kiedy godzinę temu wysiadał z samochodu. To jednak nie tłumaczyło paskudnego humoru. Kolejna kłótnia z Janey. Zaczęło się jak zwykle, od rzuconej mimochodem uwagi, wyimaginowanej obrazy, która pociągnęła za sobą lawinę oskarżeń. Wyszła za nim aż na podjazd w rozwianym

szlafroku. Zanedbuje ją, nie kocha jej, na pewno ma romans, na pewno chce ją zostawić, wykrzykiwała tonem, który był równocześnie napastliwy i błagalny. Proszę bardzo, zrób to, nie krępuj się. Przekonaj się, jak smakuje życie w samotności. Żadna z twoich kochanek długo z tobą nie wytrzyma, jesteś obrzydliwy, każda prędzej czy później będzie miała cię dosyć. Ty draniu.

Niestety, mógł za to winić wyłącznie siebie. Tak się jakoś stało, że zapomniał o rocznicy ich ślubu. Aż się skrzywił, kiedy teraz o tym pomyślał. W grę nie wchodziła bynajmniej żadna kobieta, tylko kończące sezon żeglarski regaty w Galway. Wyjątkowo wietrzna sobota, piękny jesienny dzień, cztery do pięciu w skali Beauforta. Zaraz po wyścigu powinien wrócić do domu, wszystko się jednak przeciągnęło, a potem... A potem musiał zostać, żeby się napić z chłopakami. Kiedy wreszcie dotarł do domu, ona już spała. Sama opróżniła butelkę szampana. Nie miał nic na swoje usprawiedliwienie, zdawał sobie z tego sprawę, ale do jasnej cholery, czy naprawdę musiała się nad nim tak znęcać? Wciąż do tego wracała, aż wreszcie miał jej serdecznie dosyć.

Zapiął rozporek, umył ręce, stanął przed zamazanym lustrem i poprawił krawat. Dzisiaj rozpoczynał się proces Jimmy'ego Fitzsimonsa. Zrobiło się wokół niego gęsto od prawników. Za i przeciw, prokuratura, obrona i oskarżenie. Im akurat było wszystko jedno, po której są stronie. Ot, po prostu kolejna okazja do niezłego zarobku oraz do tego, by znowu zachowywać się jak mali chłopcy, walcząc, rywalizując, obrzucając się zawołowanymi wyzwiskami, zdobywając punkty, dążąc do zwycięstwa. McLoughlin nie bardzo rozumiał, gdzie w tym wszystkim jest jeszcze miejsce dla sprawiedliwości, lecz już dawno temu nauczył się tym zanadto nie przejmować.

Zerknął na zegarek. Pora ruszać. Czekala na niego pod kopułą w Okrągłym Holu, zupełnie sama pośrodku rozległej wolnej przestrzeni. Przystanął na schodach i przyglądał się jej przez chwilę, czując, jak w żołądku harcuje mu gromada motyli. Miała na sobie czarny kostium z długą marynarką i dość krótką spódniczką. Jasne rajstopy zdawały się świecić słabo w blasku sączącym się przez mleczone sklepienie kopuły. Włosy zebrała z tyłu głowy. Sprawiała wrażenie bledszej niż kiedyś, jakby starszej. Przechadzała się niecierpliwie: trzy kroki, obrót, trzy kroki, z powrotem. Ręce złączyła z przodu na wysokości talii, splotła palce, zaciskała je i rozluźniała. To dla niej charakterystyczne, pomyślał. Nawet jeśli potrafiła zachować pozory spokoju i opanowania, to niemal zawsze zdradzały ją ręce, nerwowo szukające kontaktu ze sobą, badające i wyczekujące.

Tak jak wtedy, kiedy trzymały filiżankę z kawą tego dnia, gdy przyjechał, żeby powiedzieć jej o przedstawieniu Fitzsimonsowi zarzutów. Wydawało mu się, że to dobra wiadomość, ale nie wiedział, że poprzedniego dnia umarła jej matka. Kiedy Margaret otworzyła drzwi, wyglądała jak zombie. Poruszała się niepewnie, niczym marionetka z częściowo pozrywanymi sznurkami. Zaprowadziła go do kuchni, zaparzyła kawę. Sądził, że będzie zadowolona, że potraktuje to jako

akt sprawiedliwości, może nawet zemsty, ona jednak stała oparta o zlewozmywak z kubkiem w ręce, i nagle po prostu otworzyła dłoń i kubek spadł na terakotową podłogę, rozpryskując się na niezliczone kawałki.

– Jaka kara mu grozi, jeśli zostanie uznany za winnego? – zapytała, nie zwracając uwagi na gorącą ciemnobrązową kałużę u swoich stóp.

– Za zabójstwo z premedytacją musi dostać dożywocie.

– A w praktyce, ile to oznacza? Dziesięć, prawda? I po kolejnych siedmiu może wyjść za dobre sprawowanie. To niewiele, w porównaniu z moim dożywociem.

– Jaką widzi pani alternatywę? – zapytał. – Karę śmierci? Naprawdę by pani tego chciała?

Skierowała na niego spojrzenie czerwonych, opuchniętych oczu.

– Tak. Nawet nie będę próbowała udawać, że współczuję mu albo że staram się go zrozumieć.

Minęło sześć miesięcy. Wtedy, kiedy klęczał u jej stóp, zbierając ścierką do naczyń kawę z podłogi, był schyłek lata. Teraz kończyła się wiosna, przedwieczorne słońce rozświetlało ogród jakby na przekór zimnemu wiatrowi. Szedł wyłożoną kamieniami ścieżką w kierunku wyblakłych drzwi. Uprzedził ją wcześniej telefonicznie, że zamierza wpaść, by porozmawiać o rozprawie. Potraktowała go bardzo przyjaźnie, powiedziała nawet, że z przyjemnością się z nim spotka. Przywiozła mu coś z Nowej Zelandii. W związku z tym zatrzymał się po drodze przy kwaciarni i kupił jej białe lilie. Kiedy je wręczał, ich ciemnopomarańczowe słupki kołysały się w zgodnym rytmie.

Idąc za nią przez hol w kierunku kuchni, wpatrywał się w jej kark, wyrastający niczym smukła łodyga ze sweterka z miękkiej kaszmirskiej wełny. Na kuchennym stole stało pudełko: wskazała na niezapraszającym gestem, następnie zaczęła szperać w szafkach – szukając, jak przypuszczał, wazonu dla lilii, które tymczasem włożyła do zlewozmywaka.

– Proszę otworzyć – powiedziała.

Odchylił twarde kartonowe skrzydełka, w pośpiechu niemal rozerwał pudełko. Wewnątrz znajdował się model dziewiętnastowiecznego klipra.

– Piękny! To chyba „Termopile”, jeśli się nie mylę, jeden z najszybszych kliprów, jakie kiedykolwiek zbudowano. Jego rekord to trzysta osiemdziesiąt mil morskich w ciągu doby, zupełnie niesłychane osiągnięcie jak na tamte czasy.

Podniósł model do światła, oglądał ze wszystkich stron, zachwycając się głośno precyzją odwzorowania najmniejszych nawet szczegółów. Zupełnie nie wiadomo, kiedy zaczął jej opowiadać o swoim marzeniu, o tym, żeby opłynąć świat, opłynąć Przylądek Horn i pokonać Ryczące Czterdziestki, ona zaś krzątała się po kuchni, wystawiła na stół butelkę whisky, szklanki, wiaderko z lodem i dzbanek wody. Nalał jej i sobie, po czym usiadł, w jednej ręce wciąż trzymając model, w drugiej szklankę.

– Proszę mi powiedzieć coś o procesie. Jak długo potrwa? Ilu będzie świadków? Kto nas reprezentuje, a kto jest obrońcą?

Przeniósł wzrok z białych żagli stateczku na jej poszarzałą, zmęczoną twarz. Wyjaśnił, kto jest kim, kto co robi i dlaczego. Słuchała, stojąc nieruchomo z dużym błękitnym wazonem w rękach, do którego wstawiła lilie. W powietrzu coraz wyraźniej czuć było ich zapach. I znowu, zupełnie nagle i bez ostrzeżenia, otworzyła dłonie i po posadzce rozsypały się potrzaskane fragmenty wazonu oraz kwiaty, a echo donośnego trzasku rozbiegło się po pustym domu niczym huk wystrzału. Natychmiast ukłękła, zaczęła zbierać skorupy, szybko i nieostrożnie, skaleczyła się w palec, na podłogę kapąła krew. Próbował jakoś pomóc, podsunął jej chusteczkę, ale go odepchnęła.

Przyglądał się jej, kiedy wreszcie wstała z klęczek, jak zwykle sama, jak zwykle samodzielna. Chyba był ktoś, kto mógłby z nią pojechać do sądu? Sąsiadka, może przyjaciółka, ktoś taki jak na przykład ta miła Anne Brady. Ktokolwiek. Zjawiła się jednak sama.

Przy głównym wejściu zgromadziła się grupka dziennikarzy. Jeden z nich, młody szczupły mężczyzna w okularach, skierował się w jej stronę. McLoughlin ruszył szybko naprzód, dotarł do niej sekundę przed nim, wziął ją pod rękę, odsunął na bok, zasłonił sobą. Popatrzył poważnie na młodego mężczyznę, bez słowa pokręcił głową, następnie zaprowadził ją na ławkę tuż przy wejściu do sali nr 2. Usiedli razem.

– Przepraszam – wymamrotał.

– Za co? – zdziwiła się.

– Za tego gościa. Lepiej trzymać się od niego z daleka. Umówił się z nią, żeby dopilnować, by znalazło się dla niej miejsce w sali. Wyjaśnił jej, że z punktu widzenia sądu obecność matki ofiary nie jest wcale niezbędna ani nawet przydatna. Miała takie same prawa jak wszyscy postronni obserwatorzy. Jeśli chciała dostać się do sali rozpraw, powinna przychodzić wcześniej rano, zwłaszcza pod koniec procesu, kiedy zwiększy się zainteresowanie mediów. Czuł się w obowiązku uprzedzić ją, że wszelkie ataki hysterii, głośny płacz czy inne emocjonalne wybuchy są bardzo źle widziane i mogą nawet spowodować usunięcie z sali. Zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

– Za kogo mnie pan uważa? – spytała.

Wzruszył ramionami i wstał z ławki. Nie miała pojęcia, co czeka ją za tymi drzwiami. Nie wiedziała, że często sądzi się tam nie tylko oskarżonego. Ale już wkrótce się dowie.

Rozdział 33

Nie mógł się przyzwyczaić do tego, że ciągle był obserwowany. Zaczęło się to już pierwszego dnia. Kiedy w jego domu zjawili się ci dwaj policjanci. Dopiero co wrócił z kościoła w Monkstown. Doskonale się tam bawił. Miał co wspominać przez kolejne dni i miesiące. Nie spodziewał się jednak, że policjanci tak prędko pojawią się przed jego drzwiami. Próbował ich zbyć byle czym, ale oni od razu zaczęli go obserwować, a jemu wcale się to nie podobało. Spodobało mu się jeszcze mniej, kiedy zabrali go na przesłuchanie i wsadzili do pokoju bez okien. Mógł się tylko gapić na podłogę w beżowe i brązowe kwadraciki, na czerwoną gaśnicę w kącie, na dwie jarzeniówki pod sufitem. Gdyby chciał rozmawiać, mógłby rozmawiać wyłącznie z nimi, doskakującymi do niego ze wszystkich stron, czepiającymi się szczegółów, ciągnącymi go za język. I obserwującymi bez chwili przerwy. Najpierw przez małą szybkę w drzwiach, później przez judasza w celi. Chyba każdy chciał popatrzeć. Kroki zbliżały się korytarzem, cichły przed drzwiami, słychać było szmer odsuwanej klapki, potem nic, potem znowu szmer i oddalające się kroki, czasem przy akompaniamencie rozmowy lub śmiechu. I znowu cisza. Udało mu się zachować spokój, kiedy przedstawiali mu zarzuty, nie mógł jednak wytrzymać powtarzanych co kwadrans oględzin. Wiedział, że robią to na wypadek, gdyby usiłował popełnić samobójstwo. I słusznie. Gdyby mógł, na pewno by spróbował. Nie dlatego, że chciał umrzeć, ale dlatego, żeby napędzić im stracha.

Tutaj, w Mountjoy, też go obserwowali. Szpiegowali. Podśluchiwali rozmowy. Przeszukiwali celę. Utrudniali kontakty ze współwięźniami. Twierdzili, że to w trosce o jego bezpieczeństwo, ale im nie wierzył. Przez cały czas czuł się jak w potrzasku, jak ćma w blasku płomienia świecy albo jak trup w rozbłyskach fleszów. Do tej pory nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Do tej pory to on był zawsze obserwatorem, ukrytym w mroku, który wszystko widzi, nie będąc widzianym. Jak czarny kot, którego można zauważyć dopiero wtedy, gdy jego żółte ślepia zapłoną w świetle reflektorów przejeżdżającego samochodu – a i to tylko na chwilę, zanim wszystko znowu ogarnie ciemność.

Tutaj jednak ciemność nie istniała, wyłącznie różne odcienie przygaszonej szarości i zieleni. Światła nie gasły nawet w nocy i choć nakrywał głowę poduszką, nie mógł od nich uciec.

Nigdy się nie zastanawiał, jak to będzie, jeśli zostanie schwytany. Przynajmniej nie na poważnie. Rzecz jasna, nie był głupi. Przedsięwziął liczne środki ostrożności. Na przykład prezerwatywy, których używał zawsze, kiedy był z Mary, zawsze, kiedy istniał choćby cień niebezpieczeństwa, że jego nasienie może pozostać w jej ciele. Chyba że brała go w usta. Wtedy nie były potrzebne. Bardzo się poświęcał, używając prezerwatyw. Powiedział jej o tym. Wrażenia były zupełnie inne, na szczęście jednak doznawał ich tyle, że nie powinien narzekać. Mógł sobie pozwolić na utratę jednego lub dwóch z nich.

Jedyny błąd, jaki popełnił, polegał na tym, że dopuścił do tego, by jej ciało odnaleziono tak szybko. Stanowiło to dla niego duże zaskoczenie. Przewiózł je taczką z samochodu nad brzeg kanału. Żaden problem, naprawdę. Potem w ten sam sposób betonowe bloczki. Przy świetle księżycy powinien był dobrze widzieć, gdzie ją wrzuca, ale jednak popełnił błąd. No i do tego jeszcze ten pieprzony staruch z psem. Naprawdę się zdziwił, kiedy włączył radio i usłyszał wiadomości. Sądził, że zaginięcie dziewczyny pozostanie jeszcze jedną niewyjaśnioną zagadką, jeszcze jedną nierozwiązaną tajemnicą. Jedną z wielu w ostatnich latach. Kolejna dziewczyna, która wyszła z domu i już do niego nie wróciła. Był na siebie wściekły za niechlujstwo.

Gdyby zachował większą ostrożność, zdążyłby przeprowadzić próby na innych. Wybrał już nawet kilka kandydatek. Jedną z nich była dziewczyna pracująca w hotelach, które często odwiedzał. Śliczna. Szczuplutka, napalona. Napisała nawet do niego, kiedy był już w więzieniu. Paskudny charakter pisma, okropne błędy ortograficzne, blad różowa papeteria. Chciała go odwiedzić, ale się nie zgodził. To zbyt okropne miejsce dla takiej uroczej dziewczyny. Jedyną osobą, której pozwolił przychodzić, była matka. Dobrze jej tak. Niech sama zobaczy, do czego doprowadziła, jakie rezultaty dała jej czułość i opiekuńczość.

Ale tak naprawdę to najbardziej w świecie pragnął Margaret. Od razu, od tego dnia, kiedy Mary wyjęła z torebki plastikowy albumik i pokazała mu fotografie matki: niemowlę w fikuśnej białej sukience i sznurowanych bucikach; mała dziewczynka trzymająca ojca za rękę; nastolatka w krótkiej spódniczce z grzywką opadającą na oczy i papierosem w ustach; z Mary na rękach, zmęczona i blada; i jego ulubiona, na plaży. W milczeniu przerzucał strony.

– Ładna, prawda?

Mary ułożyła się w poprzek na tylnym siedzeniu samochodu, ręce podłożyła pod głowę, stopy wystawiła przez otwarte okno.

Nie odpowiedział. Miał sucho w ustach.

– Ale nie tak jak ja.

Chciała mu odebrać albumik, ale zacisnął kurczowo palce, odepchnął jej rękę. Miał własną kolekcję zdjęć. Teraz, oczywiście, nie mógł się do nich dostać, przechowywał je jednak we wspomnieniach, oprócz tego były fotografie powydzierane z gazet w więzieniu. Jakies dwa tygodnie temu w „Sunday Independent” ukazał się obszerny artykuł o tragicznych zgonach kobiet. Wśród ilustrujących go zdjęć znalazło się także jedno, na którego widok serce zabiło mu żywiej. Podpis głosił: „Mary Mitchell, zamordowana w sierpniu ubiegłego roku, ze swoją matką, doktor Margaret Mitchell”. Nigdy wcześniej go nie widział. Zrobiono je chyba w Nowej Zelandii, obie bowiem były w kostiumach kąpielowych. Uśmiechały się do siebie. Uderzyło go ich podobieństwo. Wcale nie chodziło o rysy twarzy, tylko o ich wyraz. O to trudne do zdefiniowania połączenie ruchów wielu mięśni, które w rezultacie dawały taki, a nie inny efekt. Dopiero teraz je zauważył.

Spotkanie w kościele z pewnością nie było ostatnim. Żałował teraz, że nie wykorzystał okazji. Gdyby wiedział, co się zdarzy, gdyby wiedział, że policja już na niego czeka, że nie dadzą mu czasu na zaplanowanie czegokolwiek. Uderzyłyby ją, raz, ale mocno, albo przyłożyłyby jej nóż do gardła, zamiast rozcinać bluzkę. Wtedy wydawało mu się to nieco zbyt melodramatyczne, odniosło jednak zamierzony skutek. Zatrzymane w pamięci obrazy niemal wystarczyły mu na miesiące odosobnienia. Była taka pewna siebie. Jak tylko jednak ostrze przecięło materiał, kolory odpłynęły z jej twarzy, jakby była zakrwawioną chusteczką, którą obficie polano wybielaczem. Cudowne.

Żeby jednak dać się złapać przez tę pieprzoną Angielkę... Nie ulegało żadnej wątpliwości, że właśnie przez nią nie zwolniono go za kaucją. Co prawda powiedzieli mu, że odmówiła wniesienia oskarżenia, nie chciała z nimi współpracować. Wstrząs okazał się dla niej zbyt silny. Wyobraził ją sobie w makijażu zrozpaczonego arlekina. Głupia krowa. Gdyby się czegoś takiego spodziewał, może posunąłby się trochę dalej. Tylko odrobinę. Albo znacznie dalej, do samego końca. Wtedy ona byłaby pierwsza, Mary druga, jej matka zaś trzecia. Gdyby. Gdyby.

Rzeczywistość przedstawiała się jednak w ten sposób, że wylądował tutaj. Cholerne Mountjoy. A dziś miał się zacząć proces. Co za radość! Wkrótce po niego przyjdą. Znajdzie się na zewnątrz. Wreszcie odetchnie świeżym powietrzem. Wprost nie mógł się doczekać.

Wstał i obejrzał się najlepiej jak mógł w maleńkim wiszącym na ścianie lusterku. Matka przyniosła mu garnitur. Bardzo ładny. Grafitowo-szary, trzyczęściowy. Do tego jedna z jego ulubionych koszul, blade-cytrynowa. Często ją nosił, kołnierzyk więc był już miękki i dobrze układał się wokół szyi. I szaro-cytrynowy jedwabny krawat w delikatny, skomplikowany wzorek ze spirali i kółeczek. Prezent od Mary. Sama go wybrała, choć często powtarzała, że nic nie wie o męskiej garderobie, ponieważ nie miała ojca. Wyobrażał sobie ją w dziale odzieży męskiej u Browna Thomasa, flirtującą ze sprzedawcami. Zgrabne nogi i czarne kędziory. Niewiniątko.

Przeszedł się kilka razy po celi. Trzy metry od maleńkiego okienka wysoko w ścianie do metalowych drzwi. Siedem maleńkich kroczków albo trzy duże. Albo ile chciał, zależnie od ich długości, a raczej krótkości. Wszystko dobre, byle się tylko jakoś rozerwać. Co prawda w celi znajdowały się dwie prycze, ale przez większość czasu był sam. Z jakiegoś powodu inni więźniowie nie lubili takich jak on, oskarżonych o popełnienie przestępstw na tle seksualnym. Nie widział w tym żadnej logiki. Zwykła hipokryzja. Ilu z nich nie posłużyło się przemocą, żeby dopiąć celu? Ilu z nich nigdy nie posunęło się za daleko, kiedy nie mogli dostać tego, na czym im zależało? Czy nie na tym właśnie polega człowieczeństwo, żeby sprzeciwić się naturze? Nie uznawać ograniczeń? Posługiwać się wyobraźnią w celu kształtowania rzeczywistości?

Powinni się zjawić lada chwila. Przypuszczalnie założą mu kajdanki, a potem przejdzie wzdłuż innych cel, ignorując obraźliwe okrzyki i wyzwiska. Na zewnątrz, w rześki wiosenny poranek. Wilgotny i świeży. Z nabrzmiewającymi pąkami na gałęziach drzew i krzewów.

Policyjna furgonetka przejedzie przez bramę, skęci w prawo w North Circular Road, następnie w lewo w Phibsborough Road, wzdłuż domów z czerwonej cęgly, na Constitution Hill, North King Street aż do Church Street tuż przy rzece, następnie w lewo w Chancery na zaplecze gmachu sądu. Z pewnością będzie na nich czekał tłum reporterów, kamerzyści skierują na niego obiektywy, fotoreporterzy będą robić zdjęcia. Nie ma nic przeciwko temu. Nie wstydzi się. Na pewno nie będzie zasłaniał twarzy, nie zarzuci sobie niczego na głowę. Zawsze uważał to za głupotę. I za upokarzające. Nie, będzie stał prosto, pokaże im, jaki jest. A najlepsze w tym wszystkim było to, że kiedy wejdzie do budynku, zobaczy ją. Na pewno. Z bliska. Może nawet z odległości dwóch, trzech metrów. Będzie oddychała tym samym powietrzem co on. Może policjanci potraktują go łagodnie. Zdejmą kajdanki, kupią gazetę. Usiądzie sobie na ławce jakby nigdy nic i będzie patrzył na nią do woli. Ile zechce.

Rozdział 34

Złocista milcząca harfa wisiała wysoko na kremowej ścianie. Nad dębowym, ustawionym na podeście fotelem sędziego. Nad ławkami dla publiczności i składu sędziowskiego. Nad wypolerowaną ławką dla oskarżonego. Nad głowami ludzi plotkujących ze sobą, dyskutujących, wymieniających najświeższe wiadomości, rozglądających się dokoła.

Margaret stała przy drzwiach, McLoughlin przy niej. Pozostali policjanci, którzy uczestniczyli w śledztwie, utworzyli wokół niej ochronny kordon. Niektórych znała – na przykład przystojnego Finneya z lśniącymi czarnymi włosami i dołkami w policzkach, Briana Conroya w wymiętych džinsach i skórzanej kurtce, kościstego, piegowatego Berta Lyncha. Twarze pozostałych należały do niewyraźnego tła utworzonego z obrazów i głosów; gdyby spotkała tych ludzi w jakimś innym miejscu, z pewnością by ich nie rozpoznała.

McLoughlin przedstawił ją zespołowi oskarżycieli. Główny oskarżyciel co prawda uściśnił jej rękę, ledwo jednak raczył na nią spojrzeć. Biała peruka i czarna szata dodawały mu godności, której z pewnością mu brakowało, kiedy z powrotem upodabniał się do zwyczajnych, zwyczajnie ubranych mężczyzn w średnim wieku. Zupełnie jak chirurg, w poplamionym zielonym stroju otoczony aurą profesjonalizmu i władzy, jakiej nie daje nawet najkosztowniejszy garnitur. Niektóre koleżanki ze studiów zakochiwały się w mężczyznach, którzy mogli być ich ojcami, zauroczone oczami spoglądającymi znad chirurgicznych masek, zafascynowane sprawnymi i pewnymi rękami w gumowych rękawiczkach. Ona nigdy nie uległa. Któregoś dnia weszła do małego pomieszczenia przylegającego do głównej sali operacyjnej i zobaczyła chirurga stojącego w lekkim rozkroku, z zadartym fartuchem i dziewczynę, z twarzą przyciśniętą do jego krocza. Tak oto jeden z czołowych chirurgów w kraju odbierał nagrodę po kolejnej trudnej operacji wszczepienia bypassów.

McLoughlin zaczął jej wyjaśniać, kto gdzie siedzi w sali sądowej i dlaczego, ona jednak machnęła niecierpliwie ręką. Rozglądała się podejrzliwie. Kiedyś już tu była, bardzo dawno temu. Prawie jakby w innym wcieleniu. Sala okazała się mniejsza niż w jej wspomnieniach. Panował w niej przedziwny nastrój beztroski połączonej z ukrytym głęboko napięciem, przypominającym soczewki zimnej wody w ciepłym jeziorze, czyhające na niczego niepodjęzawającego pływaka.

– Gdzie teraz jest? – zapytała.

– On?

– On.

– Prawdopodobnie w celi w podziemiach. Niedługo go przyprowadzą. Jak się pani czuje?

Nie odpowiedziała, postąpiła za to krok naprzód.

– Chcę usiąść.

Zajęła miejsce w pierwszym rzędzie drugiego kwadratu ławek. Większość miejsc była już zajęta. McLoughlin przeniósł spojrzenie z pustego fotela przewodniczącego składu sędziowskiego na siedzące nieco niżej stenografistki, potem zaś na pomocniczych prokuratorów i obrońców. Przed nimi na dużym błyszczącym stole piętrzyły się stosy akt, z tyłu wolne miejsca czekały na prokuratora i głównego obrońcę.

Szmer rozmów unosił się aż pod duży kwadratowy świetlik w suficie. Jeszcze najwyżej kilka chwil. Ręce Margaret były wilgotne od potu, w ustach zupełnie jej zaschło. Dziwne i sprzeczne bywają niekiedy ścieżki ciała, przemknęło jej przez głowę. Pocenie stanowi rezultat wzmożonej aktywności włóścinek położonych bezpośrednio pod skórą, spowodowanej przyspieszonym biciem serca, które z kolei wywołuje zwiększona zawartość adrenaliny w krwi. Suchość w ustach ma bezpośredni związek ze zwiększonym wydzielaniem hormonów wyłączających czasowo rutynowe funkcje organizmu takie jak wzrost, reprodukcję i trawienie. Nic dziwnego, że wciąż czuła w żołądku śniadanie, chociaż zjadła je już dość dawno, i to mikroskopijnych rozmiarów.

Jakieś poruszenie po prawej stronie. Nagła zmiana poziomu hałasu w sali. Włoski zjeżyły jej się na ramionach. Jak zimno. Ciało aż skuliło się w skorupie z ubrania. Bardzo powoli odwróciła głowę. Właśnie wszedł, prowadzony przez dwóch strażników. Był tak blisko. Patrzył prosto na nią. Uśmiechał się. Sięgnęła po torebkę, którą postawiła na podłodze między stopami. Położyła ją sobie na kolanach, otworzyła. Wyjęła kawałek granatowego materiału spleciony w krótką linkę. Odstawiła torebkę z powrotem na podłogę. Owinęła końce linki wokół dłoni, napięła ją, jakby sprawdzając wytrzymałość, odwinęła, przesunęła po niej palcami. Przeniosła wzrok na niego. Właśnie doprowadzono go na miejsce. Strażnik zdjął mu kajdanki. Usiadł, zwrócony do niej bokiem. Dzieliły ich trzy, może cztery metry. Był spokojny, rozluźniony – co prawda blady, lecz jasne włosy lśniły w rozproszonym blasku słońca wpadającym przez mleczone szyby świetlika.

W głębi sali pojawiła się jakaś niewysoka postać. Niska korpulentna dziewczyna szła szybkim krokiem, prawie biegła, przedarła się przez grupkę policjantów stojącą w przejściu między rzędami siedzeń. Miała na sobie czerwoną atlasową sukienkę z falbankami i długie białe skarpetki na grubych łydkach. Na stopach czarne skórzane pantofle. W pulchnej ręce ścisnęła bukiet z przywiedłych białych stokrotek i wymiętych żółtych mleczy. Z jej ust wydobywał się wysoki jękliwy odgłos, coś pomiędzy miauczeniem i zawodzeniem. Rzuciła się na drewnianą barierkę, chwyciła go za szyję, zasypała głośnymi pocałunkami. Początkowo bronił się, odpychał, w końcu wstał, pocałował czubki palców i przyłożył je delikatnie najpierw do jednego, potem do drugiego policzka dziewczyny. Podbiegła kobieta w średnim wieku o nieruchomej twarzy, złapała ją za rękę, odciągnęła. Margaret przez mgnienie oka widziała wyraźnie pucołowate policzki, ciężkie powieki, otwarte usta. Dziewczyna płakała bezgłośnie, jej rozpacz sprawiła, że w sali zapadła cisza. Kobieta pociągnęła ją jeszcze mocniej, przeszły, niemal ocierając się o Margaret. Gdyby zechciała, gdyby wyciągnęła rękę, dotknęłyby ich obu.

Jimmy ponownie spojrzął na Margaret. Przez sekundę lub dwie na jego twarzy malowało się przerażenie: przygryzł nerwowo policzek, podbródek drżał w niekontrolowany sposób. Szybko jednak się opanował, usiadł wyprostowany, zmarszczki na czole się wygładziły, twarz przybrała zwykły wyraz.

McLoughlin obserwował zdarzenie ze stanowiska przy drzwiach. Wyraźnie widział gładko przyczesane błyszczące włosy Margaret i jej szczupłe ramiona. Widział, jak napinają się i rozluźniają mięśnie karku. Obserwował, jak schyla się po torebkę, jak ją otwiera. Czekał w napięciu, co wydarzy się potem, chociaż wiedział, że nie będzie to nic spektakularnego. Żadnych gwałtownych wybuchów emocji, żadnego manifestowania uczuć, żadnych spazmów ani wyzwisk. To nie w jej stylu. Widział, jak patrzy na nią Fitzsimons. Z miejsca, które zajmował, nie był w stanie dostrzec jej twarzy. Zastanawiał się, jak teraz wygląda, jakim wzrokiem patrzy na tamtego, oddalonego od niej zaledwie o kilka metrów.

Gwar znowu przycichł, kiedy do sali wkroczył sędzia poprzedzany przez woźnego. Zdaniem McLoughlina zwyczaj, żeby przed sędzią kroczyła odziana w ciemne szaty postać z wysoką laską w ręce, mamrocząca „Wszyscy wstać! Wszyscy wstać!”, był nie tylko anachroniczny, ale wręcz śmieszny, niemniej jednak odruchowo złączył stopy, wyprostował plecy i niewiele brakowało, a zaszalowałby sprężystością, tak jak uczono go tego w Templemore. Nie potrafiłby zliczyć, ile rozpraw obserwował, ilu zaś był aktywnym uczestnikiem, lecz każda poruszała go w jakiś dziwny, trudny do zdefiniowania sposób. O to przecież właśnie chodziło: o wymierzenie sprawiedliwości. Nawet jeżeli był najbardziej cynicznym człowiekiem na świecie – a chwilami wydawało mu się, że tak jest w istocie – to jednak musiał przyznać, że wiary w prawo potrzebował każdy, że bez niej nie mogły funkcjonować ani społeczeństwa, ani jednostki. Bez sędziów, woźnych, bez peruk i staroświeckich strojów, bez irytującej, powolnej biurokracji ludziom pozostałyby tylko samosądy, lincze i zakrwawione kije baseballowe.

Sędzia zajął miejsce, pochylił się, powiedział coś przyciszonym głosem do urzędniczek, następnie odchrząknął i poleciłby na salę weszli ławnicy.

Tu właśnie kryje się największa tajemnica, pomyślał McLoughlin. Dwanaścioro ludzi bez żadnego prawniczego przygotowania, o niewiadomym wykształceniu i inteligencji. Dać im prawo rozstrzygnięcia o winie i karze i patrzeć, co z tego wyniknie. Z doświadczenia wiedział jednak, że im również udzielała się niezwykłość i powaga tego miejsca, że odpowiedzialność spoczywająca na ich barkach dodawała im godności, że jako całość stawali się czymś więcej niż tylko sumą pojedynczych składników. Przyglądał im się uważnie, kiedy zajmowali miejsca. Ośmiu mężczyzn i cztery kobiety, w większości młodzi, od dwudziestu do trzydziestu lat. Obrońca uczynił co w jego mocy. Miał niewielką możliwość wpływania na skład ławy sędziowskiej, niemniej nie ulegało wątpliwości, iż wykorzystał ją do maksimum. Taki skład, przynajmniej teoretycznie, przemawiał na korzyść oskarżonego, nikt jednak nie był w stanie

powiedzieć, jak będzie w praktyce.

Sekretarz sądu odczytywał najpierw numery, potem nazwiska. McLoughlin spojrział na Jimmy'ego. Wciąż stał, słuchając z wyrazem oczekiwania i zainteresowania na twarzy. Sekretarz przeszedł do odczytywania zarzutów.

– James Fitzsimons, jest pan oskarżony o to, że po pierwsze: trzynastego sierpnia 1995 roku, w rejonie Wielkiego Dublina, w nieznanym miejscu, zamordował pan Mary Mitchell, popełniając tym samym czyn opisany w rozdziale czwartym Kodeksu Karnego z 1994 roku. Czy przyznaje się pan do winy?

– Nie – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Po drugie: że piątego sierpnia 1995 roku w Dublinie, przy Canal Place 2, uwięził pan Mary Mitchell, popełniając tym samym czyn opisany w rozdziale drugim ustęp pierwszy Kodeksu Karnego. Czy przyznaje się pan do winy?

– Nie.

– Po trzecie: że między piątym a trzynastym sierpnia tegoż roku dopuścił się pan wielokrotnego gwałtu na Mary Mitchell, popełniając tym samym czyn opisany w rozdziale drugim Kodeksu Karnego z 1981 roku. Czy przyznaje się pan do winy?

– Nie.

Sędzia pochylił się do przodu. W lekko poźółkłej peruce, z tłustymi obwisłymi policzkami przypominał nieco buldoga.

– Kto będzie występował w imieniu oskarżonego?

W sali zapadła cisza. Dopiero po kilkunastu sekundach, przy wtórce narastającego szmeru podekscytowanych głosów, niewielka postać w czarnej szacie i w peruce wspięła się na przeznaczone dla niej miejsce. Adwokat zaczekał, aż szum ucichnie, po czym skłonił głowę i przemówił donośnym, silnym głosem:

– Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, ja będę występował w imieniu oskarżonego. Przepraszam za spóźnienie, ale, niestety, było ono nie do uniknięcia.

McLoughlin uśmiechnął się mimowolnie. Te teatralne chwytły, te zagrania pod publiczność, podchody i wybiegi... Nagle Margaret poderwała się z miejsca, przepchnęła się do przejścia między rzędami i skierowała się w stronę drzwi. Twarz miała wykrzywioną grymasem gniewu. Próbował ją zatrzymać, ona jednak odepchnęła go i wybiegła z sali. Ruszył za nią, ale przebiegła pusty hol – zupełnie jak w szkole podczas lekcji, zaświtała mu ulotna myśl – i opuściła budynek przez dwuskrzydłowe szklane drzwi. Przyspieszył kroku, wybiegł na zewnątrz, przemknął na drugą stronę ulicy, spojrział w kierunku O'Connell Street, a zaraz potem w przeciwnym, w stronę Heuston Station. Rzucił się niemal na oślep między sunącymi jezdnią samochodami, dopadł Chancery Place, skręcił w lewo w Chancery Street, minął Bridewell, skręcił ponownie w lewo, w Church Street. Zaczął siąpić drobny deszczyk, woda spływała mu po czole do oczu. Niech ją

szlag trafi, pomyślał, podnosząc kołnierz marynarki. Znowu miał przemoczone buty. Zatrzymał się przy ogrodzonym metalowym płotem boisku należącym do osiedla Church Street Corporation. Na żalonym asfaltowym placu nie było żywego ducha. Linki rozpięte między słupkami ugięły się pod ciężarem mokrej bielizny. Obok spiętych grubym łańcuchem huśtawek stał wypalony wrak samochodu. Minęły go dwie kobiety pchające staromodny wózek. Zmierzyły go podejrzliwymi spojrzeniami, kiedy zaś odwrócił się w ich stronę, jedna z nich wrzasnęła:

– Na co się gapisz, palancie?

– Na pewno nie na ciebie, stara krowo – wymamrotał pod nosem, po czym szybkim krokiem ruszył z powrotem w kierunku Quays. Może jednak wróciła na salę rozpraw? Może tylko wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza? Przypuszczalnie zbyt gwałtownie zareagował. Jak zwykle, kiedy o nią chodziło. Woda spływała mu po karku, przesiąkała przez marynarkę na ramionach. Było mu zimno, smutno i głupio.

Rozdział 35

Muszę zacząć od początku. Koniecznie. Gdzie jest jednak początek? W dniu, w którym przyszedłam na świat, czy w dniu, kiedy on się urodził? A może wtedy, kiedy ojciec zatrzymał się przed domem przy Merrion Square, wziął mnie za rękę i przesunął moimi palcami po literach wyrytych na lśniącej mosiężnej tabliczce? To będziesz ty, kiedy dorośniesz, powiedział, ja uśmiechnęłam się do mego miodowo-złotego odbicia na tle z burych cegieł. A może wtedy, kiedy na zajęciach z fizyki usiadłam obok chłopaka nazwiskiem Joe Macken, bo tak wypadło z podziału alfabetycznego, i pożyczyłam mu pióro, ponieważ jego wylało mu w kieszeni. Trzy lata później zaprosił mnie na swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Czy to właśnie sprawiło mechanizm w ruch? Czy właśnie wtedy zaczęły się obracać tryby, tworząc wciąż nowe konfiguracje przypadkowych zdarzeń? A może początkiem było po prostu moje pragnienie, moja gotowość, moja chęć bycia kochaną?

Margaret spoglądała na swoje odbicie w dużym ściennym lustrze. Zimny blask jarzeniówek spływał z sufitu na jej twarz, złobiąc w niej głębokie bruzdy. Za plecami miała pootwierane drzwi dziesięciu toalet. Wybiegła w deszcz z budynku sądu, zatrzymała taksówkę, kazała kierowcy jechać na lotnisko. Właśnie tam, bo chciała być przez chwilę sama w miejscu, z którym nie wiązały się żadne wspomnienia, które nie emanowało pożądaniem ani rozpaczą.

Miała przemoczone pantofle i zachlapane błotem łydki, mokre włosy oblepiały czaszkę. Zdjęła z nich spinkę, potrząsnęła głową, żeby szybciej wyschły. Czuła, jak skóra coraz mocniej napina się na jej kościach policzkowych. Odkręciła kurek, wsunęła ręce w ciepły strumień. Czubki palców były zupełnie białe. Zbliżyła ręce do oczu. Blade pomarszczone opuszki przypominały coś, co niekiedy można zobaczyć, odwróciwszy duży kamień – niewielkie, podobne do ślimaka stworzonko o niemal całkowicie przezroczystym ciele. Kiedyś już stała tak jak teraz, zziębnięta i drżąca, z wodą ściekającą z włosów na plecy, okryta narzuconym na ramiona ręcznikiem. Ojciec wciąż brodził w morzu, machał do niej ręką, wołał. „Wracaj, Maggie! Jest cudownie!”. Ona jednak wciąż stała i trzęsła się, z posiniałymi palcami i stopami, żółtymi paznokciami. Drobnie sutki ocierały się boleśnie o mokry kostium, zęby szczękały głośno.

Przełknęła gorącą whisky jednym haustem, poprosiła o następną. W lotniskowym barze było pusto. Usiadła przy dużym oknie, z którego roztaczał się widok na płytę i pasy startowe. Dlaczego mówi się „pas startowy”, skoro służy również do lądowania? Musiała zająć czymś myśli, musiała oderwać uwagę od tego, co wydarzyło się rano, od tego, co się stało w sali sądowej. Jestem idiotką, powtarzała w myślach. Jak mogłam się nie domyślić, że on, biorąc pod uwagę jego zawód, jego życie, będzie w taki czy inny sposób związany ze sprawą Mary?

On? Dlaczego wciąż myśli o nim w ten sposób? Powinna wreszcie zacząć nazywać go tak

jak należało: ojciec Mary. Prawdziwy ojciec, nie ten fikcyjny, wymyślony. Nie „David Anthony Mitchell, biolog morski, urodzony w Londynie, osierocony w wieku siedmiu lat, wychowywany w sierocińcu”. Tak mocno osadziła go w pamięci, że zaczęła wierzyć na równi z Mary, na równi ze wszystkimi, że kiedyś naprawdę istniał. A przecież sama go stworzyła. Doskonale pamiętała, jak to było. Będąc w ósmym miesiącu, usiadła pewnego dnia przy stole z kartką w ręce i zaczęła go starannie planować. Jak architekt projektujący budowlę. Imiona, data i miejsce urodzenia. Wzrost, waga, kolor włosów i oczu. Wykształcenie i zawód. Gdzie i kiedy się poznali. Dopracowywała szczegóły i wbijała je w pamięć tak długo, aż wreszcie mogła je recytować automatycznie, niemal we śnie, niczym dziecinne rymowanki albo tabliczkę mnożenia. Ku jej zaskoczeniu i radości wszyscy w to uwierzyli. Wycięła z jakiegoś pisma zdjęcie mężczyzny odpowiadającego stworzonemu przez nią rysopisowi, poszła do fotografa, poprosiła o zrobienie odbitek. Jedną wysłała rodzicom. Mary wypatrzyła ją kiedyś na kominku w pokoju Catherine.

– Spójrz, mamusi! Zdjęcie tatusia, takie samo jak nasze. Ładnie wygląda, prawda?

Zamówiła sześć odbitek. Jedną zaniósła do gabinetu, trzy były w domu, jedna u matki, a jedną Mary nosiła zawsze w torebce. Teraz torebka zaginęła, a wraz z nią fotografia.

Biedny David Anthony Mitchell. W sklepie z ciuchami i w jednym z antykwariatów przy Portobello Road kupiła trochę używanych ubrań i książek. *Pieśni niewinności i doświadczenia* Williama Blake’a, kilka zaczytanych Dickensów, parę starych pomarańczowych wydań Penguin – głównie Graham Greene i Kingsley Amis. *Orlando* Virginii Woolf w eleganckiej edycji Hogarth Press, sporo pozycji o ptakach, rybach, owadach i motylach. Wszystkie książki starannie podpisała jego imieniem i nazwiskiem, to samo imię i nazwisko wyhaftowała również na dziesięciu starych chusteczkach do nosa. Mikroskop, który stał w pokoju Mary, także rzekomo należał do niego. Za każdym razem, kiedy oglądasz coś pod tym mikroskopem, pomyśl sobie, że dawno temu on też to robił. Kiedy był w twoim wieku. Kłamstwa przychodziły jej z łatwością. Wzniosła milczący toast za człowieka, którego sama kiedyś stworzyła. Jej ledwo dostrzegalne odbicie w szarej, zachlapanej deszczem szybie uczyniło to samo. Nie mogła już jednak dłużej odwlekać tego, co nieuniknione. Musiała stawić czoło prawdziwemu człowiekowi. Skinęła na barmana. Zaczekam na następnego drinka, a potem sobie o nim pomyślę.

Zamieszała słodką, gorącą whisky, wycisnęła pływający w niej plasterek cytryny, żeby dodać jak najwięcej cierpkości. Nadeszła pora pokazać go światu. Imię: Patrick. Nazwisko: Holland. Wczoraj wieczorem, kiedy McLoughlin wypowiedział je w kuchni, usłyszała je po raz pierwszy od dwudziestu lat. To dlatego wypuściła wazon z rąk. Od równie dawna go nie widziała, dopiero dzisiaj, kiedy niemal biegiem dopadł swojego miejsca w pierwszym rzędzie. Równie długo go nie słyszała, aż do chwili, kiedy donośnym głosem oznajmił, że będzie bronił zabójcy swojej córki, jej córki, Mary.

Teraz już mogę sobie ulżyć, pomyślała, unosząc do ust szklanekę z gorącą zawartością.

Zaczęła od przyjęcia urodzinowego, tego, na które zaprosił ją Joe Macken. Tuż przed Bożym Narodzeniem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku. Jego rodzina miała wielką farmę w Laos. Mieli nadzieję, że po zrobieniu specjalizacji wróci do domu i, podobnie jak wuj, zostanie wiejskim lekarzem rodzinnym, miała ich jednak spotkać niespodzianka. Joe zamierzał zostać chirurgiem plastycznym i zamieszkać daleko stamtąd, w ciepłym, jasnym, nowym świecie. Jak najdalej od błota, wilgoci i smrodu zmokniętych psów. Pojedź ze mną, Margaret, mówił. Będzie super. Ona jednak trzymała go na dystans żarcikami. Był miłym chłopcem, z długim nosem i szerokim uśmiechem. Ale tylko chłopcem.

Zorganizował wszystko w ten sposób, żeby mogła pojechać na przyjęcie samochodem. Jego kuzyn, adwokat z Dublina, wybierał się z żoną. Wpadną po nią i zabiorą ją swoim wygodnym ciepłym wozem. Zostanie na noc, a nazajutrz po śniadaniu odwiozą ją z powrotem do domu. Nie trzeba, protestowała. Pojadę pociągiem. On jednak się uparł, chciał jeszcze telefonicznie wszystko potwierdzić. Patrick na pewno ci się spodoba, mówił. Jest od nas starszy i początkowo może się wydawać trochę sztywny, ale ma niesamowite poczucie humoru. A jego żona Crea jest po prostu urocza.

Jednak w samochodzie, który o umówionej porze zajeżdżał przed jej dom, siedziała tylko jedna osoba. Mężczyzna z kręconymi włosami opadającymi na kołnierzyk wyjaśnił jej, że syn ma atak kokluszki i że żona postanowiła zostać w domu z dzieckiem.

Otuliła się szczelnie czarnym zamszowym płaszczem, usiadła obok niego. Atmosfera była napięta, zaciśnięte szczęki i ponura mina kierowcy mogły świadczyć o jakiejś niedawnej kłótni lub nieporozumieniu. Ruszył gwałtownie, samochód błyskawicznie nabierał prędkości. Kiedy pędzili pod górę wąską drogą, żałowała, że jednak nie zdecydowała się na podróż pociągiem. Kilka razy usiłowała nawiązać grzecznościową rozmowę, w końcu jednak zrezygnowała. Włączył radio. Śpiewała Kathleen Ferrier. Silny ciemny kontrast wypełnił wnętrze samochodu. Śpiewała o rozpaczliwym Orfeuszu oplakującym ukochaną.

– Podoba ci się – oświadczył.

– Słucham?

– Ta muzyka. Podoba ci się, bo ją nucisz.

– Och, przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy.

– Nie szkodzi. Przynajmniej nie fałszujesz.

– To jedna z ulubionych melodii mojego ojca. Często słucha jej w domu.

– Rozumiem.

Milczeli aż do chwili, kiedy wjechali w bramę posiadłości.

Reflektory wydobyły z mroku gromadkę królików skubiących trawę przed domem.

– Może zapołujemy? – zapytał i, nie czekając na odpowiedź, skierował samochód prosto na nie.

– Przestań! – wykrzyknęła. – Przecież nie zrobiły ci nic złego!

– Co takiego?

Spojrzał na nią z taką miną, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

– Stój! To wcale nie jest zabawne!

Zahamował gwałtownie, wyskoczyła, zatrzasnęła drzwi i pobiegła w stronę domu. Obcasy grzęzły w miękkiej ziemi.

Ponownie zobaczyła go dopiero kilka godzin później. Piła, tańczyła, trochę zjadła, oganiała się od Joego, teraz zaś stała oparta o drzwi sali balowej, obserwując tancerzy wirujących na parkiecie przy dźwiękach muzyki granej przez miejscowy zespół. Bolały ją nogi, miała serdecznie dosyć wysokich obcasów. Dokoła usta szukały ust, ręce przesuwwały się po odkrytych ramionach, uda i biodra ocierały się o siebie. Przeszła do pogrążonej w półmroku oranżerii, usiadła w starym fotelu i zapatrzyła się w gwiazdy wiszące nisko na zimowym niebie. Przycisnęła policzek do popękanej skóry, zamknęła oczy, zasnęła. Nie miała pojęcia, jak długo spała, kiedy jednak otworzyła oczy, spostrzegła, że nie jest sama, że ktoś siedzi naprzeciwko, z butelką na podłodze między stopami. Pochylił się w taki sposób, że na jego twarz padł blask świecy, i dopiero wtedy uświadomiła sobie, jaki jest piękny. Miał pociągłą bladą twarz, długie rzęsy, ciemnoniebieskie oczy. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Zaproponował wino. Zgodziła się. Wypili. Jakiś czas potem wstał, podał jej rękę. Poczowała twarde mięśnie ukryte pod jedwabistą skórą. Jego długie silne palce splotły się z jej palcami.

Właśnie grano walca. Zakręcił nią na parkiecie.

– Nie tylko śpiewasz, ale i tańczysz. Też dzięki ojcu?

Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... Deszczowe niedzielne popołudnia, płyta Victora Sylvestra na talerzu gramofonu, jej głowa na wysokości piersi ojca, nos tuż przy skórzanych guzikach swetra.

Oparła mu głowę na ramieniu. Czowała ostry zapach skóry i fakturę materiału pod policzkiem. Wirowali coraz szybciej, śmiał się głośno. Kiedy ją przycisnął, poczuła, jak bardzo jest twardy.

Odwiózł ją do domu w środku nocy. Tylne koła samochodu ślizgały się na zaszronionej szosie. W górze, niczym ślepia ogromnych stworzeń, wisiały Gwiazda Polarna, Mała i Wielka Niedźwiedzica. Na dole, w zaroślach i krzakach, rozbłyskiwały od czasu do czasu oczy znacznie mniejszych istot.

Długo siedzieli w ciemności. W milczeniu, bez ruchu. Oddychała powoli, głęboko, czując, jak powietrze prześlizguje się przez nos, wypełnia gardło, spływa do płuc. Wziął ją za rękę, pocałował, powiedział dobranoc.

Stała przy biegnącym wzdłuż plaży murze, czuła woń szlamu ukrytego pod płytką warstwą piasku. Był właśnie odpływ, morze cofnęło się daleko. Wśród udrapowanych na kamieniach wodorostów coś zaszleściło, zaszurało i na otwartą przestrzeń wyszedł szczur osrebrzony

blaskiem księżyca. Zatrzymał się, przysiadł na tylnych łapkach, zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Po chwili dołączył do niego jeszcze jeden, a potem kolejne. Dopiero teraz, gdy jej wzrok przystosował się do półmroku, dostrzegła, że na plaży wprost roi się od szczurów, że są wszędzie – między głazami i kamieniami, wśród porozwlekanych wodorostów, na piasku. Przeniosła wzrok na stojące w pobliżu domy z pozamykanymi okiennicami i pozaciaganymi zasłonami, niczego nieświadome oazy spokoju i bezpieczeństwa.

Zasnęła dopiero nad ranem, kiedy na jej łóżko spływało już blade światło zimowego przedświt. Obudziwszy się dużo, dużo później, nic prawie nie pamiętała, wystarczyło jednak jedno spojrzenie w lustro, żeby wszystko stało się jasne. Nie wygłupiaj się, broniła się słabo. To tylko głupie bajki. On jednak naprawdę był w jej oczach, ustach, na policzkach, w gestach. I choćby najbardziej się starała, nie zdołałaby się go pozbyć.

Rozdział 36

– Ależ szkoda, szefie! Wszystko przygotowane na długi piękny dzień w sądzie. Najlepszy garnitur i krawat, modna fryzura, wyczyszczone buty, wszystko wykute na pamięć, i co? I ten cholerny pojebaniec dostaje jakiegoś ataku czy czegoś tam, odwożą go do szpitala, a sędzia odracza rozprawę do jutra.

– A my się świetnie bawimy, Bertie. Teraz zamknij się i dopij piwo, to otworzę następne.

Wszystko to było bardzo dziwne. W chwili kiedy McLoughlin wrócił do sali rozpraw, Fitzsimons poderwał się nagle z bladą jak papier twarzą i zaczął przeraźliwie krzyczeć. Jego wrzaski nie miały najmniejszego sensu, po prostu bełkotał. Potem rzucił się na podłogę, wijąc się i kopiąc. Natychmiast doskoczyli strażnicy, wezwano lekarza, karetkę, odwieziono go do szpitala. I na tym koniec. Tak jak powiedział Bertie, rozprawa została odroczone.

Wyszli na Quays, potem zajrzeli do Legal Eagle na piwo. Była akurat pora lunchu, więc chwilowo nie mieli po co wracać na posterunek. Zadzwoił tylko, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nic się nie działo. Potem zatelefonował do domu. Zgłosiła się automatyczna sekretarka. Zamierzał zabrać Janey na lunch, najwyraźniej jednak już sobie coś zaplanowała. Zadzwoił do domu opieki, gdzie mu powiedziano, że jego matka właśnie bierze udział w kursie dla znawców muzyki. Pozostała im więc tylko łódka.

Z Quays do Poolbeg jechało się najwyżej kwadrans. Zapytał, kto ma ochotę się z nim wybrać. Zgłosiło się trzech, tych samych co zawsze, jak zwykle gotowych na spotkanie z przygodą: Finney, Conroy i Lynch. Od zakończenia sprawy Mitchell nie pracowali razem. Conroy i Lynch zostali przeniesieni na Store Street. Wiedzieli teraz o narkotykach tyle, co przeciętny farmaceuta. Finney z kolei trafił na Harcourt Square, do Wydziału ds. Kontaktów ze Społeczeństwem. Krążyły nawet plotki, że już wkrótce zastąpi Tony’ego Heffernana, który odszedł ze służby po tym, jak rozpadło się jego małżeństwo. Za każdym razem, kiedy wspomniano o Tonym, McLoughlin czuł się trochę nieswojo. Rozstanie Tony’ego z Breege zamieniło się w prawdziwe piekło. Breege bez trudu oderwała się od łóżka i telewizora, obdzwoniła wszystkich, na komisarzu kończąc, następnie zaś wynajęła adwokata z piekła rodem, który zajął mu pensję i wezwał protestancką wdowę przed sąd rodzinny w charakterze świadka zdrady Tony’ego. Obaj chłopcy wzięli stronę matki i przez wiele miesięcy widywali się z nim wyłącznie u McDonalda. Wreszcie nie wytrzymał tego wszystkiego i przeszedł na wcześniejszą emeryturę. Niektórzy powiadali, że powinien się cieszyć z tego, że ją dostał. Teraz McLoughlina ogarnęło na chwilę poczucie winy. Od tamtej pory nie widział się z nim ani nawet do niego nie zadzwonił. Nagle uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, gdzie Tony teraz mieszka i co robi.

Wyjął z małej kabinowej lodówki kolejny sześcioopak heinekna i rozdał puszki.

– Czy ktoś słyszał coś ostatnio o Tonym Heffernanie?

– Na przykład, co? – zapytał Finney, otwierając piwo.

– Na przykład, co porabia?

– Tak, ja słyszałem – odezwał się Lynch. – Pracuje w firmie ochroniarskiej. Szkoli kandydatów. Boże, nie zazdroszczę mu.

Przez chwilę wszyscy myśleli o tym w milczeniu. Wreszcie McLoughlin wyciągnął ze schowka kamizelki ratunkowe.

– Do roboty, chłopaki. W tym tempie nigdy nie dowlecemy się do Dun Laoghaire.

Kiedy dotarli do ujścia Liffey, deszcz przestał padać i nawet się trochę rozpogodziło. W ciepłych promieniach słońca mokre deski pokładu szybko parowały. Stojąc przy kole sterowym, czuł pod stopami wibracje silnika. Najpierw skierował łódkę prosto na wschód, potem, po wyjściu z zatoki, skręcił na południe, w kierunku wyciągniętych ramion portu Dun Laoghaire. Zwykle robił to pod głównym żaglem i kliwrem, jednak z tak niedoświadczoną załogą nie miałoby to żadnego sensu. Od razu byłoby tyle stękania, sapania i narzekania, że przepadłaby cała przyjemność z wycieczki. Lepiej płynąć na silniku, podziwiać morze, cieszyć się słońcem, rozkoszować się perspektywą nieodległego letniego żeglowania. Właśnie w chwilach takich jak ta, na łódce, wydawało mu się, że osiągnął wszystko, czego pragnął i potrzebował. Takie doznania nawiedzały go jednak coraz rzadziej i stawały się coraz trudniej uchwytne. Świat nie dawał mu zapomnieć o swoim istnieniu, dyszał tuż za jego plecami, dobierał się do tydek, zmuszał do tego, żeby wciąż się oglądać.

– Zrozumiał pan coś z tego?

– Z czego?

Podniósł wzrok na Finneya stojącego na dachu kajuty z twarzą w cieniu i plecami zwróconymi do słońca. Chwilę potem Finney zeskoczył na pokład i położył ręce na kole.

– Mogę spróbować?

– Jasne. – McLoughlin cofnął się o krok, otworzył piwo. – O co pytałeś?

– Dlaczego pańska doktor Mitchell wybiegła z sali jak oparzona.

– Wcale nie jest „moja”.

– Nie? – Finney zerknął na niego z uśmiechem. – A co, odpuścił ją pan sobie?

– Lepiej się zamknij i pilnuj kursu.

Podniósł lornetkę do oczu, skierował ją w stronę lądu. Z morza wyglądało to naprawdę pięknie: skupiska domów, brązowa łacha piasku przy Sandymount, łagodne zarysy gór w tle.

– Posłuchajcie!

Rozstawił szeroko stopy, jedną rękę przycisnął do serca, drugą wyciągnął w kierunku miasta, i wyrecytował:

Trochę bogate i trochę biedne, pod niebem deszczem obmytym, ze śliwkowymi górami w tle,

to Dublin, oczywiście. Jedyne miasto, które na zawsze weszło mi smutkiem w kości.

Finney gapił się na niego z niezbyt mądrą miną.

– To *Melancholijna miłość* Sheili Wingfield. Nie znałeś tego?

– Prawdziwy romantyk z pana, prawda? – Dołki w policzkach Finneya jeszcze się pogłębiły.

– Założę się, że chętnie przypłynąłby pan tu z panią doktor, żeby trochę podeklamować jej wiersze.

– Czy ty nigdy nie przestaniesz?

– A co ona właściwie porabiała przez te miesiące? Poleciała do Nowej Zelandii?

– Oczywiście. I to dawno.

– Miał pan z nią w tym czasie jakiś kontakt?

– Musiałem zadzwonić ze dwa albo trzy razy i wysyłałem listy co parę miesięcy, żeby wiedziała, co się dzieje. Po tym, co przeszła, chyba jej się to należało.

Napisałem też mnóstwo listów, których nie wysłałem, dodał w myślach. Pijany w sztok siadywałem w nocy przy kuchennym stole, wściekły na siebie za to, że nie zrobiłem z tym czegoś wtedy, kiedy tutaj była. Kiedyś pojechałem nawet do jej domu, siedziałem w samochodzie i myślałem o niej. I pojechałem do stoczni, żeby sprawdzić, co się dzieje z łodzią jej ojca. Nie okłamała mnie. Powiedziała im, że mogą z nią zrobić co chcą, chyba że ja się po nią zjawię. Co więc miałem począć? Wynająłem przyczepę, załadowałem łódź, przywiozłem ją i postawiłem w ogrodzie. Janey była zachwycona.

– Wszystko w porządku, kapitanie? – wykrzyknął Finney, kręcąc zawzięcie kołem, by obrać kurs na Dun Laoghaire.

Wiatr wiał teraz w burzę, łódź bardziej się kołysała. McLoughlin zwiększył obroty silnika, śruba zaczęła młócić wodę z większą prędkością. Wkrótce pojawiła się wieża Martello w Seapoint. McLoughlin ponownie podniósł lornetkę do oczu i skierował ją na szereg domów zwróconych frontem do morza. W porównaniu z kremowymi, różowymi i zielonkawymi fasadami sąsiednich budynków, szarobury dom Margaret sprawiał wrażenie zaniedbanego i opuszczonego. Jakaś stara kobieta podążała powoli ścieżką wiodącą do drzwi wejściowych. Mineła dłuższa chwila, nim ją rozpoznał: to była Nellie, gosposia. Wytarła sobie nos wierzchem ręki, wyjęła z koszyka klucze, wspięła się po schodkach, otworzyła drzwi i weszła do środka.

– Widać coś ciekawego, szefie?

Opuścił lornetkę, owinął ją paskiem, który zdjął z szyi, i schował do futerału.

– Zupełnie nic. Ani żywej duszy. No, jak wam się podoba, chłopcy? To chyba lepsze niż cały dzień w sali rozpraw?

Conroy zwrócił ku niemu zielonkawą twarz.

– Bo ja wiem? Jakoś marnie się czuję... – wyjąkał, po czym wychylił się za burzę

i wymiotował do morza.

McLoughlin zaparzył mu herbaty, kazał położyć się w koi i okrył go śpiworem.

– Nie przejmuj się, Brian, wrócimy taksówką. Łódka może zostać na parę dni w Coal Harbour. To żaden problem.

W sumie chyba dobrze się złożyło, ponieważ dzięki temu odwiedzili wszystkie sześć pubów między Coal Harbour i York Road. McKenna's zaraz za szpitalem św. Michała, żeby skosztować brandy. O'Loughlin's na George's Street, żeby napić się gorącej whisky. Ryan's, Smyth's, Cumberland Inn i Murphy's po to, by wychylić po kuflu piwa. Albo po dwa. Albo po więcej. Później przypominał sobie mętnie, że jadł wiosenne kanapki z sosem curry zamówione w chińskiej restauracji, a także, nieco wyraźniej, jak Conroy w ostatniej chwili wyskoczył z taksówki i wymiotował do rowu. Najwyraźniej pamiętał jednak to, że kazał taksówkarzowi jechać przez Monkstown i że naprawdę bardzo niewiele brakowałoby wysiadł przed jej domem, zaczął dobijać się do drzwi, a może nawet próbował wdrzeć się do środka, rzucić się na nią, wyznać, że pragnie jej jak niczego na świecie. Krótko mówiąc, żeby zrobił z siebie całkowitego idiotę.

Rozdział 37

Czekając późnym popołudniem przed bramą gmachu sądów, przypuszczała, że będzie musiała jechać samochodem. Zakładała – sama nie wiedząc dlaczego – że po pracy wróci od razu do domu. Gdziekolwiek ten dom teraz był. Dwadzieścia lat temu mieszkał z żoną i synem w dużej willi w Foxrock, odsuniętej od drogi i ukrytej za wysokim żywopłotem. Trochę w stylu elżbietańskim, czerwona cegła łączona z ciemnymi legarami. Rozbawiło ją to. Naigrawała się z niego, mówiąc, że jest wyjątkowo przewidywalny. Gdybym ja miała własny dom, mówiła, zbudowałabym go od podstaw. Byłby nowoczesny, ze szkła i betonu, z przenikającymi się przestrzeniami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Taki jak domy projektowane przez Franka Lloyda Wrighta. Za to meble byłyby proste, pozbawione ozdób. Chrom, stal, skóra. Żadnych portretów rodzinnych na ścianach, a już na pewno żadnych rodzinnych fotografii. Tak właśnie mówiła. Wtedy. Zaprosił ją do tego domu. Ostatniego lata przed tym, jak zaszła w ciążę. Rodzina wyjechała do Connemara, do rodziców żony, on zaś z powodów służbowych musiał zostać w Dublinie. Przygotowania do sprawy o zabójstwo. Tak im przynajmniej powiedział. Cekał na nią przy Heuston Station. Dzień był upalny, wszędzie kurz i śmieci, ciemnozielone podczas odpływu wody Liffey cuchnęły paskudnie. Pożyczyła od matki starego morrisa.

– Dokąd? – zapytała ze stopą nad pedałem gazu. Udzielał zwięzłych, precyzyjnych wskazówek.

– W lewo... znowu w lewo... druga w prawo... Stosowała się do nich z żartobliwą uległością.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – spytała, kiedy kazał jej przejechać przez wysoką bramę.

– Oczywiście. Muszę zabrać parę rzeczy. Przy okazji pokażę ci, jak mieszkam.

Oczywiście nigdzie nie pojechali, zostali na miejscu. Udawała kucharkę, pokojówkę i panią domu. Korzystali z sypialni dziecka na piętrze. Ostatniej nocy, kiedy zasnął z twarzą wtuloną w poduszkę syna, wstała i zeszła na palcach na parter. Otworzyła drzwi do głównej sypialni, tej z francuskimi oknami wychodzącymi na ogród. Światło księżyca kładło się na blad różowej wykładzinie regularnymi czworokątami. Usiadła na wielkim małżeńskim łóżku, położyła się na różowej narzucie. Na jednej nocnej szafce stały budzik, radio i telefon, obok leżały notes i ołówki. Na drugiej piętrzył się stos książek. Przechyliła głowę, żeby odczytać napisy na grzbietach. Margaret Drabble, Doris Lessing, Jacky Gillott, John McGahern, doktor Spock, Tołstoj. *Anna Karenina*. Jej spojrzenie ześlizgnęło się z książek na fotografię w ramkach. Para młoda złączona w pocałunku. Ona z uniesioną lekko głową. Ręce splecione w uścisku.

Pojechałaby za nim do tego domu albo do jakiegokolwiek, w którym teraz mieszkał. Była na to przygotowana. Taksówkarz, który przywiózł ją z lotniska i poszedł za nią na cmentarz, a potem wręczył jej wizytówkę, zatrzymał samochód w miejscu, z którego było doskonale widać cały parking. Siedzieli i czekali. Mercedesy, volvo, saaby i bmw wyjeżdżały powoli na Chancery

Place i sunęły w kierunku Quays. On jednak opuścił gmach sądu pieszo, pospiesznie zapinając grafitowy płaszcz, by osłonić się przed kąśliwym wschodnim wiatrem znad rzeki. Zwolniła więc kierowcę – miał na imię Andy – który popatrzył na nią zza grubych szkieł i powiedział, żeby na siebie uważała. Uśmiechnęła się, podziękowała, następnie wysiadła i podażyła za wysoką, lekko przygarbioną sylwetką.

Śledziła go z taką łatwością, jakby szedł po piasku. Znała tę trasę. Najpierw wzdłuż Quays po północnej stronie aż do Halfpenny Bridge. Slalom między samochodami, bez czekania na zielone światło. Przez most na drugi brzeg, z krótkim postojem, żeby popatrzeć, jak wiatr marszczy powierzchnię brudnej mętnej wody. Przypomniała sobie drugie spotkanie, prawie rok po przyjęciu. Pod słupem, na którym kiedyś wisiała gazowa lampa, rozświetlając żółtawym blaskiem mrok dziewiętnastowiecznych nocy. W połowie drogi między północą i południem. Spieszyła się do kliniki w Rotunda Hospital, on wracał z sądu. Było zimno, lada chwila mogło zacząć padać. Uścisnęli sobie dłonie.

– Musimy się umówić – powiedział.

– Pewnie, czemu nie?

– Może na jutro?

– Chętnie. O szóstej?

– Świetnie. Gdzie?

– Na przykład w Conway's, naprzeciwko Rotunda Hospital?

Tak po prostu.

Schylił się, włożył kilka monet do tekturowego pudełka przed młodą kobietą siedzącą po turecku na chodniku z dzieckiem w objęciach. Zamienił z nią kilka słów, po czym ruszył dalej. Pod Merchant's Arch, obok przytłaczającego swymi rozmiarami gmachu Banku Centralnego, na drugą stronę Dame Street. Wiedziała już, dokąd idzie. Nie spieszyła się, żeby za nim nadążyć, zerknęła w mijane witryny, sprawdzała, jak wygląda, zastanawiała się, jak zareaguje na jej widok po tylu latach. Pośrodku Grafton Street stali chłopak i dziewczyna. Całowali się z szeroko otwartymi ustami, jak złote rybki. Mieli zamknięte oczy. Nigdy tak się z nim nie całowała w miejscach publicznych, obojętna na to, kto może ich zobaczyć. Wyłącznie w ukryciu, wyłącznie w tajemnicy. Ale ludzie i tak na pewno wiedzieli. Powiedziała mu o tym. Zapytała go.

– Czy twoja... „żona” naprawdę o nas nie wie? Zawahała się, zanim wypowiedziała to słowo, ale i tak umieściła je w doskonale słyszalnym cudzysłowie.

– Naprawdę.

– Jak to możliwe? Ja bym wiedziała, gdybym była na jej miejscu. Zobaczyłabym to w tobie, wyczułabym, kiedy byśmy...

Nie dokończyła zdania, zmrożona jego spojrzeniem. Uważaj, mówiło. Nie zapędzaj się za daleko.

Wystawy przy tej ulicy zamieszkiwały nieprawdopodobnie szczupłe manekiny o nienaturalnie powykręcanych kończynach. Ich kremowe ciała z wystającymi biodrami przypominały jej Mary. Jej własna twarz pojawiała się i znikła w mijanych szybach, mniej lub bardziej niewyraźna. Wcale nie uważała, żeby były do siebie podobne, ale inni na ogół tak właśnie uważali. Jeśli nawet tak, to raczej z gestów, ruchów, zachowań, mawiała. Z przyswojonych odruchów i zachowań, ale nie z tego, z czym się człowiek rodzi i na co nie ma żadnego wpływu, jak choćby kolor oczu i włosów, kształt nosa, wzrost, budowa ciała lub obecność albo brak szerokiej szczeliny między górnymi jedykami. Tamto przejęła po nim. Często jej to powtarzała. Przypominasz swojego ojca. Znacznie bardziej niż mnie. Pod względem budowy ciała, ma się rozumieć. A Mary powtarzała to przyjaciółkom.

– Mamusia mówi, że jestem bardzo podobna do tatusia. Mówi, że często przygląda mi się, kiedy śpię, i nie może się temu nadziwić. Jakby ktoś zdarł z niego skórę.

– Co to znaczy?

– No, że jesteśmy prawie tacy sami.

Krótko po tym, jak się tu przenieśli, przyprowadziła Mary do Shelbourne Bar. Pojechały do miasta, żeby choć na trochę uciec przed nieustającym gderaniem Catherine. Chodziły od sklepu do sklepu i przymierzały ubrania. Chciała kupić córce sukienkę, niewiele jednak brakowało, żeby pokłóciły się o fasony i kolory. W końcu wcisnęła jej pieniądze i powiedziała:

– Masz, kup sobie, co chcesz. Spotkamy się za godzinę.

– Gdzie?

– Hmm... – Zastanawiała się przez chwilę. – Już wiem: w Shelbourne, przy Stephen's Green. To duży hotel, łatwo go zauważysz. Wejdiesz przez obrotowe drzwi, miniesz recepcję. Bar jest w głębi.

– Mam nadzieję, że to nie jedna z tych nor, do których chadzałaś, kiedy byłaś ubogą studentką?

– Nie obawiaj się, to miejsce w sam raz dla snobów takich jak ty. A teraz zmykaj.

Mary spodobało się tam. Siedziały przy marmurowym barze, piły gin z tonikiem, w którym pływały plasterki limonki, zajadały garściami orzeszki. Mary robiła miny do lustra za rzędami butelek, ustawionymi według wielkości, jak żołnierze na paradzie. Powyciągała z toreb zakupy: skąpe topy, obcisłe dzinsy, oraz (Spójrz, czy nie jest odjazdowa?) ciemnoczerwoną zamszową spódnicę. Margaret zastanawiała się przez krótką, króciutką chwilę, czy powinna powiedzieć jej prawdę, lecz szybko z tego zrezygnowała. To nie miało najmniejszego sensu, przynajmniej teraz. Zburzyłyby tylko jej spokój. Zburzyłyby spokój wszystkich.

Siedział przy końcu baru, zwrócony bokiem do drzwi, w towarzystwie dwóch mężczyzn i kobiety. Młoda, jasna blondynka, w czerwonym żakiecie, z długim złotym łańcuszkiem na szyi. Widziała ich po raz pierwszy w życiu. Wspięła się na wysoki stół. Gdyby spojrział w tę stronę,

mógłby ją rozpoznać, ale w pomieszczeniu panował półmrok, ona zaś usiadła częściowo odwrócona tyłem do wejścia z holu, z którego sączył się przyćmiony blask dnia, dzięki czemu jej twarz znajdowała się w cieniu. Obserwowała jego ręce. Doskonale pamiętała palce, długie i szczupłe, o bardzo krótko obciętych paznokciach. Zawisały na sekundę nad srebrną miseczką z orzeszkami, chwytaly jeden, przenosiły go do ust. Uniósł szklanke z guinnessem. Jego blada cera mocno kontrastowała z ciemnym płynem. Pociągnął łyk, zlizął pianę z górnej wargi.

– Jak możesz to pić?

Jej głos znacznie młodszy, radośniejszy.

– Co?

– No, to.

– Mówisz o tym czarnym?

Siedzieli w barze w Angler's Rest Hotel w Pontoon. Była trzecia niedziela września 1974 roku. Finał Pucharu Irlandii w rugby: Dublin-Galway. Piękny jesienny dzień. Słońce wciąż jeszcze świeciło całkiem mocno, ale w kościach czuć już było zbliżającą się zimę.

Podsunał jej szklanke.

– Proszę, spróbuj. Siorbnęła ostrożnie.

– Brr!

Gorycz rozlała się po języku. Zabrał jej szklanke, pocałował w usta. Popołudnie mijało powoli. Słońce przesuwalo się od okna do okna po drugiej stronie baru. Dym papierosowy nadał powietrzu barwę wody widocznego za oknami jeziora. W kącie telewizor niestrudzenie snuł swą czarno-białą opowieść. Dublin zdobył czternaście punktów i pokonał Galway. Poderwała się ze wszystkimi na nogi, wiwatowała, a potem on objął ją w tali i pociągnął do ich pokoju na piętrze.

Kiedy była w ciąży, na sam zapach guinnessa robiło się jej niedobrze. Parę lat później, na przyjęciu w Takapuna, ktoś przyniósł jej napełniony po brzegi kufel.

– A teraz zobaczmy, jak prawdziwi Irlandczycy radzą sobie z tym specjałem!

Wypiła z uprzejmości, żeby nie psuć zabawy, po czym natychmiast poszła do toalety i wsadziła palec do gardła.

Zawołał barmana, zamówił jeszcze jednego drinka. Rozmawiali głośno, co chwila wybuchali śmiechem. On mówił głębokim basem, młodszy mężczyzna złocistym tenorem, dziewczyna lekkim sopranem. Z rozmachem położył na ladzie garść drobniaków; jedna dziesięciopensówka potoczyła się w jej stronę. Wyciągnął się jak długi, złapał ją, a następnie podniósł wzrok na ciemną sylwetkę kobiety przy końcu baru.

Widziała to w jego twarzy. Zamierzał ją zagadnąć, poflirtować. Kiedy to robił, zawsze mrużył oczy jak mały chłopiec. Otworzył już nawet usta, żeby coś powiedzieć, ale nie zrobił tego. Zamarł w bezruchu. Poznał ją.

– Witaj – powiedziała.

– Witaj – odparł.

Moneta wysunęła się spomiędzy palców, spadła na podłogę, potoczyła w kąt, przewróciła i znieruchomiła.

– Wybacz mi. Nie chciałam ci przeszkadzać, ale muszę z tobą porozmawiać.

Wstał, podszedł do niej. Ona także spróbowała się podnieść, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ujął jej prawą rękę. Tak jak kiedyś, doskonale pasowała do jego dłoni. W milczeniu wpatrywał się w jej twarz takim wzrokiem, jakim matka mogłaby patrzeć na swoje pierworodne dziecko. Pozostali przyglądali im się z ciekawością.

Przesunął kciukiem po jej palcach.

– Doprawdy nie wiem, co powiedzieć...

– Nic nie mów.

– Usiądź tam, przy stoliku. – Wskazał na pusty kąt. – Zaraz do ciebie przyjdę.

– Nie, nie tutaj. Możemy spotkać się trochę później? Jeszcze dzisiaj. W domu moich rodziców w Monkstown.

– Czy oni jeszcze... – Nie dokończył pytania.

– Nie. Oboje umarli.

– Wiesz... Nie jestem pewien, czy...

– To naprawdę ważne. Chodzi o coś... – Przerwała, pociągnęła łyk ze szklanki. – Chodzi o coś, co ma związek z twoją córką.

– Słucham?

Zabrzmiało to jak nerwowy śmiech.

– Proszę cię. Nie mów nic więcej. Masz. – Wcisnęła mu w rękę kawałek papieru. – Na wypadek, gdybyś zapomniał. Adres i numer telefonu. Błagam. To naprawdę bardzo ważne.

Wstała i wyszła, a on został, składając i rozkładając kartkę z adresem. Myślał zapewne to samo, co ona myślała jakiś czas temu. Jak to możliwe? Dlaczego to się stało? Dlaczego akurat teraz, bez żadnego ostrzeżenia?

Zapadał zmrok, znowu zaczęło padać. Margaret podniosła kołnierz, lecz nie czuła już zimna. Przez chwilę stała obok niego, a on ogrzał ją swoim ciepłem, napełnił swoim blaskiem. Tak jak dawniej, tak i teraz.

Rozdział 38

– Nie wierzę.

– Nie wierzysz mnie, czy też w to, co mówię?

– Tobie, w to co mówisz, w ogóle we wszystko. To jakieś szaleństwo.

W pokoju było ciemno. Jak na kwiecień zrobiło się dość chłodno, przyniosła więc trochę drewna z za szopy i rozpałała ogień w kominku. Płomienie trzaskały i syczały, karmiąc się żywicą wypływającą z polan.

Przyjechała późno. Zaskoczyło ją głośnie pukanie do drzwi, wcześniej bowiem nie usłyszała silnika samochodu. Słyszać było tylko szum wiatru i morza, a od czasu do czasu w okna uderzały z grzechotem ciśnięte mocniejszym podmuchem krople deszczu.

Zanim się zjawił, systematycznie i niestrudzenie kontynuowała rozpoczęte zadanie, ogałając dom z nagromadzonych w nim rzeczy. W holu stało już kilkanaście starannie podpisanych foliowych worków. Dziesięć, wypełnionych ubraniami, torebkami, pantoflami i kapeluszami Catherine, było przeznaczonych dla sklepu Simona. Pięć, z pościelą, kocami i ręcznikami, dla Vincenta de Paula. Jutro, zaraz po powrocie z rozprawy, zamierzała zająć się książkami i czasopismami, popakować je do kartonowych pudeł, które już czekały w kuchni. Dom, razem z meblami i obrazami, miał zostać sprzedany na aukcji. Wyjeżdżając stąd na zawsze, nie chciała niczego zabierać i niczego po sobie zostawić.

Wszedł z kwaśną miną. Przynajmniej raz opuściła go nieodłączna do tej pory pewność siebie. To było dla niej coś zupełnie nowego. Właściwie powinna czuć się zadowolona, ale zamiast tego zrobiło jej się odrobinę niedobrze, jak na początku ciąży, kiedy nawet najbardziej znajome smaki i zapachy wywoływały mdłości, nagle poruszenia zaś – na przykład szarpnięcie w hamującym gwałtownie autobusie – sprawiały, że jej czoło i dłonie pokrywały się zimnym potem.

Zrobiła mu drinka – szkocka bez lodu, z odrobiną wody – po czym usiedli przed kominkiem w starych, spłowiałych fotelach jej matki. Zupełnie jak stare małżeństwo, które wieczorem dzieli się wydarzeniami mijającego dnia, pomyślała z ironią.

Nie od razu zaczęła mówić. Pociągała ze szklanki, wpatrywała się w ogień, teraz już jednolicie czerwony. Kiedy poruszyła polana pogrzebaczem, w górę wystrzelił długi płomień, przez chwilę tańczył jak ogarnięta szaleństwem kobra, a następnie opadł i zniknął.

Słuchał w milczeniu. Starannie dobierała słowa. Wiedziała, jak funkcjonuje jego umysł. Przed laty, podczas dyskusji i sprzeczek przekonała się wielokrotnie, że potrafi chwycić się najdrobniejszego, pozornie nieistotnego szczegółu i wykorzystać go na własną korzyść. Tym razem jednak nic takiego nie nastąpiło.

A potem:

– Nie wierzę. Wzruszyła ramionami.

– Cóż, nie mogę ci przedstawić dowodów, bo już nie istnieją. Musisz uwierzyć mi na słowo.

– Muszę? Dlaczego?

Poczuła, jak głęboko w jej żołądku zaciska się supeł gniewu.

– A dlaczego miałabym cię oszukiwać w takiej sprawie? Nigdy przecież cię nie okłamałam.

Odwrócił ku niej twarz. Migotliwy blask ognia pogłębił zmarszczki wokół jego oczu i załśnił w pasemkach siwizny wśród czarnych włosów.

– Naprawdę?

Właśnie tutaj, w tym domu, powiedziała mu, że jest w ciąży. Październik 1974, ostatni weekend przed Halloween. Była wtedy na stażu, mieszkała przy Pembroke Road. Zadzwoił do niej ojciec. Odebrała trochę zdyszana, musiała bowiem zbiec z drugiego piętra do aparatu w ciemnym, brudnym, zimnym holu. Przyciskając słuchawkę do ucha, błądziła spojrzeniem po numerach telefonów nabazgranych rozmaitymi charakterami pisma na tapecie.

– Wyjeżdżamy z matką na weekend do Paryża. Będiesz mogła zamieszkać na ten czas u nas? Wiesz, jak niechętnie zostawia dom bez opieki. Jest przekonana, że jak tylko postawi stopę na Monkstown Road, coś okropnego przydarzy się jej bezcennym meblom.

Zostawili pełną lodówkę, ale nie była głodna. W sobotę po południu miał wpaść Patrick.

– Świetnie się składa – powiedział. – Na trzecią wiozę Jamesa na rugby, więc będę mógł być u ciebie piętnaście po trzeciej, najpóźniej wpół do czwartej. A odbieram go dopiero o piątą.

Jednak nie przyjechał. Ani nie zadzwonił. Położyła się z książką do łóżka i niemal od razu zapadła w głęboki, niemal narkotyczny sen wypełniony jaskrawymi barwami i przedziwnymi kształtami. Starła się go pojąć, zrozumieć, ogarnąć, próbowała się z niego wydostać. Walczyła ze wszystkich sił, lecz bez powodzenia. Kiedy wreszcie się obudziła, nogi i ręce miała tak ciężkie i zeszywniałe, że jeszcze jakiś czas leżała bez ruchu niczym przyspawana do łóżka.

Do dźwignięcia się zmusił ją dopiero dzwonek telefonu. Słuchawkę wypełniły szeptane usprawiedliwienia. James skrzył nogę w kostce, musieli pojechać do szpitala w Dun Laoghaire, nie miał jak stamtąd zadzwonić, ale jutro wpadnie na pewno, na sto procent. Crea wybiera się z chłopcem na przyjęcie urodzinowe kolegi, wrócą dopiero wieczorem. Zaraz potem odłożył słuchawkę. Bez pożegnania.

Nazajutrz leżeli w jej wąskim łóżku. Okno wypełniał ciepły blask jesiennego słońca. Zsunął kołdrę, przez chwilę patrzył na jej ciało, pochylił głowę, zaczął całować sutki. Odsunęła się.

– O co chodzi, kochanie?

– O nic. Po prostu są teraz bardzo wrażliwe.

Mimo to całował je nadal, pieścił językiem, ssał tak długo, aż nabrzmiały niczym dojrzałe maliny. Ona tymczasem patrzyła nad jego głową na wyblakłą kwiecistą tapetę, na zakurzony abażur we wzór w końskie głowy. Kiedy była mała, nadawała im imiona: Ślicznotka i Srebrnik, Kaskada i Tancerz, Biegus i Polly – wymyślone lub zapożyczone z książek, w których angielskie

dziewczynki spędzały całe dnie na piknikach, zajadając kanapki z serem i jajkami, które troskliwa gospośnia włożyła im do koszyczków.

– Co się dzieje? – zapytał. – Zupełnie jakby cię nie było.

– Jestem, jestem – zaprotestowała.

Usiadła, przygarnęła go, opłotła nogami, wsunęła się na niego i tak długo ślizgała się po nim swoim wilgotnym, pulsującym wnętrzem, aż jego oczy zaszyły mgłą, a z otwartych ust zaczęły się wydobywać nieartykułowane jęki.

Potem zasnął z głową na jej piersi, kłując zarostem delikatną skórę. Nieco później ona także zapadła w sen, obejmując go prawą ręką, z lewą wciśniętą między jego uda. Po jakimś czasie odwróciła się na wznak, on zaś podążył za nią, wsunął rękę pod jej plecy i przytulił ją do piersi, tak że nieduża czarna brodawka znalazła się w zasięgu jej języka. Wtedy właśnie mu powiedziała. A kiedy skończyła, najpierw go pocałowała, później zaś delikatnie ścisnęła jego skórę między palcami, tak że mogła łatwo wziąć sutek do ust, ssała go i pieściła językiem, czekając na reakcję.

Czy coś odpowiedział? Nie zapamiętała żadnych słów, wryła jej się natomiast w pamięć jego czysto fizyczna reakcja: powoli, bez pośpiechu, ale i bez wahania, podniósł się z łóżka. Wstał. Odszedł.

Ubierał się, nie patrząc na nią. Działał powoli, metodycznie, biorąc kolejne części garderoby ze starego fotela na biegunach, na którym wcześniej ułożył je w schludny stosik.

– Nie powinnaś była tego robić – powiedział wreszcie.

– Słucham? Nie rozumiem. Czego nie powinnam robić? Usiadła raptownie, wyciągnęła ramiona, chwyciła go za poły koszuli.

– Nie powinnaś była mnie okłamywać. Obiecywałaś mi. Wydawało mi się, że ustaliliśmy, że coś takiego nigdy się nie stanie.

Pamiętała smak łez spływających po policzkach. Kapały jej na ręce, szybko, coraz szybciej.

– To przypadek. Nie wiem, jak to się stało. Nie planowałam tego, ale teraz czuję w sobie dziecko, nasze dziecko!

Wciąż na nią nie patrzył. Szybkim ruchem zapiął rozporek, wepchnął koszulę w spodnie, starannie wsunął skórzany pasek w szlufki, zapiął go. Wziął z nocnej szafki portfel i zegarek. Wtedy zaczęła go błagać. Nie pamiętała słów, na zawsze jednak został w jej pamięci kwaśny smak w ustach i woń strachu, jaką wydzielalo jej ciało. Zerwała się z łóżka, podbiegła do drzwi, usiłowała go zatrzymać, on jednak, zakuty w zbroję gniewu, bez trudu ją odepchnął. Nie rozumiała, co się dzieje. Zupełnie jakby nagle ogłuchł, ośleplł i zgłupiał. Zmienacka znalazła się w zupełnie nowym świecie, ani trochę niepodobnym do tego, w którym żyła dotychczas.

– Zostań! Zostań jeszcze trochę! Porozmawiamy. Wymyślimy coś. Proszę, zostań.

Co takiego powiedział, kiedy przystanął na chwilę przed otwartymi już drzwiami frontowymi

i odwrócił się z kluczykami w ręce?

– Zawsze byłem z tobą szczery. Wiesz doskonale, co czuję do swojego dziecka, co myślę o swoich zobowiązaniach. Nie mam nic więcej do dodania.

– Ale mówiłeś też, że mnie kochasz!

Stała tak blisko, że kiedy odruchowo wyciągnęła rękę, ta musnęła jego policzek. Podniósł swoją, zacisnął palce na jej dłoni, odepchnął. Opadła jakby była z drewna. Potem wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi.

– To latarnia Kish, prawda?

– Zgadza się. Dwa białe błyski co trzydzieści sekund.

– A Baily?

– Jeden biały błysk co dwadzieścia sekund.

– Zachodni falochron Dun Laoghaire?

– Trzy zielone błyski co siedem i pół sekundy.

– Wschodni?

– Dwa białe co piętnaście sekund.

– Poolbeg?

– Przykryte czerwone dwa razy co dwadzieścia sekund.

– Co to znaczy?

Dolała sobie whisky, wskazała na jego szklanę.

– Że czerwone światło świeci cały czas, ale co dwadzieścia sekund przygasa dwa razy, jakby je ktoś przykrywał.

– Pierwsze słyszę.

– Naprawdę? No więc teraz już wiesz. Dzięki mnie. – Podniósł szklanę w żartobliwym toaście. – Mistrz krzyżówek i rebusów. Kopalnia bezużytecznych wiadomości.

Stali przy oknie, na które z zewnątrz napierała ciemność. Ojciec obejmował ją ramieniem. Otaczał go zapach oliwki do włosów i tytoniu.

– A teraz, Maggie, przejdziemy całą zatokę, zaczynając od Baily na północy.

Kiedy się schyliłby wskazywać jej kolejne światelka, złoty łańcuszek od zegarka musnął jej ucho. Przytulona do niego, wsłuchiwała się w równy, silny rytm uderzeń serca.

– Tatusiu...

– Tak, słonko?

– Kogo kochasz najbardziej na świecie?

– Ciebie, zwieraczku.

– Na zawsze?

– Na wieki wieków. Amen.

– To wcale nie jest tak bezużyteczne, jak by się wydawało. – Patrick pociągnął łyk whisky. –

Wyobraź sobie, że jesteś rozbitkiem, który długimi dniami albo nawet tygodniami dryfuje po morzu w szalupie ratunkowej. W tym czasie twoim jedynym posiłkiem była mewa, która spadła tuż obok łodzi, do picia miałaś tylko odrobinę deszczówki, która zgromadziła się na dnie szalupy. I nagle, pewnego dnia, zobaczyłaś te migające światełka. Od razu zorientowałaś się, gdzie jesteś, zebrałaś resztki sił, chwyciłaś za wiosła i dopłynęłaś do brzegu. Ja natomiast pomyślałbym, że pewnie oszalałem, że muszę ze sobą skończyć, i po prostu rzuciłbym się do wody.

– Mało prawdopodobne. Nigdy nie przejawiałaś skłonności do poświęceń.

– Chwileczkę; bądźmy uczciwi. Zaproponowałem ci pomoc.

Pomoc. Numer telefonu. Adres miejsca, „gdzie możesz zamieszkać, aż będzie po wszystkim, i oddać dziecko do adopcji”.

– A ty ją odrzuciłaś. Powiedziałaś, że się go pozbędziesz. Pamiętasz? Ja pamiętam. Wrzeszczałaś na mnie przez telefon. Proponowałem ci pieniądze, proponowałem opiekę, a ty rzuciłaś słuchawkę.

Teraz on sięgnął po butelkę, żeby sobie dolać. W blasku ognia dostrzegła na jego rękach liczne brązowe plamy. Spojrzała na swoje, oświetlone dodatkowo przez niezbyt odległą uliczną latarnię i zobaczyła to samo: te same przebarwienia, te same chaotycznie porzucane skupiska melatoniny. Zwiastuny starości, niedołęstwa, śmierci.

– Dlaczego więc tego nie zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami, ponownie odwróciła się twarzą do szyby.

– A może jednak zrobiłaś? Pozbyłaś się tamtego dziecka, potem znowu zaszłaś w ciążę, a teraz z jakiegoś chorego, niezrozumiałego powodu usiłujesz mi wmówić, że ona, że ta nieszczęsna zamordowana dziewczyna, była moja?

– Co takiego?

Obróciła się na pięcie, zrobiła krok w jego stronę.

Siedział z głową na wysokim oparciu fotela i spokojnie mierzył ją wzrokiem.

– Zresztą to i tak wszystko bzdury.

– Co takiego? Kolejny krok naprzód.

– Gdyby to była prawda, gdyby ta szalona historia miała choć pozory prawdopodobieństwa, powiedziałaabyś coś policji. Albo sędziemu. Nawet dzisiaj, tam w sali rozpraw, wstałabyś i powiedziała. Zrobiłabyś cokolwiek.

– Co takiego?

Wciąż te same dwa słowa, wypowiedane z narastającym niedowierzaniem. Spojrzała z góry na niego, odpowiedział spokojnym, nieruchomym spojrzeniem. Podniósł szklankę do ust, nie zdążył jednak się napić, ponieważ wytrąciła mu ją z ręki potężnym uderzeniem. Zetknięcie palców z twardym kryształem było tak silne, że aż zdarła sobie skórę z kostek. Po pokoju rozszedł się zapach whisky. Chwilę potem rozległ się przeraźliwy krzyk, rąbnęła go w twarz raz,

drugi, trzeci, wywlokła z fotela, zakrzywionymi jak szpony palcami rozdarła koszulę, rozorała mu paznokciami pierś.

– Patrz! – krzyknęła, podsuwając mu przed oczy zakrwawione palce. – Przyjrzyj się dobrze, zanim jeszcze raz powiesz coś takiego! Spójrz, jak wygląda coś, co wzięło się z twojego ciała, żebyś zawsze o tym wiedział, tak jak ja wiedziałam, że ona wzięła się z mojego!

Wyjęła z biurka plik zdjęć, cisnęła mu na kolana. Zacisnął pięści. Pochyliła się, jedną ręką chwyciła go za włosy, zmusiła do opuszczenia głowy, drugą przerzucała odbitki.

– Patrz, ty draniu! Patrz!

Zapłakana, z trudem łapiąc oddech, podsuwała mu je kolejno pod oczy, aż wreszcie z cichym jękiem usiadła na piętach.

Dopiero teraz się poruszył. Zgarnął fotografie ze swoich kolan i z podłogi, rozprostował, a następnie zaczął układać przed sobą na podłodze. Ciemnoniebieskie oczy, uśmiechnięta twarz, długie szczupłe ramiona i nogi, czarne kręcone włosy, gesty, wyrazy twarzy. Rozpoznawał, porównywał, dopasowywał i kojarzył. Wreszcie wstał, podszedł do okna.

Długo przyglądał się swemu odbiciu w ciemnej szybie. Wrócił, jeszcze raz spojrzął na rozłożone na podłodze zdjęcia, po czym ukląkł obok kobiety, która zwinęła się w ciasny kłębek przed paleniskiem.

– Czego chcesz ode mnie?

Musiał długo czekać na wyszeptaną odpowiedź:

– Chcę, żebyś był jej ojcem. Chcę, żebyś zrobił to, co należy.

Ponownie usiadł w fotelu i siedział w nim dopóty, dopóki w pokoju słychać było jedynie trzaskanie płomieni i szmer deszczu spływającego po szybie.

Rozdział 39

Chcę, żebyś był jej ojcem. Chcę, żebyś zrobił to, co należy.

Siedział za biurkiem w ciemnym pokoju. Dokoła niego dom oddychał cicho. Słysząc było delikatne kapanie wody do zbiornika na strychu, szum pieca centralnego ogrzewania, tykanie licznika prądu w szafie pod schodami. Na piętrze, nad jego głową, spała żona. Wiedział, w jakiej pozycji leży: na prawym boku, obejmując rękami poduszkę, z kolanami podciągniętymi do samej piersi. Jasne włosy rozrzucone na policzku, a kiedy się porusza, jej ciało wydziela delikatny, ledwo uchwytny zapach. „Joy”, tak się to chyba nazywa. Powinien wiedzieć. Przecież dostała już od niego dziesiątki buteleczek z tymi perfumami. Urodziny, święta, rocznice ślubu. Kupowane w sklepach wolnoćlowych tuż przed odlotem samolotu albo u Browna Thomasa, w pięknych gwiazdkowych opakowaniach. Ich woń wsiąkła we wszystkie pory jej ciała, we wszystkie zakamarki, zastępując naturalne zapachy.

Włączył lampę na biurku, wsunął ręce w plamę żółtego blasku na ciemnym drewnie. Odwrócił je, przyjrzał się różowym dłoniom pooranym głębokimi bruzdami. Wciąż pamiętał dotyk drobnej dłoni Margaret, kiedy wiele lat temu poprosił ją do tańca. Delikatny, ale zarazem silny i zdecydowany. Siła i zdecydowanie emanowały z jej ciała podczas tańca. Kontrolowała każdy ruch, każdy krok, każdą zmianę kierunku. Na policzku miała odgnieciony ślad po oparciu fotela, na którym zasnęła. Miał ochotę przesunąć po nim palcami, potem językiem, potem odchylić do tyłu jej głowę i pocałować w szyję. Niczego jednak nie zrobił. Zatańczył walca, potem odwiózł ją do domu, niezdolny wykrztusić ani słowa z powodu niewyobrażalnego pragnienia, które sparaliżowało mu struny głosowe, czyniąc go jednocześnie boleśnie świadomym każdego kawałeczka ciała ocierającego się i napierającego na klatkę ubrania.

Pragnienie. Co właściwie oznaczało to słowo? Pragnął jej. Pragnął na nią patrzeć, rozmawiać z nią, słyszeć jej imię, dotykać ją. To uczucie napełniało go lękiem. Było nowe, nieznanome. Do tej pory nigdy nie pragnął czegoś, co mogło zniszczyć jego życie. Do tej pory wszystko było proste i jasne. Szkoła, studia, aplikacja, małżeństwo, ojcostwo. Niczym niezakłócona wspinaczka prowadząca nieuchronnie do sukcesu. A to? Czym to było?

Wstał, podszedł do drzwi, otworzył je i wyszedł do pogrążonego w ciemności holu. Skierował się do salonu – nie po linii prostej, lecz po półokręgu, by ominąć skrzypiącą deskę w lakierowanej podłodze. Nauczył się tego wkrótce po ślubie. Po omacku dotarł do kredensu, wyjął butelkę brandy i szklanę, wrócił z nimi do gabinetu. Stopy nieomylnie prowadziły go wielokrotnie przemierzaną ścieżką.

Otworzył szafkę z aktami, wyciągnął trzy opasłe segregatory, usiadł przy biurku. Nalał brandy do szklanki, wypił trochę, rozłożył przed sobą dokumenty i zabrał się do lektury.

– Jak możesz bronić kogoś takiego? – zapytała go wcześniej tego wieczora. – Jak możesz

pomagać komuś, kto zrobił to, co zrobił?

Zamierzał udzielić standardowej odpowiedzi. Takiej, jakiej udziela każdy adwokat, któremu ktoś zada to pytanie. „Każdy ma prawo do obrony. Każdy jest uważany za niewinnego do chwili, gdy udowodni mu się winę. Ja nie wydaję wyroków. Ani ty. O winie decyduje sąd i dopóki nie wyda werdyktu, ten człowiek jest niewinny. I ma takie same prawa jak ty czy ja”.

Ale słowa nie chciały przejść mu przez gardło. Wiedział. Tak samo jak ona wiedziała. Adwokaci nie powinni wiedzieć, nie w ten sposób. Mieli jedynie znać fakty oraz przepisy prawa, które można i należy zastosować do ich interpretacji. Powinni znać prawo na wylot, ze wszystkimi jego niekonsekwencjami i brakami, i wiedzieć, jak wykorzystać tę wiedzę ku pożytkowi klientów. Ani wina, ani niewinność nie miały z tym nic wspólnego.

Ile razy rozmawiał z Jimmym Fitzsimonsem? Dwa, może trzy. Siedzieli po dwóch stronach stolika w niewielkim więziennym pokoiku, na tyle blisko, żeby wyraźnie czuł stęchły smród papierosowego dymu, którym prędzej czy później przesiąkał każdy więzień. Pytał go o szczegóły, które musiał znać. Wysłuchał historii, którą tamten opowiedział. Gdyby zechciał, mógłby wiele odczytać między wierszami, mógłby wypełnić luki, ale nie na tym polegała jego praca. Znacznie bardziej interesowało go to, w jaki sposób policja traktowała jego klienta. Zapoznał się z zeznaniami Jimmy’ego złożonymi w trakcie śledztwa, wynotował słabe punkty i niekonsekwencje, zaplanował linię obrony. Ale Jimmy bardzo chciał rozmawiać o dziewczynie. Zaczął udzielać całkowicie zbędnych wyjaśnień. Pragnął o niej mówić, opowiadać, uczynić ją rzeczywistą. Nie pozwolił mu na to. Skończył rozmowę, wyszedł.

Teraz ponownie przeczytał zeznania, ponownie zapoznał się z rezultatami sekcji zwłok, ponownie otworzył przygotowany przez policję album ze zdjęciami.

Widział je już wiele razy. Przyglądał się ciału dziewczyny, oceniał rozmiar i ilość obrażeń. Patrzył na nie jak na dowody. Dowody czego? Zbrodni czy wyjątkowo burzliwego pożycia seksualnego? Tym razem znacznie większą uwagę poświęcił twarzy. Wyjął z kurtki jeszcze dwie fotografie, położył obok tamtych. Na jednej miała na sobie cielisty trykot, stała przy poręczy. Perfekcyjna arabesque. Uniesiona głowa, wyprostowany kark. Włosy zebrane w ciasny węzeł, z którego jednak wymknęło się kilka niesfornych zakręconych pasemek. Na drugiej siedziała po turecku na wielkiej poduszce, głowę oparła na ręce, roześmiana spoglądała w górę w obiektyw, za jej plecami płonął ogień w kominku.

Jak porównać ją z tym obrazem zniszczenia? Jeszcze raz przeczytał opis uszkodzeń ciała, porównując go z fotografiami. „Oparzenia na wewnętrznej stronie prawego uda”. Wziął do ręki właściwe zdjęcie. Trzy punkciki na białej skórze, niemal w linii prostej. Przypuszczalnie znamiona. A między nimi głębokie, sięgające mięśni rany po oparzeniach.

– To twój pas Oriona, prawda?

– Co takiego?

– No wiesz, gwiazdozbiór. Orion. Myśliwy. Trzy gwiazdy tworzą jego pas. Zimą bardzo łatwo wypatrzeć go na niebie.

Leżeli w metalowym łóżku jego młodszego brata w mieszkaniu przy Mountjoy Square. To była ich pierwsza wspólna noc. Wieczorem poprzedniego dnia spotkali się w pubie. Rok po tamtym przyjęciu. Czekał na nią u Conwaya, co chwila zerkał na zegarek. Umówili się na szóstą. Zamówił drinka i usiadł przy stoliku w kącie, przodem do drzwi. Telewizor był włączony. Zabrzmiał dzwon na Anioł Pański. Na ekranie pojawiła się renesansowa Madonna z Dzieciątkiem. Rafael, przemknęło mu przez głowę. Pił i czekał, spoglądając na zegarek. Minęło dziesięć minut. Powinien wyjść. Tak byłoby lepiej. I właśnie wtedy zjawiła się przed nim. Długi brązowy płaszcz w wojskowym stylu ze srebrnymi guzikami, czarny beret, który natychmiast ściągnęła z głowy, uwalniając włosy. Wszyscy na nią patrzyli.

Zostali aż do zamknięcia.

– Nie chcę wracać do domu – powiedziała, kiedy szli Parnell Street.

Kąśliwy wiatr szarpał jej długim szalem. Rozpiął płaszcz, przygarnął ją, odszukał jej usta łapczywie otwartymi ustami.

Zabrał ją do mieszkania Hugh'a na poddaszu wyremontowanego georgiańskiego domu. Zielonkawe ściany i sufit. Spłowiałe tureckie dywany. Na stole stary gramofon.

– Spójrz – powiedziała, wyjmując z koperty czarną płytę. – Posłuchaj.

Znowu głos Kathleen Ferrier. Znowu historia Orfeusza i jego tragicznej miłości do Eurydyki. Stała na środku pokoju. Zdjął z niej płaszcz. Ściągnął jej przez głowę czarny sweter z miękkiej wełny. Rozpiął długą plisowaną spódnicę, a ta spłynęła koncentrycznymi kręgami do jej stóp. Ukląkł, ściągnął z jej nóg zamszowe buty. Wstał, uwolnił piersi z białego staniczka. Przesunął dłońmi po jej biodrach, ściągając resztę bielizny. Miał ją teraz przed sobą całkiem naga, drobną i delikatną.

Sączące się przez okna nieśmiałe światło przedświtów wypełniło pokój przyćmioną szarością. Odrzuciła koldrę.

– Żeby cię widzieć – powiedziała.

Potem zaczęła go całować. Zaczęła od ust, zsuwała się coraz niżej, aż wreszcie dotarła do znamion na nodze.

Zostali razem na weekend. Wymyślił jakąś wymówkę. Zadzwoił do domu. Skłamał. Nie mógł jej zostawić. Aż do niedzielnego wieczoru. Pożegnali się na postoju taksówek naprzeciwko hotelu Gresham. Idąc Parnell Street, trzymali się za ręce, jednak gdy tylko skręcili w O'Connell Street, wysunął dłoń z jej palców, odsunął się, przyspieszył kroku. Odwrócił głowę, żeby nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy. Potem tak długo stał przed lustrem w łazience tutaj, w tym domu, aż para całkowicie przesłoniła odbicie, i patrzył na siebie wypełnionymi nią oczami. Myjąc się, czuł wyłącznie jej zapach, a kiedy owinął się ręcznikiem, cały czas czuł jej dotyk.

Ta dziewczyna ze zdjęć była jego dzieckiem. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nalał sobie kolejną porcję brandy, wypił, po czym ustawił lampę w taki sposób, że oświetlała oprawione w ramki fotografie stojące na marmurowym gzymsie kominka. Starszy syn James. Młodszy Conor. James miał dwadzieścia sześć lat i też był adwokatem. Właśnie zaczynał karierę. Conor miał dwadzieścia jeden lat. Urodził się w końcu lipca 1975. Poczęty zaledwie kilka tygodni po Mary. Wstał z fotela, podszedł do kominka, kolejno zdjął wszystkie fotografie. Od dzieciństwa aż do dorosłości. Obaj chłopcy odziedziczyli po nim czarne kręcone włosy, niebieskie oczy, jasną cerę, wzrost. Obaj mieli szparę między górnymi jedykami. Taką jak on. Taką samą jak ta, na którą zwrócił uwagę, kiedy oglądał policyjne zdjęcia przedstawiające twarz i wnętrze jamy ustnej Mary.

Wrócił do biurka, obrzucił jeszcze jednym spojrzeniem leżące tam fotografie, a potem podszedł do stojącego na półce w kącie odtwarzacza, przez chwilę grzebał w stosie płyt, wreszcie znalazł tę, której szukał, wyjął z pudełka, położył na tacce, wcisnął play.

Che faro senza Euridice,

Dove andrb senza

U mio ben, Euridice!...

Oh Dio! Rispondi!

Io son pure, ii tuofedel!

Nedal mundo, ne dal ciel!

Che farb senza Euridice?

Dove andrb senza U mio ben?

Co pocznę bez mej Eurydyki,

Dokąd pójdę bez mojej ukochanej...

Co powiedziała Margaret?

Chcę, żebyś był jej ojcem. Chcę, żebyś zrobił to, co należy.

Spędzi noc tutaj, słuchając muzyki i zadając sobie pytania.

A rano będzie znał odpowiedzi. Będzie wiedział, co począć.

Rozdział 40

Przysięgam na Boga Wszchemogącego, że będę się starał uczciwie i wnikliwie ustalić, czy oskarżony jest winny zarzucanych mu czynów, oraz wydać sprawiedliwy wyrok na podstawie przedstawionych dowodów.

Ławnicy złożyli przysięgę. Woźny wprowadził ich do sali rozpraw. Zasiedli na ogrodzonym podium po lewej ręce sędziego. Od tej chwili aż do końca procesu najważniejsze rzeczy na świecie miały rozgrywać się w niewidzialnym trójkącie między nimi, przewodniczącym składu sędziowskiego i oskarżonym.

David Douglas, oskarżyciel, podniósł się z krzesła. Pulchną ręką przytrzymał połę szaty. McLoughlin obserwował go ze swego zwykłego miejsca przy drzwiach. Oskarżyciel stanął twarzą do ławy przysięgłych. Kołysał się lekko na piętach. Za jego plecami, w pierwszym rzędzie ławek ustawionych bokiem do publiczności, siedział Jimmy. Był bardzo blady. Dostał zastrzyk valium i przespał prawie całą dobę. Lekarz więzienny stwierdził, że jest zdrow jak ryba. Nie ma najmniejszego powodu, żeby odkładać rozprawę. Byłoby jednak dobrze, gdyby nie widywał swojej siostry, „wiecie, tej niedorozwiniętej dziewczynki. Zdaje się, że to jej widok tak bardzo go poruszył”.

Douglas rozpoczął wystąpienie. Najpierw opowiedział ławnikom o procedurze, wyjaśnił, w jaki sposób będą prezentowane i oceniane dowody. McLoughlin przeniósł wzrok na Margaret. Siedziała z pochyloną głową, skupiwszy uwagę na trzymanym na kolanach notesie. Przyszła wcześniej, żeby zająć miejsce w pierwszym rzędzie. Zwrócił uwagę, że była bardzo blada. Miała cienie pod oczami, od nasady nosa do kącików ust biegły dwie głębokie bruzdy – wyorane, przemknęło mu przez myśl, rozpaczą i tęsknotą. Była jednak jak zwykle elegancko ubrana: ciemne wełniane spodnie, biała bluzka, ciemny żakiet. McLoughlin popatrzył na rozchichotanych, szepczących między sobą reporterów. Oni także ją obserwowali. Wyobraził sobie tytuły w gazetach: „Zrozpaczona matka na rozprawie zabójcy córki” i temu podobne. Może powinien jej zasugerować, żeby jednak nie przychodziła codziennie? Żeby nie zadawała sobie niepotrzebnych cierpień? Z drugiej strony jednak, gdyby chodziło o jego córkę, z pewnością nie siedziałby w domu, czytając tylko relacje w gazetach i oglądając migawki w wieczornych wiadomościach.

– To wyjątkowo tragiczna sprawa – ciągnął Douglas. – Usłyszycie i zobaczycie wstrząsające rzeczy. Będziecie musieli uczestniczyć w ostatnich, wypełnionych strachem i cierpieniem, dniach życia Mary Mitchell. Będziecie musieli rozstrzygnąć o winie lub niewinności tego młodego człowieka oskarżonego o popełnienie zabójstwa. Muszę już teraz powiedzieć coś, co będzie jeszcze wielokrotnie powtarzane: prawo nakazuje, żeby oskarżonego uważać za niewinnego aż do chwili, kiedy udowodni mu się jednoznacznie i ponad wszelką wątpliwość, powtarzam: ponad

wszelką wątpliwość, że popełnił zarzucane mu czyny. Decyzja w tej kwestii należy wyłącznie do was, do nikogo innego.

McLoughlin przestąpił z nogi na nogę. Po wczorajszych wyczynach potwornie bolała go głowa, ale przynajmniej nie miał mokrych butów. Pogoda znowu się zmieniła. Na zewnątrz słońce świeciło na bezchmurnym błękitnym niebie, splukanym przez wczorajszą ulewę. Przymknąwszy oczy, słuchał, jak oskarżyciel przedstawia ogólny zarys sprawy, tworząc podstawy całkowicie autonomicznego świata, który miał powstać wyłącznie w jednym celu: żeby w jego ramach rozstrzygnąć o winie lub niewinności oskarżonego. Od tej pory będą żyć wyłącznie w tej rzeczywistości tworzonej przez obronę i oskarżenie. W grze polegającej na interpretacji wydarzeń prawda będzie najwyższą premią, jednak tylko i wyłącznie od nich zależy, które z dowodów uznają za warte wykorzystania i wzięcia pod uwagę. Spojrzał w górę na świetlik, potem ponownie na dół, na kasetonowe drzwi po obu stronach fotela sędziego. Te po lewej prowadziły do jego gabinetu, te po prawej do pokoju narad. Inne drzwi, szklane, za plecami McLoughlina, wychodziły na główny hol ogromnego gmachu. Zamknął oczy, popuścił wodze wyobraźni. Gigantyczny sześcian z kamienia i betonu, odgradzony od świata zewnętrznego, unoszący się w kosmosie. Wehikuł czasu przemieszczający się także w przestrzeni. W jego ścianach odżyje osiem dni sprzed sześciu miesięcy, kiedy umarła Mary Mitchell.

– Cofnijmy się teraz – ciągnął Douglas, oparłszy stopę w błyszczącym pantoflu na krawędzi ławki – do poniedziałku czternastego sierpnia 1995 roku. Na wypadek, gdybyście nie pamiętali, powiem wam – zerknął do notatek – że był to upalny dzień, jakich wiele przeżyliśmy tamtego nadzwyczajnego lata. Niejaki Barney Morrison spacerował ze swoim psem brzegiem Grand Canal, tuż za mostem przy Hazel Hatch. Była to jego ulubiona trasa przechadzek, szczególnie rankiem między siódmą trzydzieści a ósmą. Rzucił psu kij do wody, kawałek gałęzi czarnego bzu, jeśli się nie mylę, a pies przynosił go z powrotem. Jednak za którymś razem nie wrócił, pan Morrison zszedł więc nad sam brzeg, aby sprawdzić, co się stało. Wołał psa wielokrotnie, aż wreszcie ten przybiegł z jakimś niezidentyfikowanym przedmiotem zwisającym z pyska. Kiedy pan Morrison otworzył psu pysk, spostrzegł, iż jest to kawałek czarnego foliowego worka oraz mokry kosmyk czarnych kręconych włosów. Spojrzał w kierunku, z którego nadbiegł pies, i ujrzał zawinięte w foliowe worki ciało Mary Mitchell zaplątane w gałęzie pochylonego nad wodą jesionu.

Umilkł, napił się wody z wysokiej szklanki.

– Teraz z kolei cofnijmy się jeszcze dalej, do niedzieli szóstego sierpnia. Jakaś kobieta dzwoni na posterunek policji w Dun Laoghaire. Zgłasza zaginięcie córki. Przeżywa okropny tydzień wypełniony oczekiwaniem, by w następnym poniedziałku dowiedzieć się, że znaleziono ciało córki. A teraz, jeśli pozwolicie, opowiem wam nieco o tej młodej kobiecie.

McLoughlin rozejrzał się po sali. Głos prawnika podnosił się i opadał. W powietrzu, niczym

plamy słonecznego blasku, zawisały słowa takie jak piękna, utalentowana, niewinna. Twarze sędziów przysięgłych były skupione, nie ulegało wątpliwości, że słowa oskarżyciela wywierają na nich silne wrażenie. Z kolei twarz oskarżonego zastygła w kształcie obojętnej maski, jakby wszystko to, co działo się dookoła, ani trochę go nie dotyczyło. Siedział wyprostowany, z dłońmi złączonymi na kolanach. Woźny siedział z założonymi rękami, które zasłaniały złotą lirę wyhaftowaną na piersi jego uniformu. Sekretarz sądu trwał bez ruchu na swoim stanowisku naprzeciwko stenografistki, która, patrząc na twarz mówiącej właśnie osoby, z wprawą i biegłością przebiegała palcami po klawiaturze komputera.

– Chwilowo nie będę opisywał ze szczegółami potwornych obrażeń, jakie znaleziono na ciele tej młodej osoby – ciągnął oskarżyciel. – W odpowiednim czasie opowiedzą o nich biegli, wy zaś zobaczycie zdjęcia, które dadzą wam wyobrażenie o ogromie fizycznych i psychicznych cierpień, jakie stały się jej udziałem, i które ostatecznie doprowadziły do jej śmierci. Już teraz jednak mogę oświadczyć z całą odpowiedzialnością, iż podczas tego procesu oskarżenie ma zamiar postawić tezę, a następnie dowieść jej słuszności, że nie było to zabójstwo w afekcie, a tym bardziej nie było to zabójstwo nieumyślne, lecz zaplanowane z zimną krwią i bezwzględnie przeprowadzona egzekucja, że młoda, utalentowana, niewinna Mary Mitchell została najpierw porwana, potem wielokrotnie w okrutny sposób gwałcona, wreszcie z premedytacją zamordowana.

Jego głos rozbrzmiewał w sali z siłą grzmotu, przykuwając uwagę słuchaczy i nie pozwalając im na żadne wątpliwości. Oskarżyciel przerwał ponownie, przez chwilę szperał w papierach, wreszcie wydobył ze stosu dokumentów pojedynczą kartkę, założył okulary „połówki”, przez kilka sekund wpatrywał się w nią uważnie, a następnie zdjął szkła i, obracając je w palcach, podjął na nowo:

– Pozwólcie, że zacznę od zdefiniowania pojęcia „morderstwo”. – Zawiesił głos, odchrząknął, przesunął spojrzeniem po ławie przysięgłych. – „Jeśli ktoś pozbawia życia innego człowieka, jego czyn może zostać uznany za morderstwo jedynie wtedy, kiedy działał z rozmysłem i celowo, tak, by pozbawić kogoś życia lub zadać poważne obrażenia, które mogłyby doprowadzić do śmierci”. – Umilkł na chwilę. W sali panowała niczym niezmacona cisza. – „Należy zakładać, że osoba taka w pełni zdawała sobie sprawę z bezpośrednich i pośrednich skutków swego postępowania”. Słyszeliście, prawda? – Podniósł wzrok na przysięgłych. – Należy zakładać, że osoba taka w pełni zdawała sobie sprawę z bezpośrednich i pośrednich skutków swego postępowania... Oznacza to, że jeśli uderzę w głowę mężczyznę mojej postury, mogę z dużą dozą prawdopodobieństwa przewidzieć, co się z nim stanie. Podobnie, kiedy z całej siły uderzę w skroń kobietę znacznie ode mnie mniejszą i lżejszą, po tym, jak ją uprzednio głodziłem, biłem, gwałciłem waginalnie i analnie, przypalałem papierosami i ciałem nożem, również mogę się łatwo domyślić, jakie będą konsekwencje moich czynów.

Jeżeli po tym wszystkim nie wsadzę jej do samochodu i nie zawiozę do najbliższego szpitala, nie podejmę próby powstrzymania licznych wewnętrznych i zewnętrznych krwotoków, to mogę być niemal pewien, jakie będą tego skutki. Gdyby oskarżony pan Fitzsimons podjął najmniejszy wysiłek w celu jej uratowania, Mary Mitchell byłaby dzisiaj wśród nas cała i zdrowa, zamiast spoczywać półtora metra pod ziemią w cichym zakątku cmentarza Mount Jeremy. – Przełknął łyk wody. – A teraz, zanim oskarżenie zacznie przedstawiać swoich świadków, pragnę wam jeszcze raz przypomnieć o zasadzie domniemania niewinności. Powtarzam: oskarżony jest niewinny aż do chwili, kiedy ponad wszelką wątpliwość udowodni mu się winę. Pragnę również zaznaczyć, iż nie ma on obowiązku ani przedstawiania argumentów na swoją obronę, ani wyjaśniania swoich poczynań. Jeśli chce, może milczeć i nikt nie powinien wyciągać żadnych wniosków z jego milczenia. Na razie jest niewinny. Kropka. Koniec.

Usiadł, a w sali zaszumiało. Jak w ulu, pomyślał McLoughlin, prostując grzbiet i przestępując z nogi na nogę. Albo podczas przerwy w projekcji bardzo długiego filmu, na przykład *Przeminęło z wiatrem* albo *Lawrence z Arabii*. Czas na wyjście do toalety albo na papierosa. Tyle że w tym przypadku więcej ludzi chciało wejść niż wyjść. Podczas wystąpienia oskarżyciela do sali wciąż wślizgiwały się po cichu młode kobiety w perukach i togach, na zasadzie kontrastu jeszcze bardziej podkreślających ich młody wiek, stawały przy ścianach i w skupieniu słuchały starszego doświadczonego kolegi. Nauka z praktyki, pomyślał McLoughlin. Godne polecenia. Ambicja niweluje różnice płci, czy jak to się teraz nazywa.

Jedna z asystentek oskarżyciela, niewysoka młoda kobieta z ciemnymi włosami skrytymi pod peruką jak pod zakonnym kwefem, wezwała pierwszego świadka. McLoughlin ponownie się wyprostował, złączył ręce za plecami, napiął mięśnie, poruszył nimi w lewo i w prawo. Na dobrą sprawę dopiero teraz wszystko się zaczynało, dopiero teraz rozpoczęło się tworzenie łańcucha dowodowego o jednoznacznie i w oczywisty sposób połączonych ogniwach. On jednak często odnosił wrażenie, iż to, co działo się przed sądem, należałoby raczej porównać do układania puzzli, w których elementami układanki są zeznania kolejnych świadków oskarżenia. Żadnych niedokładności, odstających krawędzi, zbędnych luk. Wszystko doskonale do siebie dopasowane, na koniec zaś pojawia się wyraźny obraz. Popełniono zbrodnię. To jej szczegóły, to zaś sprawca lub sprawcy. Śledztwo wyglądało całkowicie inaczej. Przypominało raczej trójwymiarowy obraz: początkowo widać tylko rozmazane, bezładnie wymieszane kształty i barwy, potem jednak, w miarę upływu czasu, po zmrużeniu oczu, po zbliżeniu obrazka do twarzy, nagle pojawia się oczywiste rozwiązanie. Przed samym nosem. Wyraźne jak w biały dzień. Rzucające się w oczy. A ty nie możesz pojąć, jak to się stało, że nie widziałeś go od początku.

Na początku zeznawali młodzi ludzie, w których towarzystwie Mary spędziła tamten sobotni wieczór. Kolejno przedstawiali się imieniem i nazwiskiem, po czym składali przysięgę głosami, które zdawały się ginąć w wielkiej sali. Zeznawali do mikrofonu. Chłopak zaczął przy nim

majstrować, z głośników rozległo się wycie, sekretarz sądu sięgnąłby go poprawić i mikrofon spadł na podłogę. Rozległy się nieliczne nerwowe śmiechy. Relacjonowali przebieg spotkania. Z kim się widzieli, o czym rozmawiali. Mówili o Mary. Była fajna. Była w porządku. Była w znakomitej formie. Piła malibu z sokiem ananasowym. Potem wyszła. Czy sprawiała wrażenie spiętej, zaniepokojonej, wystraszonej? Zgodnie zaprzeczyli. Obrona nie miała pytań.

Potem za barierką stanął niemłody już mężczyzna. Przedstawił się. Złożył przysięgę, trzymając Biblię w drżącej prawej ręce. Asystentka oskarżyciela poprosiła go, by opowiedział o tym, co robił rano w poniedziałek 14 sierpnia. Zaczął cicho i z wahaniem, stopniowo jednak nabierał pewności siebie. Na jego policzkach rozkwitały coraz intensywniejsze rumieńce, oczy rozbłysły, słowa płynęły wartko, jakby recytował wyuczoną lekcję. Ciekawe, ile piw postawiono mu w jego ulubionym pubie, by zechciał uraczyć gości swoją opowieścią? Ciekawe, jak często jego dzieci i wnuki godziły się z koniecznością przeczekiwania długich ataków zaflegmionego kaszlu, byle tylko po raz kolejny usłyszeć tę historię? Dziadku, opowiedz jeszcze raz! Jak wyglądała? Czy cuchnęła? Czy była zielona?

Skończył, podziękowano mu, zszedł z podwyższenia. Znowu żadnych pytań ze strony obrońcy. Kiedy, powłócząc nogami, wracał na miejsce, zatrzymał się przy Margaret i bez słowa położył jej na ramieniu kościstą, powykręcaną artretyzmem rękę. Drgnęła i cofnęła się odruchowo, przypomniawszy sobie widocznie – tak jak właśnie teraz przypomniał sobie McLoughlin – nieruchome ciało dziewczyny w kostnicy i ślady psich zębów na jej białym czole.

Mam nadzieję, że ma dużo siły, pomyślał. Będzie gorzej. Będą pokazywane zdjęcia. Co prawda ona nie będzie ich widziała, ale zobaczą je sędzia, przysięgli, obrońca i oskarżyciel. Przygotowano specjalny album. Gerry Scully, chłopak z działu technicznego, robił odbitki, opisywał je, a następnie wsuwał w foliowe okładki, tak jak robi się z fotografiami ze ślubu albo bierzmowania. Teraz właśnie je oglądano, podczas gdy oskarżyciel pytał Gerry'ego, kiedy i gdzie je wykonano, z jakiej odległości i pod jakim kątem. Album zawierał piętnaście odbitek. Oskarżyciel omawiał kolejno wszystkie, prosząc Gerry'ego, by opowiedział ze szczegółami o każdej z nich. McLoughlin uważnie obserwował twarze przysięgłych. Najpierw pojawiała się na nich niedowierzanie i przerażenie, które potem, w miarę jak przewracali kartki albumu, ustępowało miejsca kontrolowanej ciekawości. Szybko oswajali się z kształtami i barwami. Szybko zaczęli traktować dziewczynę i jej ciało po prostu jako przedmioty. Kiedy słuchali szczegółowego opisu obrażeń, nie chwytaly ich mdłości. Owszem, była ofiarą, lecz równocześnie stopniowo przestawała istnieć w ich wyobraźni jako prawdziwy człowiek. Gdyby przeżyła, gdyby mogła stanąć za barierką i opowiedzieć o tym, co ją spotkało, jej zeznania wywarłyby wstrząsające wrażenie. Ponieważ jednak nie mogła przemówić, miała być traktowana tak, jak życzyły sobie tego obrona lub oskarżenie. Widywał to już wiele razy. Prawdziwa Mary Mitchell nie miała szans na to, by ożyć w tej sali. Zamiast niej miała powstać namiastka, kopia,

Doppelgeinger, który od tej pory będzie żył w relacjach i zapisach, we wspomnieniach wszystkich, którzy będą siedzieli tu i słuchali dzień w dzień, aż do samego końca.

Rozdział 41

Kiedy sędzia oglądał album, Margaret nie spuszczała go z oka. Usadowiony wysoko, ponad wszystkimi, spowity kasztanowatymi szatami, z twarzą profesjonalnie pozbawioną wyrazu. Potem przeniósł wzrok na przysięgłych. Ci nie potrafili tak doskonale ukrywać uczuć. Mogła się domyślać, co akurat oglądają, widząc ich pobladłe twarze, ręce odruchowo podnoszone do ust, zmarszczone lub uniesione brwi. Patrzyła też na Patricka. Siedział odwrócony bokiem, jedna ręka spoczywała na oparciu ławki, palce drugiej wybijały niecierpliwy rytm na stole. Album leżał obok na ławce.

Policjant Gerry Scully opowiadał o kątach, odległościach, obiektywach. Zupełnie jakby on i oskarżyciel należeli do jakiegoś kółka fotograficznego. Opowiadał o tym, co działo się nad kanałem. Pierwsze fotografie wykonano jeszcze, zanim ciało Mary zostało wydobyte z wody. Widać na nich było to, co później zidentyfikowano jako głowę ofiary. Jej kark uwiązał między korzeniami drzewa rosnącego na brzegu. Margaret bez trudu mogła to sobie wyobrazić: korzenie tulące ją, obejmujące, przytrzymujące tuż pod uszami. Zupełnie jak na ilustracjach Arthura Rackhama do wydania *Piotrusia Pana*, które miała jako dziecko. Drzewa z długimi palcami i upiornymi pniami. Oczy wyczierające z dziupli i sęków, liście spływające ku ziemi jak włosy. Kiedy Mary była mała, w Nowej Zelandii dużą popularnością cieszyły się książeczki o żyjących na drzewach dzieciach Kutu i Kawa. Imiona te pochodziły od nazwy *pohutukazua*, pięknego i dostojnego drzewa o jaskrawoczerwonych kwiatach. Mary uwielbiała je, tak samo jak jej matka uwielbiała ilustracje Arthura Rackhama. W pewnym sensie Margaret była nawet zadowolona, że to właśnie drzewo zatrzymało jej córkę, że to drzewo nie dopuściło do tego, by opadła na brudne, muliste dno kanału.

Douglas przeszedł do kolejnych zdjęć. Wykonano je po tym, jak poziom wody w kanale został obniżony o pięćdziesiąt centymetrów. Widać było na nich wyraźnie, jak spoczywa w całunie z czarnej folii, z dwoma betonowymi bloczkami przytroczonymi za pomocą solidnej niebieskiej linki. Jeden przywiązany do szyi, drugi w pasie. Zbliżenia bloczków i węzłów. I śladów na jej twarzy.

– Proszę nam opowiedzieć o tych zdjęciach – zażądał Douglas.

Zrobiono je po wyciągnięciu ciała na brzeg. Leżało na ścieżce biegnącej wzdłuż kanału.

– Tutaj widać mocną taśmę klejącą, którą posłużono się dla połączenia foliowych worków, tutaj zaś betonowe bloczki i liny.

– Teraz przechodzimy do ostatniego zestawu. Gdzie wykonano te fotografie?

– W kostnicy, przed sekcją zwłok.

– Co na nich widać?

– Obrażenia na twarzy, tułowiu i udach. Na zdjęciu numer dwanaście widać również, że

ostrzyżono jej włosy.

– A na zdjęciu numer trzymaście?

– Że ostrzyżono jej również włosy łonowe. Oprócz tego widać także inne obrażenia. Jeśli się nie mylę, te na udach to chyba oparzenia.

– Zgadza się, panie Scully. – Douglas zerknął na niego znad okularów. – Wreszcie fotografia numer czternaście. Może pan nam powiedzieć, co przedstawia?

– Piersi i górną część brzucha. Tutaj również widać liczne rany cięte i zasinienia.

Margaret ponownie spojrzała na Patricka. Pospieszenie przerzucił kartki leżącego przed nim albumu. W pewnej chwili oderwał wzrok od kolorowych odbitek, rozejrzał się dookoła, a następnie wrócił do przerwanej czynności. Wyznał jej, że początkowo, kiedy oglądał udokumentowane na zdjęciach dowody zbrodni, o które byli oskarżeni jego klienci, robiło mu się niedobrze.

– Jak reagujesz w takich sytuacjach? Co robisz, jeśli wiesz, że na pewno są winni?

– No cóż... – odparł ostrożnie. – To zależy od tego, jak rozumiemy słowo „wiedzieć”.

– Daj spokój. Daruj sobie filozofowanie.

– Wcale nie filozofuję. Chcę przez to powiedzieć, że każdy klient przedstawia własną wersję wydarzeń. Nie wolno mi się zastanawiać, czy jest prawdziwa czy nie. Od tego jest sąd. Muszę postępować, opierając się na tym, co mi powiedzieli, ale to oznacza także, że jeśli powiedzą coś obciążającego, nie mogę tego ukrywać.

– Chyba jednak im to się nie zdarza?

– Rzeczywiście, nie. Ale i tak nazbyt pochopnie wyciąga się wnioski. Tylko dlatego, że policja kogoś aresztuje, przesłuchuje i nie dopuszcza do tego, by został zwolniony za kaucją, a potem cały świat ogląda nieszczęśnika w telewizji, z kajdankami na rękach i płaszczu zarzuconym na głowę, prowadzonego pod eskortą na salę sądową, wszyscy od razu nabierają przekonania, że jest winny. A przecież każdy...

– Tak, wiem, wiem. Ma prawo do obrony.

– Otóż to. A moja praca polega na tym, żeby im tę obronę umożliwić. Najlepiej zresztą przyjdź i sama zobacz. Zobacz, jak to naprawdę wygląda.

Przyszła więc do tej samej sali rozpraw, usiadła w części przeznaczonej dla publiczności – może nawet w tej samej ławce? Nie mogła sobie przypomnieć, pamiętała natomiast doskonale rozprawę. Mężczyznę oskarżono o zamordowanie żony. Przyznał się, że ją zabił, utrzymywał natomiast, iż nie było to zabójstwo. Został sprowokowany, działał pod wpływem impulsu, bez premedytacji. Obserwowała go, zastanawiając się, czy to prawda. Był niewysoki, błady. Wyglądał jak ktoś, kto całe życie jadał wyłącznie biały chleb i chipsy. Płakał, kiedy oskarżyciel opowiadał, w jaki sposób zginęła ofiara, zatłuczona w kuchni na śmierć ciężkim kluczem francuskim. Jego żałosny szloch słychać było w najdalszych zakamarkach sali. Wydawało jej się

niemal pewne, że zostanie uznany za winnego zabójstwa – do chwili, kiedy Patrick przystąpił do działania. Doskonale pamiętała, jak to zrobił. Kolejni świadkowie opowiadali o ofierze. Gwałtowna, nieznośna, agresywna, próżna, odrażająca, chciwa, seksualnie zaborcza. Margaret słuchała i obserwowała ławę przysięgłych. Dziewięciu mężczyzn i trzy kobiety.

Potem zabrał się do bezlitosnego, systematycznego demontowania całej konstrukcji oskarżenia. Nie znaleziono narzędzia zbrodni. Na butach i spodniach oskarżonego były ślady jej krwi, ale przecież to on ją znalazł, dotykał jej, ukląkł przy niej, próbując pomóc. To oczywiste, że poplamił ubranie jej krwią. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, jak tego dnia wychodził do pracy o tej samej godzinie co zwykle. Inni zaświadczyli, że przez cały dzień zachowywał się zupełnie normalnie.

– A to, że w trakcie śledztwa przyznał się do zabójstwa? – Patrick zawiesił głos i na chwilę zamarł w bezruchu z szeroko rozłożonymi, lekko uniesionymi ramionami. – Spójrzcie tylko na niego. Wyobraźcie sobie, co czuł, co przeżywał. Jak bardzo cierpiał. Jak bardzo był przerażony. Zastraszony.

Sąd doszedł do tego samego wniosku. Czekala na wyrok w holu. Patrick przechadzał się tam i z powrotem w rozwianej todzie. Śmiał się, rozmawiał z kolegami po fachu. Od czasu do czasu zerkał w jej stronę. W pewnej chwili podszedł, niby przypadkiem usiadł obok niej, przycisnął udo do jej uda, ukradkiem wepchnął jej w rękę mały kartonik. Wierzch pudełka po papierosach z dwoma słowami napisanymi czarnym atramentem. KOCHAM CIĘ.

– Dlaczego nie było nikogo, kto przemówiłby w imieniu ofiary? – zapytała go później. – Kogoś, kto próbowałby podważyć zeznania świadków? Kto stanąłby po jej stronie?

Popatrzył na nią z taką miną, jakby niczego nie rozumiała, i wyjaśnił, że proces sądowy nie jest po to, żeby zajmować się ofiarą.

Poprawiła się na twardej ławce. Wszystkie miejsca dla publiczności były zajęte. McLoughlin ostrzegał ją, że tak będzie. Jak tylko w prasie i telewizji pojawią się wzmianki o procesie, zainteresowanie zacznie narastać. Będzie musiała przychodzić coraz wcześniej. Założyła nogę na nogę, niby przypadkiem wbiła łokieć w bok mężczyzny napierającego na nią coraz mocniej z prawej strony. Ssał miętowe cukierki, ale i tak czuła od niego stęchłą woń potu i od dawna niemytych włosów.

Oskarżyciel wezwał kolejnego świadka.

– Doktor James Greenaway.

Patolog niemal wbiegł na podwyższenie dla świadków. Nerwowymi ruchami co chwila odgarniał z czoła długie włosy. Błyskawicznie wyrecytował tekst przysięgi, po czym przycupnął na krześle w pozie zająca gotowego w każdej chwili rzucić się do ucieczki przed nadbiegającym chartem.

– Doktorze Greenaway, czy zechciałby pan opowiedzieć, co zobaczył pan na brzegu

Wielkiego Kanału w poniedziałek czternastego sierpnia ubiegłego roku?

Można było odnieść wrażenie, że Greenaway mówi o pikniku, towarzyskim spotkaniu, jakimś radosnym, miłym zdarzeniu. Opisywał pogodę, słońce, upał, wodę, zwierzęta. Jego melodyjny głos wznosił się i opadał, łagodząc wymowę słów. Następnie przystąpił do omawiania obrażeń Mary, poczynając od głowy. Opowiedział, co zobaczył, spojrzawszy z brzegu, oraz później, kiedy pod jego nadzorem wydobyto ciało z wody. Stężenie pośmiertne nie wystąpiło, zadanie okazało się więc nie takie trudne. Wprowadził wyraźne rozróżnienie na uszkodzenia ciała, których doznała przed wrzuceniem do kanału i potem. Wspomniał o śladach pozostawionych przez gryzonie i o tych uczynionych przez psa. A potem przeszedł do opisu sekcji. Najpierw oględziny zewnętrzne, ślady na nadgarstkach spowodowane najprawdopodobniej kajdankami, bardzo podobne ślady na kostkach nóg. Czy można powiedzieć, czy dziewczyna była skuta w chwili śmierci? Trudno jednoznacznie stwierdzić, ale raczej nie, ponieważ na ranach zdążyły powstać strupy.

– Proszę wyjaśnić nam naturę obrażeń widocznych na zdjęciu numer trzynaście.

– Taak... – Greenaway założył okulary. – Widzimy tu rozległe oparzenia spowodowane zapewne czubkiem rozżarzonego papierosa. Zmarła miała trzy znamiona na wewnętrznej stronie prawego uda; wygląda na to, że sprawca starał się uzupełnić przerwy między nimi, tak by powstała linia prosta.

– A numer czternaście?

– Rany cięte zadane bardzo ostrym nożem dokoła sutków na obu piersiach. – Przyjrzał się uważniej. – Naprawdę bardzo ostrym.

– Domyśla się pan, jaki to mógł być nóż?

– Na przykład do cięcia wykładzin podłogowych, albo coś w tym rodzaju.

– Czy chciałby pan zwrócić naszą uwagę na inne, szczególne obrażenia?

– Owszem. Na ślady ukąszeń na górnej części piersi, brzuchu, udach i pośladkach.

Następnie oskarżyciel poprosił go o przedstawienie końcowych wniosków z sekcji.

– Tak, tak, oczywiście. Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, skorzystam z notatek...

Margaret zwróciła uwagę, że chociaż pytania zadawał David Douglas, Greenaway, podobnie jak zeznający wcześniej policjant, adresował swoje wypowiedzi do sędziego.

– Przyczyną śmierci był krwotok wewnątrzczaszkowy spowodowany przerwaniem środkowej tętnicy oponowej.

– A to z kolei czym zostało spowodowane?

– Silnym uderzeniem w prawą skroń, prawdopodobnie zadany pięścią.

– Czy śmierć nastąpiła natychmiast?

– Nie – odparł lakonicznie doktor Greenaway, patrząc na sędziego.

Oczywiście, że nie, pomyślała Margaret. Doskonale pamiętała wykresy i opisy w swoich

podręcznikach. Zaraz po uderzeniu nastąpiła krótkotrwała utrata przytomności. Następnie, przez godzinę lub dwie pozornie nic się nie działo, po czym Mary znów, tym razem stopniowo, zaczęła tracić świadomość, aż wreszcie nastąpił zgon z powodu zbyt wysokiego ciśnienia śródczaszkowego. „Mówisz i umierasz”, tak się nazywa.

– Nie będzie pani łatwo – ostrzegął ją McLoughlin. – Musi pani zrozumieć, że z punktu widzenia prawa istnieje tylko to, o czym powiedziano albo co pokazano w tej sali. Każdy, nawet najmniejszy dowód, z bardzo nielicznymi wyjątkami, musi być starannie opisany, przedstawiony, zrelacjonowany lub przytoczony. Czeka panią codzienna porcja niezmiernie przykrych doznań: opisy obrażeń pani córki, domysły na temat jej śmierci... Wszystko zostanie powiedziane głośno i wyraźnie. Gdyby, tak jak się spodziewaliśmy, Fitzsimons przyznał się do winy, oszczędziłby nam mnóstwo trudu, ale skoro sięgnął po Patricka Hollanda, to jeden Bóg wie, co się może wydarzyć. Holland jest najlepszy albo najgorszy, zależy z czyjego punktu widzenia go oceniać. Jest precyzyjny, niestrudzony i bezwzględny.

– Doktorze Greenaway, przejdźmy teraz do pozostałych uszkodzeń ciała – poprosił oskarżyciel.

Margaret nie chciała tego słuchać. Siedzący obok niej mężczyzna robił notatki. Zerknęła na poliniowany notes, na nabazgrane w pośpiechu słowa. Spojrzała na ławników, słuchających opisu Greenaway'a. Wreszcie przeniosła wzrok na Jimmy'ego Fitzsimonsa. Był bardzo blady. Od czasu do czasu zwilżał językiem wargi i przygryzał kciuk. Najchętniej zerwałaby się z miejsca, podbiegła do lekarza i zatkała mu usta. Zostawcie ją w spokoju, wzbierał w niej krzyk. Nie róbcie jej tego! Ciało, o którym tak fachowo i dokładnie pan opowiada, już nie istnieje! Nie ma już ciała, nie ma już krwi. Zostały tylko moje wspomnienia. Błagam, zostawcie ją!

Lecz puszczonej w ruch maszyny nie sposób było zatrzymać. Lekarz opisywał teraz obrażenia pochwy i odbytu.

– Czy znalazł pan ślady nasienia?

– Nie. Ale pod paznokciami zmarłej była skóra, którą zidentyfikowano jako skórę oskarżonego.

Margaret z trudem przełknęła ślinę. Oskarżyciel usiadł, wstał natomiast Patrick. Zaczekał, aż w sali zapadnie całkowita cisza, rozejrzał się dookoła, po czym zaczął:

– Doktorze Greenaway, wszyscy znamy pańskie zawodowe doświadczenie i oczywiście nikomu z nas nie przysłoby do głowy kwestionować pańskie ustalenia. – Przez ławy prasowe przebiegł szmer stłumionego śmiechu. W pańskim raporcie znalazło się jednak coś, o czym oskarżenie nie uznało za stosowne wspomnieć. Może zechciałby pan przedstawić nam swoje ustalenia dotyczące szyjki macicy panny Mitchell.

Greenaway zawahał się lekko.

– Na podstawie wyglądu tego organu mogę stwierdzić, że zmarła była kiedyś w ciąży.

– Rozumiem więc, że zaszły w nim charakterystyczne zmiany fizyczne?

– Owszem. Podobnie jak w zabarwieniu sutków, które podczas ciąży stają się ciemniejsze.

To samo dzieje się ze skórą sromu.

– Czy dziecko przyszło na świat?

– Tego nie wiem. U większości kobiet ciąża i poród nie pozostawiają żadnych śladów, może z wyjątkiem rozstępów skórnych w dolnej części brzucha. Zmarła nie miała takich rozstępów, co jednak o niczym nie świadczy, ponieważ, jak już wspominałem, nie towarzyszą one każdej ciąży.

– Czy zmarła była w ciąży w chwili śmierci?

– Nie.

– A słyszał pan może o tym, żeby Mary Mitchell miała dzieci lub dziecko?

Ponowne wahanie, a potem odpowiedź:

– Nie, Wysoki Sądzie. O niczym takim nie wiem. Patrick odwrócił się w kierunku ławy przysięgłych.

– Tak więc bez ryzyka popełnienia błędu można uznać, że Mary Mitchell nigdy nie urodziła dziecka. – Zawiesił głos, a następnie dodał z naciskiem: – Żadnego żywego dziecka.

Greenaway opuścił miejsce dla świadków, Patrick z powrotem usiadł na ławce. Przez salę przebiegł szmer zainteresowania. Margaret patrzyła na Jimmy'ego, który odprężył się wyraźnie i potoczył dokoła ożywionym spojrzeniem. Miała wrażenie, że słyszy nuconą przez niego melodię. Opuściła wzrok na owiniętą wokół nadgarstka tasiemkę. Zblakła, ale wciąż tam była.

Rozdział 42

Była zima. Londyn, dwadzieścia jeden lat temu. Białe promienie słońca z trudem przenikały przez kwadratowe zamrażnięte okienko, oświetlając ręce i nadgarstki Margaret. Leżała na wózku, ubrana jedynie w zieloną szpitalną koszulę, sięgającą zaledwie do kolan. Było jej bardzo zimno. Wcześniej wraz z jeszcze dziesięcioma kobietami czekała w obszernym, słabo oświetlonym pomieszczeniu. Siedziały przy długim mahoniowym stole; niektóre przeglądały stare numery „Cosmopolitan” i „Woman’s Own”, inne po prostu patrzyły przed siebie. Zaciągnięte zasłony kryły je przed spojrzeciami przechodniów, chociaż nieduży dom z czerwonej cegły niczym się nie różnił od innych, stojących przy tej podmiejskiej uliczce. W pokoju panowała cisza. W końcu ją wywołano, zaproszono do sąsiedniego pomieszczenia, kazano się rozebrać, wręczono koszulę i papierowy czepek. „To ze względu na włosy, złociutka. Wepchnij je porządnie, dobrze?”. Teraz leżała nieruchomo na wznak, ze wzrokiem utkwionym w mokrej plamie w kształcie pająka w narożniku sufitu. Do sali operacyjnej prowadziły szerokie dwuskrzydłowe drzwi, zza których docierały znajome odgłosy: brzęknięcia narzędzi ze stali nierdzewnej, popiskiwanie aparatury, prowadzone przyciszonymi głosami rozmowy personelu.

– ... Zastanów się, co robimy w tę sobotę, Jim.

– Jeśli myślisz, że w taką pogodę wybiorę się na przyjęcie w ogrodzie, to chyba oszalałaś.

– To właściwie nie przyjęcie, ale będą pokazy ogni sztucznych i pewnie coś do jedzenia i picia... I muzyka! Sarah, koniecznie weź swoje banjo, a ja przyniosę gitarę.

Noc Guya Fawkesa.

*Pamiętny to był piąty listopada,
Gdy spisek podstępny uknuto raz...*

Pamiętny to był pierwszy listopada, kiedy powiedziałaś ojcu, że jesteś w ciąży.

Rodzice wrócili z Paryża w poniedziałek późnym wieczorem. Czekala na nich. W domu było czysto i ciepło. Kupiła kwiaty, naręcza żółtych i różowych frezji. Ich delikatna woń przepelzała powoli z pokoju do pokoju. Ojciec przywiózł jej prezent: reprodukcję z Luwru.

– *La Gioconda* – oznajmił z dumą. – Wiem, że to może trochę oklepane, ale ona naprawdę jest niezwykle piękna. Musieliśmy długo czekać, zanim przewaliły się te wszystkie wycieczki, ale było warto. Od razu się w niej zakochałem. Leonardo namalował ją w taki sposób, że człowiekowi się wydaje, że mógłby wyciągnąć ręce i wziąć ją w ramiona.

– Bzdury – stwierdziła Catherine szorstkim tonem. – Romantyczne bzdury. Idę wziąć kąpiel, a potem od razu kładę się do łóżka. Byłabym wdzięczna, gdyby ktoś zechciał zaparzyć mi herbaty. Od dawna nie piłam czegoś, co zasługuje na tę nazwę.

Siedzieli w kuchni, pijąc najpierw herbatę, a potem calvadosa, kupionego w małym sklepiku z winem „tuż obok tej słynnej kawiarni, no, wiesz, gdzie przesiadywali Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir”. Powąchał złocisty trunek.

– Przepyszne, prawda? Od razu przypominają mi się czasy, kiedy zbierałem jabłka w sadzie babci.

Wpatrywała się w niego z miłością. Wreszcie czuła się bezpiecznie. Twardy guz cierpienia zaczął mięknąć, rozpuszczać się, niknąć. Wszystko będzie w porządku. Na pewno zrozumie. Wyciągnie do niej ramiona, obejmie ją, odegna lęk.

Na zewnątrz była zimna noc. Później miała nadejść mgła, która wygładzi poszarpane sylwetki drzew i otuli brzeg matczynym szalem, na razie jednak gwiazdy świeciły jasno na niebie, a na krótkiej zimowej trawie, na kamiennych ścianach i na ostatniej czerwonej róży w ogrodzie tworzyły się drobnutkie kryształki lodu. Bezpański kot zeskoczył z muru oddzielającego ogród od linii kolejowej, wylądował w plamie światła padającej przez kuchenne okno i jakby nigdy nic pomaszerował w kierunku domu. Czasem, kiedy drzwi były otwarte, wślizgiwał się do środka, żeby zwędzić kawałek mięsa albo polizać masło w maselniczce, zostawiając na nim delikatne, ledwo widoczne ślady. Niekiedy związał się w kłębek w koszu z bielizną albo na najwyższej półce w schowku na szczotki. Dzisiaj jednak drzwi były zamknięte, skreślił więc na biegnący wzdłuż ściany klomb, zwinnie wspiał się po pniu drzewa, zeskoczył na parapet, przycupnął, nastroszywszy zimowe futro. Zza okna dobiegały gniewne, donośne dźwięki. Kot otworzył szerzej żółte oczy, przez chwilę wahał się, co robić, ale kiedy głosy jeszcze bardziej przybrały na sile, zeskoczył na ziemię i zniknął w krzakach. Szerokim łukiem ominął dom, kierując się ku pojemnikowi na śmieci. Jeśli pokrywa nie będzie dokładnie zamknięta, może uda mu się wcisnąć do środka i znaleźć jakieś smakowite resztki. Ale w chwili, kiedy przymierzał się do skoku, frontowe drzwi otworzyły gwałtownie. Rozległy się krzyki, gniewne głosy, szybkie kroki na żwirowej ścieżce, łoskot zamykanej z rozmachem furtki. Kot cofnął się, skulił w ciemności i zaczekał, aż drzwi się zamkną i ucichną kroki po drugiej stronie ogrodzenia.

Nazajutrz obudziła się wcześniej rano. Powoli odwróciła głowę, spojrzała na mężczyznę leżącego obok niej z głową na brudnej poduszce. Jak miał na imię? Freddy? Teddy? Eddy? Miał paskudną cerę. Krosty i pryszcze pokrywały nie tylko całą twarz, ale, jak spostrzegła chwilę później, kiedy odwrócił się tyłem, również ramiona i plecy. Wczoraj wieczorem wcale jej to nie przeszkadzało. Pragnęła tylko, żeby ktoś ją objął i przytulił, żeby ktoś powiedział, że jej potrzebuje. Nieważne, że w ogóle się nie znali, że był kuzynem kolegi, który studiował rok niżej, że bez przerwy mówił o rugby.

Wysiadła z autobusu przy księgarni Greene’a i od razu pobiegła do Lincoln Inn. Jak zwykle było tłoczno. Z trudem przepchnęła się przez tłum mężczyzn o baryłkowatych klatkach

piersiowych i potężnych zarośniętych przedramionach udekorowanych grubymi złotymi bransoletami. W najdalszym kącie sali wypatrzyła grupkę znanych z widzenia studentów. Zdziwili się na jej widok, zdziwienie zaś przerodziło się w prawdziwe zdumienie, kiedy kupiła drinka i dołączyła do nich. Bez trudu mogła odczytać ich myśli. Zarozumiała snobka postanowiła dzisiaj zbratać się z pospółstwem. Wlała w siebie pospiesznie zawartość szklanki, a zaraz potem zeszła po wąskich schodkach do maleńkiej damskiej toalety i wymiotowała tak długo i gwałtownie, aż prawie nie mogła ustać na nogach. Potem piła dalej. W końcu, tuż przed zamknięciem baru, zostało już tylko ich dwoje.

Niezbyt dokładnie pamiętała, co było potem. Prawie na pewno poszli do jego mieszkania. Pili coś jeszcze, potem ściągnął z niej ubranie i padł na nią jak kłoda. Teraz zależało jej tylko na tym, żeby wyjść stąd, zanim on się obudzi. Czekają ją sporo pracy, wiele rozmów telefonicznych, wiele pytań. Ostrożnie wyślizgnęła się spod koca, zebrała ubranie rozrzucone na lepiącej się od brudu podłodze. Odszukała torebkę, po czym, nawet nie spojrzawszy na śpiącego chłopaka, po cichu otworzyła drzwi i wyszła.

Wszystko okazało się znacznie prostsze, niż przypuszczała. Zapytali ją, czy jest całkowicie pewna słuszności swej decyzji, w chaotyczny sposób poinformowali o innych możliwościach. Już nie płakała. Owszem, wtedy była zdecydowana, ale teraz, kiedy leżała na metalowym wąskim łóżku na kółkach, czuła, jak to zdecydowanie wycieka z niej niczym woda z dziurawego kanistra. Wszystko docierało do niej ze zwielokrotnioną wyrazistością: lepki plastikowy materac, szorstki ręcznik, który kazano jej położyć między nogami... Na zewnątrz, za oknem, kos wyśpiewywał radosne melodie. Bez trudu go sobie wyobraziła, siedzącego w promieniach słońca na bezlistnej gałęzi drzewa, z lekko przechylonym łebkiem. Jego tryle niosły się wysoko nad dachami, przykuwając uwagę wszystkich kosów w okolicy. Wstała, podeszła do okna. Chciała je otworzyć, nie mogła sobie jednak poradzić ze starą mosiężną klamką. Kiedy spojrzała na swoje palce, były zielone, niemal takiego samego koloru jak koszula.

Drzwi sali zabiegowej otworzyły się na oścież.

– Teraz twoja kolej – oznajmiła pielęgniarka, zsuwając maskę z twarzy, i uśmiechnęła się do niej. – Dobrze się czujesz? Jakoś się zaczerwieniłaś.

Oczywiście, że nie czuję się dobrze, pomyślała Margaret.

Czuję się gorzej niż kiedykolwiek. Położyła się z powrotem na wózku, który natychmiast wepchnięto do sali zabiegowej. Nikt się nie odzywał. Usiłowała spojrzeć na sytuację obiektywnie, z medycznego punktu widzenia. Nie miała sprecyzowanego poglądu na aborcję. Jestem za praktycznym podejściem do życia, mawiała zawsze, gdy pytano ją o tę sprawę. Ludzie podejmują takie decyzje, jakie w danej chwili uważają za najwłaściwsze. Ona też tak postąpiła. Dokonała oceny sytuacji i podjęła praktyczną decyzję. Patrick ją odepchnął. Ojciec również. Matce nie mogła powiedzieć. Obarczona małym dzieckiem, jako młody lekarz nie zdołałaby

zarobić na swoje i jego utrzymanie. Sprawa była prosta i oczywista.

Pielęgniarka wzięła ją za rękę, przyjrzała się uważnie.

– Ojej, ależ cienkie żyły...

Klepnęła ją w skórę otwartą dłonią, po czym wbiła igłę.

Tuż obok stał anestezjolog w okularach z kwadratowymi szklami w czarnej oprawce. Widziała swoje zniekształcone, obrzmiałe odbicie w soczewkach. Zerknęła na kroplówkę w jego dłoni. Dziesięć mililitrów siarczanu sodowego, przemknęło jej przez głowę. Na taki krótki i prosty zabieg. Potem da mi skopolaminę albo atropinę. Potem włoży mi laryngoskop do ust, wyciągnie mi język, tak żeby widzieć struny głosowe, i intubuje. A może nie będzie sobie zadawał trudu? Przecież to najwyżej dziesięć minut.

Podniósł kroplówkę do oczu. Pogwizdywał pod nosem. Beatlesi. „Czy będziesz mnie chciał, żarełko mi dawał, gdy lat sześćdziesiąt i cztery będę miał?”.

– Nie – powiedziała.

Usiadła, odepchnęła go, wyszarpnęła igłę. Krew trysnęła na podłogę. Położyła palec na żyłę, przycisnęła, zesła ze stołu zabiegowego.

– Nie – powtórzyła. – Nie chcę.

Wyszła z sali, zgarnęła ubranie z krzesła, na którym je zostawiła, minęła wózek z następną kobietą oczekującą na zabieg, minęła inne siedzące przy stole, spięte, wystraszone. Musi być jakiś inny sposób. Musi być inne rozwiązanie.

Kos nadal śpiewał, kiedy wyszła z kliniki. Promienie słońca prześlizgiwały się między listopadowymi chmurami, złocąc ponurą okolicę. Przechyliła głowę, osłoniła oczy i tak długo szukała ptaka, aż wreszcie go znalazła. Siedział wysoko na drzewie z szeroko otwartym pomarańczowym dziobem i śpiewał, śpiewał od dołu do góry skali. Usiadła na betonowej ławce w pobliżu przystanku autobusowego. Posłucham, pomyślała. Posłucham i zaczekam.

Rozdział 43

– Ogłaszam przerwę do godziny czternastej trzydzieści.

Sędzia Hanratty wstał i wszyscy uczynili to samo. Zebrał papiery ze stołu i poprzedzany przez woźnego, opuścił salę wyjściem z dębowymi drzwiami. Patrick również wstał i przeciągnął się ukradkiem, by rozprostować kości. Wokół niego trwało normalne sądowe życie: ludzie przychodzili i dokądś spieszyli, niosąc dokumenty związane z tą sprawą lub sprawami, które miały trafić na wokandę dopiero za tydzień, miesiąc albo rok. Publiczność, głośno rozmawiając, opuszczała salę, gdzieś słychać było nawet śmiechy. Po chwili na drewnianych ławkach zostało tylko kilka postaci, niczym muszle podczas odpływu.

Margaret siedziała nieruchomo, z pochyloną głową. Podszedł do niej policjant, powiedział coś, położył jej rękę na ramieniu. Dopiero wtedy wstała, odwróciła się i wyszła. Poruszała się jak rozregulowany automat.

Patrick obserwował ją dzisiaj, kiedy tylko nadarzała się sposobność. Patrzył na jej owalną, żywą, inteligentną twarz. Próbował sobie przypomnieć, co kiedyś do niej czuł. Wciąż mu się wydawało, że siedzą przy kominku, a ona mówi mu, czego od niego oczekuje. Czego od niego żąda. A on stara się ją zrozumieć i stopniowo zaczyna patrzeć na świat jej oczami. Słucha, jak opowiada o Mary. Odczuwa ogrom jej miłości i rozpaczy.

W ciągu tych długich lat zastanawiał się czasem, czy się jeszcze zobaczą. Kiedy tam, w barze, cisnął na ladę garść monet, a jedna z nich potoczyła się w kierunku siedzącej nieruchomo samotnej postaci, kiedy złapał tę monetę, podniósł wzrok i rozpoznał ją, wcale nie poczuł zdumienia ani niedowierzania, tylko ulgę, że już nie będzie musiał czekać.

Obserwował ją również minionego wieczoru przy kominku. Skuliła się w starym fotelu, ubrana w atłasowe legginsy i obszerny sweter z miękkiej wełny. Jej ręce trzepotały jak ptasie skrzydła, bezustannie w ruchu, przyglądały włosy, poprawiały drewno w palenisku, bawiły się srebrną bransoletką na jednym nadgarstku i spłowiła tasiemką owiniętą wokół drugiego. Kiedy pochylała się w kierunku ognia, widział zmarszczki i bruzdy na jej twarzy, i siwe pasemka we włosach. Kiedyś ich nie było. Jak tylko jednak wstała, wyprostowała się i przeszła po pokoju, znowu stała się tą samą kobietą, którą była dwadzieścia lat temu.

Po niej były inne, żadnej z nich jednak nie pokochał. Kiedy odeszła, śnił o niej. Często. To był niebezpieczny sen, budził się z niego nagle i brutalnie. Kiedyś w tej samej chwili obudziła się także Crea. Odwrócił się od niej, ukrył twarz w poduszce, starał się jak najszybciej odzyskać panowanie nad sobą. Nie zapytała, a on nigdy jej nie powiedział.

Wczoraj długo siedzieli w milczeniu. Przez otwarte okna do wnętrza dostawały się powiewy wiatru znad morza, poruszając odsuniętymi zasłonami. W pewnej chwili rozległo się delikatne drapanie do drzwi. Margaret wstała z fotela i poszła bosą po starym dywanie. Usłyszał, jak

przemawia cicho i łagodnie, zaraz potem wróciła w towarzystwie dużego czarnego kota, który kilka razy otarł się o jej łydki, a następnie wskoczył na oparcie fotela.

– I co potem zrobiłaś? – Jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno. – Dokąd poszłaś?

Dołożyła do kominka kolejny kawałek drewna, po czym przesunęła go pogrzebaczem w sam środek płomieni.

– Teraz mnie o to pytasz, ale wtedy nic cię to nie obchodziło. Czy to w porządku?

– Oczywiście, że mnie obchodziło.

– Nic jednak nie zrobiłaś.

– Pytałem Joe Mackena, a on mi powiedział, że pojechałaś do Anglii i dostałaś tam świetną pracę.

– Ale przecież wiedziałaś, dokąd pojechałam naprawdę.

– Mówiłaś mi, że się tam wybierasz, ale myślałem, że potem wróciłaś. Jak tylko nabrałem pewności, że jednak tak się nie stało, znowu zapytałem Joego i dowiedziałem się, że wyszłaś za męża.

– Bardzo się zmartwił?

– Wiesz przecież, co czuł do ciebie.

– Co Joe czuł do mnie... – Znow poprawiła polana w kominku. – No cóż, powinien być zadowolony. Przynajmniej bezproblemowo usunęłam mu się z drogi.

Spojrzał na nią ze zmarszczonym czołem.

– Sarkazm zupełnie do ciebie nie pasuje.

– Co takiego?

Niewiele brakowało, żeby parsknęła szyderczym śmiechem.

– Zachowujesz się w ten sposób, jakbym tylko ja mógł wtedy dokonać wyboru. A co z tobą, Margaret?

– Jak to, co ze mną?

– Przecież wiesz. Zastanawiałem się, dlaczego wyjechałaś, dlaczego tak po prostu znikłaś. Mogłaś przecież zostać i bardzo utrudnić mi życie. Dopiero teraz zrozumiałem. Nie wyjechałaś z Dublina ze względu na mnie, lecz ze względu na swego ojca. Nie potrafiłaś znieść jego dezaprobaty, nie potrafiłaś się pogodzić z jego gniewem. Wcale nie chodziło o mnie, prawda?

Zamierzała zaprzeczyć, ledwo jednak otworzyła usta, kiedy niespodziewanie nawet dla niej z jej oczu popłynęły łzy.

– Matka zawiadomiła mnie o jego śmierci dopiero po pogrzebie. Przesłała mi list zwykłą pocztą. Morską. Nie mogłam uwierzyć. Wiele o nim myślałam i nie mogłam uwierzyć, że umarł, a ja nie miałam o tym pojęcia. Mary miała wtedy dwanaście lat. Codziennie wstawiała wcześniej ode mnie i przynosiła mi herbatę do łóżka. Tego dnia przyniosła herbatę i pocztę. Pamiętam, że kiedy czytałam list, upuściłam kubek z wrzątkiem na kołdrę, prześcieradło i na siebie, ale niczego

nie poczułam. Siedziałam w mokrej pościeli, czytałam go wciąż na nowo i płakałam. Czy wiesz, że ojciec nigdy nie wspomniał ani słowem o tym, co tamtego wieczoru zaszło między nami? Wymyśliłam sobie męża, który zginął w wypadku, stworzyłam całą tę fałszywą historię, a on zachowywał się tak, jakby to była prawda.

– Zobaczyłaś go potem?

– Po tamtej okropnej awanturze? Już nigdy. Rozmawiałam z nim tylko przez telefon. Na swój sposób był nawet miły. Przysyłał mi pieniądze. Początkowo odsyłałam mu je z powrotem, ale potem zaczął przelewać je na konto, które mi otworzył, więc w końcu ustąpiłam.

– Twoja matka niczego nie podejrzewała? Westchnęła tak głęboko, że aż zadrżały jej ramiona.

– Obawiam się, że moja matka przez całe życie ogromnie się starała nie myśleć o niczym, co nie było bezpośrednio związane z jej osobą. Z jakiegoś powodu mnie również zaliczała do tej kategorii.

– A więc co zrobiłaś tego dnia, kiedy nie zdecydowałaś się na aborcję?

Siedzę w blasku zimowego słońca i słucham śpiewu kosa. Jestem głodna, spragniona. Ze względu na zabieg od poprzedniego wieczoru nie miałam nic w ustach. Kręci mi się w głowie. Patrę w niebieskie niebo. Ulicą nadjeżdża trójkołowy furgon mleczarza. Elektryczny silnik mruczy cichutko, butelki dzwonią i brzęczą. Zatrzymuje się przed kliniką. Mleczarz zdejmuje jedną skrzynkę i wchodzi tylnymi drzwiami. Idę za nim. Schodkami w dół, do piwnicy. Dalej, do kuchni. Ciepło. Wszyscy tu są. Portier. Lekarze. Pielęgniarki. Siedzą przy długim stole i jedzą śniadanie. Bekon, jajecznica, gorące grzanki. Zapach świeżo zaparzonej kawy. Portier podsuwa mi krzesło. Siadam. Częstują mnie. Jem. Zadają mi pytania z angielską obojętnością. Mówię im, co, kto, dlaczego.

– Jesteś lekarzem? Po studiach?

Kiwam głową. Naradzają się między sobą przyciszonymi głosami, a potem:

– Szukamy kogoś do pomocy, nie dajemy sobie rady. Nocne dyżury, weekendy.

Dali mi pokój w niedużym baraku za głównym budynkiem. Kiedy ciąża zaczęła być widoczna, przenieśli mnie do pracy biurowej. Byli mili, życzliwi, chyba w pewien zabawny sposób nawet ze mnie dumni.

– Więc jednak dałaś sobie radę?

Uratowała ją rutyna. Codziennie pobudka o tej samej porze. Co wieczór o tej samej porze do łóżka. Zbudować plan dnia wokół posiłków. Być ciągle zajęta. Brać gorące kąpiele. Jak najczęściej chodzić na spacer. Stawiać stopę za stopą, patrzeć w ziemię. W razie potrzeby brać pastylkę na sen. Nie pić alkoholu. Wystrzegać się gwałtownych emocji. Nie marzyć. Nie pożądać. Nie chcieć i nie pragnąć.

Czarny kot ponownie otarł się o nią i zamruczał głośno. Wzięła jego głowę w obie ręce,

potem pogłaskała po lśniącej sierści nad błyszczącymi żółtymi oczami.

– Dlaczego akurat Nowa Zelandia?

– Bo to daleko stąd.

– Miałaś pracę? Mieszkanie?

– Trudno to nazwać prawdziwą pracą. Na pustkowiu, w środku niczego. Ale przynajmniej było coś na początek.

Zzerająca cię samotność. Dziecko budziło się o trzeciej, czwartej, piątej nad ranem. Bolesny, przerażony krzyk z małych usteczek. Co robić. Jak ją uciszyć. Podać pierś. Przywarła, przyssała się łapczywie, pokarm popłynął zbyt szybko. Zakrztusiła się, zakasłała, mleko wylało się z ust na pierś. Znowu krzyk, znowu płacz, jednocześnie usiłuje ssać, powietrze dostaje się do żołądka. To boli. Zwija się z bólu, krzyczy jeszcze głośniejsze. Tulisz ją, masujesz, poklepujesz po plecach. Ostrożnie. Nie za mocno. Jest taka mała. Łatwo można zrobić jej krzywdę. Wciąż płacze. Jesteś potwornie zmęczona. Pojedyncza żarówka świeci zbyt jasno. Na zewnątrz panuje cisza. Gwiazdy na niebie wyglądają jakoś inaczej, jakby wisiały do góry nogami. Noc jest pełna tajemniczych odgłosów, zwierząt, owadów. Wszystko inaczej pachnie. Wreszcie zasypia. Podchodzisz na palcach do kołyski, kładziesz ją ostrożnie, ale jak tylko przestaje czuć ciepło twojego ciała, znowu zaczyna płakać. Ty też płaczesz. Błagam, niech mi ktoś pomoże.

– Pytała o ojca? Podniosła na niego wzrok.

– Przecież go miała. Ja go dla niej stworzyłam. Całkowicie jej wystarczył.

– Naprawdę?

Siedzą na werandzie z tyłu domu. Letni wieczór. Cykady grają jak szalone, ich głos zdaje się wypełniać całą przestrzeń, aż wreszcie przestaje się zwracać na niego uwagę. Mary ma pięć lat. Niezdarnie podnosi lunetę do oka.

– Nic nie widzę, mamusiu.

– Spróbuj teraz. – Poprawiła ostrość, przytrzymała lunetę. – I co?

– Mnóstwo maleńkich gwiazd.

– A widzisz trzy ustawione w równiutkim rzędzie?

– Aha.

– Jak się nazywają?

– Pas Oriona, jak na mojej nóżce i na nodze tatusia.

– Zgadza się, maleńka.

Zanurza twarz w dziecięcych lokach. Tuli małe ciepłe ciało. Kołysze ją na kolanach aż do zaśnięcia. Znosi do domu, kładzie do łóżka razem z ukochanym misiem. Wyłącza górne światło, zostawia włączoną nocną lampkę z abażurem w kształcie kota. Staje w otwartym na oścież oknie. Myśli, czeka, tęskni.

– Chyba jednak nie najgorzej sobie radziłaś, prawda? Dolała sobie whisky.

– Rzeczywiście. Uważają mnie tam za kogoś w rodzaju eksperta od spraw kobiet, a szczególnie ich zdrowia psychicznego. Napisałam kilka książek, prowadzę swój dział w „New Zealand Herald”, przygotowałam trzy serie programów telewizyjnych na ten temat.

– Wydawało mi się, że chcesz robić specjalizację z chirurgii. Joe twierdził, że byłaś najlepsza na roku.

Wzruszyła ramionami, wyciągnęła drobne ręce do ognia.

– To była jedna z tych rzeczy, jaką straciłam, rodząc Mary.

– A teraz ją też straciłaś. Spojrzała na niego.

– Nic mnie to już nie obchodzi. Od dawna mnie to nie obchodziło. Chirurgia bardzo przypomina operę. Mnóstwo gwiazd o monstrualnie rozdętym ego. Teraz zależy mi wyłącznie na tym, żeby ktoś zapłacił za śmierć Mary.

– Czyli pragniesz sprawiedliwości.

– Ty wiesz o sprawiedliwości więcej ode mnie.

– Jesteś tego pewna?

– Tak mi się wydaje.

– Wobec tego powiem ci, że w gruncie rzeczy chodzi ci o zemstę. Żebyś się lepiej poczuła. Ale prawa to nie obchodzi. Prawnicy traktują to jak grę, łamigłówkę, wyzwanie. Szukają luk, niedociągnięć, analizują szczegóły, czepiają się niewłaściwie postawionych kropek i przecinków.

– A tobie się to nie podoba?

– Moja opinia nie ma najmniejszego znaczenia. Po prostu tak jest, i już. – Pochylił się, wyjął pogrzebacz z paleniska, przyjrzał się rozżarzonemu czubkowi. – Kiedy byłem mały, uwielbiałem wkładać pogrzebacz do ognia i patrzeć, jak stopniowo rozgrzewa się do czerwoności. Kiedyś nawet o mało nie spaliłem domu. Rzuciłem go na dywan, który oczywiście natychmiast się zapalił. Zdeptałem ogień, ale kiedy matka odkryła, co zrobiłem, na kilka tygodni musiałem pożegnać się z kieszonkowym. Uważałem, że to niesprawiedliwe, bo przecież nie zrobiłem tego umyślnie.

– Jednak według prawa wszyscy powinniśmy przewidywać konsekwencje naszych czynów.

– Kto cię tego nauczył? – zapytał z uśmiechem.

Nie odpowiedziała. Wyjęła mu pogrzebacz z ręki i włożyła go z powrotem do paleniska.

– Więc jak, doczekam się sprawiedliwości?

Rozdział 44

Najbardziej nienawidził kajdanków. Wszyscy przecież powtarzali prawie bez przerwy, że dopóki nie udowodnią mu winy, jest niewinny, po co więc kajdanki? Powiedział to policjantom. Ten duży, gruby, który pierdział skisłym guinnessem, uniósł tylko brwi i nic nie odpowiedział. Młodszy, który dawał mu „Star” do przeczytania, był bardziej wylewny.

– Takie są przepisy, Jimmy. Nic na to nie poradzimy. Ze względu na bezpieczeństwo publiczne.

Pieprzyć bezpieczeństwo publiczne. Najbardziej wkurzało go to wtedy, kiedy po przerwie na lunch prowadzili go z powrotem do sali rozpraw. Dawali mu jeść w ciasnej celi w podziemiach. Frytki, fasolka, parówki, ledwo ciepłe jajka sadzone, herbata z mlekiem UHT. Nienawidził mleka UHT. Zostawiało mu w ustach obrzydliwy smak i chociaż nie rozstawał się z pastą i szczoteczką do zębów, to wciąż czuł go na zębach i języku.

Podczas posiłków pozwalali przychodzić jego matce. Wcale go to nie cieszyło. Nie mieli sobie nic do powiedzenia. Nie spuszczała z niego oka, kiedy w błyskawicznym tempie pochłaniał zawartość talerza, później zaś po prostu siedziała z kubkiem stygnącej herbaty w ręce. Ponad godzinę. Niekiedy półtorej. Zjedzenie lunchu zajmowało mu najwyżej trzydzieści minut, później miał czas na to, żeby po prostu gapić się, co się dzieje w holu. Bez kajdanków byłoby znacznie lepiej. Mógłby udawać, że jest po prostu przypadkowym obserwatorem. Ludzie zabawnie reagowali na niego, szczególnie kobiety. Najpierw ukradkiem zerkały na twarz, udając całkowity brak zainteresowania. Potem przesuwaly spojrzenie w dół, żeby sprawdzić, jak wygląda reszta jego ciała. Ujrawszy kajdanki, natychmiast przenosiły wzrok z powrotem na twarz, jakby chciały powiedzieć: „Nie wierzę, to niemożliwe!”. Niekiedy cofały się o krok albo podskakiwały z zaskoczenia. Obdarzał je wtedy swoim najszczerzym chłopięcym uśmiechem. Odchodziły pospiesznie, szepcząc coś do przyjaciółek i oglądając się na niego. Teraz jednak, kiedy było wiadomo, że to one są górą, czyniły to całkiem otwarcie, bez cienia zażenowania.

Jedyną rekompensatę stanowiła możliwość oglądania jej z bliska. Nie aż z tak bliska, żeby poczuć jej zapach, ale i tak widział, jak bardzo jest zmęczona i nieszczęśliwa. Wczoraj minęli się na schodach łączących główny hol z biblioteką. Weszli na nie w tym samym ułamku sekundy. Niestety, rozdzielał ich gruby policjant. Miała na sobie krótką czarną spódniczkę i czarne, sznurowane z przodu botki. W pierwszej chwili wcale go nie zauważyła. Wyglądała tak, jakby była na innej planecie. Szklane, obojętne spojrzenie. Strażnik musiał ją przeprosić, żeby ich przepuściła. Ocknęła się wtedy, odsunęła na bok z kamienną twarzą, i wtedy go zobaczyła. Poczerwieniała, po czym zbladła jak ściana. Zupełnie jak wtedy w kościele w Monkstown. Zamierzał się zatrzymać i powiedzieć coś do niej, ale wtedy policjant również ją rozpoznał, chwycił go za kajdanki, szarpnął mocno, pociągnął za sobą. Metal boleśnie werznął się

w nadgarstki. Zaraz potem grubas posłał mu wredne spojrzenie oznaczające: „Nawet o tym nie myśl”. Świnia.

Nie powinien był przyznawać się podczas przesłuchania. Wciąż nie mógł zrozumieć, co wtedy w niego wstąpiło. Dlaczego tak się przestraszył? Dlaczego dał się zastraszyć temu gliniarzowi? To była głupota. Zaproponowali mu prawnika, a on odmówił. Zaproponowali, że sprowadzą matkę, ojca, kogokolwiek, kogo wskaże, a on z tego nie skorzystał. Sam im się podłożył.

Opowiedział swojemu adwokatowi, jak to wyglądało. Wcześniej opowiedział o tym chłopakom z Mountjoy. Wariat jesteś, usłyszał. Przecież na dobrą sprawę nie mają przeciwko tobie żadnych dowodów. Walcz. Zabawny gość z tego adwokata. Nie patrzył mu w oczy, tylko przechadzał się po celi i wciąż zadawał te same pytania.

- Znałeś tę dziewczynę, prawda?
- Jak dobrze ją znałeś?
- Jak długo ją znałeś?
- Co do niej czułeś?
- Co ona czuła do ciebie?
- Co robiliście razem?
- Lubiła to?
- Lubiłeś to?
- Kłóciliście się, sprzeczaście?
- Uderzyłeś ją kiedyś?
- Jak zareagowała?
- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?
- Gdzie?
- Kiedy?
- Jak wyglądała, kiedy się rozstawaliście?
- Co mówiła?
- Co ty mówiłeś?
- Nie zgłosiłeś się na policję, kiedy dowiedziałeś się, że zaginęła?
- Nie wiedziałeś, że zaginęła?
- Byłeś chory. Miałeś grypę. Nie wstawiałeś z łóżka?
- A kiedy wyzdrowiałeś?
- Nadal nie wiedziałeś? Nie czytasz gazet? Nie oglądasz telewizji?
- Jak cię traktowano na posterunku?
- Czy byłeś zastraszony? Używano wobec ciebie siły fizycznej?
- O której godzinie skończyłeś składać zeznania?

– Jesteś pewien?

A potem znów to samo, od początku.

– Wyciągnie mnie pan stąd? – zapytał kiedyś. Nie odpowiedział.

– Zdaje się, że już pora na lunch. I wyszedł.

Zainteresował go patolog. Spodobało mu się, jak opowiadał o obrażeniach Mary, przedstawiał wyniki badań i oględzin, malował słowami obrazy. Chyba nawet dokładniejsze niż te na fotografiach zrobionych przez gliniarzy. Zobaczył kilka, kiedy obrońca zostawił otwarty album na stole. Słabe kolory, beznadziejne kadrowanie. Jego zdjęcia były znacznie lepsze – tyle że, rzecz jasna, nie miał okazji zjawić się z aparatem nad brzegiem kanału. Wielka szkoda. Czarno-białe byłyby najlepsze. Błysk flesza, ciało leżące na trawie. Czernie i szarości kontrastujące z białą skóry. Naprawdę interesująco zrobiło się wtedy, kiedy wyszło na jaw, że kiedyś była w ciąży. Wszyscy byli zdumieni, tylko nie on. Powiedziała mu o tym. I o tym, że miała skrobanekę. Pozbyła się tego. W tajemnicy przed matką. Nie pochwałał aborcji. To nie było w porządku zabijać kogoś zupełnie bezbronego. Kto wie, co stałoby się z nim i z Molly, gdyby aborcje były wtedy legalne? Oboje skończyliby pewnie w kuble.

Przeciągnął się, uniósł skrupowane ręce i rękę policjanta, do którego był przykuty. Już prawie pora wracać na popołudniową część rozprawy. W głównym holu panował ścisk i gwar. Ludzie stali w małych i dużych grupach, szmer rozmów unosił się ku wysokiemu sklepieniu jak para. Sądząc po mokrych płaszczach i parasolach, na dworze padał deszcz. Właśnie nadchodziło kilka kobiet. Znał je już z widzenia. Dziennikarki. Jedną szczególnie mu się spodobała. Miała ciemne włosy, duże usta i często się śmiała. Siadywała na ławce z brzegu i rozmawiała prawie ze wszystkimi kolegami i koleżankami po fachu, którzy wchodzili do łoży prasowej. Polubili ją nawet policjanci. Miała bardzo zgrabne nogi, często przychodziła w krótkiej spódniczce lub legginsach. Wiedział, że często mu się przygląda. Z jaką rozkoszą chwyciłby ją za szyję i zacisnął palce tak mocno, aż oczy wyszłyby jej na wierzch, a potem zerznąłby ją tak, żeby zaczęła błagać o litość. Stała tuż przed nim z zalotnie wysuniętym biodrem. Czarny materiał spódniczki ciasno opinał pośladki. Wciąż rozmawiając, śmiejąc się, odwróciła się w jego stronę. Czubek języka przesunął się delikatnie po pełnych ustach. Wyobraził sobie jaszczurkę siedzącą na nagrzanym głazie, chwytającą owady długim językiem i wciągającą je do gardła. Jeszcze trochę. Wkrótce.

Rozdział 45

McLoughlin dokończył drugie piwo i sięgnął po cygaro. Starannie strząsnął popiół do popielniczki wypełnionej po brzegi niedopałkami i zmiętymi celofanowymi opakowaniami, rozparł się wygodnie i zaciągnął. Przerwa na lunch. Chętnie wypiłby jeszcze coś. Na przykład dużą wódkę. Najchętniej w taki właśnie sposób spędziłby resztę dnia, z drinkiem w jednej ręce i cygarem w drugiej, i pal łącho resztę świata.

Dzisiaj po południu miał zeznawać szef laboratorium. Włosy, mikro włókna, drobinki kurzu, płyny ustrojowe. Boże. Pod wieloma względami było to jeszcze gorsze niż anatomopatologia. Tam przynajmniej wciąż miało się do czynienia z czymś przypominającym człowieka, z ciałem, z kształtem. Tutaj wszystko sprowadzało się do resztek, pozostałości, śmieci. Będzie mowa o kurzu pod materacem i w szparach między deskami podłogi, o różnych paskudztwach pod linoleum i na wycieracze. A ona będzie musiała siedzieć i słuchać tego z kamienną twarzą.

Zaprosił ją na lunch, ale odmówiła. Uprzejmie, lecz jakby z roztargnieniem. Była przygarbiona, zamysłona, mocno ścisnęła torebkę. Zdawał sobie sprawę, jakim szaleństwem było dać się ogarnąć tak wielkiej fascynacji. To smutne, pomyślał. Smutne w tym sensie, w jakim używa tego słowa młodzież. Smutne, czyli żałosne, godne politowania, śmieszne. A te jego idiotyczne fantazje... Posiłki, które jej przygotowywał, wino, które jej nalewał, wspólnie odwiedzane miejsca... Stek beznadziejnych bzdur.

Do stolika podszedł Finney z kurtką przerzuconą przez ramię. Był blady, miał podkrążone oczy i dziś rano zaciął się przy goleniu. McLoughlin rzucił niedopałek na podłogę, przydeptał go, wstał i wysunął się z za stolika. Po raz kolejny spostrzegł, że przychodzi mu to z coraz większym trudem. Cholerny wiek średni. Wyprostował się, wciągnął brzuch.

– Chodźmy, szefie, bo się spóźnimy.

Finney otworzył przed nim drzwi i pchnął go lekko, żeby nabrał rozpędu.

– Ej, spokojnie! – parsknął z irytacją.

– Dobrze, dobrze. – Finney podniósł ręce. – Po prostu już pana trochę znam. Znam ten wyraz pańskich oczu. „Przyjemnie byłoby już się stąd nie ruszać”. Mam rację?

– Ty mały cwany sukinsynu.

McLoughlin zniechęcony chwycił go za głowę, wsadził sobie ją pod pachę i pociągnął na przelaj przez Chancery Place, lawirując wśród samochodów nadjeżdżających nieprzerwanym strumieniem od strony mostu.

– Niech pan mnie puści! Przepraszam! Już nie będę! – wykrzykiwał Finney, śmiejąc się i daremnie próbując się uwolnić. – Poddaję się!

McLoughlin nagle rozluźnił uchwyt i Finney mało nie upadł twarzą na chodnik.

– Pospiesz się! – rzucił McLoughlin przez ramię. – Bo się spóźnisz!

Dogonili Margaret w chwili, kiedy wchodziła po stopniach prowadzących do głównego holu. Nagle stanęła jak wryta. McLoughlin spojrział nad jej ramieniem. Na ławce przed wejściem do sali numer dwa siedział Fitzsimons. Nogi wyciągnął daleko przed siebie, głowę odchylił do tyłu i oparł o ścianę.

– Hej, Billy! – zawołał McLoughlin.

Policjant oderwał wzrok od gazety. McLoughlin ruchem głowy wskazał Margaret. Policjant złożył gazetę, wstał i pociągnął Fitzsimonsa.

– Idziemy.

Popchnął go w stronę wejścia do sali. Margaret skręciła w bok, do damskiej toalety.

Popołudniowa część rozprawy przebiegała zgodnie z oczekiwaniami McLoughlina. Szef laboratorium, doktor Pat O'Malley, jak zwykle opanowany i flegmatyczny, mówił wyłącznie o faktach, nie pozwalając sobie na żadne przypuszczenia ani domysły. Stuprocentowy empiryk. Zmierzyć, zważyć, zbadać i opisać. Mógł powiedzieć, że włosy znalezione w domu oskarżonego są włosami ofiary. Mógł powiedzieć, że mikro włókna znalezione w domu oskarżonego pochodzą z ubrania, w którym widziano ją po raz ostatni. Nie zrobił tego, ponieważ ubrania, które wtedy miała na sobie, nie udało się odnaleźć. Pobrano jednak próbki innych jej ubiorów i stwierdzono, że część mikro włókien znalezionych w samochodzie i domu oskarżonego pochodzi właśnie z nich.

Następnie przysła kolej na ślady organiczne. Skóra i inne tkanki. Wszystko było proste i jednoznaczne, łatwe do sprecyzowania. Doktor O'Malley nie uznawał niewyraźnych granic. I bardzo dobrze. Nie daj Boże, żebyśmy doczekali takiej sytuacji, jaką mają w Wielkiej Brytanii, gdzie połowa techników laboratoryjnych w policji jest albo przekupiona, albo kiepsko wyszkolona, pomyślał McLoughlin. Musimy wierzyć w nieomyślność metod naukowych. Inaczej będziemy zgubieni.

Margaret źle się czuła. Zupa, którą zjadła na lunch, ciążyła jej w żołądku. Wsunęła rękę do kieszeni, poczuła pod palcami śliską powierzchnię niewielkiej fotografii. Znalazła ją dzisiaj w torebce. Zdjęcie paszportowe, trzy na pięć centymetrów. Wyjęła je, położyła na kolanach. Mary zrobiła je sobie w automacie na krótko przed opuszczeniem Nowej Zelandii. Do nowego irlandzkiego paszportu. Poszła tam z przyjaciółką, Louisa. Na kilku zdjęciach były razem, wygłupiały się, robiły miny. A na jednym pasku była sama, poważna, oficjalna. Rozłożyła je na kuchennym stole.

– Jak myślisz, mam, na którym jestem najbardziej irlandzka?

Wybrała dwa i poszła na pocztę, żeby wysłać je razem z wypełnionym formularzem, Margaret zaś wybrała jedno z pozostałych i schowała do torebki. I całkiem o nim zapomniała. Aż do tego lunchu. Siedziała w mrocznym wnętrzu u Conwaya, siorbała letnią zupę. Kiedy niosła do ust kolejną łyżkę, ręka jej zadrżała, trochę ciemnobrazowej zupy kapnęło na spódniczkę. Szukała

w torebce chusteczki, a znalazła fotografię. Ukryła ją w dłoni, opiekuńczo osłoniła drugą. Mary spoglądała na nią pomiędzy palców, taka ładna, taka szczęśliwa. A przynajmniej tak się wydawało.

Nie powiedziała jej jednak o ciąży. Nie powiedziała, że zamierza poddać się aborcji. Powiedziała natomiast Louisie i to Louisa poszła z nią do kliniki, to Louisa czekała na nią i odprowadziła do swojego domu. To Louisa okłamała Margaret, mówiąc przez telefon: „Och, to nic takiego. Po prostu ma bolesny okres. Sama pani wie, czasem się jej to zdarza. Chyba nie ma pani nic przeciwko temu, żeby zanocowała u mnie?”. Kolejne kłamstwa, kolejne oszustwa. Czy mogę ją winić, skoro sama to zaczęłam?

Siedziała w barze nad wystygłą zupą, z bolesnym ciężarem w piersi. O czym rozmawiała z Patrickiem, kiedy spotkali się tu po raz pierwszy? Może o polityce, o książkach, o filmach. Pamiętała, że miała wtedy na sobie długą brązową plisowaną spódnicę i ciemnobrązowe zamszowe botki. Czekala po drugiej stronie ulicy przed jasno oświetlonym wejściem do gmachu sądu. Kiedy zobaczyła, że Patrick zmierza do pubu, policzyła do stu i podążyła za nim. Początkowo była okropnie spięta, z trudem mogła wykrztusić choćby słowo. On zresztą też był onieśmieszony. Zaskoczyło ją to. Nie spodziewała się tego.

Zostali aż do zamknięcia. Potem poszedł do telefonu. Nie miał drobnych, więc pożyczył od niej dziesięć pensów. Nie pytała, do kogo dzwoni ani po co. Kiedy szli Parnell Street, wepchnął ją do bramy i zaczął całować.

– Nie chcę wracać do domu – powiedziała.

Cofnął się, wziął ją za rękę. Minęli pomnik Parnella, przecięli O’Connell Street, skręcili w Gardiner Street. Okolica była niemal całkiem wyludniona. Uwiesiła się jego ramienia, z trudem za nim nadążała. Zgubiła gdzieś rękawiczki, wsunęła więc prawą rękę do kieszeni jego płaszcza. Wyczuła pęk kluczy, chusteczkę, jakieś drobiazgi. Skręcił w lewo w kierunku Mountjoy Square, pociągnął ją za sobą. Zatrzymał się przy pierwszym domu po prawej stronie, przez chwilę zmagał się z zamkiem. Z mglistej, wilgotnej, nieprzyjaznej nocy weszli do pięknego holu o posadzce w szachownicę z czarnych i białych płytek, ścianach koloru starej byczej krwi, z ogromnym zwierciadłem w złotych ramach. Przez chwilę wpatrywali się w swoje odbicie, potem on, wciąż nie odwracając wzroku, ujął jej twarz w dłonie i pocałował najpierw w czoło, potem w nos, potem w oba policzki, wreszcie w usta.

Na piętrze otworzył innym kluczem niewielkie drzwi, za którymi znajdowały się następne schody. Zaprowadziły ich do trzech uroczych pokoi na poddaszu. Ściany pokrywała tapeta w zielone i białe pasy, sufit był zielony, na drewnianej podłodze leżały indyjskie dywany. Na łóżku o metalowej ramie z błyszczącymi gałkami leżała bogato zdobiona pikowana kapa. Jedną ścianę całkowicie zasłaniały półki z książkami, naprzeciwko był niewielki marmurowy kominek, obok na podłodze stał gramofon. Nieco dalej, na zawieszanej tuż nad podłogą półce, piętrzyły się

dwa stosy płyt. Ukłął, zaczął w nich szperać.

– Posłuchaj.

Znowu Kathleen Ferrier. Głośne trzaski zakurzonej płyty.

– Zanuć, proszę. Tak jak wtedy w samochodzie.

To było w piątek wieczorem. Zostali tam aż do niedzieli. Zadzwoiła do szpitala i powiedziała, że jest chora, skłamała też coś ojcu. Kiedy Patrick telefonował do żony, przykryła głowę poduszką, żeby nie słyszeć, jak mówi do niej „kochanie”, a gdy skończył, powitała go w łóżku z otwartymi ramionami.

– Ślicznie tutaj – powiedziała.

– To własność mojego brata Hugh'a. Akurat wyjechał. Nagle ogarnęła ją dzika, paląca zazdrość.

– Często przyprowadzasz tu dziewczyny? Uśmiechnął się, wstał i poszedł do wyłożonej zielonymi kafelkami łazienki napełnić wodą staroświecką dużą wannę.

Przynosił jej śniadania do łóżka. Jajecznica na bekonie, parówki, szkocka kaszanka, kawa. Smażył steki na kolację. O północy pili kakao i jedli herbatniki. Kiedy zasypiał, ona obserwowała go w świetle stojącej lampy. Gładka skóra, długie gęste rzęsy, kręcone włosy. Czasem ściągała koc, by popatrzeć na jego ciało. Gęste czarne włosy tworzące na klatce piersiowej kształt nietoperza, na dole wąska czarna linia, po której przesuwała palcem od pępka aż do kości łonowej, dalej znowu szeroko rozrośnięte włosy, gęstsze, sprężyste. Łaskotały ją w nos, kiedy się pochylała, żeby go pocałować.

Rozstali się na O'Connell Street. Tam, wśród ludzi, nawet się nie dotykali. Odsunął się, kiedy spróbowała wziąć go za rękę.

– Zadzwoń – powiedział, ale mu nie uwierzyła.

Niewiele się zmieniło. Dom przy Mountjoy Square wciąż stał, chociaż był już opuszczony i czekał na wyburzenie, jak poinformował ją barman z Hill 16 tuż za rogiem, przy Gardiner Street. Poznał ją, nalał jej drinka, powiedział, że bardzo się cieszy, widząc ją znowu po tylu latach. Klucze pasowały do zamków, trzy pokoje na poddaszu były dokładnie takie, jakimi je zapamiętała. Może tylko trochę mniejsze, trochę bardziej ciasne. Tamtego okropnego dnia minionego lata, kiedy McLoughlin powiedział jej o ciąży Mary, odwiedziła wszystkie swoje ulubione miejsca. Był bardzo niezdarny. Przeczytał fragmenty raportu anatomopatologa. Zacinał się na nieznanym słowach. Zostawił ją roztrzęsioną, potrzebującą pocieszenia, spragnioną rozmowy z jedyną osobą, z którą mogłaby podzielić się swoją rozpaczą. Ruszyła więc śladami wspólnie spędzonego czasu. Najpierw jej stare mieszkanie przy Pembroke Road. Mieszkała tam teraz córka dawnej właścicielki. Nie pamiętała Margaret, lecz mimo to wpuściła ją do domu, pozwoliła wejść na górę, do pokoju, z którego okien widać było Wellington Road i góry. A stamtąd do wszystkich miejsc, które mogła sobie przypomnieć, gdzie choć przez chwilę byli

razem. Wędrując zatłoczonymi ulicami, rozmawiała z Patrickiem, mówiła mu, jak bardzo go potrzebuje, że nie zdoła dłużej znieść cierpienia, że nie poradzi sobie sama. I czekała na odpowiedź. Lecz odpowiedzi nie było. Aż do dzisiaj.

Oderwała wzrok od fotografii. Właśnie ustawiano ekran, David Douglas mówił coś o dowodach zarejestrowanych na taśmach wideo. Na miejscu dla świadków siedział młody policjant. Pokazywano fragmenty taśmy ze sklepu ze sprzętem elektronicznym przy George's Street. To była Mary. Patrzyła prosto w kamerę. Tańczyła, chyba coś podśpiewywała. Uśmiechała się. Policjant wyjaśnił, że liczby w prawym dolnym rogu ekranu określają czas, kiedy dokonano nagrania. Za jej plecami przejeżdżały samochody i autobusy. Douglas zatrzymał taśmę, wyjął kasetę, włożył następną. Znowu Mary, tyle że nie tak wyraźna, bo filmowana z daleka. Kamera drogowa zainstalowana na skrzyżowaniu Dames Street i Trinity Street, wyjaśnił policjant. Stała przed przejściem dla pieszych. Spojrzała w lewo, w prawo, znowu w lewo.

– Trzymaj mnie za rękę, mamusiu. Tak trzeba. I nie przebiegaj przez jezdnię. Tak nie wolno. To niebezpieczne.

Kolejna taśma. System monitoringu Banku Centralnego, objaśnił policjant. Stała na schodkach przed drzwiami. Tyłem do kamery, ale i tak bez trudu można było ją rozpoznać. Kręcone włosy, długie nogi, krótka spódniczka, szczupłe barki. Duża torebka przewieszona przez ramię. Spojrzała na zegarek, po czym zaczęła skakać w górę i w dół po kamiennych stopniach. Bawiła się. Ile zdołasz przeskoczyć naraz?

– Postaraj się, mamusiu. Na pewno potrafisz. Nie bądź tchórzem, nie przewrócisz się.

Była 23.25. W pewnej chwili podniosła głowę, pomachała i pobiegła. Zeskoczyła ze schodków, znikła z pola widzenia kamery.

Ostatnia taśma. Uliczna kamera przed Bankiem Irlandii przy College Green. Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle. W środku siedziały dwie osoby. Młoda kobieta i mężczyzna. Pochyliła się do niego, pocałowała go w usta, wyprostowała się. To była ona. Mężczyzna się uśmiechał.

– Panie Byrne, czy rozpoznaje pan osoby siedzące w tym samochodzie?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– W takim razie, kto to jest?

– Ta młoda kobieta to nieżyjąca panna Mary Mitchell, natomiast ten mężczyzna to oskarżony, pan Jimmy Fitzsimons.

Ból w piersi jeszcze bardziej się nasilił. Jakby jakaś bezlitosna ręka chwyciła ją za serce i zaciskała się z ogromną siłą, żeby wydusić z niej życie.

Rozdział 46

W nocy znowu padało, a wschodni wiatr przygnał fale, których wierzchołki przewalały się przez mur i tworzyły na jezdni ogromne kałuże, lśniące czarnymi i pomarańczowymi refleksami pod ulicznymi lampami. W domu zastała liścik od Nellie, napisany drżącą ręką ogryzkiem ołówka na odwrocie starej koperty. Był człowiek z agencji z ewentualnym kupcem. Chcieli złożyć konkretną ofertę.

Usiadła w fotelu przed kominkiem, zbyt wyczerpana, żeby wziąć się do pakowania. Zdjęcia leżały na podłodze, tam gdzie zostawił je Patrick. Podniosła je, przejrzała po raz kolejny. Kilku brakowało, między innymi tego z osiemnastych urodzin Mary. Urodziła się w lipcu. W Irlandii było wtedy lato, w Nowej Zelandii – zima. Na zdjęciu siedziała po turecku na podłodze przed kominkiem. Brodę oparła na ręce. Była wtedy odrobinę podchmielona, ponieważ jeszcze przed przyjęciem wypity we dwie całą butelkę szampana. Potem Margaret położyła się z książką do łóżka, zostawiła młodych samych. Kiedy obudziła się kilka godzin później, do pokoju wciąż docierały dźwięki muzyki. Wstała, zeszła na dół, ostrożnie lawirując między leżącymi pokotem ciałami, butelkami, puszkami po piwie. Mary skuliła się na kanapie w salonie. Płakała. Margaret usiadła obok niej, pogładziła po głowie.

– Co się stało?

– Smutno mi.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu mi smutno. Chciałabym...

– Czego byś chciała?

– Mieć ojca. Żeby tu był.

Położyły się na kanapie, przytuliła ją do piersi, szeptała do ucha, jak bardzo ją kocha, aż wreszcie Mary zasnęła, oddychając przez lekko uchylone usta.

Przez tak wiele lat była całkowicie pewna, że postąpiła jak należy. Wybrała jedyne sensowne rozwiązanie. Była dumna z podjętej decyzji, ze swojej pomysłowości i konsekwencji w działaniu. Nie cofnęła się przed żadnym zadaniem, nigdy nikogo nie prosiła o pomoc. Teraz jednak pojawiło się wahanie. Próbowwała prześledzić w myślach swoje działania w ciągu minionych lat. Gdzieś, kiedyś najwidoczniej popełniła błąd. Czym zgrzeszyła? Najprawdopodobniej dumą. Tak wielką dumą napełniały ją jej sukcesy, jej doskonałość, zdolność przetrwania... Okazało się jednak, że to, co brała za siłę, było tylko arogancją.

Podniosła się z trudem z kanapy, poszła do kuchni, włączyła światło. Z szyby spoglądała na nią wychudzona, pusta twarz. Usiadła przy stole i wpatrzyła się w ciemność.

Samochód stał zaparkowany przodem do morza. Z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki. Głos Franka Sinatry wznosił się i opadał. McLoughlin siedział za kierownicą z twarzą częściowo

ukrytą w podniesionym kołnierzu płaszcza. Zapalił zapalniczkę, przyłożył ją do końca trzymanego w ustach cygara. Zassał mocno, po czym z zadowoleniem wypuścił kłąb dymu. Dalszy ciąg pokolacyjnych rozkoszy, chociaż na dobrą sprawę trudno było mówić o jakiejś kolacji. Jak zwykle zrobił ją sam i zjadł samotnie w domu. Makaron z sosem pomidorowym i sałatą. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył jednak, że wcale nie jest głodny, i większa część porcji wylądowała w koszu. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zostawić trochę dla Janey, doszedł jednak do wniosku, że nie ma to większego sensu. Nie rozmawiali już od kilku dni, ograniczając się do wiadomości rejestrowanych przez automatyczną sekretarkę i do lakonicznych liścików zostawianych pod solniczką na kuchennym stole. Będę późno, nie czekaj. Będę późno, nie czekaj z kolacją. Nakarm kota. Dzwoniła twoja matka. Nic ważnego, ale zadzwoń do niej, jak będziesz miał chwilę czasu.

Niekiedy podejrzewał, że ona kogoś ma. Od czasu do czasu mierzył się z tą myślą, na przykład stojąc w korku lub czekając na zmianę świateł, albo w kolejce w kantynie, albo teraz. Wcześniej również przychodziło mu to do głowy, nigdy jednak nie nabierało choćby pozorów prawdopodobieństwa. Przecież to on był niewierny, niestały, nieodpowiedzialny. Przecież to on ciągle czegoś szukał. Nawet w Rzymie, podczas podróży poślubnej. Poszli na Schody Hiszpańskie i pili koktajl truskawkowy. Nazywało się to *frulati*. Chyba zbyt długo siedzieli w słońcu, Janey bowiem zrobiło się słabo, jej blada skóra poczerwieniała, piegi na ramionach stały się nagle wyraźne jak okruchy razowego chleba.

– Wróć do hotelu, ale ty możesz tu zostać.

Uparła się, nie chciała psuć mu dnia. Odprowadził ją, pocałował przed drzwiami hotelu. Widać było po niej, że źle się czuje. Zbladła jak ściana, pomachała mu szybko na pożegnanie, odwróciła się i pobiegła do pokoju. Co miał robić? Chyba tylko włóczyć się po ulicach aż do zmroku, gapić się na widoki i ludzi, od czasu do czasu wstępować do baru, żeby napić się czegoś zimnego.

– *Perfavore. U no gine tonie?*

– *Certamente, signore, gin-tonic.*

Aż wreszcie dotarł do fontanny Trevi. Wyszedł zza rogu i oto nagle pojawiła się przed nim, na wyciągnięcie ręki, z uwiecznionymi na milionach pocztówek delfinami i Posejdonem. Przypomniawszy sobie scenę ze *Słodkiego życia*: Anita Ekberg w wodzie, w mokrej sukni oblepiającej ciało niczym skóra dojrzałego mango, fotoreporterzy walczący o miejsce, by zrobić jej jak najlepsze zdjęcie.

Siedział na cembrowinie i rzucał monety do wody. Irlandzkie pensy. Obok niego jakaś dziewczyna robiła to samo. Angielka, mieszkała w pobliskim schronisku studenckim. Długa poszarpana suknia, jasnobrązowe włosy sięgające do połowy pleców, nogi i ramiona koloru lśniących kasztanów. Spojrzył na nią i od razu jej zapragnął. Dlaczego? Nie miał pojęcia. Wtedy

jeszcze ograniczył się jedynie do myśli.

Pochylił się, otworzył schowek, wyciągnął butelkę, odkręcił i podniósł do ust. Zakrztusił się, kiedy whisky spłynęła do gardła. Nadeszła pora, żeby poważnie porozmawiać z Janey. O przyszłości.

Przez głos Sinatry przedostał się warkot silnika. Jakiś samochód nadjechał powoli, zatrzymał się przed domem Margaret. McLoughlin zerknął na zegarek: pierwsza w nocy. Odwrócił się na fotelu, żeby się lepiej przyjrzeć wysokiej sylwetce, która wysiadła z pojazdu. Bez wątpienia mężczyzna. Ostrożnie otworzył skrzypiącą furtkę, wbiegł po schodkach, przeskakując po dwa stopnie. Zaczekał na otwarcie drzwi, po czym zniknął w szczelinie wypełnionej żółtym światłem, która natychmiast się zamknęła.

Siedział i czekał. Pół godziny... czterdzieści pięć minut... godzina. Wysiadł z samochodu. Wiatr chlusnął mu w twarz bryzgi piany. Wytrzeł chusteczką oczy. Przeszedł na drugą stronę ulicy, dotarł do furtki, pchnął ją delikatnie, podkradł się wyłożoną kamieniami nierówną ścieżką. Zasłony w salonie były rozsunięte. Trzymając się metalowej poręczy, wszedł po stopniach, zatrzymał się, wychylił najdalej jak mógł w kierunku okna. Słyszał dwa głosy, wysoki i niski. Wylewające się przez okno światło było migotliwe, pełgające, żółtopomarańczowe. Przeszedł na drugą stronę balustrady, zacisnął ręce na poręczy, wychylił się do przodu na tyle, na ile mógł. Dwie ciemne sylwetki na tle płonącego w kominku ognia. Jednostajny szmer rozmowy. Przeplatające się głosy, od czasu do czasu cichy śmiech.

Rozbolały go ramiona. Wycofał się, na palcach zszedł ze schodków na ścieżkę. Czuł się paskudnie.

Rozdział 47

– Jesteś pewien, prawda, Dave? Nie będzie żadnego problemu z tym zeznaniem? Wszystko od tego zależy. Reszta to tylko poszlaki. Badania laboratoryjne nic właściwie nie dały. Owszem, była w jego domu, i co z tego? Nigdy nie zaprzeczał, że ją znał. Owszem, znaleźliśmy jego naskórek pod jej paznokciami, i co z tego? Przecież współżyli seksualnie, a ludzie wyczyniają wtedy najrozmaitsze rzeczy. Bez tego zeznania cała reszta jest funta kłaków warta. Dopilnowaliście wszystkiego, prawda, Dave?

Siedzieli w Bewley's Pub przy Westmoreland Street. Zbliżała się dziewiąta. Finney miał stawić się w sądzie o dziesiątej. McLoughlin zamówił parówki, kaszankę szkocką, bekon i grzanki, ale prawie nie tknął jedzenia. Nocne picie whisky stanowczo nie wyszło mu na zdrowie.

– Co jest, szefie? – Finney spojrzał na niego znad załadowanego z czubem widelca. – Nie głodny?

McLoughlin wzruszył ramionami, odsunął talerz jak najdalej od siebie.

– W takim razie, jeśli pan pozwoli...

Finney wyciągnął rękę i umoczył grzankę w sosie.

– Na pewno wszystko było jak trzeba, Dave?

Finney przełknął, popił herbatą, a następnie przyjrzał mu się uważnie.

– Przecież już panu mówiłem. A poza tym, sam pan doskonale wie, że prokuratura nie zdecydowałaby się wystąpić z oskarżeniem, gdyby mieli jakiegokolwiek wątpliwości. – Posmarował masłem kolejną grzankę i położył na niej grubą warstwę marmolady. – Marnie pan dzisiaj wygląda. Co pan robił w nocy?

Nie zamierzał się przyznać, że spędził ją przed domem Margaret, pijąc z butelki i czekając. Zamierzał czekać, aż ten, kto ją odwiedził, odjedzie, a następnie zastukać do drzwi i wszystko jej powiedzieć. Nie zrobił tego jednak, ponieważ zasnął i obudził się dopiero nad ranem, z potwornie zeszywniałym karkiem i kamieniem w żołądku. Gdyby nie mundurowy policjant z posterunku Blackrock, który od dłuższego czasu stukał w szybę, zapewne spałby jeszcze dłużej.

Dzień był zimny, błękit nieba miał niepewny, nerwowy odcień, od horyzontu po horyzont ciągnęły się rozmazane smugi ciemnych obłoków. Tego ranka Monkstown miało żółty kolor dzięki niezliczonym krzakom forsycji, które zakwitły jednocześnie niemal we wszystkich ogrodach, spływały z murów, przeciskały się przez pręty w ogrodzeniach. Kwitł także szczodrzeniec, obsypując chodniki i ścieżki migoczącą ulewą płatków. Reszta miasta była szarzielona i metaliczna. Nawet rzeka lśniła tak, jakby jej koryto przykryła ocynkowana blacha.

W sali było tłoczniej niż poprzedniego dnia. Więcej dziennikarzy, więcej publiczności. Margaret siedziała na swoim zwykłym miejscu. Dostrzegł głębokie cienie pod jej oczami,

przystanął więc, by zapytać, jak się czuje, i chociaż odpowiadając, nawet się lekko uśmiechnęła, to nie ulegało wątpliwości, że jest zupełnie rozkojarzona, myślami przebywa daleko stąd. Stał przy drzwiach w końcu sali i czekał, aż oskarżyciel wezwie Finneya do złożenia wyjaśnień w charakterze świadka. Wszystko będzie dobrze. Przeanalizował dokładnie to, co działo się tamtego dnia na posterunku, nie pominął żadnego szczegółu.

A mimo to, teraz, na jego oczach, cała konstrukcja zaczęła się chwiać w posadach.

Dave Finney zajął miejsce dla świadków. Przedstawił się, powiedział, jaką pełni funkcję, złożył przysięgę i przystąpił do składania wyjaśnień. Oświadczył, że policja zjawiła się po raz drugi w domu Fitzsimonsa we czwartek 31 sierpnia o 7.45. Mieli nakaz przeszukania. Zajęło im to cztery godziny. Na wyraźne życzenie policji Fitzsimons był przez cały czas obecny. O 11.07 aresztowano go i zapoznano z przysługującymi mu prawami, po czym przewieziono na posterunek Swan's Nest w celu przesłuchania. Dotarli tam o 11.50. Przesłuchanie trwało do 17.07, z godzinną przerwą na posiłek. Inspektor McLoughlin uzyskał zgodę na przedłużenie zatrzymania. Kontynuowano przesłuchanie. O 22.05 podejrzany oświadczył, że zamierza złożyć zeznanie. Trwało to do 23.45.

Następnie Douglas powoli, uważnie przeprowadził go przez to jeszcze raz pytaniami.

– Jeśli się nie mylę, sierżancie Finney – powiedział wreszcie – zgodnie z prawem pan Fitzsimons powinien zostać zwolniony najpóźniej o 23.07, zgadza się?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Niemniej jednak z własnej nieprzymuszonej woli kontynuował składanie zeznania aż do 23.45, po czym przeczytał je i podpisał. Czy tak właśnie było?

– Tak, Wysoki Sądzie.

– Sierżancie Finney, czy oskarżony wiedział o tym, że, gdyby taka była jego wola, o 23.07 mógł po prostu wstać i wyjść, nie narażając się na żadne przykrości?

Chwila milczenia, a potem:

– Tak, Wysoki Sądzie.

– W takim razie, sierżancie, czy zechciałby odczytać zeznanie złożone przez oskarżonego w dniu 31 sierpnia 1995 roku?

I właśnie wtedy sprawy zaczęły się układać bardzo niepomyślnie. Holland zerwał się na równe nogi, zgłosił kategoryczny sprzeciw, zażądał usunięcia tego zeznania z materiału dowodowego, stwierdził, że zostało uzyskane nielegalnie, w czasie, kiedy jego klient był bezprawnie pozbawiony wolności, że jego klienta nie poinformowano we właściwy sposób o przysługujących mu prawach, że sierżant Finney w najlepszym razie nie powiedział całej prawdy, w najgorszym zaś zupełnie się z nią rozminął, że tamtego wieczoru przed pół rokiem pan Fitzsimons znalazł się w ogromnie stresującej sytuacji, zatrzymany przez policję po raz pierwszy w życiu, zastraszone, szantażowany, a nawet okłamany przez przesłuchujących go

funkcjonariuszy. Do tego należało dodać jeszcze jedną sprawę, a mianowicie przeszukanie, które rankiem tego dnia przeprowadzono w jego domu.

– Wysoki Sądzie, chciałbym zwrócić się do sierżanta Finneya z prośbą o wyjaśnienie, na czym polegało owo „wyraźne życzenie policji”, żeby mój klient był obecny podczas przeszukania, i czy nie było tak, że po prostu uniemożliwiono mu opuszczenie domu, dzielnicy, miasta i kraju? Że w gruncie rzeczy został zatrzymany już w chwili, kiedy policja zastukała do jego drzwi, i że okres, przez jaki mógł być przetrzymywany, praktycznie zakończył się o 19.45, nie zaś, jak twierdził sierżant Finney, o 23.45! – Głęboki głos Hollanda rozbrzmiewał w sali z siłą gromu. – Dlatego też, Wysoki Sądzie, wnoszę o skreślenie tego zeznania z listy dowodów oraz o natychmiastowe uwolnienie mego klienta ze względu na to, że jego zatrzymanie odbyło się z naruszeniem konstytucyjnych przepisów prawa obowiązujących w tym kraju.

McLoughlin spozjrzał na Finneya. Po bladej jak kartka papieru twarzy sierżanta przemykały po kolei gniew, poczucie winy i rozczarowanie. Następnie przeniósł wzrok na Fitzsimonsa. Jimmy wpatrywał się błyszczącymi oczami w Margaret, która z kolei spoglądała to na niego, to na Finneya, to na sędziego, to na dziennikarzy wypełniających szczelnie łóżę prasową. Potem odwróciła się i popatrzyła na McLoughlina.

Dwaj prawnicy dyskutowali, sprzecali się, debatowali, powoływali na precedensy, grali w słownego ping-ponga. Zwycięży ten, kto okaże się sprawniejszy, sprytniejszy, kto zdoła wypracować i wykorzystać przewagę. Prawda odgrywała tutaj najmniej istotną rolę.

McLoughlin odwrócił się na pięcie, pchnął szklane dwuskrzydłowe drzwi, wyszedł do głównego holu. Miał dosyć tego wszystkiego. Za bardzo się zaangażował. Za blisko był tego wszystkiego. Przytłaczały go ich cierpienie i ból, ich smutki i rozczarowania.

Zszedł po szerokich stopniach, otworzył drzwi, nappełnił płuca świeżym, zaskakująco czystym powietrzem. Nad rzeką pojawiła się gromada mew; poruszały się jakby sterowane jedną myślą, wrzeszcząc donośnie, pikowały nad samą wodę, po czym wzbijały się w górę, olśniewająco białe na tle szarych budynków, wlatywały coraz wyżej i wyżej w niebo, by wreszcie, wciąż razem, zakręcić nad mostem i pomknąć w kierunku morza. Oparł się plecami o kamienny filar. Był bardzo zmęczony.

Ludzie zaczęli opuszczać gmach sądu. Kiedy go mijali, wychwytywał strzępy rozmów.

- Niewiarygodne, prawda?
- Niech szlag trafi policję. Myślałem, że dali już sobie spokój z tymi metodami.
- To wszystko było z góry ukartowane. Chodzi tylko o to, żeby nabijać kabzę prawnikom.
- Z tymi zeznaniami w śledztwie to nigdy nic nie wiadomo...
- W takiej sprawie nie trzeba żadnych dodatkowych dowodów!
- Wystarczy na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że jest winny.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślał, a następnie odwrócił się i odszedł z rękami wbitymi

w kieszenie, z opuszczoną głową i pustką w żołądku.

Na brudnych białych kafelkach leżały porzucone przez kogoś rajstopy. Do brudnej umywalki kapiała zimna woda. Zainstalowany w pokrytej pajęczyną pęknięć ścianie wentylator furkotał zawzięcie, zasłaniające go plastikowe żaluzje otwierały się i zamykały z klekotem. Margaret stała przed pomazanym lustrem. W podziemiach gmachu sądu panowała głęboka cisza. W porównaniu z wyniosłą elegancją pozostałej części budynku, wewnątrz damskiej toalety było w opłakanym stanie.

Wyjęła z torebki szczotkę, rozpuściła włosy i zaczęła rozczesywać powolnymi, jednostajnymi ruchami. Następnie zebrała je z tyłu głowy i spięła spinką.

Rozległ się odgłos spuszczonej wody. Za jej plecami otworzyły się drzwi jednej z kabin, jakaś kobieta podeszła do sąsiedniej umywalki, odkręciła kurek, włożyła ręce pod strumień wody. Starannie namydliła dłonie, poświęcając sporo uwagi każdemu palcowi, po czym opłukała je. Pierścionek z brylantem, który miała na lewej ręce, zawadził o umywalkę. Odwróciła się, dokładnie wytarła ręce w wilgotny ręcznik, a następnie stanęła przodem do lustra, otworzyła torebkę i wyjęła z niej szminkę do ust. Zdjęła złocistą zatyczkę, wysunęła czerwony połyskujący sztyft, pochyliła się w kierunku lustra. Najpierw pomalowała górną wargę, potem zajęła się dolną. Wyjęła z torebki chusteczkę, starannie osuszyła usta, włożyła szminkę i chusteczkę z powrotem do torebki. Cofnęła się o krok, obrzuciła swoje odbicie badawczym spojrzeniem. Miała błękitne oczy Jimmy'ego. Poprawiła czarny sweter opięty ciasno na bujnej piersi, wygładziła czarną kusą spódniczkę. Naciągnięte na grube nogi lycrowe rajstopy połyskiwały w świetle jarzeniówek. Poprawiła nastroszone jasne włosy, szeroko otworzyła usta, zbliżyła się do lustra, przesunęła językiem po zębach. Potem spojrzała na Margaret.

– On tego nie zrobił – powiedziała. Margaret nie zareagowała.

– Naprawdę tego nie zrobił. Policja go w to wrobiła. Nie mogli znaleźć mordercy, więc postanowili zwalić wszystko na Jimmy'ego. To kompletna bzdura. On nikogo by nie skrzywdził. Jest dobrym chłopcem. Pani córka na pewno spotykała się z kimś jeszcze, i to jego powinna policja szukać, zamiast znęcać się nad naszym chłopcem. Przez tyle miesięcy trzymali go w więzieniu! Ktoś powinien za to zapłacić.

Margaret bez słowa wpatrywała się w jej odbicie w brudnym lustrze. Mięśnista twarz, zwałista sylwetka. Kobietę otaczał słodkawy, mdlący zapach perfum. Nagle Margaret poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Odwróciła się gwałtownie, trzema wielkimi krokami znalazła się w toalecie, przykucnęła, zacisnęła ręce na krawędzi muszli klozetowej. Z jej ust wytrysnął strumień brudnoszarej, piekącej cieczy, z oczu popłynęły łzy. Wymiotowała tak długo, aż wreszcie w żołądku nic nie zostało. Próbowiła sobie wyobrazić tę kobietę jako młodą dziewczynę o ciele zniekształconym przez ciążę. Czy kiedy się urodził, kiedy rozerwał ją, żeby wydostać się na zewnątrz, pokochała go tak jak ona pokochała Mary? Natychmiast, całkowicie,

bez reszty? Czy oddała się do końca tej małej osóbcie, całkiem nowej, a jednocześnie tak znajomej?

Osunęła się na podłogę, nie zważając na plamy i kałuże na białych kafelkach. Widziała jej nogi. Wciąż stała przed lustrem. Miała wąskie pantofle na bardzo wysokim obcasie, grube stopy mieściły się w nich z najwyższym trudem. Margaret wytarła usta papierem toaletowym i oparła głowę na kolanach. Patrzyła na te pantofle, obserwowała, jak poruszają się lekko to w jedną, to w drugą stronę, a wreszcie odchodzą i znikają.

Zrobiło jej się zimno. Chłód posadzki bez trudu przenikał przez cienki materiał spódnicy. Powoli, z wysiłkiem, dźwignęła się na nogi, wróciła do umywalki, opłukała usta i twarz, nie zważając na to, że woda zalewa przód bluzki. Następnie wsunęła rękę do torebki, po omacku znalazła fotografię Mary, wyjęła ją i pocałowała. Córka uśmiechała się do niej poczekaj. Taką właśnie Mary znała: lubiącą piec kruche ciasteczka, zakochaną w *Ani z Zielonego Wzgórza* i *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*. Mary, która potrafiła prześpiewać całą *The Sound of Music*. Mary, która potrafiła wykonać szesnaście *fouettes*, a zamierzała dojść do trzydziestu dwóch.

– Trzymaj się, maleńka. Już prawie po wszystkim – wyszeptwała.

Nie otrzymała odpowiedzi.

Rozdział 48

Przez kilka dni po zwolnieniu z więzienia nie mógł zasnąć. Po prostu nie był w stanie położyć się i zamknąć oczu, pozbawiając się w ten sposób wszystkich tych wspaniałych widoków, barw, kształtów – zapachów, smaków i dźwięków. Dlaczego miałby wybierać nieświadomość i ciemność, skoro świat był taki piękny, taki bogaty, taki ekscytujący?

Po południu, kiedy wyszedł z gmachu sądu, akurat padało, ale on od razu poszedł nad rzekę i stał z podniesioną głową, czując, jak krople deszczu spływają mu po twarzy. Wysunął nawet język, żeby ich skosztować – były gorzkie i zimne – wyciągnął ręce i obserwował, jak woda zbiera się w zagłębieniach skóry. Czuł się wszechmocny. Mógł teraz robić, co chciał. Rozglądał się za nią, chciał świętować z nią swój triumf, ona jednak znikła, odwieziona dokądś przez policjantów. Mniejsza o to. Miał czas. Kiedy jednak nazajutrz pojechał do Monkstown, dom był pusty, a w ogródku stała tabliczka z napisem DO SPRZEDANIA, na który ukosem naklejono nalepkę CENA UZGODNIONA. Zawód był tak silny, że niewiele brakowało, aby się rozpląkał. Przeskoczył przez ogrodzenie do ogródka, zajrzał przez okna na parterze. Dom sprawiał wrażenie opuszczonego. Uparał się z zamkiem w tylnych drzwiach i wszedł do środka.

Nie zostawiła dla niego nic poza stertą starych czasopism w kuchni i kilkoma wypchanymi foliowymi workami w holu. Pootwierał je, przejrzał zawartość. Nic interesującego. Jakieś szmaty, szpargały, stary koc z dziurami wygryzionymi przez mole. Kwadratowe i prostokątne ślady na ścianach wzmocniały wrażenie pustki i straty. Powoli wspiął się po schodach na piętro, przesuwając ręką po balustradzie i wyobrażając sobie, że dotyka jej dłoni. W szafie w najmniejszej sypialni wisiał na czerwonej tasiemce woreczek z lawendą. Z trudem rozsypał ją niezgrabnymi palcami, przycisnął woreczek z wyblakłego płótna do nosa, wciągnął głęboko powietrze. Ten zapach przypominał mu wyłącznie córkę. Lubiła go. Pierwszego dnia znalazła wyjątkowo piękny krzak białej lawendy. Nie chciał teraz o tym myśleć, a jeżeli już, to wyłącznie po to, by przeanalizować popełnione błędy i ustrzec się ich w przyszłości. Był taki nieostrożny, działał zupełnie po amatorsku. Jeżeli w czasie pobytu w więzieniu nauczył się czegokolwiek, to właśnie tego, jak istotne są spryt i precyzyjne planowanie.

Przeszedł do sąsiedniej, większej sypialni. Na zakurzonej podłodze leżał materac i dwie stare poduszki. Usiadł, oparł się plecami o ścianę, zamknął oczy. Przewrócił się na bok, na brzuch, wtulił twarz w poduszkę, wziął głęboki wdech. Poczł woń pleśni i wilgoci, ale także inną, czegoś żywego i ciepłego, ukrytego głęboko w pierzu. Przeturlał się na materac, znieruchomiał na wznak ze wzrokiem wbitym w sufit, wsunął rękę w spodnie. Dotknij mnie tu... tu... i tu... szeptał. Jej twarz była właśnie tam, gdzie chciał ją widzieć. Tuż nad nim.

Obserwował ją, kiedy sędzia ogłaszał, że jest wolny. Patrzył tylko na nią. To była cudowna

chwila. Wciąż wracał do niej pamięcią. Żałował, że tego nie nagrał. Mógłby odtworzyć taśmę przez telefon, kiedy zadzwonił do niej do Nowej Zelandii, równo tydzień po jej wyjeździe. Z pewnością się tego nie spodziewała. Obawiał się, że zmieniła numer telefonu, że to nie będzie już ten, który znalazł w notesie Mary, ale podniosła słuchawkę, i to już po drugim dzwonku. Obliczył, że u niej była jedenasta wieczorem. Zapewne leżała już w łóżku. Halo, powiedziała. A potem jeszcze raz: halo. Nie reagował. Leżał na łóżku, oglądał jej zdjęcia. Halo? Halo! Zaczynała się niepokoić. Posłał jej całusa i odłożył słuchawkę. Kiedy kilka minut później spróbował jeszcze raz, numer był zajęty. Głupia baba, pomyślał. Zdjęła słuchawkę z widełek. Podejrzewał, że będzie chciała zmienić numer, ale jeśli Nowa Zelandia przypominała pod tym względem Irlandię, zajmie jej to kilka dni. W tym czasie trafi ją jeszcze parę razy, był tego pewien. Mógł również do niej napisać. Chciał jej przesłać kilka rzeczy. Zrobi kilka dobrych odbitek i włoży je do koperty.

Zdumiało go, jak szybko życie wróciło do normy. Matka, głupia cipa, chciała, żeby z nią zamieszkał. Zmusiła go, żeby przeprowadził się do niej na kilka pierwszych dni po zwolnieniu z więzienia. Urządziła przyjęcie na jego cześć. Goście niezbyt dopisali. Zaproсили Patricka Hollanda, ale nie przyszedł. Nie podał żadnego powodu, po prostu przysłał liścik z informacją, że go nie będzie. Była za to Molly, słodka i kochająca jak zawsze. Czekala na niego tam gdzie zwykle, na schodkach, i wprost nie mogła się doczekać, żeby podzielić się z nim nowinami. Idę do nowej szkoły, oznajmiła. I mam kolegę. Nazywa się Peter, ma czarne włosy i psa, który wabi się Fluffy. Zachowywała się inaczej, z większą rezerwą. Początkowo nie spodobało mu się, że nie wskoczyła mu jak zwykle na kolana i nie obsypała wilgotnymi pocałunkami. Poczul w sercu bolesne ukłucie, chyba zazdrości, i w pierwszym odruchu chciał sprawić jej ból, uszczypnąć ją albo uderzyć, by zrozumiała, że jego miłość nie jest bezwarunkowa, pohamował się jednak. Wobec niej to nie byłoby w porządku. Ona nie rozumiała. W przeciwieństwie do innych.

Przyszła też Tina ze swoim grubym mężem Billem. Jimmy obserwował ich, siedząc na kanapie z piwem w ręce. Tina rozparła się w fotelu, spódniczka podjechała jej do połowy uda, Bill zaś przysiadł na oparciu, objął ją i położył jej rękę na ramieniu. Jimmy doskonale wiedział, że tamten tylko czeka na okazję, żeby sięgnąć niżej i złapać ją za wielkie cycki. On też miał na to ochotę. Złapać i ścisnąć tak mocno, żeby na wiele dni zostały najpierw czerwone, potem sine, a wreszcie czarne ślady.

Nie mógł narzekać na brak pracy. Po jakimś czasie. Początkowo było wokół niego sporo szumu i zamieszania, stopniowo jednak ludzie zaczęli zapominać i pojawiły się zlecenia. Lato zapowiadało się całkiem niezłe. Mnóstwo turystów wybierało się do Dromoland i zamku Ashford. Tłumy zamożnych jankesów pchały się do Mount Juliet i K-club. A na tydzień wynajęła go nawet para starzejących się gwiazd rocka. Było bardzo przyjemnie. Ci ludzie wiedzieli, jak żyć, a w dodatku nie byli snobami. Pamiętali o innych. Wreszcie przekonał się na własnej skórze,

co to znaczy dobrze się bawić. Był taki podekscytowany. Nie chciało mu się spać ani jeść. Chciał tylko być i działać. Rozglądał się za czymś nowym, interesującym, ale musiał zachować ostrożność. Kilka razy nadział się przypadkowo w mieście na tego kutasa McLoughlina. Nie tak często, żeby oskarżyć go o prześladowanie, ale wystarczająco często, by się zaniepokoić. W głębi duszy rozważał pomysł podróży do Nowej Zelandii. Odwiedził nawet biuro podróży, zapytał o ceny i rozkład lotów, nie zamierzał jednak podejmować pochopnych decyzji. Spryt i precyzyjne planowanie, o tym przede wszystkim musiał pamiętać.

Spojrzał na zegarek: kwadrans po jedenastej. Sobotni wieczór. Dziewczyna z agencji szczegółowo opowiedziała mu o najnowszym zamówieniu.

– Słuchaj uważnie, Jimmy, bo to wyjątkowo dobra robota. Naprawdę dużo płacą. Potrzebują cię na dziesięć dni, poczynając od wieczoru w sobotę. Podróż dookoła Irlandii. Będzie ich dwoje. Ją odbierzesz kwadrans po jedenastej sprzed hotelu Bloom i zawieszysz do Wexford, gdzie będzie na nią czekał mąż. Spędzają wieczór w towarzystwie przyjaciół. Jutro jedziecie do Cork. Wszystkiego dowiesz się od niej. Doskonale płacą, więc postaraj się najbardziej jak potrafisz, dobrze? Nazwisko? Czekaj, chwileczkę... Państwo Blake.

Nadjechał od strony kanału Lesson Street, objechał Green, skręcił w South King Street. Jezdnie były mokre i śliskie. Z Gaiety, nie zwracając najmniejszej uwagi na nadjeżdżające pojazdy, właśnie wychodzili ludzie. Typowa sobotnia widownia; większość kobiet wyglądała jak jego matka, w sztucznej biżuterii, z rozmazaną szminką na ustach. Zatrąbił na parę, która jakby nigdy nie szła środkiem jezdni. Mężczyzna odwrócił się i pokazał mu środkowy palec. Jimmy poczuł ogromną pokusę, żeby wziąć go na celownik trójramiennej gwiazdy i wcisnąć pedał gazu w podłogę, ograniczył się jednak do opuszczenia szyby i obrzucenia tamtego wyzwiskami. Anglesea Street, gdzie zatrzymał wóz, była zupełnie opustoszała. Jedyne dobiegające z pobliskiej dyskoteki przytłumione pulsowanie muzyki świadczyło o tym, że dzisiaj jest sobota.

Wyjął ze schowka muszelkę Molly. Zabawne, jak wszystko się ułożyło. Bardzo się na nią rozgniewał, kiedy odkrył, że zabrała ją z samochodu, w ostatecznym rozrachunku jednak dobrze się stało. Gliniarze przeszukali dom i samochód, ale znaleźli tylko mikro włókna i włosy. Oczywiście mógłby skłamać, że Mary dała mu tę muszlę w prezencie, niemniej jednak wywołałoby to dodatkowe spekulacje dotyczące losu jej torebki, a na tym z pewnością mu nie zależało. Po powrocie z więzienia musiał przekupić Molly wielką bombonierką, żeby zechciała oddać mu muszelkę. Teraz przyłożył ją do ucha i wsłuchiwał się w tajemniczą pieśń morza.

Ponownie spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej. No, co jest? Włączył radio, przeskakiwał ze stacji na stację. Chciał jak najprędzej ruszać. Przyjemnie będzie jechać w nocy z nieznaną kobietą. Zerknął w lusterko. Właśnie jakaś kobieta zbliżała się do samochodu. Była szczupła i niewysoka, twarz osłaniał długi, zarzucony na głowę szal. Zatrzymała się przy samochodzie, a on wysiadł i podszedł do niej. Kiedy odwróciła się ku niemu, serce mało nie

wskoczyło mu z piersi, a krew uderzyła do głowy i zatętniła w uszach, zagłuszając wszystkie nocne dźwięki.

– Witaj, Jimmy. Otwórz drzwi, proszę.

Rozdział 49

A więc do tego doszło.

McLoughlin siedział samotnie w kuchni. Otworzył butelkę wina i prawie ją opróżnił. Na talerzu stygły resztki kolacji. Wieprzowina, puree ziemniaczane, sałata. Więcej rozgrzebał niż zjadł. Wstał, żeby zgarnąć mięso do kociej miski, lecz w porę przypomniał sobie, że kota już nie ma. Odszedł razem z Janey trzy tygodnie temu.

Nie zdobył się na to, by wreszcie przeprowadzić z nią tę rozmowę. Teraz wracał myślami do tamtych tygodni i dni, szukając oznak, sygnałów, zapowiedzi, pamiętał jednak niemal wyłącznie śledztwo, zamordowaną dziewczynę, jej matkę i proces. Przełał do kieliszka resztę zawartości butelki. Picie też miało w tym swój udział, i to nawet duży. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. Jeden Bóg wie, jakie zmiany alkohol zdążył poczynić w jego mózgu. Najgorsze jednak było to, że nie powiedziała mu ani słowa. Kiedy wrócił do domu wieczorem tego okropnego dnia, kiedy Fitzsimons wyszedł na wolność, zastał w domu kartkę. Cholerną kartkę wydartą z notesu. Leżała na kuchennym stole. Nawet nie włożyła jej w kopertę. Usiadł, wziął ją do ręki i czytając, skubał poszarpaną krawędź, układając drobinki papieru w mały stosik. Dwie linijki skreślone schludnym charakterem pisma. Przedał kartkę na pół, potem jeszcze raz, rzucił kawałki na stół. Przez następne pół godziny układał je z powrotem, kleił przezroczystą taśmą klejącą, przypiął do korkowej tablicy obok notatek dotyczących wieczornych zebrań, przedpołudniowych kursów i weekendowych warsztatów. Potem wyruszył na obchód domu, żeby sprawdzić, co ze sobą wzięła. Niewiele. Oczywiście ubrania i książki. Stare płyty. Kilka fotografii. Zostawiła tę na kominku, zrobioną w porcie. Przed wyjściem rozpałała ogień. Usiadł przy nim, żeby ogrzać ręce, i rozplakał się, choć wcale tego nie chciał. Został tam na noc, zwinięty na dywanie i przykryty kocem.

Dopiero później stopniowo zaczął odkrywać, co jeszcze znikło z domu. Na przykład kosiarka do trawy i część narzędzi ze skrzyni. Wiertarka elektryczna, zdzierak do drewna. Nie napisała, dokąd odchodzi, on zaś uświadomił sobie, że nie wie, kogo mógłby o to zapytać. Tydzień później dostał list, w którym jej adwokat poinformował go, że Janey zamierza wystąpić o separację. Wciąż czekał na telefon od niej, ale nie zadzwoniła, po kilku kolejnych dniach wybrał się więc do kobiecego klubu, w którym spędzała tyle czasu.

– McLoughlin? Jane McLoughlin? – Kobieta za biurkiem pokręciła głową. Duże kolczyki zakołysały się współczująco. – Przykro mi, ale nie znam.

– Może... – McLoughlin zastanawiał się przez chwilę. – Może zapisała się pod panieńskim nazwiskiem? Reynolds. Jane Reynolds.

Kolejne energiczne potrząśnięcie głową.

– Też nie. Jak wygląda?

– No cóż... – McLoughlin uświadomił sobie, że nie potrafi jej opisać. Dwudziestopięć – albo nawet trzydziestopięćletnią Janey, owszem, bez trudu, ale taką, jaka była teraz? Odwrócił się powoli. – Zresztą, nieważne. Chyba pomyliłem adresy.

Zabawne, pomyślał. Oto on, policjant, specjalista w odnajdywaniu ludzi, w obserwowaniu ich, w docieraniu do ich najgłębiej skrywanych tajemnic, do rozmaitych paskudztw starannie ukrywanych pod ciężkimi kamieniami zwyczajnego życia... Tymczasem, jak się okazało, nie miał najmniejszego pojęcia, co robi jego własna żona. A teraz, kiedy odeszła, nie potrafił jej znaleźć.

W domu było zimno. Na wszystkich poziomych powierzchniach zgromadziła się warstwa kurzu. Siadając na kanapie, odnosił niekiedy wrażenie, że otaczają go całe kłęby kurzu, a następnie, jak w kreskówce dla dzieci, osiadają na nim razem z poszarpanymi strzępami pajęczyn, które błyskawicznie łączą się w całość, oplatają go ze wszystkich stron, przykuwają do miejsca. Starał się dokonać analizy wydarzeń, zrozumieć, co się wydarzyło. Zdawał sobie sprawę, że już od wielu lat jej nie kochał, że ją dręczył, że nic go nie obchodziły jej uczucia i pragnienia. Powinien więc właściwie się cieszyć, że znikła, że już go nie irytuje, że nie wchodzi mu w drogę. Boże, jęknął w duchu. Tylko nie próbuj sobie wmówić, że odczuwasz wyrzuty sumienia, że wpadłeś w to samo gówno hipokryzji, w które na twoich oczach brnęło tylu innych, kiedy było już za późno. Nie, tu chodziło o coś innego. Wcale nie pragnął jej powrotu, nie miał złudzeń, że jest zdolny żyć z nią pod jednym dachem. Po prostu żałował straconego czasu. Co właściwie robił przez te wszystkie lata? Teraz siadał wieczorami na kanapie przy wygasłym kominku albo przy stole w kuchni, zawsze ze szklanką lub kieliszkiem w ręce, i nie miał pojęcia, czym wypełnić godziny.

Oprócz tego była jeszcze Margaret. Kolejne upokorzenie. Wyszedł z nią z gmachu sądu, wziął pod ramię, zaprowadził do samochodu. Wszystko tamtego dnia, tego samego dnia. Odwiózł ją do domu w Monkstown. Wszedł do środka, chciał z nią porozmawiać, powiedzieć jej, jak bardzo mu przykro. Poszła prosto do kuchni. Zaczekał, aż rozlegnie się odgłos wody nalewanej do elektrycznego czajnika i skręcił do salonu. Przy kominku stały dwa wysiedziane fotele, przed nimi butelka po whisky i dwie szklanki. Schylił się, podniósł je. Na obu było mnóstwo rozmazanych, szarych od popiołu odcisków palców. Na podłodze leżały fotografie. Przykucnął, żeby im się przyjrzeć. Zdjęcia dziewczyny. Odstawił szklanki, wziął fotografie do ręki, zaczął szybko przeglądać. Były wśród nich też inne. Zdjęcia chłopców i młodych mężczyzn. Z czarnymi kręconymi włosami i błękitnymi oczami. Roześmianych, szczęśliwych. Na boisku, na korcie tenisowym. Opalone nogi i uśmiechnięte twarze.

– Proszę mi je dać.

Podeszła z wyciągniętą ręką. Zabrała mu je, położyła na okapie kominka.

– Proszę pani...

– Tak?

– Ja... – Umilkł. – Cóż mogę powiedzieć?

– Właśnie. Co może pan powiedzieć?

Dotknęła jego piersi czubkiem palca. Podniósł rękę, musnął gładką skórę. Cofnęła się pospiesznie.

Nie zaproponowała mu kawy, herbaty ani drinka. Kiedy wyszedł do holu, wyprzedziła go i otworzyła drzwi. Zatrzymał się, patrzył na nią przez dłuższy czas, wreszcie pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, ale ona uchyliła się i jego usta tylko musnęły koniuszek jej ucha. Zaczerwienił się, szybko wyszedł, zbiegł po schodkach. Kiedy odwrócił się przy samochodzie, drzwi były już zamknięte.

Teraz, myśląc o tym, też się zarumienił. I poczuł się jeszcze bardziej samotny, jeszcze bardziej opuszczony. Jakiś tydzień temu znowu postanowił jej poszukać. Tym razem spróbował w pubach przy Dame Street, gdzie podobno uczęszczała z przyjaciółkami. Było już po dziesiątej, kiedy wszedł do Foggy Dew, stanął pośrodku sali i rozejrzał się dookoła. Goście siedzieli małymi grupkami na ławkach ustawionych wzdłuż obdrapanych ścian. Pomieszczenie wypełniał gwar prowadzonych półgłosem rozmów. Kilka par oczu zwróciło się w jego stronę, oceniło jego strój, wygląd, i odwróciło się z powrotem. Podszedł do baru, zamówił drinka. Piwo z whisky. Z głośnika starego radia na półce nad barem sączyła się celticka muzyka. Wspiął się na stół, wyjął z kieszeni cygaro. Barman podał mu ogień.

– Sami stali bywalcy?

– Zgadza się.

– Niezbyt ich dużo, jak na pub w centrum miasta.

– Nowi właściciele też tak uważają. W przyszłym tygodniu zacznie się remont. Całkowita zmiana wystroju.

– Więc gdzie oni wszyscy się podzieją? Barman wzruszył ramionami.

– A bo to mało pubów w okolicy?

McLoughlin pociągnął łyk piwa, otarł wierzchem ręki pianę z ust, wziął kufel i szklankę, i usiadł przy stoliku w kącie, w pobliżu grupy kobiet. Wszystkie wyglądały podobnie: krótkie włosy, kolczyki, bufiaste spodnie i grube swetry. Próbował podsłuchać ich rozmowę, można było jednak odnieść wrażenie, że mówią w jakimś obcym języku. Janey też tak wyglądała: krótkie siwiejące włosy i dość tęga sylwetka. Na ich palcach błyszczały proste, grube srebrne pierścionki, które w razie potrzeby mogły posłużyć jako kastety. Pierścionek, który dał Janey na zaręczyny, należał kiedyś do jego babki. Perły i ametyst. Wiktoriański, bardzo ładny. Przestała go nosić jakieś dziesięć lat temu. Powiedziała, że puchną jej palce. Ciekawe, co się z nim stało, pomyślał. Powinien zajrzeć do toaletki, sprawdzić, czy jest tam jeszcze pudełko z biżuterią. Drewniane, prezent od niego na pierwsze wspólne Boże Narodzenie. Z orzecha, ręcznie

zdobione, wyłożone rypsem, z przegródkami na pierścionki, obrączki, kolczyki, bransoletki. Teraz musisz dać mi coś, co będę mogła tam wkładać, powiedziała. Oczywiście, kochanie, odparł. I oczywiście nie dał.

Przenosił się z pubu do pubu. Jak między światami równoległymi, przemknęło mu przez głowę. Ci wszyscy ludzie, o wrażliwości i obyczajach całkowicie odmiennych od jego. Gapił się w stojący przed nim alkohol, w mroczną toń guinnessa, w miodowo-złocisty brąz whisky. Jej jedwabisty smak na języku przywołał z pamięci wilgotny smak Janey. Kiedyś tak bardzo go pragnął.

Naprzeciwno usiadła dziewczyna. Bardzo młoda, z kolczykiem w nosie i krótkimi, bardzo czarnymi lśnącymi włosami. Kiedy pochyliła się nad stolikiem, żeby sięgnąć po zapalki, skórzana kurtka rozchyliła się, odsłaniając kusą bawełnianą koszulkę w kolorze jaskrawej zieleni. Małe okrągłe sutki wielkości orzeszków ziemnych wypychały cienki materiał. Odsłoniła w uśmiechu ładne zęby i założyła nogę na nogę. Kusa spódniczka podjechała wysoko na szczupłym udzie.

– Napijesz się? – zapytał.

Już trochę płatał mu się język. Zamówiła podwójną brandy z colą. Potem wyciągnęła rękę.

– Idziemy?

Wyszedł za nią, wepchnął jej pieniądze do ręki. Skręciła w najbliższą bramę, pociągnęła go za sobą. Próbował ją pocałować, ale wywineła mu się z rąk, uklękła, szybko rozpięła rozporek, wyciągnęła go, wzięła w usta. Zaciśnął powieki. Fala rozkoszy ogarnęła go z taką siłą, że z trudem utrzymał się na nogach. Dziewczyna splunęła na ziemię, wstała i szybko odeszła.

Ruszył za nią. Ulice były wypełnione ludźmi. Wszyscy zdawali się mieć jakiś cel albo kogoś, z kim mogli być. Zmierzał w kierunku rzeki. Przez pokryte parą szyby w oknach i drzwiach przedostawały się smugi światła. Skądś dobiegały dźwięki muzyki country. Zatrzymał się, lzy nabiegły mu do oczu, kiedy wsłuchiwał się w rzewne zawroźnienie harmonijki. Odszukał drzwi, otworzył je, wcisnął się do środka. Mało się nie przewrócił o leżącą w przejściu parę. Dotarł do baru. Już prawie zamykano. Duża wskazówka ściennego zegara dotarła do jedenastki. Niemal ogarnięty paniką, załomotał w ladę, zamachał rozpaczliwie na barmana, który stał beczynnie w kącie z papierosem w ręce.

– Halo! Piwo proszę. Bardzo proszę.

Barman zmierzył go spojrzeniem zmrużonych oczu, zaczekał parę sekund, z ociąganiem podszedł do baru. Powoli, niespiesznie podstawił kufel pod kranik. Na widok wąskiego strumyka piwa McLoughlina ogarnęła niewysłowiona ulga. Zrobił sobie łokciami trochę więcej miejsca, w poszukiwaniu pieniędzy wepchnął lewą rękę do kieszeni spodni. Ciała napierały na niego ze wszystkich stron. Pośladek przy jego pośladku, miękka pierś na łopatkę, opasły brzuch przy boku. Zamknął oczy, dał się ogarnąć ciepłu, zaciśnął palce na chłodnym uchwycie. A potem

poczuł – to nie było złudzenie – jak czyjaś ręka ugniata mu jądra, wymacuje penisa pod miękkim materiałem spodni. Przez chwilę stał bez ruchu, otworzył tylko oczy i wpatrywał się w swoją zaczerwienioną twarz w lustrze naprzeciwko. Ręka poruszała się powoli, delikatnie, by niespodziewanie zacisnąć się, szarpnąć, pociągnąć z całej siły. Ból przeszył go na wylot, dosięgnął błyskawicami czubka głowy i koniuszków palców. Zawartość żołądka podeszła mu do gardła. Wypuścił kufel z ręki, piwo chlusnęło na blat, zalewając wszystko dokoła. Krzyknął przeraźliwie, zatoczył się, roztrzając stłoczone ciała, a kiedy wreszcie ręka się cofnęła, runął na podłogę i, szlochając, zwinął się w kłębek, między butami, pantoflami, niedopałkami, śmieciami.

Ktoś – nie miał pojęcia kto – pomógł mu wstać i wyprowadził na zewnątrz. Ciężko dysząc, przysiadł we wnęce okna na parterze, wykrztusił podziękowanie. I wtedy go zobaczył. Stał po drugiej stronie wąskiej uliczki, oparty o latarnię. Światło spływało po jego jasnych włosach. Uśmiechał się triumfalnie. Z rękami wepchniętymi w kieszenie dżinsów podszedł bliżej.

– Nieładnie, nieładnie... – wycedził przez zęby, po czym nie spiesząc się, ruszył dalej.

McLoughlin wyjął chusteczkę, otarł łzy z twarzy, wydmuchał nos. Z każdą chwilą robiło mu się coraz zimniej. Marynarka i koszula była zupełnie przemoczone. Obmacał kieszenie, z ulgą stwierdził, że portfel i kluczyki są na miejscu. Trzęsącymi się rękami zapiął marynarkę, wstał i powoli skierował się ku Dame Street, gdzie zostawił samochód.

Od tamtej pory nie wybrał się do pubu. Koledzy próbowali go parę razy wyciągnąć, ale wymówił się grypą. Lekarz przepisał mu środki uspokajające, uprzedził, żeby nie łączyć ich z alkoholem. Spuścił czarno-zielone kapsułki z wodą w toalecie. Szykowało się wewnętrzne dochodzenie w sprawie Mary Mitchell. Nie był pewien, jakie będą rezultaty. Sędzia bardzo surowo ocenił ich postępowanie. „Karygodne”, takiego użył określenia. „Godzące w podstawy wymiaru sprawiedliwości”. Stwierdził, że „poczyniło nieodwracalne szkody”. McLoughlin przypuszczał, że nawet jeśli nie zostanie wydany ze służby, to raczej nie ma co liczyć na świetlaną przyszłość w szeregach policji. Ale jakie to właściwie miało znaczenie? To przecież tylko praca, nic więcej.

Wstał, wyszedł na taras. Betonowa posadzka była śliska; zimą rozwinęły się na niej jakieś zielone porosty. Trzeba je będzie usunąć, z kadłuba łodzi zresztą też. Latem popłynie do Francji, może nawet na Morze Śródziemne. Przemknie się między Słupami Herkulesa w Cieśninie Gibraltarskiej i pożegluje aż na Minorę. Zrzuci parę kilogramów, nabierze sił, oczyści ciało i umysł. Będzie zlizywał sól z ust po kąpieli w morzu. To wszystko przed nim. Pod warunkiem że zdoła się uwolnić od przeszłości, pozbyć się drażącego poczucia winy, które towarzyszyło mu całymi dniami, korzystając z każdej chwili nieuwagi, by rzucić mu się do gardła. Wrócił pamięcią do minionego pięknego lata, kiedy wszystko się zaczęło. Gdyby tak mógł cofnąć się do początku. Teraz wszystko zrobiłby inaczej. Na pewno.

Rozdział 50

– Ile czasu potrzeba?

– Tydzień, może dziesięć dni.

– Bez wody?

– Bez wody.

– A z wodą?

– Znacznie dłużej. Miesiąc albo nawet półtora. Po utracie 60 procent masy ciała nie ma już ratunku.

– Ale ty tego nie zrobisz, prawda?

– Dlaczego?

– Chcę dotknąć twoich włosów. Tak jak kiedyś. Chcę je poczuć. Chcę znowu zadrzeć.

Przesunęła głowę tuż nad nagą piersią Patricka. Delikatne kosmyki, lśniące jak ptasie skrzydło, muskały jego skórę, sutki.

– Tak, właśnie tak... Jeszcze. – Wyprężył się, wygiął ciało w łuk. Płomienie malowały jego skórę złotem. – Pocałuj mnie. Pocałuj...

– Nie – szepnęła. – Jeszcze nie teraz.

Przyjechał do niej w nocy przed ostatnim dniem procesu. Nie spodziewała się go. Zanim otworzyła drzwi, zapytała kto tam. Wszedł, od razu objął ją i przygarnął. Ujął jej twarz w ręce, pocałował najpierw w czoło, potem w nos, potem w policzki, a na koniec w usta. Ich języki spotkały się tak jak dawniej. Cofnęła się, wzięła go za rękę, zaprowadziła przed płonący w kominku ogień.

Usiedli obok siebie w starych fotelach, pograżyli się w rozmowie. Dał się bez reszty ogarnąć wspomnieniom. Ujął ją za lewą rękę, przesuwał palcami po jej palcach, co jakiś czas całował dłoń lub przytulał ją do policzka.

– Zdążyłem zapomnieć, jak bardzo cię kochałem.

Jak kiedyś stanęła na środku pokoju, a on zaczął ją rozbierać. Gdy była już naga, ukląkł przed nią, przycisnął głowę do jej brzucha, objął ją za pośladki, a potem pociągnął do siebie na podłogę, wtulił się w nią, czując przez ubranie jej miękkość, wdychając zapach piersi, pleców, ramion, włosów.

– Teraz ja – szepnęła.

Położyła go na wznak, rozpięła koszulę, spodnie, ściągnęła krawat. Następnie powoli, delikatnie przesunęła ręką po jego nagiej piersi, brzuchu, podbrzuszu.

– Pamiętasz ten obraz w galerii?

– Oczywiście. Piękna kobieta z odsłoniętymi piersiami. Żona Roberta Fagana, zgadza się?

– Wciąż ci ją przypominam?

Uniósł głowę, położył rękę na jej piersi, następnie przysunął się, chwycił sutek ustami, pchnął ją na podłogę, jedną ręką chwycił za nadgarstki, odgiął ręce do tyłu. Drugą ręką sięgnął w dół i wsunął się w nią mocno i szybko, aż krzyknęła i w tym krzyku wyzwoliła cały zebrany w niej ból. Całował ją w usta, przygryzał wargi zębami, aż poczuł smak jej krwi, uwolnił jej ręce, by mogła go objąć, objęła go też nogami, przeturlali się na bok, teraz ona była na wierzchu, siedziała na nim okrakiem, przygniotła go do podłogi, a on wciąż próbował ją całować, lizać, gryźć, sięgał do niej, jego palce zostawiały czerwone ślady na jej białej skórze.

– Kochałaś kogoś tak jak mnie?

Nie odpowiedziała. Zsunęła się z niego, uklękła przy biodrach, pochyliła się. Jej głowa poruszała się w górę i w dół, w górę i w dół, słychać było tylko przyspieszone oddechy, coraz bliższe szczytowi rozkoszy.

Teraz, siedząc na tylnej kanapie w limuzynie Jimmy'ego, wracała pamięcią do tamtych chwil, kiedy nie chciał jej uwierzyć, gdy mu powiedziała, co postanowiła. Spojrzał na nią i roześmiał się nerwowo.

– Pomyśl, co on zrobił Mary.

Pomyślał. Obserwowała go w sali rozpraw, widziała, że niemal bez przerwy obserwuje Jimmy'ego, że jego wzrok wciąż ześlizguje się z akt na stole i kieruje się na złociste włosy, błękitne oczy, czerwone usta. Wzrok zdziwiony, niedowierzający.

– Powinienem być już przyzwyczajony do takich rzeczy – powiedział jej. – Nie sądziłem, że to mnie zaszokuje albo przerazi, a jednak tak się stało.

Patrzyła, jak Jimmy podchodzi do niego chwilę po tym, jak sędzia ogłosił decyzję o jego natychmiastowym uwolnieniu. Widziała, jak ściska mu rękę, jak poklepuje go po ramieniu, jak mu gratuluje, dziękuje. Dostrzegła grymas odrazy na twarzy Patricka, zauważyła, że szybko się odsunął.

– Oddychałeś tym samym powietrzem co ten stwór, który nie ma prawa nazywać się człowiekiem – powiedziała mu podczas jego pierwszej wizyty. – Siedziałeś z nim w jednym pokoju, rozmawiałeś o pogodzie, piłce nożnej i cenach piwa. Czy nie widzisz, nie rozumiesz, że on jest potworem? Nie wiesz, w jaki sposób zamordował twoją córkę? Nie pobił jej po prostu na śmierć. Najpierw zamienił ją w przedmiot, w karykaturę człowieka. W ten sposób ją zabił. I ja tak właśnie zabiję jego.

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Byli na przedmieściu Tallaght; w blasku ulicznych latarni wszystkie domy miały jednakowy pomarańczowy kolor. Po prawej stronie wznosiła się oświetlona od środka, przezroczysta kopuła centrum handlowego. Któregoś pięknego letniego wieczoru wybrała się tam z Mary na film. Nie pamiętała już tytułu, wciąż jednak czuła na palcach słonawą tłustą lepkość po prażonej kukurydzy, wciąż czuła na policzku oddech Mary, na bieżąco komentującej wydarzenia na ekranie, aż wreszcie siedzący przed nimi mężczyzna

odwrócił się i ją ofuknął. Poprawiła się na kanapie samochodu. Skórzana tapicerka zaskrzypiała cichutko. Do wnętrza pojazdu docierały jedynie niski pomruk silnika i przytłumione odgłosy ulicy. Spojrzała na wsteczne lusterko i zobaczyła w nim oczy Jimmy'ego.

– Chyba wiesz, dokąd jedziemy, prawda? Wzruszył ramionami.

– W takim razie, dokąd chciałbyś pojechać? Odwrócił się, przełożył jedną rękę za oparcie fotela, musnął palcami jej kolano.

– Sprytna jesteś. Jak się domyśliłaś?

Światło się zmieniło, samochody ruszyły z miejsca. Początkowo powoli, stopniowo coraz bardziej rozpedzały się na szerokiej prostej ulicy. Trzy samochody za nimi, na skrajnym pasie, McLoughlin aż uniósł się na fotelu, żeby lepiej widzieć czarnego mercedesa. I tych, którzy nim jechali. Jasnowłosego mężczyznę za kierownicą i siedzącą z tyłu kobietę. Rozpoznał ją bez trudu, pomimo spowijającego jej głowę szala.

Minęła go, kiedy siedział na stopniach przed Bankiem Centralnym. Tego wieczoru w centrum było rojno i gwarno. Turyści, goście, miejscowi, którzy mieli ochotę się zabawić. Kiedy jego wzrok padł na idącą chodnikiem kobietę, rozpoznał ją natychmiast po sylwetce i ruchach. Wstał, podążył za nią. Widział, jak skręca w Anglesea Street i zmierza w kierunku hotelu Blooms. Chciał zawołać, żeby się zatrzymała tam nie szła, pohamował się jednak i czekał. Chwilę później zobaczył, jak tamten wysiada z samochodu i otwiera drzwi. Wsiadła bez oporu, z własnej woli.

Śledzenie Jimmy'ego zdążyło wejść mu w krew. Dzięki temu miał co robić, nie siedział w barze i nie opróżniał kolejnych butelek whisky w oczekiwaniu na decyzję szefów. Nazywał to „patrowaniem”. Po tym, co zdarzyło się tamtej nocy, kiedy był pijany, bardzo się pilnowałby nie podejść za blisko i nie zostać zauważonym. Niemniej, zawsze przebywał gdzieś w pobliżu, wiedział, co Jimmy robi, dokąd idzie, z kim się spotyka. Prowadził notatki. Wierzył, że prędzej czy później coś to da, że tamten pęknie jak zgniłe od wewnątrz jabłko, odsłaniając przed światem ohydne wnętrze ukryte pod nienaganną powierzchownością.

Tego jednak się nie spodziewał. Nie podejrzewał, że zobaczy, jak Margaret wsiada w środku nocy do czarnego mercedesa, jak odjeżdżają w kierunku Tallaght, kierują się dalej, w stronę Blessington. Była ostatnią osobą na świecie, jaką spodziewałby się ujrzeć w tę letnią noc w centrum Dublina.

Policja nie zdołała ustalić, dokąd Jimmy zawiózł Mary ani gdzie ją zamordował. W zeznaniu stwierdził, że umarła w jego domu, nie chciał jej zabić, to był wypadek. Nigdzie jednak nie znaleźli śladów krwi. Pytali Margaret, czy zna jakieś miejsce, które Mary mogłaby mu wskazać, ale nic takiego nie przychodziło jej do głowy. Aż do chwili, kiedy wróciła do Nowej Zelandii, kiedy Jimmy'emu przedstawiono zarzuty, a Louisa pokazała jej zdjęcia, które przysłała Mary. Zrobione przed ładnym wiejskim domkiem o ścianach z kamienia. Siedziała na niskim murku

z głową odrzuconą do tyłu w parodii gwiazdorskiej pozy. Dokoła kwitły różowe rozchodniki, białe firletki, karmazynowe geranium i fioletowy żagwin. Z tyłu stał domek, jeszcze dalej zaś, niczym wycelowany w niebo palec, wznosił się wielki ceglany komin.

Czy Mary wspomniała, do kogo należy dom, kto tam mieszka? Louisa była bardzo miła. Pokazała jej list.

– Może to coś pomoże? Może przyda się policji?

Ale list nie pomógł. Owszem, dowiedziała się z niego, gdzie jest ten dom, ale dowiedziała się również dużo więcej. Poznała szczegóły, od których robiło jej się niedobrze. Zbierało jej się na wymioty, kiedy czytała o uczuciach córki wobec mężczyzny, który ją zabił. O jej pożądaniu, o pragnieniu bycia dorosłą, o chęci jak najszybszego wyzwolenia się spod opiekuńczych skrzydeł matki.

Zrobiło się ciemniej. Zjechali z głównej szosy, zapuszczali się coraz dalej w pagórkowaty teren. Jimmy ponownie przełożył rękę za oparcie fotela.

– Poznałaś samochód? Odwróciła twarz od okna.

– Co?

– Czy poznałaś ten samochód? Już go kiedyś widziałas.

– Tak?

– Nie pamiętasz?

– Nie.

– Kilka dni przed śmiercią Mary. Chciała cię zobaczyć. Bardzo płakała. Zawiozłem ją więc przed twój dom. Świecił księżyc, stałaś na schodkach. Chciała ci pomachać, ale musiałbym rozwiązać jej ręce.

Ponownie wbiła wzrok w ciemność. Z szyby spoglądała na nią twarz Mary. Poczula tuż obok jej ciało. Usłyszała jej głos.

Usiadła przed kominkiem. Patrick leżał obok, wodził palcem po srebrzystych kreskach na jej brzuchu.

– Zupełnie jak ślady ślimaków.

Wszystko zapisane na moim ciele, pomyślała. Jej narodziny i śmierć. W kształcie moich piersi, mojego brzucha. Na zewnątrz i w środku. Jej ślady.

Dołożył do ognia, płomienie strzeliły wysoko, barwiąc na czerwono jej skórę. Przyniósł z kuchni whisky i szklanki, znalazł gdzieś koc, okrył ją i otulił mocno, jak małe dziecko. Obserwował, jak powoli łagodnieją jej rysy, powieki stopniowo opadają, jak zapada w sen. Tak rzadko zdarzało im się sypiać razem. Ten pierwszy weekend w mieszkaniu Hugh, tych parę dni, kiedy mieszkała w jego domu, weekend w Mayo. Wątpił, aby się domyślała, jak bardzo jej pragnął, jak bardzo chciał leżeć obok niej, przewracać się na bok wtedy, kiedy ona się przewraca, oddychać w tym samym rytmie, śnić równocześnie i równocześnie się budzić. Ostrożnie sięgnął

po portfel, który razem z kluczykami położył na kominku. Miał w nim zdjęcie Mary, razem ze zdjęciami Jamesa i Conora. Położył je przed sobą na podłodze. Moje dzieci, pomyślał i objął mocniej Margaret.

Odszukanie domu z fotografii nie nastreczyło większych problemów. Mary napisała, że domek stoi nad jeziorem, w pobliżu kamieniołomu. W dniu, kiedy przyleciała na proces, Margaret kupiła na lotnisku mapę topograficzną Dublina i Wicklow. Wieczorem usiadła przy kuchennym stole i rozłożyła ją przed sobą. Szybko znalazła to, czego szukała: Ballyknockan, po przeciwnej stronie jeziora, jakieś trzydzieści kilometrów od Dublina. Kamienne domy i widoczny z daleka komin.

Pojechała tam pożyczonym od sąsiadki samochodem. Jezioro nie wyglądało zachęcająco. Minęła wioskę i chwilę potem zza sosnowego zagajnika wyłonił się ten dom. Metalowa brama w ogrodzeniu stała otworem, dalej prowadziła kręta wąska ścieżka. Od frontu znajdował się betonowy taras otoczony niskim murkiem, na gazonie przy drzwiach rósł jakiś krzew o szarych liściach. Schyliła się, by oberwać zasuszone resztki kwiatów. Lawenda. Biała lawenda. Zajrzała przez nieduże okna, zobaczyła duży piec i podłogę przysypaną wydmuchanym przez wiatr popiołem. Za budynkiem znajdowały się trzy kamienne komórki z solidnymi drewnianymi drzwiami zamkniętymi na kłódki.

Czy tu właśnie umarła Mary? Nie była pewna aż do chwili, kiedy przyniosła z samochodu łyżkę do opon, stłukła jedną z małych kwadratowych szybek, ostrożnie wsunęła głowę do środka, poczuła stęchłą woń, zobaczyła żelazny pierścień na ścianie i brązowe rozmazane znaki, przerażające hieroglify czekające na odkrycie nowego kamienia z Rosetty.

Kiedy już otarła z ust resztki wymiocin i nabrała sił w cieniu sosen, zajrzała przez okna do komórek. W drugiej stały i leżały rozmaite narzędzia ogrodnicze, wśród nich taczka, obok zaś betonowe bloczki i zwój niebieskiej nylonowej linki. Okienko trzeciej komórki było zabite od środka deskami. Przez chwilę szarpała się z kłódką i próbowała wyważyć drzwi, lecz bez rezultatu. Będzie musiała zaczekać.

Barman w pubie nad jeziorem przerwał grę w bilard, żeby przygotować dla niej grzaną whisky. Jego partner przyglądał się jej przez chwilę, a następnie przycisnął opasy brzuch do krawędzi stołu i wpakował w łuzę kolejną czerwoną bilę. Szklanka była brudna, wypita jednak bez słowa, i zaraz zamówiła następną.

– A pan i pański kolega?

Czas mijał. Promienie słońca z trudem przedzierały się przez brudne szyby, padały na zdeptaną podłogę, na poplamione obicia krzesel, popiół przy kominku.

– Do kogo należy ten ładny domek przy kamieniołomie? Barman cofnął się od stołu, ocenił sytuację, przeszedł na drugą stronę.

– To chyba Niemcy, prawda, Mick? A może Holendrzy? Jego partner stał oparty o bar

z opróżnionym do połowy kuflem w ręce.

– Na pewno Niemcy. Prawie nie mówią po angielsku. Holendrzy znają języki.

– Często przyjeżdżają?

– Już nie. Kiedyś, owszem. Co roku, latem, na parę tygodni. Mieli dwie śliczne córki, naprawdę piękne dziewczynki. Uprawiali windsurfing, żeglowali. Ale potem coś się stało. Ten gość miał atak serca, albo coś w tym rodzaju. Zgadza się, Mick?

– Nie mam pojęcia. Za dużo tu teraz nowych ludzi, żeby o wszystkich wiedzieć. Nie to, co kiedyś.

– Myśli pan, że dom może być na sprzedaż? Barman wzruszył ramionami.

– Nie wiem, ale zdaje się, że w zeszłym roku sprzedali żaglówkę.

Co Mary napisała w liście do Louisy? Że dom należy do pewnej rodziny z Frankfurtu. Że Jimmy zawsze przywozi ich z lotniska. Że dali mu klucze, by od czasu do czasu tam zaglądał i sprawdzał, czy wszystko w porządku, ale już od dość dawna nie przyjeżdżali. Że miejsce jest śliczne i zupełnie na uboczu.

Z dala od głównej szosy było bardzo ciemno. Nawet w środku lata, kiedy jeszcze długo po zachodzie słońca niebo rozjaśniało wspomnienie minionego dnia. Teraz jednak niebo było bezksiężycowe, bezgwiazdne, czarne. Jadące przed McLoughlinem samochody skręcały kolejno w boczne drogi albo do pobliskich posesji, aż w końcu z przodu pozostały jedynie dwa czerwone światła pozycyjne. Starał się zachować bezpieczną odległość. Droga stawała się coraz węższa, zabudowania rzadsze. Po jednej stronie rósł sosnowy las, po drugiej rozpościerały się pastwiska. Tu i tam stały gromadki przeżuwających flegmatycznie krów. Ich oczy błyszczały w świetle reflektorów. Próbował sobie wyobrazić, co się dzieje w jadącym przed nim samochodzie, ale nie potrafił. Chętnie by się napił. Niewiele, tylko tyle, żeby uspokoić nerwy i odzyskać jasność myśli. Zwolnił, zjechał na pobocze, zaczął po omacku grzebać w schowku. Jego palce trafiły na latarkę, mapy, zapomniane napoczęte pudełko papierosów. Wściekły, zatrzasnął schowek i sięgnął niżej, przed fotel pasażera. Też nic, jeśli nie liczyć dwóch długopisów i starego notesu z posklejnymi kartkami. Wysiadł, otworzył bagażnik. W środku była torba z raketami do badmintonu i różnym sprzętem biwakowym – pozostałość po jakimś dawno zapomnianym weekendzie, kiedy powiedział Janey, że jedzie pograć z chłopakami, chociaż oboje doskonale wiedzieli, że to jedynie wymówka, by wyrwać się do Galway albo Cork i zabawić się bez niej. Rozpiął ją, rozbebeszył, znalazł pantofle biegowe, skarpety, spodnie dresowe, cuchnącą piwem i potem koszulkę, a wreszcie, na samym dnie, zaledwie napoczętą butelkę wódki.

Usiadł za kierownicą, ostrożnie zdjął nakrętkę, podniósł butelkę do ust i przełknął głośno. Zaraz potem wcisnął ją między uda, uruchomił silnik i ruszył z szurgotem opon, by nadrobić stracony dystans. Minęło trochę czasu, zanim jakies pół kilometra przed sobą ponownie zobaczył czerwone światelka. W nagrodę pociągnął jeszcze jeden łyk. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak

dawna poczuł się prawie szczęśliwy. Ona tu była. Znowu. Myślał, że już nigdy nie będzie miał okazji z nią porozmawiać, przeprosić za to, co się stało. Może teraz wszystko ułoży się inaczej. Wcisnął mocniej pedał gazu, po raz kolejny podniósł butelkę do ust. Zaraz potem gwałtownie zahamował i skręcił w szeroką, obsadzoną drzewami drogę wiodącą przez siedemnastowieczne miasteczko Blessington. Przed wejściem do pubu stała grupka ludzi. Niektórzy trzymali szklanki w dłoniach. Śmiechy, okrzyki, wreszcie ktoś zaintonował stadionową pieśń:

– Ooooleeee, ole, ole, ole...

Inni natychmiast ją podchwycili, nocną ciszę zburzył zgodny chór radosnych głosów. To miło, kiedy ludzie tak się bawią, pomyślał. Czuł już pierwsze oznaki działania alkoholu. Gniew i wzburzenie powoli mijały. Opuścił szybę, pomachał, zawołał wesoło. Chętnie zatrzymałby samochód, wysiadł, dołączył do nich, puścił w obieg swoją butelkę, przyłączył się do chóru, zapomniał o czarnym mercedesie, który ponownie zniknął w oddali. Zanim jednak zdążył się nad tym zastanowić, znowu wjechał w ciemność, znowu wytężał wzrok w poszukiwaniu dwóch czerwonych punkcików, jego światełek przewodnich.

Gdzie się podziały? Inne, białe, jaskrawe światła albo zbliżały się od tyłu, oślepiając go w lusterkach, albo pędziły z naprzeciwka i mijały go w okamgnieniu. Zbliżał się do skrzyżowania. Droga prosto prowadziła do Baltinglass, ta w lewo wiodła do mostu nad jeziorem, do zbiornika Poulaphuca oraz do osad Valleymont i Ballyknockan na przeciwległym brzegu. Zahamował, napił się z butelki, otarł usta wierzchem ręki i zaczął się zastanawiać, którądy pojechali. Wysiadł, przeszedł dziesięć kroków w kierunku jeziora, zawrócił, taki sam dystans pokonał w drugą stronę. Potrzebował jakiegoś znaku, jakiejś wskazówki. Niczego takiego jednak nie było. Słyszał tylko odgłosy własnych stąpaniec na luźnym żwirze i zajadłe ujadanie psa. I jeszcze jednego. I jeszcze. Czy psy oszczekiwały jadący samochód? A może ktoś wzywał pomocy? Nasłuchiwał przez chwilę, starając się określić kierunek, po czym wrócił do samochodu i skręcił w drogę wiodącą na most nad czarną jak atrament wodą. Ciemność znowu otoczyła go ze wszystkich stron.

Ciemność królowała również na bocznej drodze, w którą wjechał Jimmy. Tym jaskrawsze wydawały się snopy światła rzucane przez reflektory, podskakujące na wybojach razem z całym samochodem. Kiedy wyłączył silnik, zapadła głęboka cisza, w której słyszeć było jedynie jego przyspieszony oddech. Wysiadł, obszedł samochód dookoła, otworzył jej drzwi. Kiedy stanęła obok niego, otarł się ramieniem o jej pierś. Jego twarz była skryta w mroku, widziała jednak półotwarte usta i czuła zapach jego podniecenia. Ujął ją za rękę. Była zimna i bezwładna. Wygrzebał z kieszeni klucze, otworzył drzwi i odsunął się, by wpuścić ją do środka.

Siedzieli przed kominkiem zawinięci w koce, pili whisky i rozmawiali.

– Zupełnie jak wtedy, dawno temu – powiedziała.

– Bardzo dawno temu. – Delikatnie ujął ją za podbródek, zwrócił jej twarz ku sobie,

pocałował, położył jej głowę na swoim ramieniu. – Robiłaś tak z kimś innym?

– A ty? – zapytała łagodnie.

– Powiedz mi, czego chcesz.

– Chcę, żeby poniósł karę. Zasłużoną karę. Za to, co zrobił Mary.

– Państwo go ukarze.

– Doprawdy? W jaki sposób? Skazując na więzienie, z którego wyjdzie po siedmiu latach?

To nie jest kara. Sama chcę to zrobić. W jej imieniu. A ty mi pomożesz.

– Jak?

– Chcę, żebyś zrobił wszystko co w twojej mocy, by go uwolnić. A potem oddasz go w moje ręce.

– I to cię uszczęśliwi?

– Już nigdy nie będę szczęśliwa. Nigdy.

– Powiedz mi jeszcze raz, czego chcesz.

Przygarnął ją, przytulił, ukoił swym ciepłem. Wreszcie zasnął, ona zaś leżała z otwartymi oczami, patrząc na tańczące po suficie cienie, aż do pokoju zakradły się pierwsze promienie słońca.

Kiedy weszła do domku, nie obejrzała się za siebie. Wiedziała, co się wydarzy. Wszystko wcześniej uzgodnili.

– Czym to zrobisz? – zapytała Patricka.

– Mam coś, co będzie w sam raz: gumową pałkę. Dostałem ją od klienta. To był żart, ale teraz wreszcie mi się przyda.

Zaczekała, aż znowu zapadnie cisza, i dopiero wtedy się odwróciła. Jimmy leżał na podłodze, pochylony nad nim Patrick skuwał mu kajdankami ręce na plecach. Margaret podniosła z podłogi pęk kluczy, przyklękła, sprawdziła mu puls.

– W porządku?

– Nic mu nie będzie.

Wspólnymi siłami wywlekli go na zewnątrz przez tylne drzwi. Wcześniej Patrick bez trudu wyłamał je i dostał się do środka. Czekał w ciemności, aż wreszcie usłyszał warkot silnika i zajął dogodną pozycję. Przy świetle małej latarki, którą wyjęła z torebki, Margaret próbowała kolejne klucze, aż wreszcie otworzyła kłódkę. Weszła do komórki, poświeciła dokoła. Ślady na ścianie, żelazny pierścień z przewleczonym łańcuchem, betonowa posadzka. Bez słowa wciągnęli Jimmy'ego do środka. Patrick trzymał latarkę, ona przełożyła łańcuch przez stalowe ucho przy kajdankach i spięła go kłódką. Oparli Jimmy'ego o ścianę; przechylił się na bok, głowa opadła mu na piersi. Margaret wręczyła Patrickowi klucze, usiadła po turecku i czekała.

Ujadanie psów doprowadziło go nad brzeg jeziora. Białe nieduże domki stały tu i tam, porozrzucane wśród wzgórz jak ziarenka cukru. Zza zasłon sączyło się ciepłe światło. Dziecięcy

rowerek oparty o żywopłot. Zaparkowany na podjeździe samochód, ale za mały. McLoughlin pociągnął kolejny łyk i przetarł oczy. Był bardzo zmęczony. Długie dni spędzone na śledzeniu, zastanawianiu się, oczekiwaniu. Marzył o tym, żeby zasnąć, oprzeć głowę na ramieniu Margaret, zobaczyć w półmroku zarys jej twarzy i ust, usłyszeć głos. Powstrzymać ją, zanim stanie jej się coś złego, zanim skończy jak córka. Przed nim pojawiło się kolejne skrzyżowanie, a raczej rozwidlenie. Usiłował zwolnić, skręcić ostro w prawo, spóźnił się jednak, samochód zarzucił tyłem, zsunął się do rowu. Łomot, stłumione uderzenie, a potem bezruch i cisza. Silnik zgasł. McLoughlin zaklął, rąbnął pięścią w kierownicę, wysiadł, obszedł samochód dookoła, oceniając szkody. Położył ręce na karoserii, napał całym ciężarem ciała. Samochód drgnął lekko. Wsiadł z powrotem, uruchomił silnik, wrzucił bieg, dodał gazu i z wycuciem zaczął zwalniać sprzęgło, jednocześnie zwiększając obroty silnika. Koła przez chwilę kręciły się w miejscu, potem bieżnik złapał twardszy grunt, wóz szarpnął do przodu raz, drugi, ruszył, wyjechał z rowu na drogę. McLoughlin jedną ręką trzymał kierownicę, w drugiej ścisnął butelkę. Tablica. Czarne litery na niegdyś białym, teraz szaroburym od brudu tle. Z trudem przeczytał napis: Ballyknockan. W światłach reflektorów ujrzał nieduże domki o kamiennych ścianach stojące wzdłuż wąskiej, prowadzącej w dół ku jezioru uliczce. Nieco dalej odchodziła od niej boczna droga, pięła się zakosami w górę, w kierunku Wicklow Hills. Dokąd teraz? Wdepnął w hamulec, silnik znowu zgasł. Oparł głowę o zagłówek, natychmiast poleciała mu w bok, wyprostował ją nadludzkim wysiłkiem woli, ale oczy same się zamknęły. Nie był w stanie ich otworzyć, nie miał już władzy nad własnym ciałem. Próbował walczyć, lecz wysiłek był ponad jego siły. Butelka zsunęła się na podłogę, znieruchomiła obok lewej stopy. McLoughlin zasnął.

Muszę wiedzieć, powiedziała Patrickowi. Muszę dokładnie wiedzieć, co działo się z Mary przez te osiem dni, kiedy była więziona. Próbował jej to wyperswadować. Błagał. Tłumaczył, że w ten sposób da Jimmy'emu największą satysfakcję.

– Przecież wiesz, że chodzi mu o to, by wciągnąć cię w to. Nie rób tego. Nie pozwól mu.

Ona jednak ani myślała ustąpić, a teraz czekała po ciemku na powrót Patricka. Zjawił się z latarką w jednej ręce i plikiem fotografii w drugiej. Usiadł obok. Wręczył jej latarkę i zdjęcia. Część była czarno-biała, część kolorowa. Patrzył na nią, kiedy je przeglądała. Twarz Margaret miała taką samą barwę jak twarz jej córki po śmierci.

– Zaczekaj na zewnątrz – powiedziała.

– Długo tu będziesz?

– Niedługo.

Największy ból ma źródło w tyle głowy, spływa na kark i skronie. Bola go też ramiona i nadgarstki, coś wpija się w skórę, ciągnie ręce ku górze. Stara się poruszyć, ale nie może. Próbuje wstać, lecz nie jest w stanie utrzymać równowagi. Kopie na oślep, ale trafia w pustkę. Otwiera oczy. Ktoś jest. Jakiś cień. Świeci mu latarką w oczy. Chce je osłonić przed blaskiem,

ale nie może poruszyć rękami. Szarpie, walczy. Pomocy, woła. Nikt nie odpowiada.

Cień się porusza, latarka też. Rozpoznaje ją. Przypomina sobie, co się stało. Latarka świeci teraz na jej ręce. Coś w nich trzyma, pokazuje mu. Wiesz, co to jest? – pyta. Zaczyna je drzeć, jedną po drugiej.

Ponownie próbuje poruszyć rękami. Bezskutecznie. Jego palce obmacują stalowe obejmy na nadgarstkach. Usiłuje chwycić za łańcuch – zbyt mocno napięty. Ból ramion coraz silniejszy, do tego dochodzi parcie na pęcherz.

Rozpościera białą spódnicę, siada przed nim na zimnej posadzce. Dociera do niego słodkawy zapach. Chyba lawenda. Wstaje, podchodzi do niego. Trzyma coś w ręce. Rolkę szarej taśmy klejącej. Nie rób tego, proszę, ona jednak szybkim ruchem zalepia mu usta, owija taśmę dokoła głowy raz, drugi, trzeci, aż wreszcie widać tylko błękitne oczy. Potem cofa się na swoje miejsce pod przeciwległą ścianą i zaczyna mówić.

Zapytałam cię kiedyś, co moja córka powiedziała przed śmiercią. Nie odpowiedziałeś mi. Wyśmiałeś mnie, upokorzyłeś. Wtedy, w kościele. Pamiętasz? Wydawało ci się, że jesteś taki sprytny. Zwabiłeś mnie, zmusiłeś do tego, bym stanęła z tobą twarzą w twarz. Nie przewidziałeś jednak konsekwencji. Teraz nie musisz mi już niczego mówić. Wiem już, co powiedziała i w jaki sposób to zrobiła, ponieważ ją znałam i zawsze będę ją znała. Taką, jaka naprawdę była. A teraz przyszła pora, żebym to ja w jej imieniu powiedziała ci parę rzeczy. Przede wszystkim powiem ci, w jaki sposób umrzesz. Słuchasz?

Widziała narastające przerażenie w błękitnych oczach, kiedy wyjaśniała mu, jak się umiera z głodu i pragnienia, cierpienie towarzyszące stopniowej utracie bezcennej wilgoci, szaleństwo stopniowo ogarniające wyniszczony mózg. On mi nie wierzy, pomyślała. Uważa, że w ostatniej chwili odkleję taśmę, uwolnię go, ulituję się nad nim. Myśli, że jestem cywilizowanym człowiekiem, współczującym, rozumiejącym, wierzącym w prawo i sprawiedliwość. Nawet nie podejrzewa, z kim ma do czynienia. Nie domyśla się, jak się zmieniałam pod wpływem jego czynów i jak jeszcze się zmienię. Jakich zniszczeń we mnie dokonał. Już na zawsze.

Wstała, spojrzała na niego z góry. Na złociste włosy, jasną skórę, szczupłe ciało. Na powiększającą się szybko ciemną plamę w kroku. Potem wyłączyła latarkę, wyszła, starannie zamknęła drzwi na kłódkę. Patrick czekał na nią. Skinęła mu głową. Miał ze sobą parę desek, gwoździe i młotek. Przystąpił do zabijania okna ze stłuczoną szybą. Stukanie młotka niosło się daleko w noc. Ostatni dźwięk, jaki słyszy, przemknęło jej przez głowę.

Jechali powoli wzdłuż wschodniego brzegu jeziora, u podnóża gór jeszcze czarniejszych od nieba. Patrick na przedzie, swoim samochodem, ona z tyłu, w mercedesie Jimmy'ego. Kiedy dotarli do skrzyżowania, na którym skręcało się do Blessington, zatrzymali się i wysiedli. Przez jakiś czas stali obok siebie i w milczeniu patrzyli na nieruchomą, połyskującą powierzchnię jeziora. Wyciągnął rękę. Podała mu splecioną z kilku kawałków materiału tasiemkę, którą miała

na nadgarstku. Przywiązał do niej klucze od domu, od przybudówek, od kajdanków, wziął szeroki zamach i rzucił je z całej siły. Rozległ się cichy plusk, chwilę później odpowiedziało mu jeszcze cichsze echo. Woda zamknęła się nad zdobyczą. Wziął ją za rękę, pocałował w usta, a potem jeszcze raz, w dłoń.

McLoughlin obudził się, leżący częściowo na fotelu pasażera, skrzyżowany w pasie jak korkociąg. Błysnęły reflektory, ostre światło zalało wnętrze pojazdu. Usiadł z wysiłkiem, rozcierając zeszywniały, obolały kark. Odruchowo skierował wzrok na mijający go samochód. I na twarz kierowcy. A potem na drugi samochód. To był wóz Jimmy'ego. Margaret siedziała za kierownicą. Chwyciły go mdłości. Szarpnął za klamkę, otworzył drzwi, przez chwilę głęboko wdychał świeże wiejskie powietrze, a potem wysiadł z trudem. Piekł go oczy, zaschło mu w ustach i w gardle. Podniósł oba ramiona, nie zważając na protesty mięśni, ścięgien i kręgosłupa, po czym odwrócił się i odprowadził wzrokiem niknące właśnie za zakrętem światła pozycyjne. Wrócił myślą do tamtej nocy, którą spędził przed jej domem. Tej nocy, kiedy słyszał głosy i widział sylwetki w pokoju oświetlonym blaskiem ognia płonącego w kominku. Przypomniawszy sobie, jak opowiadała jej o mającym się rozpocząć procesie, a ona nagle wypuściła wazon z rąk. Przypomniawszy sobie, jak pierwszego dnia nagle wybiegła z sali.

Otarł usta wierzchem ręki, wrócił za kierownicę, uruchomił silnik i ruszył w kierunku, z którego tamci nadjechali. Przez otwartą bramę, wyboistą gruntową drogą do małego domku o ścianach z kamienia. Wyjął latarkę ze schowka, wysiadł, przez jakiś czas nasłuchiwał. Cisza. Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę: zamknięte. Obszedł dom dookoła, zaglądając przez okna. Z tyłu w świetle latarki dostrzegł trzy przybudówki z potężnymi kłódkami na drzwiach, a jedną z oknem zabitym deskami. I wtedy usłyszał ten dźwięk. Coś jakby szelest albo skrobanie. Przycisnął ucho do drzwi, nasłuchiwał. Znowu. Wyjął z kieszeni spory pęk kluczy, oświetlił kłódkę, zaczął przy niej manipulować. Wreszcie udało mu się ją otworzyć. Pchnął drzwi, poświecił do środka i ujrzał wytrzeszczone, przerażone oczy Jimmy'ego, wyzierające z wąskiej szczeliny między zwojami szarej taśmy klejącej. Zobaczył także rozrzucone dookoła fotografie. Ponownie ogarnął go wstyd i okropne, palące poczucie winy.

Przykucnął obok Jimmy'ego. Chłopak wił się rozpaczliwie, jego błękitne oczy zaszyły łzami. McLoughlin kolejno brał do ręki fotografie, przyglądał im się uważnie. Stanowiły dokumentację przemiany. Najpierw taka, jaka była na początku: gęste czarne loki, gładka twarz. Potem z ostrzyżonymi krótko włosami i wyrazem przerażenia na twarzy. Potem zaczęły się pojawiać rany i inne obrażenia. Zwinięta w kłębek przy ścianie, odwrócona plecami do aparatu. Przez cienką jak pergamin skórę można było policzyć wszystkie żebra. Jak na rycinie w podręczniku osteologii. Nagle spłynęło na niego olśnienie. Wreszcie dostrzegł podobieństwo. Mężczyzna w samochodzie. Mężczyzna w sądzie. Szczupła, przystojna twarz okolona peruką. Czarne, krótko ostrzyżone kręcone włosy. Długie ramiona i nogi. Długie palce. Nie chodzi o szczegóły, tylko

o całość. Tak, bez żadnej wątpliwości. Takie podobieństwo nie może być dziełem przypadku.

Oparł się o ścianę, z jego piersi wydobył się histeryczny śmiech. Atak wesołości minął równie szybko jak się pojawił. McLoughlin spojrział na Jimmy'ego, zobaczył nadzieję w jego oczach, następnie zaś przeniósł wzrok na zdjęcia. Niektóre były podarte, ale nie wszystkie. Złożył je równo, starannie, schował do kieszeni, wyjął z niej zmiętą białą chusteczkę.

– Przechytrzyła cię, Jimmy. Musisz to przyznać. Cały czas wyprzedzała nas obu. Teraz jednak popełniła mały błąd, prawda? Na tych zdjęciach z pewnością jest mnóstwo jej odcisków palców. – Pochylił się nad nim. Jimmy przekręcił głowę pod niewiarygodnym kątem, żeby tylko nie spuszczać go z oka. – I na tej taśmie też. Założę się, że o tym nie pomyślała.

Zaczął starannie wycierać chusteczką śliską powierzchnię taśmy, czując pod palcami kontury twarzy Jimmy'ego, jego kości policzkowe, usta, nos, podbródek.

– No, teraz dużo lepiej.

Wyprostował się, odwrócił i wyszedł w cichą noc. Zamknął drzwi, założył kłódkę, wytarł zarówno ją, jak i skobel. I krawędzie drzwi. A potem odszedł, nie rzuciwszy wstecz ani jednego spojrzenia. Gdy tylko wsiadł do samochodu, oparł czoło o kierownicę i zaczął rozpaczliwie szlochać, a po jego twarzy popłynęły grube łzy.

Jechali powoli, ostrożnie. Najpierw szosą T42 do Brittas, potem w lewo L199 w kierunku Willbrook. Z jednej strony mijali pogrążone we śnie przedmieścia, z drugiej góry. Patrick obserwował w lusterku światła jej samochodu. Przez cały czas utrzymywała taką samą odległość. Myślał o niej, siedzącej teraz samotnie z rękami na tej samej kierownicy, na której jeszcze niedawno spoczywały ręce Jimmy'ego. Najchętniej zatrzymałby się, wtulił twarz w jej miękki brzuch, wciągnął w płuca jej zapach, poczuł na języku jej smak. Chciałby z nią rozmawiać, rozmawiać bez końca. Powtarzać, jak bardzo ją kocha, jak bardzo zawsze ją kochał, jak wstydził się tego, że porzucił ją wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowała. Jak przez długie lata odpychał od siebie te wspomnienia, jak wzdrygał się na samą myśl o niej, aż wreszcie upływający czas litościwie ukrył rany pod grubymi bliznami. Aż do tamtej chwili w domu nad brzegiem morza, kiedy blizny pękły, odsłaniając nagie nerwy najgłębszych uczuć i emocji. Wtedy zrozumiał, że musi zrobić to, o co go prosi. Bez względu na konsekwencje. Ze względu na Mary. Żeby zadośćuczynić za wszystkie lata milczenia. A teraz chciał się dowiedzieć więcej. O Mary, o Margaret. O ich życiu. Nie wierzyłby wszystko skończyło się tutaj, na tej wyboistej drodze w ciemności, ale nie mógł się teraz zatrzymać. Musiał jechać przez Sandyford, przez Leopardstown, aż do Torquay Road, gdzie skręca w kierunku domu.

Resztę jej trasy mógł przebyć już teraz, w wyobraźni. Newtownpark Avenue, z widokiem na błyszczące po drugiej stronie zatoki jak naszyjnik światła Howth Road. W lewo w Stradbroad Road, potem przez Monkstown do Dun Laoghaire. Pierwszy prom odpływał o szóstej piętnaście. Na pewno zdąży. Zostawi mercedesa tam, gdzie uzgodnili – na parkingu na nabrzeżu, przy

starych basenach. Wejdzie do budynku dworca morskiego. Jadąc wczoraj z Londynu, kupiła od razu bilet powrotny, nie będzie więc musiała z nikim rozmawiać. Na środku Morza Irlandzkiego wyrzuci do wody kluczyki od samochodu. W Holyhead wsiądzie w pociąg do Londynu, tam pojedzie prosto na lotnisko, żeby zdążyć na samolot do Nowej Zelandii. Za trzydzieści sześć godzin znajdzie się już po drugiej stronie świata, on zaś będzie wtedy na Sycylii, na wakacjach z Creą.

Widząc czerwone światła pozycyjne jego samochodu, czuła się całkiem bezpiecznie. Od czasu do czasu mogła nawet dostrzec zarys jego głowy. A potem włączył kierunkowskaz i skręcił w prawo. Wiedziała, że będzie jechał pustymi, obsadzonymi żywopłotami drogami, mijając wielkie rezydencje otulone senną ciszą dostojęstwa. Zostawi samochód przy korcie tenisowym, wślizgnie się do domu kuchennymi drzwiami. Duży czarny labrador powita go machaniem ogona, on zaś pochyli się i podrapie psa za uszami. Potem powoli, ostrożnie, wejdzie szerokimi schodami na piętro, do sypialni z różową wykładziną i różową kapą, z fotografią na nocnym stoliku.

Bardzo chciała pojechać za nim, ale nie zrobiła tego. Nad horyzontem pojawiła się wąska kreska bladego złota. W lewej ręce ścisnęła zdjęcie Mary. To wszystko dla ciebie, maleńka, pomyślała. To wszystko dla ciebie.